

RIIKKA
PULKKINEN PRAWDA



NOIR SUR BLANC

RIIKKA PULKKINEN

PRAWDA

MKS

Można znieść wszystkie smutki, jeśli tylko stanowią część jakiejś historii.
Lub jeśli napisze się o nich historię.
Isak Dinesen (Karen Blixen)
Być może widzę sny na jawie.
Dzięki niej myślę o muzyce.
Jej twarz...
Żyjemy teraz życiem sobowtórów.
Nie potrzebujemy lustra, by rozmawiać ze sobą.
Gdy Marianne mówi „piękny dzień”, o czym myśli?
Widzę tylko jej obraz, gdy wymawia te słowa.
Nic więcej. Czy trzeba to tłumaczyć?
Jesteśmy utkani ze snów, a sny utkane są z nas.
To piękny dzień, mój ukochany, w snach, w słowach i w śmierci.
To piękny dzień, mój ukochany, to piękny dzień w życiu.
JeanLuc Godard, Szalony Piotruś (1965)

1.

Kobieta biegła w jego stronę.

Martti śnił ten sen wiele razy. Kobieta chciała coś powiedzieć, Martti już niemal wiedział co. Znowu nie zdążył usłyszeć, co miała do powiedzenia, budził się zawsze, zanim dane mu było cokolwiek zrozumieć.

Teraz znowu się obudził, a jego wzrok padł na zegarek leżący na stoliku nocnym.

1.20.

Elsa spała u jego boku. Jej oddech był nieco urywany, ale nie bardziej niż u ludzi zdrowych. Martti więc jednak zasnął, choć wieczorem był niemal pewien, że nie odważy się zmrużyć oka.

To była pierwsza noc Elsy w domu od ponad dwóch tygodni.

Początkowo Martti sprzeciwiał się jej powrotowi. Nie dlatego, że nie chciał mieć żony przy sobie. Przeciwnie - Elsa należała do tego domu. Już od ponad pięćdziesięciu lat. Martti po prostu bał się, że pewnego ranka znajdzie Elsę martwą obok siebie, z zimnymi nogami.

- Ja tu gniję - powiedziała mu Elsa tydzień temu w hospicjum, zupełnie tak, jakby wołała o pomoc. - Nie pozwól, żebym tu zgniła, ja chcę do domu.

I tak też się stało.

Elsa chorowała zaledwie od sześciu miesięcy. W grudniu Martti zauważył, że schudła niemal o połowę. Elsa poszła na pływalnię, by się zważyć, i umówiła się do lekarza na wizytę.

- To nic takiego - powiedziała.

- Na pewno nic - powtórzył Martti.

Elsa pocałunkiem starła troskę z jego twarzy.

Potem wszystko potoczyło się szybko. Endoskopia, biopsja, wyrok.

Martti płakał w drodze do domu ze szpitala po usłyszeniu najgorszego. Elsa była cicho, przez całą podróż ścisnęła go za rękę, nawet w windzie.

Stali długo w przedpokoju oparci o siebie. Gwiazda betlejemska w oknie, popołudniowy półmrok w pokojach.

- Na wszelki wypadek spędzimy bardzo dobre święta - powiedziała Elsa.

W dzień Bożego Narodzenia Eleonoora przyszła w gości z rodziną. Elsa nie chciała jej jeszcze nic mówić.

Ale Eleonoora sama zgadła. Takie rzeczy nie umkną lekarzowi.

Od razu się zaczęło: zmartwienie, które, jeśli starczało uwagi, można było wziąć za udzielanie rad. Elsa się tym nie przejęła. Powiedziała tylko to samo co jemu: „Cieszymy się teraz świętami”.

I Boże Narodzenie upłynęło radośnie, mimo wszystko. W Wigilię poszli na łyżwy, w drugi dzień świąt na narty. Elsa dziwiła się, że wciąż ma tyle siły. Zjadła pół tabliczki czekolady z orzechami i dziarsko zjeżdżała z górki jak młoda dziewczyna.

Leczenie zaczęło się na początku roku. Elsie podawano cytostatyki tylko przez parę tygodni, jakiś miesiąc. Potem wspomniano o „łagodzeniu objawów”, co oznaczało hospicjum. Wtedy Elsa zaczęła płakać.

Martti próbował być silny i nie tracić nadziei. Spytał, czego Elsa by jeszcze chciała.

- Moglibyśmy pojeździć - powiedziała Elsa. - Gdybyśmy tylko tak sobie jeździli, aż zapadnie zmrok, bez żadnego celu, słuchając muzyki, zupełnie jak podczas zwykłej podróży samochodem.

Od końca lutego jeździli każdego wieczoru. Wiosna miała jasnoczerwony i jasnożółty odcień, jak zawsze. Elsa często prosiła go, żeby jechał wolniej - mogła wtedy lepiej przyjrzeć się niebu.

Chmury przesuwaly się po nim jak wielkie budynki. Na początku marca, parkując w dzielnicy Lauttasaari, usłyszeli śpiew kosa.

Siedzieli tam przez dłuższą chwilę, przy zgaszonych światłach, w półmroku, słuchając głosu ptaka.

- To dziwne, jak mało trzeba się bać - powiedziała Elsa.

- Tak, nie ma się czego bać - odpowiedział Martti.

Ale było to kłamstwo. Martti bał się nocy, tych chwil, kiedy budził się sam ze snu, którego nie potrafił zrozumieć. Bał się, że się obudzi, a Elsa nie będzie już oddychać u jego boku.

Być może Eleonoora bała się tego samego, bo ostro sprzeciwiała się przewiezieniu mamy do domu.

- Wiem, co nas czeka, uwierz mi - powiedziała, gdy na moment zostali sami po rozmowach na temat leczenia. - Nie dam rady w pojedynkę, ty też nie. A nie mogę wymagać od dziewczynek, żeby zajmowały się mamą, to byłoby dla nich zbyt wiele.

Przecież to jeszcze prawie dzieci.

Troska Eleonoory była z pewnością inna niż Marttiego. Jej smutek też był inny wtedy, gdy nadeszła jego pora. Mimo to Marttiego dziwiło zachowanie Eleonoory. Nie mógł

wiedzieć nic ponadto, co widział: skrupulatność i zdecydowanie - i nic poza tym - malujące się na jej twarzy.

Martiego wciąż często nachodziła myśl, która dręczyła go od czasu, gdy Eleonoora stała się dorosła - ta kobieta ukradła mu córkę, schowała małą Eleonoore, uśmiechniętą małą Ellę z warkoczykami gdzieś w zanadrzu swojej chłodnej rzeczowości. Gdyby tylko Martti mógł znaleźć jakieś magiczne słowo z lat dziecięcych Eleonoory, gdyby mógł je wypowiedzieć i Eleonoora znów stałaby się Ellą, podskakiwałaby w przedpokoju, robiła miny do swojego odbicia w lustrze, i poszliby razem kupić lody.

Ostateczna decyzja o powrocie do domu została podjęta, gdy córki Eleonoory same zaoferowały się z pomocą. Eleonoora przeegzaminowała obydwie, powiedziała, niczego nie upiększając, jak wygląda opieka nad umierającym człowiekiem.

- Wcale mnie to nie przeraża - odparła Maria bez wahania.

Chociaż była młodsza, wydawała się bardziej dojrzała od Anny.

Annę cechowała zmienność nastrojów. Martti wiedział, że to po nim - przeżywał kiedyś takie same wahania. Mimo całego niezdecydowania Anna przytaknęła jednak przekonująco, gdy Eleonoora poprosiła ją o pomoc.

W ostatnich tygodniach Elsa czuła się lepiej. Dostała nowy lek przeciwbólowy, który był silniejszy niż poprzednie. Działał, ale lekarz zapowiedział, że może powodować otępienie i utrudniać wykonywanie ruchów.

Martti wystraszył się, że Elsa może zacząć tracić świadomość, i kiedy został z lekarzem sam na sam, spytał wprost:

- Jak długo jeszcze? Ile tygodni?

- Proszę się nie koncentrować na tygodniach - odpowiedział lekarz. - Będą lepsze i gorsze dni. W tego typu chorobach różnice w samopoczuciu mogą być ogromne. Chwilami będzie na pozór tak, jakby nie było niemal żadnych objawów.

To musiało wystarczyć Marttiemu. Słowa lekarza spowodowały, że zaczął obserwować Elbę. Całą swoją nadzieję pokładał w dwóch słowach: Żadnych objawów.

Łóżko szpitalne i inne potrzebne rzeczy przyniesiono wczoraj.

Milczący mężczyźni zadzwonili do drzwi, weszli do środka zupełnie tak, jakby wnosili stół albo kanapę, i zamontowali metalową konstrukcję w sypialni. Potem doszły kropiówki, zamówione tak na wszelki wypadek, i pieluchy, leżące wstydliwie w kartonach w rogu sypialni. Leki położono na toaletce w małych paczkach.

- Wspaniale - powiedziała Elsa, unosząc się na łożku. - Lepiej niż w niejednym hotelu, w którym byłam.

- Dobrze, że ci odpowiada.

- Ale - dodała Elsa, zniżając głos, jakby zakładała, że mężczyźni od łóżka byli jeszcze za drzwiami, mogli wszystko usłyszeć i mogło zrobić im się przykro - zamierzam mimo to spać razem z tobą.

- Naprawdę? Jeśli chcesz.

Elsa zerknęła z pogardą na kartony z pieluchami leżące w kącie.

- Sama zamierzam się załatwiać - rzekła zdecydowanie.

- One są tylko na wszelki wypadek - odparł Martti.

Rola chorej okazała się dla Elsy trudna - była przyzwyczajona do tego, że to ona zajmowała się innymi. Zawsze, do granic wytrzymałości, troszczyła się o innych - to była jej naturalna rola jako psychologa. Martti pamiętał czasy, kiedy Elsa z młodej dziewczyny zmieniła się w nieugiętą kobietę. Obroniła wtedy doktorat i dołączyła do międzynarodowej grupy badawczej.

Martti leżał bez ruchu w łóżku. Elsa nadal spała.

1.25.

Sen rozpościerał się nad Marttim jak kołdra utkana gęsto z czasu.

Martti wstał, podszedł do okna.

W niektóre noce, gdy budził się z tego snu, smutek przygniatał go jak pokrywa. Był przygwożdżony, nie mógł oddychać. Nie przeżyję tego, myślał. Jeżeli teraz tak się czuję, to co będzie, kiedy Elsa naprawdę odejdzie?

W końcu wymyślił sposób, żeby się uspokoić. Podchodził do okna, otwierał je, patrzył na niebo, słuchał głosu kosa.

Smutek podchodził, Martti pozwalał mu podejść, doświadczał go tak, jakby pomału się z nim oswajał. Odnajdywał go w ułożeniu dłoni, w zastygniętym w połowie wyciągnięciu ręki. Smutkowi należało zrobić miejsce, wziąć go w ramiona. Inaczej pojawiał się jako przerażenie, nagle i bez zapowiedzi, na skrzyżowaniu, gdy Martti przechodził przez ulicę, lub w sklepie, gdy wybierał mandarynki albo ziemniaki.

W tych momentach smutek przeradzał się w panikę.

Ale teraz, podtrzymując w sobie ten nastrój, Martti czuł się niemal szczęśliwy. Jaskółki przyleciały tego roku wcześniej, radośnie szalały z powodu wiosny. Latały to w górę, to w dół, w górę, w dół, a ich krzyk niósł się w powietrzu. Martti stał w oknie jedną minutę, dwie, pozwalał, żeby ten błogi stan spokoju się rozprzestrzeniał. Krzyk jaskółek rozbrzmiewał teraz w nim, a nie w niebie, między nim a światem zewnętrznym nie było już żadnej ściśle wytyczonej granicy.

Były to pierwsze chwile od wielu lat, kiedy Martti poczuł, że mógłby znów malować: niebo, jaskółki, światło rozchodzące się w pokoju.

Nie żałował zakończenia pracy, czuł się szczęśliwy i bez niej.

Jego pracownia na poddaszu, w jedynej wieżyczce w domu, była wciąż na swoim miejscu. Wyglądała jak muzeum. Czasami tam chodził, siadał w fotelu, oglądał zachody słońca, otwierał okno, trochę palił. W zeszłym roku udzielił w pracowni wywiadu dla dodatku gazety „Helsingin Sanomat”. Zdjęcia były robione pod światło. „Wizjoner w nieustannej próbie uchwycenia najbardziej doskonałego obrazu”. Już po fakcie trochę żałował tej rozmowy.

Zabrnął w wielkie słowa i próbował przekuć własną górnołotność w autoironię, ale w ostatecznej wersji artykułu zupełnie brakowało poczucia humoru. Pozostały tylko sentencje: „Sztuka wymyka się artyście tak jak rzeczywistość człowiekowi”.

Zauważył, że często, gdy myślał o karierze, uważał swoje najbardziej doceniane prace i największe osiągnięcia za nic nieznaczące. Zupełnie tak, jakby spędził całe życie, krzątając się wokół zamków z piasku.

Być może właśnie z tego powodu przez długi czas nie mieszał farb ani nie naciągał płócien, nawet nie robił szkiców na papierze. Nie robił nic, żeby zacząć pracować.

Chodził tylko niekiedy na poddasze, siadał i obserwował, jak zmienia się światło, z minuty na minutę coraz bardziej wtapiał się w przestrzeń pokoju, w jego ciszę.

Właśnie w taki sposób objawiała mu się wcześniej potrzeba malowania. Czuł, że jest tylko czystym doznaniem zmysłowym.

Niektórzy nazywali to inspiracją, ale chodziło o coś dużo prostszego i całkiem naturalnego.

Często pytano go o to w wywiadach. Dziennikarze, biografowie i kuratorzy wystaw zadawali mu to pytanie zupełnie tak, jakby chodziło o istnienie Boga.

Pamiętał, jak kiedyś, w latach sześćdziesiątych, pewnego wilgotnego wieczoru rzucił drwiąco znajomemu kuratorowi przez stół:

- W tym nie ma żadnej mistyki. Rezygnuję z samego siebie, dostaję w zamian cały świat.

Teraz miał takie samo odczucie, w trakcie jednego z tych wieczorów, gdy stał w oknie, patrzył na niebo i jaskółki. To było jedynie doznanie zmysłowe, samo spostrzeżenie.

Tylko ten sen go nie opuszczał, co Marttiego dziwiło i zastanawiało.

Na początku wyrzucił go z głowy. Ale kiedy sen zaczął się powtarzać, zrodziło się w nim jakieś przecucie. Najpierw bardzo ulotne, na kształt zapachu, tak niemożliwe do

uchwycenia, jak wyobrażenie człowieka, którego spotkało się kilka razy i jeszcze go się nie zna, ale o którym już zaczęło się myśleć, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Budząc się z tego snu, jakby widział uśmiech, słyszał głos unoszący się nad sobą.

Pozwolił teraz nadejść tej myśli. Kobieta we śnie to nie była Elsa.

2.

Eleonoora obudziła się i zobaczyła krawędź nocnego stolika.

Zamknęła jeszcze raz oczy i znów ujrzała mamę, taką, jaką była w młodości. Mama huśtała się. Był środek lata i obie były na placu zabaw. Mama zrzuciła buty z nóg i zaczęła huśtać się jeszcze mocniej. Eleonoora miała sześć lat, dziwiła ją swawolność mamy, śmiała się z niej. Włosy mamy były długie.

To dziwne, jak bardzo długie. Naprawdę urosły mimo podawania cytostatyków w styczniu. Rośnięcie włosów może być oznaką remisji, pomyślała. Trzeba o tym powiedzieć lekarzowi prowadzącemu leczenie.

Eleonoora znów otworzyła oczy. Potrafiła zapadać w sen siłą woli, a więc powinna umieć się też obudzić, wyrwać ze snu ku zarysom sypialni, krawędzi stolika nocnego, elektronicznych cyferek w zegarku. Ale chciała jeszcze zobaczyć mamę - młodą, zdrową. Zamknęła znowu oczy.

Plac zabaw powrócił. Na jej dłoniach odżyła lepkość dopiero co zjedzonych truskawek. Miała na nogach czerwone sandaalki, uwierały ją w jedną kostkę. Były z mamą na wycieczce na wyspie Suomenlinna. W koszyku taszczyły lepkie naczynia i jeden rozgrzany od słońca, niezjedzony pudding czekoladowy. Chciało jej się siku. Czółenka mamy leżały niedbale na ziemi. Mama była roześmiana. Eleonoora trochę się zmartwiła. Pomyślała: Mamie nie powinno się pozwolić tak szybko huśtać.

Teraz mama miała włosy krótsze, ciemniejsze. Zwolniła i z uśmiechem wstała z huśtawki.

- Bałaś się, że odleczę? - spytała.

Eleonoora przytaknęła.

- Moja córeczko - rzekła mama, uśmiechając się z czułością. - Nie bój się, ja tu zostanę. Nigdzie stąd nie pójdę. - Pochyliła się, żeby włożyć buty.

Eleonoora zobaczyła siniaki na jej plecach. Wielkości talerza, żółciejące po brzegach.

- Nie powinnaś się huśtać, jeżeli masz takie siniaki - powiedziała jej z wyrzutem w głosie. Teraz, udzielając nagany, stała się na powrót dorosła. Trzeba chronić matkę, pomyślała. Mimo wszystko mama jest jednak dużo bardziej krucha, niż jej się wydaje. Ta myśl sprawiła, że znów miała sześć lat.

Eleonoora obudziła się. Było dwadzieścia po pierwszej. Leżała chwilę bez ruchu. Eero

oddychał obok.

W takich momentach dopadało ją przerażenie. Noc była jak studnia. I to dziecięce przerażenie, takie samo jak wtedy, gdy budziła się jako dwunastolatka, szamocząc się między dzieciństwem a dorosłością. Wtedy ten strach nie miał nazwy, po prostu czyste bezpostaciowe przerażenie. Teraz niesło wyraźne przesłanie: wkrótce będę bez matki, zostanę sierotą.

Słowo odbijało się od ścian pokoju. Ciężki oddech śpiącego Eero sprawiał, że jeszcze trudniej było jej to wytrzymać.

1.21.

Eleonoora czekała, oddychała.

1.22.

Eero odwrócił się na drugi bok i spał dalej. Eleonoora jeszcze nie wstawała. Była głodna. Właściwie nie był to głód, tylko pewnego rodzaju poczucie pustki trwające całymi tygodniami.

Poszła się zważyć, sprawdzić, czy czasem zbytnio nie schudła.

Przygotowana na smutek zaczęła się martwić już na zapas, zapominając o jedzeniu. Niknąca w oczach z dnia na dzień sylwetka matki odebrała jej apetyt. A może właśnie w ten sposób Eleonoora chroniła te tygodnie, uszczelniała krawędzie tego krótkiego czasu, wykupywała bezsennością i brakiem apetytu część bólu matki.

Ośmierci żywi nic nie wiedzą, ale umieranie, ukradkowe dopełnianie się życia, wkracza do świata żywych. Czas ulega spowolnieniu, rzeczywistość zamyka się w ścianach smutku, a ten, który umiera, i towarzyszący mu przy śmierci odprawiają swoje gorliwe rytuały.

Każdemu przypadła w opiece nad mamą inna rola. Eleonoora zarządzała wszystkim, była w stałym kontakcie z lekarzem i z opiekującymi się chorą w domu, dbała o to, żeby wszyscy dostali jeść, spali i wystarczająco często wychodzili na dwór. Eero zachowywał się wobec wszystkich lojalnie, pomagał, gdy zaszła potrzeba. Anna obserwowała wydarzenia na odległość, jakby notowała każde uczucie unoszące się w powietrzu. Ojciec był już to złamany smutkiem, już to nad wyraz radosny, jakby nie chodziło wcale o śmierć, ale o coś na kształt letnich wakacji.

Maria bez cienia strachu zajęła się babcią, wypyując ją co rusz osamopoczucie.

Okazała się wręcz stworzona do sytuacji kryzysowych. Była na pierwszym roku medycyny i czasami Eleonoora miała wrażenie, że będzie lepszym od niej lekarzem.

Eleonoora nigdy nie była tak nieskomplikowana jak Maria.

Dźwigała w sobie zawsze zbyt wiele trosk, które w obliczu choroby mamy

przekształciły się w zdania rozkazujące i ustanawianie reguł. Kiedy była dzieckiem, jej lęki objawiały się niemożnością znalezienia sobie miejsca, później, jako nastolatkę, zmuszały ją do ciągłego sprawdzania miejsca pod łóżkiem i wnętrza kuchenki.

Anna, jak sądziła Eleonoora, przejęła od niej te troski. Zwłaszcza ostatnimi laty ciągle zatroskanie, obok powagi, zdominowało naturę Anny.

W maju zeszłego roku Eleonoora znalazła Annę leżącą na podłodze w jej kawalerce. Eleonoora wtedy jeszcze nie była świadoma, co dokładnie się wydarzyło. Czy coś niepokojącego działo się przez całe lata, coś, o czym nikt jej nie powiedział?

Zadzwoiła przyjaciółka Anny, Sara. Wydawała się zaniepokojona i Eleonoora zdała sobie sprawę, że nie miała żadnego kontaktu z Anną już od wielu dni. Anna mieszkała w małej kawalerce na Pengerkatu, prowadziła intensywne życie studenckie i bywało, że przez cały tydzień w ogóle do siebie nie dzwoniły. Eleonoora myślała, że Anna była zajęta zdawaniem egzaminów, wieczornymi spacerami, delektowaniem się winem.

Czasami głośno się dziwiła, dlaczego nie wie, co się dzieje w życiu Anny.

- Ja żyję innym życiem niż ty, mam - stwierdziła Anna beztrąsko. - Żyję w innym świecie.

Eleonoora postanowiła tak zostawić tę sprawę, nie pytała o nic więcej.

Telefon Sary i długie milczenie Anny spowodowały jednak, że Eleonoora się przestraszyła. Próbowwała się dodzwonić do Anny wiele razy, ale nikt nie odpowiadał. Wreszcie wsiadła do samochodu i do niej pojechała. Dzwoniła do drzwi przez dziesięć minut. Przez jej głowę przewinął się cały ciąg możliwych wydarzeń - ponurych i przerażających. Wygrzebała z torebki klucz zapasowy, który dała jej córka, przekreśliła go w zamku.

Drzwi wewnętrzne natrafiły opór czegoś miękkiego - Anna podniosła się i usiadła na podłodze. Patrzyła na Eleonoorę z zaskakującą obojętnością.

Wyglądała, jakby właśnie się obudziła. Miała nieumyte, potargane włosy i bladą cerę.

- Co ty tu robisz?

- Co ci się stało? - spytała zdezorientowana Eleonoora.

Anna wzruszyła ramionami, wstała, patrzyła ponad nią na korytarz.

Eleonoora zerknęła zza ramienia Anny do pokoju. Mieszkanie wydawało się puste. Na półce z książkami były wolne miejsca, na ścianie brakowało zdjęcia. Czy ktoś mieszkał u Anny, ktoś, kto teraz zabrał swoje rzeczy? Czy może Anna sama wszystko pozmieniała? Między półką a sofą wisiało nadal to samo dziwne zdjęcie Anny, które oglądane z daleka wyglądało niczym obraz olejny: jak Aino* wchodząca do wody z obrazu GallenKalleli.

*Aino - jedna z bohaterek Kalevali. Nie zgadzając się na ożenek z dużo starszym od

niej Vainamóinenem, utopiła się w morzu. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.)

Zdjęcie zrobił mężczyzna, z którym Anna przez jakiś czas chodziła. Eleonoora nigdy nie lubiła tej fotografii, nie rozpoznawała w kobiecie na zdjęciu własnej córki. Błada i poważna, zanurzająca się w wodzie, całkowicie inna niż ta, którą wychowała, ta, z którą śmiała się nad owsianką w senne niedzielne poranki i którą pocieszała nocami, kiedy miała złe sny.

Dziecko przychodzi na świat, matka uczy się go, uczy się pomału, rok po roku. A potem przychodzą inni ludzie, pod wpływem których dziecko nagle staje się obce.

Eleonoora nigdy nie poznała bliżej mężczyzny, który zrobił to zdjęcie. Spotykała go od czasu do czasu, ale nie mogłaby powiedzieć, że wie o nim cokolwiek. Miał dziecko: Lindę. Niekiedy Linda spędzała czas także w towarzystwie Anny. Eleonoora pamiętała pewien letni dzień sprzed kilku lat. Dziewczynka przyszła do nich w odwiedziny razem z Anną. Lody, ciasto rabarbarowe, piski w baseniku stojącym na dworze. Dziewczynka miała grzywkę i poważne, ufne oczy. Zasnęła na kolanach Anny, zapadła w głęboki sen przy śpiewie słowika. W wyrazie twarzy Anny Eleonoora zobaczyła odbicie swoich własnych uczuć sprzed wielu lat - kiedy dziecko śpi na kolanach i czuje się tak przytłaczające szczęście, że jest w nim zapowiedź bólu.

Tamtego majowego dnia Anna stała przed nią, a na jej twarzy malowały się inne uczucia: poniżenie, upokorzenie.

Eleonoora zadała jej z zakłopotaniem uściślające pytania:

- Jak długo tutaj byłeś i nie wychodziłeś na dwór?

- Nie wiem. Tydzień, dwa.

- Dlaczego nie zadzwoniłeś?

Anna wzruszyła ramionami.

- Nie byłam w stanie się podnieść. Nie mogłam wstać.

Anna spojrzała na nią, a potem nagle powiedziała ze zdziwieniem, jakby sama była zaskoczona tym, co się stało:

- Leżałam na podłodze.

Potem zaczęła płakać. Zaczęło się od jednej łzy, ale wkrótce szloch wstrząsnął całym jej ciałem. Eleonoora nie potrafiła zrobić nic innego, jak tylko trzymać ją w objęciach. I tak razem stały.

Wypowiedziała zaklęcie na skaleczenie, ich wspólne zaklęcie na pociechę, to samo, które wypowiadała jej mama, kiedy Eleonoora była dzieckiem. Mama zawsze brała ją w ramiona, kiedy się uderzyła lub skaleczyła, i wypowiadała magiczne słowa cichym głosem.

Eleonoora szeptała jej do ucha dziewczynkom ostatnim razem wtedy, gdy nie miały jeszcze dziesięciu lat. Mimo to słowa przysły jej z łatwością, nie musiała ich sobie przypominać. Anna słuchała, zaczęła się trochę uspokajać.

- Zakłęcie pszczoł. Prawie już o nim zapomniałam.

Na początku Eleonoora obawiała się, że smutek Anny nie minie. Zdiagnozowała w myślach depresję, delikatnie poradziła Annie, żeby poszukała pomocy. Wreszcie zostawiła sprawę swojemu biegowi.

Serce młodych ludzi czasami jest jak z ołowiu. Przybiera na wadze od przypadkowych doświadczeń, niewiele trzeba, by zrobiło się ciężkie i obolałe. Ale równie łatwo staje się na powrót lekkie i zapomina o powadze.

Tak było i tym razem. Teraz Anna miała Matiasa, który nosił wytarte podkoszulki i sto łagodnych wyrazów na twarzy, a tylko jeden oznaczający złość. Anna zamieszkała z nim niemal od razu, już po miesiącu znajomości.

Odwiedzając Annę i Matiasa, Eleonoora zauważyła, że pod powierzchnią radości krył się lekko wyczuwalny smutek. Gdzie się podziały te wszystkie lata? Jak do tego doszło, że niepostrzeżenie tak się zestarzała, że jej córka prowadziła teraz dom ze swoim ukochanym i podawała jej jabłecznik na talerzach, które ona sama dostała w prezencie ślubnym ponad dwadzieścia lat temu?

Eleonoora widziała szczęście Anny, w którym była jednak szczypta usiłowania, tak jakby dziewczyna chciała wszystkich zapewnić, że naprawdę jest szczęśliwa.

1.32.

Eero przewrócił się na drugi bok. Eleonoora wstała. Miała zawroty głowy, chwiała się na nogach.

Wyjęła wagę z szafy i zważyła się. Pięćdziesiąt jeden kilo. Tak mało ważyła tylko po zaprzestaniu karmienia piersią. Postanowiła, że oprócz zwykłego śniadania zje pudding czekoladowy. Zerknęła na Eero, miała nadzieję, że się obudzi, zobaczy jej udrękę i weźmie ją w ramiona.

Stała przez chwilę zziębnięta w ciemności, jej żebra rysowały się wyraźnie na tle jasnego pokoju.

Eero podciągnął kolana do klatki piersiowej, włożył jedną rękę między uda w ten sam sposób jak zawsze. Coś w ufnej sylwetce śpiącego Eero sprawiło, że Eleonoora poczuła się tak, jakby jej byt był nie do wytrzymania. Pomieszanie miłości wywołało rozdrażnienie: kiedy mama umrze, ona będzie nadal miała tę rodzinę, dla której musi z konieczności przetrwać.

Nadejdą wieczory, noce takie jak te. I kolejne wiosny. Eero będzie nadal tak samo pewny siebie. Ona też przetrwa. Stopniowo znowu zacznie się śmiać. Właśnie to było trudno wytrzymać.

Nie chciała tego. Chciała płakać, chciała zrobić sobie kolebkę, w której mogłaby opłakiwać własne sieroctwo aż do końca swych dni.

Eleonoora schowała wagę z powrotem do szafy, owinęła się znowu szlafrokiem. Bolała ją głowa, łupało w plecach.

Zamknęła za sobą drzwi sypialni, przekradła się przez hol, zatrzymała przy drzwiach pokoju Marii, chwilę nadśluchiwała.

Ani jednego odgłosu. Musiała nagle otworzyć drzwi i zobaczyć Marię, chociaż na moment.

Poranna chwila, sen o huśtawce i matce, przerażenie - to wszystko sprawiło, że Eleonoora znów poczuła znaną z dzieciństwa niepewność, co jest prawdą.

Ale przynajmniej Maria była. Leżała na boku z poduszką wciśniętą między kolana, zrzuciła kołdrę na podłogę. Jej uda świeciły w ciemności, buzię miała otwartą, włosy okalały twarz.

Cmokała ustami przez sen.

Eleonoorze wydało się niemal komiczne, że dwadzieścia lat temu wydała Marię na świat. Tę kobietę, która miała ręce człowieka pracującego na roli i ochrypły, donośny śmiech.

Ubiegłego lata Maria prała z Elsą dywany nad brzegiem morza. Mama była jeszcze wtedy silna, nie było widać żadnych symptomów choroby. Być może jednak choroba już zaczęła przecierać szlak w labiryncie organów. Ale Elsa jeszcze o tym nie wiedziała, powiesiła dywany na drążku do suszenia, kręciła korbką, śmiała się ze skapującej wody.

Jesienią mama miała jeszcze coroczny cykl wykładów na uniwersytecie. Choć od czasu jej przejścia na emeryturę minęło już wiele lat, nie przestała pracować. Miała nadal swój gabinet na wydziale, a jej wykłady co roku przyciągały setki słuchaczy. Wszyscy chcieli posłuchać pani naukowiec odnoszącej sukcesy w psychologii, przyswoić sobie cząstkę jej mądrości.

Tematy wykładów były wariacjami z najbardziej znanej książki Elsy, Rozpoznanie i tożsamość. Książka od razu okazała się wielkim sukcesem. Próbowano uczynić z jej autorki pocieszycielkę całego narodu, posłańca matczynej miłości.

Eleonoora chodziła czasem posłuchać wykładów mamy. Do jej ulubionych chwil spędzanych razem należały wspólne podróże samochodem do domu po wykładzie.

W samochodzie mama opierała głowę o szybę i wzdychała dobrotliwie, choć nieco

wyczerpana.

- Nauka nikogo nie interesuje. Ludzie przychodzą na moje wykłady, żeby dowiedzieć się czegoś radosnego.

Nie mówiła z rozczarowaniem, ale z pewną pokorą, łagodnie, jak zmęczona królowa.

- Nie umniejszaj tego, to naprawdę radosne wiadomości: uwalniasz wszystkich od złych myśli. Matki, ojców, dzieci.

Pozwalasz im, żeby byli szczęśliwi.

Mama uśmiechnęła się lekko.

- Dlaczego oni zawsze potrzebują kogoś, kto by im to powiedział.

Eleonoora zawsze była dumna z sukcesów matki. Pamiętała z dzieciństwa jej pośpiech w wieczory poprzedzające podróż, jej powroty do domu, swój płacz, który był zapalczywym pragnieniem, aby mieć mamę tylko na własność, stać się jej częścią, tak wypełnioną bezwarunkową miłością i podziwem, że ta tęsknota zdawała jej się towarzyszyć nawet wtedy, gdy mama była obecna.

Zeszłego lata mama zorganizowała przyjęcie z okazji siedemdziesiątych urodzin. Przyszli jej koledzy z pracy. Przeprowadzono z tej okazji wywiad zatytułowany: „Pionierka psychologii ma nadal bystry umysł i szeroko rozpostarte ramiona”.

Teraz te ramiona znikają. Mama już nigdy więcej nie wypierze dywanów. Ani nie ukończy siedemdziesięciu jeden lat.

Eleonoora zeszła po schodach. Na drzwiach prowadzących na korytarz były zaznaczone etapy wzrostu dziewczynek z dawnych lat: Anny, Marii, Anny, Marii. Nagle poczuła zazdrość, niemal złość na córki za to, że nadal będą miały matkę.

Skarciła samą siebie: Nie bądź dziecinna.

Podniosła gazetę z podłogi, to była najbardziej radosna chwila tego poranka. Przygotowała espresso, zagotowała mleko w garnku, wlała kawę i mleko do miski. Zrobiła grzanki i starannie je posmarowała, nie skąpiąc przy tym plasterków sera.

Przeczytała gazetę, zjadła, posłuchała kosa. Jeżeli noc była studnią, jeżeli jej krzyk odbijał się echem od dna, to był to właśnie głos kosa.

Rano pójdzie do pracy, wykona parę rutynowych czynności, będzie starała się jakoś trzymać. W czasie lunchu zadzwoni do ojca i mamy upewnić się, że wszystko jest w porządku. Anna spędzi popołudnie z babcią, żeby dziadek miał trochę wolnego. Eleonoora zadzwoni do Anny, wychwyci w jej głosie wszelką niepewność, skontroluje.

Nie, Eleonoora sama się poprawiła. Pozwoli, żeby Anna pobyła w spokoju sama z babcią, pojedzie po pracy do Tóóló. Albo też, pomyślała: zadzwoni w trakcie lunchu do

pielęgniarki i dowie się jeszcze o szczegóły.

Wszystko zostało przygotowane na przyjazd mamy, łóżko, pompa do znieczulenia, inne rzeczy.

Byli całą rodziną po południu w Tóóló. Mama chciała, żeby z okazji powrotu do domu urządzili uroczyste powitanie.

Przy stole Eleonoora spoglądała na dłoń mamy, kiedy ta odkrawała następny kawałek tortu. Ręka mamy trochę zadrżała, gdy łyżeczka trafiła w śmietanę. Być może przyczyną były przyczajone za ścianą pieluchy. Mama musiała udowodnić, że należy jeszcze do grona tych ludzi, którzy sami decydują, co będą jeść, i umieją delektować się smakiem tortu.

- Wezmę jeszcze kawałek, może nie wyjdzie mi to na dobre, ale na złe też nie.

Kiedy tak siedziała przy stole, Eleonoora przypomniał się surowy wyraz twarzy mamy, gdy ona, Eleonoora w dzieciństwie źle zachowała się w gościach. Wyraz twarzy niczym ściana.

Myślała wtedy, że straciła akceptację i czułość mamy już na zawsze. Mimo to w drodze powrotnej do domu mama wzięła ją w tramwaju na kolana. Miękkie, trochę spoczone uda mamy, jej, Eleonoory, wilgotna skóra ocierająca się o nie. Czuła tak ogromną wdzięczność za czułość mamy, że z jej oczu popłynęły łzy.

Miała wrażenie, że to było tak niedawno, kiedy mama była królową, a ona błagała o jej łaskę. Teraz mama złościła się na nią, zgłaszała pretensje jak małe dziecko, sprzeciwiała się, kaprysiła.

Na ojca nigdy się nie złościła, zawsze tylko na nią.

Eleonoora nie przeczuwała, że rola władcy właśnie tak wygląda, ogłupiająco samotnie.

Usiadła na kanapie w salonie, spojrzała przez pokój na Annę.

Jej portret namalowany przez ojca wisiał na ścianie. Eleonoora poczuła zarazem czułość i smutek, spoglądając na ten obraz.

Anna siedziała na małym stołeczku, zamyślona, jakby na swoich barkach dźwigała cały świat. W tle były pomarańcze, złociste jak słońce, ojciec uwydatnił cień po lewej stronie twarzy Anny, jakby chciał zaznaczyć różnicę między pomarańczami a strefą cieni.

Obraz miał drugą wersję, w ciemniejszej tonacji, bardziej ponurą: ojciec planował zrobienie z obu coś na kształt dyptyku.

Eleonoora nie wiedziała, co stało się z drugim.

Wczoraj zobaczyła, jak na twarzy Anny odmalowują się wszystkie jej uczucia. Także powaga z okresu dzieciństwa, starannie przez nią skrywana.

Mama sprzeciwiała się, żeby przy niej dyżurować, chciała traktować opiekę hospicyjną jak odwiedzin. „Przyjdziecie, kiedy będziecie chcieli, zrobimy kawę”. Anna zgłosiła się na pierwszy dyżur. Eleonoora próbowała wyśledzić przerażenie w oczach córki. Anna zerknęła na nią szybko, rozpoznała wyraz jej twarzy, przytaknęła mocno, żeby zaprzeczyć podejrzeniu. Eleonoora przypomniała sobie, jak Anna w wieku pięciu lat wybuchnęła płaczem na balecie, gdy trzeba było zrobić koziołka. Jej drgająca szczęka, wzrok czepiający się kątów sali. To uczucie tkwiło jeszcze w Annie, gdzieś za ogólnie przekonującym wyrazem twarzy. Znała wszystkie koszmary córki, wszystkie smutki, od najmniejszego po największy.

- Przyjdę jutro - powtórzyła Anna.

Eleonoora patrzyła na świecą w ciemnościach twarz córki.

Można było odnieść wrażenie, że unosiła się w jej stronę.

Uznała, że Anna da sobie radę po południu z babcią. Że nie będzie się o to martwić.

Trzeba było odepchnąć od siebie panikę daleko, obiema rękami.

3.

Anna stoi pod drzwiami na klatce schodowej. To niby zwykły dzień, jeden z wielu, kiedy odwiedzała babcię i dziadka. Jak tego lata, gdy miała sześć lat. Lub równie dobrze wczoraj, gdy jedli zbyt słodki tort, a ona próbowała okiełznać panikę i obiecała przyjść dzisiaj.

To jedyne, co potrafi zrobić dla matki. Dzień po dniu widzi jej gęstniejący smutek, skrywany pod maską rzeczowości. Chwilami mama ściąga tę maskę, gdy myśli, że nikt tego nie widzi, i wygląda wówczas zupełnie bezradnie.

Wczoraj mama sprzątnęła naczynia, poszła do kuchni, włożyła talerze do zmywarki, pozwoliła, żeby jej maska opadła. Anna poczuła nagle, jakby była zupełnie bez rąk. A tak pragnęła wziąć mamę w ramiona.

Chciałaby przez cały czas pocieszać mamę tak, jak się pociesza dziecko, które miało zły sen, ale nie można znaleźć odpowiednich słów. Maria miała swoją pracowitość, praktyczne gesty i proste słowa. Anna była w swoim pocieszaniu bezsilna, nie umiała dać nic więcej, jak tylko niezgrabne wyciągnięcie rąk, które zamierało w pół drogi.

Anna przyszła tu od siebie z ulicy Albertinkatu, po drodze zatrzymała się w domu towarowym Stockmann, żeby kupić babci prezent. Była ładna pogoda. Opakowanie po parówce na rogu ulicy, mewa, kubek po jogurcie i zwyczajne samochody. Dzień był srebrzysty, pełen słońca i unoszących się nad ulicą pokrzykiwań śmieciarzy, wypełniony majowym powietrzem.

Anna dzwoni do drzwi i słyszy kroki. Dziadek.

- Anna, przecież to Anna, jak dobrze, że przyszłaś. A my tutaj, my tutaj właśnie piliśmy kawę, a teraz babcia odpoczywa.

Dziadek przykrywa półdaniem swoje skrępowanie tym, że stoją we dwoje w przedpokoju.

Anna robi się czujna. Wzbiera w niej niepokój.

- Odpoczywa? Ma bóle?

- A tam, niewielkie. To ze zmęczenia.

- Śpi?

- Śpi, to tylko mała drzemka.

Dobrze zna dziadka. Tego mężczyznę, profetę, jak go nazwano w nagłówku jednej z

gazet. Dostać wszelkich sukcesów, zaszczytów i uznania, przenieść swoją wrażliwość, poczucie humoru i smutek, bezkształtne marzenia małego chłopca ze szkoły przez te wszystkie lata aż do tej chwili, zaliczyć otwarcia wystaw i niespokojne paryskie lata, nagrody oraz tytuły i znaleźć się tu, w tym przedpokoju, w którym mówi wnuczce, Witaj” i usiłuje znaleźć jakieś słowa, żeby cokolwiek powiedzieć... Lata nawarstwiły się w dziadku, każdy rok, każda wiosna. Anna widzi je wszystkie.

Przypomina sobie nagle jeden z uwodzicielskich gestów dziadka, które były dla niej zawsze obce, ale tak naturalne i oczywiste dla niego. Przypomina sobie, gdy jako dwunastolatka, w spódniczce i odświętnych bucikach, poszła zobaczyć, jak dziadek odbiera jedną ze swoich licznych nagród. Na zakończenie uroczystości dziadek rzucił bukiet kwiatów w publiczność i uśmiechnął się, o czymś myśląc. Bukiet złapała dziennikarka, dziadek do niej mrugnął. Kobieta zaczerwieniła się, dygnęła. Dziadek uniósł brwi, jakby chciał powiedzieć: „Dyga pani, a przecież to oznaka uniżenia. Wierzę, że stać panią na więcej!”. Kobieta przybrała pytający wyraz twarzy. „To co mam zrobić?” Dziadek rozłożył ręce: „Co tylko pani wymyśli!”. Na to kobieta wykręciła niemal idealny piruet, jak tancerka, a potem się ukloniła. Spodobało się to dziadkowi, posłał jej w powietrzu buziaka. I tak całe przedstawienie dobiegło końca, równie szybko, jak się zaczęło.

Relacje między ludźmi są jak gęste zagajniki. A może ludzie sami, może oni też są jak lasy, otwierają się w nich ścieżki, jedna po drugiej, ścieżki, które pozostają nieznane dla innych, otwierają się przypadkowo, dla tych, którym dane było akurat znaleźć się w pobliżu.

Anna przypomina sobie teraz dni spędzone w parku i w atelier, gdy dziadek ją malował. Być może zrobienie jej portretu było wynikiem uporczywych nagabywań matki, ale gdy dziadek zabrał się do pracy, wyglądał na zadowolonego.

- No tak - powiedział w przedpokoju. - Chodźmy.

Wyciągnął rękę, Anna ją złapała, a przez głowę przemknęła jej bliżej nieokreślona myśl o mężczyznach, szczęściu, byciu silnym, a może nawet o miłości.

Ręka dziadka była żylasta, mocna i pokryta ciemnymi włosami. Dziadek pachniał wodą po goleniu, szmatką do polerowania samochodu i trochę terpentyną.

Po chwilach spędzonych w pracowni poszli do parku i Anna mogła wybrać sobie lody. Oglądali dopiero co poślubione pary i próbowali razem zgadywać ich imiona. Seija i Mikko? Amalia i Juhana?

- Czy ty byłeś kiedyś chłopcem? - spytała Anna.

- Byłem - odpowiedział dziadek.

- Przed babcią?

- Tak, przed babcią.
- I kiedy spotkałeś babcię, stałeś się mężczyzną.
- Owszem, można tak powiedzieć. Wtedy stałem się mężczyzną.
- Zakochałeś się w babci.
- Tak.
- Czy przed nią były jakieś inne?
- Kilka.
- A po niej?
- Pytasz o dziwne rzeczy.
- Były?
- Była jedna.
- Kto?
- Najwspanialsza dziewczyna na świecie, o imieniu Anna, to z nią poszliśmy na lody.
- Akurat!

Teraz wydaje się to jak sen. Który się skończył, gdy urosły jej piersi. Tak się dzieje, kiedy wnuki dorastają i stają się równe dziadkom: pozostaje jedynie dobrotliwe zakłopotanie.

Dziadek się uśmiecha.

- Wychodzę spędzić wolny czas, jak to nazwała twoja matka - mówi drwiąco, akcentując każdą sylabę.

W ustach dziadka spędzanie wolnego czasu brzmi jak nowoczesny środek przymusu, który mogli wymyślić tylko najzdolniejsi nadzorcy więzień.

Przesyłają sobie porozumiewawczy uśmiech, w którym kryje się niepisane porozumienie o łamaniu dyscypliny wyznaczonej przez tę kobietę z twardymi zasadami. Tacy właśnie kiedyś byli.

Szli na smakołyki Eazera i delektowali się nimi po kryjomu, chociaż matka zabroniła Annie jeść słodczyce przed obiadem. Nie zajmowali się drobiazgami, nie przejmowali niczym, jeździli tramwajami i wymyślali innym pasażerom życie.

Anna nadal to robi.

Wybiera kogoś na rogu ulicy albo w tramwaju i wyobraża sobie jego życie, jego wzloty i upadki. W ten sposób łatwiej jej przetrwać ciężar własnych dni, smutek, który jak plama atramentu czasami się w niej rozlewa, i te wtorkowe wieczory, gdy na klatce schodowej unosi się zapach smażonej ryby i nigdy nic się nie zmienia.

Łatwo jest opowiadać historie przechodniów. Trudniej snuć swoją własną.

- A Matias? - pyta dziadek.

Oto samo pytał wczoraj.

- Rozlicza się z minionymi latami w bibliotece. Dzisiaj też, tak samo jak wczoraj.

Anna powraca czule myślą do Matiasa. Mają swoje własne dni. Zaledwie pięć miesięcy temu przenieśli przez próg kanapę i resztę rzeczy. Zupełne szaleństwo, po jednym tylko miesiącu znajomości! Rano pierwszego dnia zamówili pizzę i słuchali starych winyli, Neila Younga, Beatlesów. Puszczali All you need is love wiele razy i żadne z nich nie chciało przyznać, że musieli jakoś utwierdzić się w swoim szczęściu. A gdy skończyli przesuwając z roztargnieniem rzeczy z kąta w kąt, poszli się kochać w fotelu, bo nie byli w stanie wymyślić lepszego miejsca.

Powiększenie zdjęcia Aino schowali do skrytki. Nadal tam jest.

Anna chciała wyrzucić je do śmieci.

- Przecież nie można tego wyrzucić - powiedział Matias. - To ty jesteś na tym zdjęciu.

- Dawna ja - odparła Anna. - Tego, ja” już nie ma.

- Ależ jest - Matias oznajmił to takim tonem, jakby rozumiał cały świat, co czasami doprowadzało ją do szału. - Ludzie noszą w sobie wszystkie swoje Ja”.

Na zdjęciu Anna rozbija nogą powierzchnię jeziora. Jest poważna, poważniejsza, niż mogłoby jej się wydawać, jak kobieta, która dźwiga swój los z godnością, nie uginając karku. Wleczce ten swój los do wody, w najzimniejsze otchłanie, a poprzez nie do innego świata. Chociaż na zdjęciu jest poważna, dzień, w którym je zrobiono, był szczęśliwy. Mężczyzna nie odwrócił od niej wzroku ani razu.

Razem z Matiasem mają na ścianie puste miejsce. Myśleli, żeby poprosić dziadka o odbitkę którejś z jego grafik - czyż nie były w ich domu letnim w Tammilehto albo tu, na poddaszu na ulicy Sammonkatu? Ale jeszcze tego nie zrobili. Żyli w pośpiechu, mieli do załatwienia inne sprawy, zwykle wtorkowe wieczory.

Matias zna Annę, a Anna Matiasa. Ktoś przypadkowy mógłby ich uznać za szczęśliwych, i może też tacy są. Mają swoje własne dni, wieczory i poranki mijające jeden za drugim, wzajemną troskę, wspólne przyrządzanie posiłków i spacerów nad brzegiem morza, gdy księżyc wygląda jak błyśnięcie palca na niebie.

A mimo to Anna ukradkiem marzy, że któregoś dnia weźmie kredkę i napisze na podłodze pożegnanie. Zabierze ze sobą tylko kilka rzeczy. Skarpetkę Matiasa, na dowód, że naprawdę istniał.

Jeden kubek z Muminkami.

Ludzie potrafią tak po prostu wyjść z czyjegoś życia bez pożegnania, bez żadnego wyjaśnienia. Przejść przez próg i zostawić tych innych - by płakali, krzyczeli, leżeli wiele dni

w przedpokoju na podłodze.

Potrafia powiedzieć: „Do zobaczenia jutro”, chociaż wiedzą, że nie będzie już żadnego spotkania.

Anna pamięta kark dziewczynki. To wspomnienie jest niemal jak obraz, tak wyraźne: Linda wyciąga rączkę, żeby złapać ją za dłoń, gdy przechodzą przez ulicę. To był pierwszy raz, kiedy spotkała Lindę, dziewczynka skończyła właśnie dwa lata. Linda wyciąga rączkę, Anna widzi jej kark, białe, błyszczące miejsce między granicą włosów a kołnierzykiem. Taka ufność. Tylko ci, którzy jeszcze niczego nie utracili, mogą ufać tak bezgranicznie.

Ci, których jeszcze nie oszukano.

- A ty? - spytał dziadek. - Co ostatnio porabiałaś?

Dziadek próbuje wymyślić jakiś temat rozmowy. Był bardziej przekonujący wczoraj, gdy wokół byli inni ludzie.

- Piszę magisterkę. Nie za bardzo mi idzie. Chodziłam wiosną na seminarium, ale coś jest nie tak.

- Co cię uwiera?

- Temat. Jest zbyt skomplikowany.

- No więc?

Anna spostrzega, że odpowiada ogólnikowo, jak zawsze, gdy ktoś pyta ją o nieukończoną pracę magisterską.

- Emancypacja i tym podobne. Kobieta.

Zasłania wielkość tematu - tyle powinna przeczytać! - i wywoływaną przezeń niepewność autoironią, pośpiesznie się uśmiecha, przeciąga każdą sylabę:

- Szukam w odmętach minionych lat dawnej kobiety, próbując zarazem nie przegapić tej współczesnej.

Dziadek gwizdże. Jego reakcja jest staroświecka, ale ma w sobie tyle wdzięku. Anna widzi nagle w dziadku piętnastolatka.

- Interesujące - mówi. - Dodaj do tego jeszcze pytanie o istnienie Boga i będziesz mieć wyjaśnienie całego świata.

- Obiecuję, że poruszę wątek teologiczny w konkluzji.

Dziadek milknie, czeka na kontynuację. Anna pozwala, żeby między ścianami przelewała się cisza. Tęskni za ich wspólnymi dniami. Mogliby razem pojeździć tramwajem, jak dawniej. Kiedyś byli sobie bliscy, mieli wspólny język. Gdzie to wszystko się teraz podziało?

Mogliby znowu pójść do Café Ursula, pośmiać się z wystrojonych kobiet, zamówić

ciastka i zanurzyć się na chwilę w życiu przechodniów. Łatwo jest jej wyobrazić sobie dziadka, gdy był młody i nosił w sobie chłopięce troski, snuł wielkie plany.

A mimo to między nimi jest przepaść. Kiedy patrzy na dziadka, plama atramentu tylko się w niej powiększa. Przypominają się jej własne zgryzoty i chciałaby po prostu się odwrócić.

Kiedy dzieje się tak, że członkowie rodziny zmieniają się w lustra, których odbicie boli?

Anna postanawia: pobędzie tu przez kilka godzin. Dotrzyma towarzystwa babci, w tym czasie dziadek może sobie pójść, dokąd zechce. A potem ona zamknie drzwi, spotka się z Sarą na mieście, wieczorem zajrzy jeszcze do książek. Emancypacja brzmi dla niej jak przekleństwo, a cały ten temat wydaje jej się teraz głupi. Dlaczego wybrała feministyczne podejście? Nie ma szansy już tego zmienić.

A mimo to zamierza popisać wieczorem przez kilka godzin.

Zanim nastanie noc, pójdą z Matiasem nad brzeg morza.

Matias weźmie gitarę, wypiją do dna cały dzban wina, który został jeszcze z imprezy w ubiegłym tygodniu. Będą siedzieć na skałach, wieczór zrobi się chłodny. Ona lekko się upije, chociaż jutro idzie do pracy w księgarni. Plama atramentu to tylko obszar w niej samej, ma wyraźnie zaznaczone granice. Wytyczy dokładnie jego krawędzie i nie pozwoli już nigdy tej plamie urosnąć.

- No tak - mówi, zebrawszy wszystkie siły. - Teraz nie pozostaje nam już nic innego, jak tylko zaczekać, aż babcia się obudzi.

4.

Anna przyszła na czas, zadzwoniła do drzwi punktualnie o pierwszej, jak było ustalone. Martti miał zamiar pójść do lekarza na badanie.

Co innego mógłby zrobić? Wałęsać się po brzegu, siedzieć w kawiarni, zjeść pączka? Nie wiedział. Świadomość tego rozsadzała mu głowę, powodowała ból w piersiach. Takie właśnie będzie jego życie, kiedy Elsa odejdzie. Będzie nieporadnie myślał, co robić, jak zaplanować dzień.

Anna uśmiechnęła się ostrożnie. Jak podobnie to wyglądało, gdy jako pięciolatka przychodziła do nich w odwiedziny!

Pokój dziecienny był królestwem dziewczynek. Kiedy się urodziły, znieśli razem z Elsą z poddasza stare zabawki Elli, urządzili pokój tak samo, jak wyglądał w dzieciństwie Eleonoory. Razem ze wszystkimi łóżeczkami, domkami dla lalek, małymi mebelkami.

Ulubioną lalką Anny była stara jednoooka Molla należąca niegdyś do Elli. Ucierpiała w zabawach, zszywano ją, nieraz karmiono latem lodami i truskawkami, ciągnano ze sobą na sanki.

Kiedyś Anna zabrała Mollę bez pozwolenia do domu. Elsa spytała w następnym tygodniu, co się stało z lalką.

Dziewczynka skłamała z niewinnym spojrzeniem, że nic nie wie.

- Zadzwoniłam do twojej mamy - powiedziała Elsa. - Molla jest u was w domu. Jak myślisz, skąd się tam wzięła?

- Nie wiem - odrzekła dziewczynka. - Może była na spacerze.

- Lalki ot tak, same z siebie, nie spacerują.

- Ale ta może spaceruje. To może być taka lalka, która właśnie spaceruje!

Dziewczynka wierzyła we własne kłamstwo tak mocno, że rozbawiło to Elbę i jego.

Dziecięca rzeczywistość utkana jest ze snów i zabaw. Kłamstwo wplata się niepostrzeżenie. A może tak samo sprawa ma się z ludzką rzeczywistością w ogóle. Sny, zabawy, kłamstwa.

Pozwolił nadejść tej znajomej myśli, która czasami przyprawiała go o lęk: czymże innym była moja sztuka!

Teraz Anna najwyraźniej porzuciła zabawy, nagle stała się kobietą. Martti zauważył to zeszłej jesieni, na wspólnym lunchu rodzinnym. Anna wróciła z Paryża, na wysokich

obcasach pośpiesznie wyłoniła się zza rogu ulicy, uśmiechnięta, opalona.

- Kim ty jesteś? Moja wnuczka gdzieś przepadła, a na jej miejsce przysłała ta oto tutaj paryżanka! - powiedział jej wtedy.

Anna odkryła w Paryżu wiele przyjemności, był tego pewien.

W restauracji zamawiała wino i duszkiem wychylała kieliszek.

Martti pomyślał: To dzieje się zawsze od nowa. Zawsze są tacy, którzy są młodzi i którym się wydaje, że takie rzeczy nie przytrafiły się jeszcze nikomu przed nimi, tylko im. I wierzą, że to właśnie ich życie, ich radości i smutki są zupełnie wyjątkowe, niepowtarzalne. Że to właśnie ich miłość jest silniejsza niż jakakolwiek inna. Wierzą, że ich przeznaczeniem nie jest poznanie ciężaru dni. Może to prawda. Młodzi mają dla siebie cały świat, trwonią go bez cienia smutku, bo niecierpliwie chcą doświadczać innych światów, zawsze nowych.

Chciał powiedzieć Annie: zbuduj sobie dom z tych bez troskich dni. One są snem, ale nie musisz się jeszcze budzić. Minie dziesięć lat i wtedy wyrwiesz się z tego snu, pięć lat później będziesz walczyć przeciw temu przebudzeniu, po kolejnych dziesięciu latach ty także zadowolisz się tym, co jest. To wcale nie takie złe, to nie żadne nieszczęście. W gruncie rzeczy to nowa forma szczęścia, i będziesz się o nią troszczyć tak samo jak o wszystkie inne swoje doznania szczęśliwości. Będziesz jeszcze miała takie chwile, gdy będzie ci się zdawać, że świat ofiarowuje ci się jak prezent. Ale już nie będą one takie same. Będziesz oglądać świat, jakbyś patrzyła na obraz, któremu rami nadał czas, czy może doświadczenie czasu, i będzie ci to sprawiać przyjemność w inny sposób niż kiedyś.

- Wcale nie spałam.

Elsa stała w drzwiach sypialni. Słyszała ich rozmowę.

Lekko się uśmiechnęła.

- Kochanie - powiedziała do Anny. - Przyszłaś. Możemy zagnieść ciasto na bułeczki z cynamonem!

- Nie przesadzaj - powiedział Martti.

Elsa gniewnie zmarszczyła nos.

- Jeżeli będziesz tak dalej panoszyć się z tymi zakazami, popłynę na wyspę Seurasaari!

- W porządku - odparł. - Zagniećcie sobie to ciasto. We dwie, jak chcecie.

Anna nie wyglądała już na zmartwioną.

5.

- Przyniosłaś wino? - pyta babcia z nadzieją w głosie, gdy tylko dziadek zamyka za sobą drzwi.

Wygląda, jakby skurczyła się w ciągu jednego dnia. Jest zarazem taka cenna, ale i bez żadnej wartości - niczym dziwaczna ozdoba, która już dawno wyszła z mody. Jej oczy są głęboko zapadnięte jak u wygłodniałego zwierzęcia, szopa pracza lub pandy. Włosy niczym wata cukrowa.

Babcia zadzwoniła, kiedy Anna wychodziła już z domu. Szeptala przez telefon i Anna zrozumiała, że najwyraźniej dzwoni w tajemnicy przed dziadkiem. „Jeszcze tylko jedną rzecz bym chciała” - mruknęła. Anna zdążyła już sobie wyobrazić ucieczkę: przejażdżkę w lunaparku, szaloną jazdę samochodem, podróż pociągiem do Moskwy. Ale babcia chciała wina.

- Syrah, bardzo dobry wybór - oznajmiła. - Urządzimy sobie małe przyjęcie. Chodźmy na huśtawkę do ogrodu.

- Mama nie pozwoliłaby, gdyby wiedziała.

Babcia machnęła ręką.

- To normalne. Matki stają się dziećmi dla swoich córek, a córki stają się ich opiekunkami. Kiedy przybywa lat, trzeba zacząć robić pewne rzeczy, kryjąc się przed własnymi dziećmi.

Ale wiesz co? Mam zamiar wypić kilka kieliszków wina, wcale nie zważając na twoją matkę.

Odchyła głowę do tyłu i cicho się śmieje.

- To jak wyrok śmierci dla mnie - mówi Anna.

Ma ochotę się uśmiechnąć. Babcia jest znowu sobą.

- tylko wtedy, jeśli mama się dowie.

Anna stawia torbę na podłodze. Może uwolnić się od niepokoju. Babcia nie wygląda na zmęczoną.

- Mamy szansę wreszcie sobie naprawdę porozmawiać - mówi babcia. - Jak kobieta z kobietą, sama wiesz. Tak robią w filmach, mówią sobie o wszystkim, kiedy czasu jest już mało.

Babcia zabiera butelkę i znika w kuchni.

Anna spogląda na salon i biblioteczkę, zatrzymuje przez chwilę wzrok na drzwiach pokoju należącego niegdyś do matki.

Lalka Molla ogląda jednym okiem niekończące się sny w kołysce. Kiedy straciła drugie oko? Czy ktoś je kiedyś wylupił?

Dom dla lalek stoi na starym miejscu. Kiedy była dzieckiem, był dla niej sceną marzeń i nadziei. Kobieta siedzi przy malutkim fortepianie, tak jakby zaraz miała zacząć grać. Gdzieś, chyba w kołysce, niewidoczne, śpi niemowlę. A starsze dziecko śni w pokoju dziecięcym tuż obok pokoiku z fortepianem.

Anna zaczyna odczuwać znaną z dzieciństwa radość. Zostawiała cały świat za zamkniętymi drzwiami, klękała, wyobrażała sobie całą rzeczywistość. Czasami, gdy zostawała u dziadków, budziła się w nocy, żeby pobawić się lalkami. Noc zmieniała reguły gry, przełamywała powagę dnia i lalki jakby ożywały.

Maria spała na materacu, wzdychała przez sen. Anna starała się, by jej nie zbudzić, chciała, żeby to była tylko jej zabawa.

Póki zabawa należała jedynie do niej i nikt o niej nie wiedział, wszystko zdawało się możliwe. Czasu nie było. Ani godzin. Ani pokoju, ani łóżka. Ani konika na biegunach w kącie pokoju. Jej samej właściwie też nie było. Wtapiała się w cienie miniaturowych pokoików i stawiała samym tylko chceniem, które kształtowało życie lalek. Raz była głosem mamy, raz dziecka, raz taty.

Przeszkadzało jej tylko to, że Molla była w tym maleńkim świecie zbyt duża. Czasami jednak bawiła się z Mollą. Molla swym jednym okiem obserwowała zza okienka życie małego domku. Wrażenie było raczej przerażające niż sympatyczne - Anna zauważyła to, kiedy jeszcze była dzieckiem.

Anna bierze Mollę z łóżka, kołysze ją w ramionach. Molla uśmiecha się, ma starą szramę - ktoś kiedyś rozerwał jej usta w zabawie, a potem je zaszyto. Mimo to Molla jest szczęśliwa i ufna. Jakby mówiła: „Nie ma się czego bać!”.

- Pamiętasz, jak ukradłaś Mollę? - pyta babcia.

Anna się wzdryga. Nie słyszała, jak babcia podeszła do drzwi.

- Pamiętam, ukrywałam ją przez tydzień. Nie wiem, czemu byłam do niej taka przywiązana.

- Dzieci przywiązują się do dziwnych rzeczy, tak to już jest.

Anna spostrzega, że głaszcze Mollę po głowie.

- Domek dla lalek jest cudowny, nie zmienił się przez te wszystkie lata.

- Dostaniesz go. Odziedziczysz cały domek dla lalek, gdy umrę. Być może twoja

mama narobi z tego powodu hałasu, więc najlepiej, jak spiszę testament. Zróbmy go od razu, przy kieliszku wina.

- Nie mów tak. Nie mów, że umrzesz.

Głos Anny jest zapowiedzią płaczu. Słyszy go, nim jeszcze zaczyna czuć łzy w gardle. Przez chwilę siedzą cicho.

Zostańmy tu, myśli Anna. Zamknijmy drzwi i postanówmy, że choroba została odwołana. Zamknijmy drzwi.

Czuje znajomy zapach babci, zapach tego samego kremu, którym jako dziecko posmarowała grubo twarz po kąpielu, rozśmieszając tym babcię. Zapach ma w sobie jakąś nową nutę, ciężką i ciemną. Nutę śmierci.

Kasztany za oknem, spokojne i dostojne, ze swoimi świeżo rozkwitłymi pochodniami, rzucają rozedrgany cień na ścianę. Annę ogarnia spokój, który być może jest odległym wspomnieniem z wczesnego dzieciństwa. Leży w wózek w cieniu kasztanów, pogrążona w drzemce. Drgające liście kreślą na daszku wózka rysunek. Światło, cień, światło.

- Zgadnij, na co mam ochotę - mówi nagle babcia.

- No?

- Pobawić się w przebieranki. Pamiętasz?

To jedna z ulubionych zabaw Anny, była zawsze Bianką. Wkładała sukienkę i obydwie z babcią wymyślały Biance życie. Była to wspaniała kobieta, pochodziła z Włoch. Jako Bianca Anna wiedziała o rzeczach, o których zazwyczaj nie miała pojęcia. Znajdowała w sobie uczucia, których poza tym nie przeżywała.

- Pamiętasz, jako Bianca lubiłaś oliwki, choć tak w ogóle ich nie cierpiałaś - śmieje się babcia.

- Jadłam je nożem i widelcem z talerza.

- I postukiwałaś dużymi butami na obcasach, rozprawiałaś okursach na giełdzie, o lotniskach i perfumach. Jeżeli włożysz sukienkę Bianki, to ja mogę sprawdzić, czy zmieszczę się w swoją starą suknię, którą ostatni raz miałam na sobie w latach pięćdziesiątych. Mój rak ma tę dobrą stronę, że ważę tyle co dwudziestolatka. Zobacz, która sukienka będzie ci pasować, a ja w tym czasie przygotuję coś do jedzenia.

W pokoju sennie unosi się warstwa kurzu. Anna stoi przez chwilę w drzwiach. Na przeciwległej ścianie rozprzestrzenia się blask słońca. Tutaj czas stanął w miejscu.

W szafie są stare płaszcze, sukienki, kilka męskich koszul.

Sukienka Bianki jest czarnobiała, wisi na wieszaku. Jednak Anna nie sięga po nią, chce czegoś innego.

Przegląda sukienki, głaszcze każdą po kolei: dziesiątki lat wiszące na wieszakach. Otwiera drugą szafę. Mocno skrzypi. Ubrania wyglądają na stare, tkwiły tu przez całe lata.

Wyciąga jedną, której sobie nie przypomina - chyba nigdy jej nie widziała. Jasna, obficie rozkloszowana sukienka może pochodzić jeszcze z lat pięćdziesiątych. Szeroki pas w talii, prosty dekolt odsłaniający obojczyk. Opadający z szelestem materiał.

Można łatwo wyobrazić sobie przyjęcie. W pokoju fruwają nadzieje. Ludzie wymieniają uśmiechy i grzeczności, napięta z początku atmosfera stopniowo przeradza się w szaleńczą zabawę. Jedni spotykają się po raz pierwszy, inni zaczynają patrzeć na niektórych zupełnie inaczej niż dotychczas, może wymieniają ze sobą najboleśniejsze i najgłębiej ukryte wspomnienia. Gwar rozmów niesie się z salonu, ale dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta, wcale go nie słyszy. Patrzą na siebie i ogarnia ich przerażenie, podniecenie oraz czułość, ponieważ oboje wiedzą, że właśnie coś się zaczyna, coś, od czego nie ma już ucieczki.

Anna ściąga bluzkę i dzinsy, z łatwością wsuwa się w sukienkę, choć w biuście jest ciut za ciasna.

Ma wrażenie, że w tej sukience jest zupełnie kimś innym. Być może babcia wkładała ją tylko raz czy dwa do roku, szła w niej z przyjaciółmi do teatru, a potem piła w barze różowy koktajl i przez chwilę była zupełnie inna niż zwykle. Zerknęła w stronę drzwi przez opary dymu, a w drodze powrotnej pędziła do domu niemal galopem. Nie dlatego, że tak miała w zwyczaju, ale dlatego, że było to w tajemniczy sposób „w duchu sukienki”.

- Gdzie ty ją znalazłaś?

Babcia stoi w drzwiach.

- Była w szafie. To chyba nie jest żadna z twoich sukien z lat pięćdziesiątych?

Babcia spogląda na sukienkę.

- Weź ją.

- Tę właśnie?

- Nie potrzebuję jej. Weź ją sobie, możesz ją włożyć choćby na jakieś przyjęcie. A sukienka Bianki, czemu jej nie włożyłaś?

Lepiej weź ją!

- A gdybym jednak została przy tamtej.

Babcia wzrusza ramionami.

- Jak chcesz - mówi, jakby chciała odciąć się od całej sprawy.

Podchodzi do szafy, od razu znajduje to, czego szukała. Ściąga spódnice, bluzkę. Przez chwilę stoi na środku pokoju taka bledziutka, wygląda nieco bezradnie. Anna patrzy na wyraźnie widoczną linię kręgosłupa, stara się powstrzymać przerażenie. Jaka chuda! Pomaga

zasunąć suwak, delikatnie, bardzo delikatnie.

Sukienka jest niewiarygodnie luźna, przynajmniej o dwa numery za duża, ale Anna postanawia taktownie o tym nie wspominać.

Babcia wygląda na zadowoloną.

- No dobrze. Wszystko gotowe! Jest też tarta z cebulą - mówi z dumą. - Upiekłam ją wczoraj, kiedy zmęczyło mnie już to całe chorowanie.

Wkładają do koszyka bagietkę, serek brie, tartę, wodę mineralną w dwóch małych butelkach, winogrona, sałatkę owocową i focaccię z oliwkami, którą przyniosła Anna. Biorą kocyk i wychodzą do ogrodu jak dwie paryżanki. Babcia przewiązuje sobie chustkę na włosach i wkłada stare okulary od Chanel.

Siadają na huśtawce pod drzewem kasztanowca. Anna nalewa wina, babcia odpakowuje jedzenie.

- Że też zawsze kochałam dźwięk nalewanego wina. Za młodu nawet się bałam, że jeszcze wyrosnę na pijaczkę. Dopiero potem zauważyłam, że bardziej od wina wolałam sam nastrój oczekiwania na przyjęcia.

Babcia spogląda w bezmiar majowego nieba, na pierzasty obłoczek i słowika, który siedzi cicho na gałęzi drzewa, czekając na wieczór, by zacząć śpiewać.

- Nie miałabym nic przeciwko temu, gdybym się dzisiaj trochę upiła - mówi, pociągając z kieliszka.

Anna wypija łyk wina. Babcia klepie ją zachęcająco po udzie.

- No dobrze. Kobieta z kobietą, jak uzgodniłyśmy. Opowiedz mi o Matiasie. To bystry chłopak i taki ładny. Ale widzę, że coś nie gra. Seks, o to chodzi? Wstydlive jajo? Sztynna miednica?

A może nieporadność w choreografii? Często seks jest najlepszy, gdy myśli się o nim jak o tańcu. Mężczyźni nie zawsze to spostrzegają, chociaż nie powiedziałabym, żeby Matias nie miał poczucia rytmu.

Anna krztusi się winem.

- Wstydlive jajo?!

Babcia sięga po kiść winogron. Kontynuuje, jakby mówiła opodwyżce cen mleka.

- Co tu upiększać. Niektórzy delikatni mężczyźni są beznadziejni w łóżku.

Wzdycha tak, jakby uważała wspomnianą sprawę za godną pożalowania regułę.

- Powiedzmy, na przykład, że są mężczyźni, którzy chcą zgasić światło, nim zabiorą się do rzeczy. Z reguły są to właśnie jajowstydlivcy. Związane jest to często z wysokim wykształceniem i brakiem ukształtowania odpowiednich więzi emocjonalnych z rodzicami w

dzieciństwie.

- Mam nadzieję, że nie jest to największe odkrycie w twojej naukowej karierze.

- A jeśli jest?

- To może powinnam zadzwonić do jakiegoś brukowca i podać im tytuł.

Babcia wybucha śmiechem. Anna widzi jej zaskakująco różowy język. Język człowieka jest zawsze taki sam, od dzieciństwa aż po starość. Poszukuje piersi matki, a później innego pokarmu, formułuje słowa, wyznania miłosne, zdania rozkazujące i argumenty naukowe, i znów wyznania miłosne, prośby, podziękowania za opiekę i troskę.

- Ależ się dzisiaj drażnię. A tak na marginesie, to dostali już ode mnie nagłówek w zeszłym roku.

- No tak, tradycyjny model rodziny. Nagłówek rzeczywiście był niezły: „Psycholog potępia model dwupokoleniowej rodziny”.

Babcia znów się śmieje.

- Nawet tak nie powiedziałam. Powiedziałam tylko, że ideał dwupokoleniowej rodziny powinien zostać poddany krytycznej analizie. Czy bowiem nie oddalił się zbyt od rzeczywistości, skoro ludzie muszą obecnie stykać się z coraz to dziwniejszymi sytuacjami w rodzinie, a mimo to dostosowują się do warunków i żyją całkiem szczęśliwie. Świat zawsze wkracza w życie każdej rodziny, tak było, jest i będzie. Pochodzenia i pierwotnych warunków życia nie można zanegować. Każdy musi uwolnić się ze swojego dzieciństwa, żeby mógł dostać w zamian coś innego. I tak ludzie wychodzą na prostą, stają się szczęśliwi.

Babcia wybucha śmiechem, w oczach ma taką czułość, jakby świat był tylko nieporadnym przedmiotem, któremu z dobrego serca wybacza się braki.

Wywiad miał w zamierzeniu wywołać emocje. Zdjęcie było stare, babcia patrzyła na nim z dumą prosto w obiektyw. Na marginesach tekstu scharakteryzowano ją jako radykalną jak na swoje czasy kobietę, przecierającą szlaki w akademickim gąszczu. Babcia parsknęła po przeczytaniu artykułu: „Wcale nie byłam radykalna, czego to oni nie wymyślą! Chciałam tylko zbadać tę sprawę, pomóc przy okazji ludziom, tak też zrobiłam. Jeżeli praktyczne podejście do sprawy i miłość do człowieka nazywa się radykalizmem, to najwyraźniej spełniłam wszystkie kryteria”.

Słowik na gałęzi słyszy ich rozmowę, ale nie odpowiada. Jego oczy błyszczą jak czarne punkty we wszechświecie. Osłania je obie, niemy i wszystkowiedzący. Dopiero wieczorem wyśpiewa w powietrzu swoje dźwięczne rady.

Babcia odkrawa gruby kawałek serka brie i rozsmarowuje go na bagietce.

Anna nie może nie myśleć o guzie, który czai się gdzieś wśród komórek w ciele babci.

Pożera całe jej życie, to samo, które wydało na świat mamę i w pewnym sensie również ją. Ta straszliwie prosta, logiczna myśl przeszywa Annę na wskroś: życie rodzi życie i życie rodzi śmierć.

Babcia nie wie, co Annie chodzi po głowie. Ale nagle, bez uprzedzenia, mówi:

- Myślałam o tobie. Co się dzieje w twoim życiu? Lub działo, w zeszłym roku, w ostatnich latach? Nie spotykałyśmy się zbyt często. Ale twoja mama się martwiła.

Anna odwraca głowę. Łatwo jest odwrócić głowę, zobaczyć kwiaty jabłoni i pnące róż na ścianie domu. Wkrótce ono też wypuści pączki i wszystko zacznie się od nowa.

Babcia nie daje jednak za wygraną.

- Co właściwie się wtedy stało? O co tak naprawdę chodziło?

Anna zbyt gwałtownie wyciąga rękę po ser. Nóż spada z brzękiem na ziemię.

Wino wylewa się na jej sukienkę. Jedna kropla wina toczy się między palcem wskazującym a kciukiem, zupełnie jakby знаła drogę. Plama się rozszerza. Jeżeli szybko nie posypie się jej solą, zostanie. Nie będzie można jej sprać w żaden sposób. Robi się coraz większa.

- Coś się działo przez te lata, prawda? - pyta babcia.

- No i teraz ją zniszczyłam - mówi Anna z żalem.

Trzyma w ręku kieliszek, kieliszek się trzęsie. Babcia patrzy na nią uważnie.

- No co ty - mówi. - To tylko sukienka.

- Ale to twoja sukienka, zniszczyłam twoją sukienkę. Masz gdzieś sól, przynieść ją z góry?

Babcia sprawia wrażenie, jakby coś rozważała, przenikała Annę spojrzeniem na wylot. Otwiera usta, by coś powiedzieć, zamyka je, nie odwraca wzroku, wreszcie postanawia wyznać to, co zamierzała:

- Tak naprawdę sukienka wcale nie jest moja.

- Jak to?

- Jest Eevy. Nie wiedziałam, że wisiała przez te wszystkie lata w szafie. Zdziwiłam się, gdy zobaczyłam ją na tobie.

Babcia wypowiada imię bez emocji, zupełnie jakby mówiła okimś dawno zapomnianym, z kim spędzało się kiedyś niezwykle szczęśliwe dni i przysięgało przyjaźń na całe życie, zanim z jakiegoś powodu, kapryśnego przypadku lub w wyniku fatalnego nieporozumienia, kontakt został zerwany.

- Czyja? - pyta Anna.

- Eevy - powtarza babcia.

6.

Dzień był ciepły. Już od drzwi świat buchał do środka. Na przystanku popisywali się młodzi, piętnastoletni chłopcy. Nieco dalej stała dziewczyna w nonszalanckiej, pewnej siebie pozie i zerkała w stronę, z której miał nadjechać tramwaj. Najwyraźniej ich koleżanka z klasy.

Kolejna scenka rodzajowa, w której przykuwano uwagę po to, żeby sięgnąć po większą nagrodę.

Którego z chłopców dziewczyna sobie wybrała? Być może tego cichszego, który wyglądał na grzecznego i pewnie pielęgnował w sobie powagę. Martti był taki sam jako chłopiec. W głębi duszy wrażliwy, łatwo dający się namówić na psoty, nieśmiały, czasem ulegający romantycznej tęsknocie.

Na zajęciach w klasie rysował siedzącą w pierwszym rzędzie Helvi, a potem nieśmiało podarował jej rysunki na przerwie. Helvi o niewyparzonym języku, w której z jakiejś dziwnej przyczyny się zakochał - może dlatego, że dziewczyny jej pokroju nie spoglądały na chłopców podobnych do niego, i to gwarantowało, że będzie mógł się oddawać swojej miłości w całkowitym spokoju.

Ten chłopiec też był taki. A czy dziewczyna przypominała Helvi? Nie. Była łagodniejsza.

Do przyjazdu tramwaju jadącego w stronę Meilahti zostało jeszcze pięć minut. Przesiądzie się przy hali sportowej i pójdzie posłusznie do lekarza, u którego za pomocą badań i testów znów przykleją mu maskę starości.

Siedemdziesiąt lat, nawet z okładem. Te lata przyszły nie wiadomo kiedy.

W pewnym momencie człowiek nagle się budzi i spostrzega, że jest stary. Wsiada do tramwaju i widzi, że ktoś ustępuje mu miejsca. Przecież nie jestem kulawy, myśli. I zaraz uświadamia sobie: ale za to jestem stary.

Wśród młodych zapanowało poruszenie. Jeden z chłopców wyskoczył nagle na torowisko, żeby przyciągnąć uwagę dziewczyny.

Łobuziak wykonał następnie dziwaczny układ taneczny, który przypominał Marttiemu scenę z pewnego programu telewizyjnego. Pokazywano w nim spowolnione godowe podskoki ptaka. Były identyczne jak ćwiczone latami skoki tancerza.

Równie perfekcyjne, tak samo radosne i pewnie wykonywane.

Dziewczyna pokazała chłopakowi środkowy palec. Gest w swojej wulgarności był niemal czuły. Po co tracić czas na coś takiego, skoro można po prostu podejść i się

pocałować?

Tramwaj podjechał, młodzi wdarli się do niego z hałasem tylnymi drzwiami.

Na środku tramwaju stała wyglądająca na spokojną rodzina.

Ojciec, matka, dwóch synów. Ojciec trzymał jednego z nich za rękę. Chłopcy byli wzruszająco wiernymi miniaturowymi kopiami swojego ojca: jasne czupryny, przyzwalające spojrzenie na świat. Krzywe nogi, pulchne dłonie.

Martti pomyślał: cokolwiek by nam się przytrafiło w życiu, zawsze będziemy nieść ze sobą to, z czego powstaliśmy.

On sam miał nos po ojcu. Ojciec zginął w wojnie kontynuacyjnej, w czasie Bożego Narodzenia 1943 roku. Rozległ się dzwonek u drzwi, Martti spytał, czy to Święty Mikołaj. W drzwiach stał znajomy pastor i dwóch młodych żołnierzy. Matka osuwająca się na ziemię w przedpokoju, służąca wypychająca szybko jego i siostrę za drzwi, żeby nie widzieli jej ataku. Pamiętał nieporadne słowa młodego żołnierza i niezrozumiały gniew matki: „Idźcie sobie stąd precz, wynoście się!”.

Nigdy nie można było o tym rozmawiać. O ojcu, o pastorze stojącym w drzwiach, o załamaniu matki. Co prawda nikt też tego nigdy wprost nie zabronił. Ale Martti zawsze wiedział, że całe to wydarzenie i dotkliwość jego wspomnienia należy chronić, milcząc. Zaczęli zostawiać puste miejsca w rozmowach, tam, gdzie trzeba było wspomnieć o ojcu. Stopniowo rzeczywistość zabiłła tę ranę, milczenie oplotło wspomnienie o ojcu czymś na kształt gazy, otoczyło murem. Dziwny grób - cisza.

Ale nawet kiedy ojciec już nie żył, Martti wciąż miał nos taki jak on. Już wtedy wydawało mu się to dziwne, niemal nie do pojęcia.

W tamtych latach zaczął rysować. W lutym nastąpiło wielkie bombardowanie Helsinek, matka leżała w sypialni i nie chciała wstać. Schował się pod stołem, bał się, oplakiwał ojca.

Kiedy bombardowanie minęło, śniły mu się koszmary. Irja, pracująca u nich jako pomoc domowa, kupiła mu na czarnym rynku kredki węglowe oraz papier i powiedziała: „Rysuj, może to ci pomoże”. I rysował.

Łagodny ojciec rodziny w tramwaju złapał żonę za rękę.

Starszy chłopiec przycisnął do piersi superbatmana, młodszy trzymał dokładnie taką samą zabawkę w swojej niezgrabnej piątce.

Dziewczyna, która kokietowała chłopców na przystanku, zrobiła znudzoną minę. Martti widział, jak zerkała na nieśmiałego chłopaka, ale on odwrócił wzrok: można było z tego wywnioskować, że jest zakochany.

Uczucia już nie dało się odeprzeć.

Wszystkie ludzkie usiłowania, niegasnąca nadzieja, niezłomna wiara w słoneczny blask chroniący istotę majowego popołudnia, gorliwość, z jaką co dzień tworzono bezpłatną gazetę, a potem składano ją i dostarczano do przegródek w tramwajach i w metrze - to wszystko wzbudziło w nim nagle wzbierającą czułość.

Świat był tutaj, ze wszystkimi swoimi dziwactwami i wariactwami. To nie żaden obraz, tylko nagi świat, wciąż jeszcze znajdujący się na wyciągnięcie jego ręki.

Szpital wydał mu się znajomy, przypominał organizm. Martti pokonał ciąg korytarzy, wszedł przez bezgłośnie rozsuwane drzwi i zgłosił się w rejestracji. Stał się samym tylko sercem, płucami, krwiobiegiem, wątrobą i umysłem.

Usiadł w poczekalni. Inni czekający też byli oderwani od samych siebie, od życia: dość młoda matka z gorączkującym, choć wyraźnie ożywionym dzieckiem, łysa kobieta w średnim wieku, prawdopodobnie chora na raka. I starszy mężczyzna, podobny do niego, być może mający nawet dokładnie te same zmartwienia.

Z przyzwyczajenia szkicował w myślach sylwetki osób.

Przyszła pielęgniarka, żeby powiedzieć, że trzeba będzie poczekać około godziny.

- Może pan pójść w tym czasie do stołówki.

Wstał, przeszedł znowu przez korytarz. Zobaczył kilkoro bardzo chorych ludzi, kobietę leżącą pod kroplówką. Serpentynowate żyły przeświecały przez jej skórę. Widok kobiety nie przeraził go, choć przyszła mu na myśl Elsa i to, co ich czeka. Spojrzenia jego i kobiety spotkały się, skinął głową. W jej oczach tliła się jeszcze nadzieja.

Ludzie gotowi są znieść niewiadomo jakie cierpienia tylko po to, żeby przeżyć znowu trochę zwyczajnych dni. Choćby sto. Lub dziesięć. Lub tylko jeden dzień, jeśli więcej nie będzie im dane.

Jeden dzień, kiedy będzie można po prostu wstać, wyjść na zewnątrz, zobaczyć, jaka jest pogoda, i zaplanować lunch czy spotkanie, albo choćby mieć nadzieję na spacer przez centrum.

Poszedł do stołówki, kupił kawę, usiadł, obserwował ludzi.

Przy stoliku obok rozmawiano o wycieczce na wieś. Ktoś z tych ludzi musiał być chory, kto? Zerkał po kolei na każdego.

W koszu leżało niemowlę, może byli tu z jego powodu.

Uświadomił sobie, że marzy o tym, by zabrać Elbę jeszcze raz do ich letniego domu w Tammilehto. Może mogliby znów przenocować w pokoju przy saunie, zobaczyć wstający dzień, zaparzyć kawę, tak jak kiedyś.

- Czy można się przysiąść?

Pytanie zadała łysa kobieta z poczekalni. Uśmiechnęła się, wskazała na krzesło przed sobą.

- Kocham koniec maja. Pan pewnie też?

Użycie tak mocnego słowa przy obcym wydało się Marttiemu dziwne. Ale to była prawda. Oczywiście kochał te dni, pełną oczekiwania rozległą, zieloną przestrzeń. Myślał przez chwilę, jak powinien zwracać się do kobiety - per pani czy per ty. Kobieta była piękna. Duże, głębokie oczy, ładnie zarysowane usta. Ale wyraźnie chora, gorączka trawiła jej oczy, a obojczyki sterczały spod skóry jak dwie batuty.

Choroba kobiety spowodowała, że postanowił mówić do niej per pani. A może sprawiła to jej uroda.

- Pewnie wolałaby pani być teraz na dworze, jest piękna pogoda.

- Ja umieram, czy pan wie o tym? - odparła.

Patrzyła mu spokojnie w oczy, mieszała kawę. Mówiła prawdę. Z jakiegoś powodu tutaj, gdzie serce było sercem, wątroba wątroba, zamiar zamiarem, a wszelkie tytuły okazywały się tyle warte co pogłoski, właśnie tutaj można było wypowiadać jedynie zdania całkowicie prawdziwe.

- Moja żona również umiera - odrzekł, jakby w odpowiedzi na jej pytanie.

Nagle wypowiedzenie tego okazało się łatwe. Bał się, że to zdanie wywoła w nim smutek, ale teraz zabrzmiało tylko jak stwierdzenie faktu.

- Ile dają jej czasu? - zapytała spokojnie kobieta.

- Nie wiadomo. Ale jeszcze do końca czerwca, do końca lipca, jeśli wszystko będzie dobrze.

Kobieta spojrzała w okno.

- Byliście ze sobą szczęśliwi?

Nie musiał się wahać, wiedział, co odpowiedzieć.

- Tak. Ostatnimi czasy wydawało mi się, że byliśmy nawet bardzo szczęśliwi.

- To można zrozumieć w pełni dopiero potem - zauważyła kobieta.

Jej nadgarstki były jak dwa cienkie patyczki. Brwi być może narysowała ołówkiem. Oczy miała mocno podkreślone. Marttiemu wydało się nagle, jakby rozmawiał z artystą cyrkowym, z tancerką na linie, a może z mądrym kłownem.

- Co było najtrudniejsze? - spytała kobieta.

Myślał przez chwilę.

- Najtrudniejsze było patrzeć, jak ta druga osoba się zmienia.

Uczyć się siebie od początku. I widzieć, jak człowiek zarazem sam też się zmienia.

Kobieta przytaknęła, odpowiedź ją zadowoliła, była ponadczasowa i prawdziwa.

- Coś jeszcze?

Usłyszał, jak to mówi. Z jakiegoś powodu wcale nie było trudno mu to powiedzieć.

- To, że kochało się kogoś drugiego.

Kobieta nie wyglądała na zaskoczoną, kiwnęła tylko głową.

- Jak miała na imię, ta druga?

- Eeva.

Stało się. Wypowiedział to imię po raz pierwszy od kilkadziesiąt lat. Przywiodło mu na myśl kilka wspomnień. Pojedyncze obrazy. Eeva w saunie myjąca włosy. Eeva zmęczona, oczy napuchnięte od snu. Eeva zła, zaczerwieniona i zarazem pobladła. Pozwolił wspomnieniom nadejść, mimo że były bolesne.

Słowa same zaczęły przychodzić, jedno za drugim, mówił, choć wydawało mu się, że to raczej ktoś mówił w nim.

- Nie kochałem nikogo innego tak bardzo, choć teraz wydaje mi się, że przez cały czas to był tylko sen. A może kochałem żonę równie mocno, tylko w inny sposób. Jest po prostu inaczej, kiedy to prawda.

- Nie mów tak! - krzyknęła nagle kobieta, zapominając w zdenerwowaniu mówić do niego per pan, i rozlała kawę na stolik. - Miłość zawsze jest prawdą.

Zauważył, że przytakuje, jakby odbierał rozkaz.

- Nie żałuję niczego, co zrobiłam - powiedziała kobieta. - Może tylko tego, że nie byłam odważniejsza. Jeżeli nie jest się po prostu przestępcą, to żałowanie swoich czynów oznacza, jakby żałowało się własnego życia.

Martti na chwilę spojrział na wszystko z boku, by móc zanotować dziwaczność całej tej sytuacji. Ale komu innemu mógłby o tym opowiedzieć? Nikomu, kogo znał.

- Czego jeszcze pragnie twoja żona? - spytała kobieta.

- Jak to?

- Co jeszcze chciałaby zrobić?

- Chciałaby widzieć morze każdego dnia. Wczoraj mówiła o pływaniu, choć nie wierzę, żeby dała radę. Chciałaby widzieć wieczory i poranki. Być może chciałaby pojechać jeszcze raz do naszego letniskowego domu.

- W takim razie powinieneś zabrać ją nad morze, żeby mogła na nie popatrzeć, powinieneś pozwolić jej pływać mimo wszystko, powinieneś pokazywać jej wieczory i poranki. Powinieneś zabrać ją na wieś. To wystarczy - powiedziała kobieta z uśmiechem.

- A pani, co pani jeszcze chciałyby zrobić?

Nie musiał długo czekać na odpowiedź.

- Chciałabym smażyć naleśniki razem z córką nad brzegiem jeziora Saimaa, koło naszego domku letniskowego. Zjeść jeden z cukrem i dżemem. A później po prostu sobie posiedzieć, porobić na drutach i popatrzeć na jezioro.

- Może właśnie tak pani robi. Pojedzie tam pani i będzie smażyć naleśniki. I robić na drutach.

- Tak - odparła kobieta. - Zrobię tak, gdy tylko stąd wyjdę.

Wstali jednocześnie jak na dany znak i spojrzeli na siebie niczym ludzie, którzy wskutek dziwnego zrządzenia losu powiedzieli sobie wszystko. Uśmiech kobiety był prośbą o wybaczenie, o solidarność, o zachowanie wszystkiego w tajemnicy.

Martti nie pozostał obojętny.

Lekarz stwierdził, że Martti jest zdrowy: „Ma pan krążenie krwi jak sześćdziesięciolatek”. Spytał o Elsę. Martti otworzył już swoje serce w stołówce i nie chciał tego robić raz jeszcze.

Kiedy wyszedł, nagle ogarnęło go szczęście. Zupełnie takie jak wtedy, gdy jako chłopiec czekał w swoje urodziny na prezent przez długie godziny poranka i był pewien, że cokolwiek dostanie, potwierdzi to tylko i podkreśli w jakimś sensie jego wyjątkowość.

Dostał malutki samolocik z blachy, właściwie był rozczarowany. Ale o dziwo już wówczas zrozumiał, że tak naprawdę oczekiwanie samo w sobie było prezentem.

Pozwolił, żeby spokój zastąpił podekscytowanie. I spokój przyszedł.

Martti obiecał, że nie będzie go w domu po południu. Czy miał pójść do restauracji na szczycie hotelu Tornii, by wypić koniak i pooglądać krajobrazy? A może na lotnisko zobaczyć samoloty, ich radosne podrywanie się do lotu?

Nie myślał wcześniej o Tammilehto. Dom przez zimę stał nieużywany. Z reguły jeździli na nartach, przecinając zamrożone jezioro, i docierali na wyspę, jeśli tylko lód wytrzymał, spali w drewnianej chacie już w marcu, czyścili saunę w kwietniu, wyciągali narzędzia do pracy w ogrodzie. Ale nie tej wiosny. Może stan Elsy nie wyglądał na wystarczająco stabilny, a może po prostu wyjazd do Tammilehto byłby zbyt przygnębiający.

Nagle zapragnął tam pojechać. Zatęsknił za podróżą, za przystankiem na stacji benzynowej, za pogawędką z Seljavaarą, który zajmował się domem, kiedy ich nie było. Zapragnął ciszy panującej w szopie i szumu zagajnika za domem, widoku na jezioro z ganku sauny.

Może wywołała to Eeva. Jej imię, które wymówił na głos.

Chciał być tam, gdzie zdołałby pozbierać myśli. W mieście wydawało się to niemożliwe, był zbyt zaprzątnięty życiem, Elszą.

Drogę znał doskonale. Zatrzymał się na stacji benzynowej, jak miał to w zwyczaju.

Przyśpieszył do stu dwudziestu, poczuł wzbierającą radość, jak zawsze podczas jazdy samochodem. Pozwolił, żeby promieniowało z niego szczęście, tak samo jak wtedy, gdy jako piętnastolatek poszedł po szkole do muzeum sztuk pięknych Ateneum. Oglądał obrazy i czuł, jak od ich piękna i perfekcji kręci mu się w głowie. Później wyszedł na zewnątrz w pełen blasku świat i miał wrażenie, że na jego oczach tworzy się cała rzeczywistość. Prorocza chwila: zdecydował wtedy, że będzie studiować malarstwo i stanie się w tym świetny, wyjątkowy. Że przeprowadzi się do Paryża.

Samochody trąbiły, a on przebiegał ulicę i czuł, jak z podniecenia pulsują w nim wszystkie jego komórki pod delikatną skórą, zdumiewająco niepowtarzalne i zarazem zmienne.

Kochał każdą nadchodzącą z przeciwka kobietę, cieszył się na widok każdego pijaczyny i zmiętego kawałka papieru, który utknął gdzieś na rogu ulicy. W domu stanął zadyszany na progu salonu. Matka patrzyła na niego z uniesionymi brwiami.

- Czy ty się zakochałeś?

Myślał o Helvi i o malarzach: o Schjerfbeck, Edelfelcie i Simbergu, i o tej kobiecie, która przed chwilą uśmiechnęła się do niego na ulicy. Przypomniał sobie Helenę ze starszej klasy, jej wyzywające usta. Zawsze je widział, ale nigdy wcześniej nie miał odwagi ich narysować, nie miał techniki ani pomysłu.

Teraz już miał.

- Nie - odpowiedział. - Zdecydowałem, co będę robić w życiu.

Chcę zostać malarzem. Przeprowadzę się do Paryża.

- Ho, ho, ho - odparła matka. - Idź szybko do kuchni, Hilja zostawiła ci obiad na stole. Nawet artysta nie może jechać do Paryża głodny.

Wciąż był tamtym chłopcem. Nagle przemknęło mu przez głowę, że tylko Elsa widziała go takim, widziała w nim tamtego chłopca. Eeva też go takim widziała, ale Eevy już nie było. Teraz została mu tylko Elsa. A po Elsie nie będzie już nikogo. Wyłowił wzrokiem zza szyby samochodu pogodną łąkę, niebieskie niebo, naszkicował je w myślach. Przyniosło mu to ulgę.

Kiedy dotarł na miejsce, dom był skąpany w świetle. Gałęzie niemal nie miały jeszcze liści.

Zdjął buty, choć ziemia wydawała się chłodna. Otworzył drzwi do szopy. Wszystko

było jak trzeba, na swoim miejscu.

Poczuł przyjemne zmęczenie w obliczu mnogości przedmiotów - smętny krewniak niedawno odczuwanego optymizmu i zapału. Tak dużo było tych przedmiotów. Próby obrazów, niemające już żadnego znaczenia, szkice, stare rakiety tenisowe. Wszelkiego rodzaju rupiecie.

Skierował się w stronę sauny. Musiał pchać drzwi całą siłą ramion, bo podczas zimy napęczniały we framugach. W końcu odskoczyły z trzaskiem. W łazience buchnął mu prosto w twarz znajomy zapach mydła i brzozy. Wyniósł zrobioną kiedyś przez siebie ławkę na ganek. Zauważył, że deski w jego podłodze nie wytrzymały zimy. Przy ścianie przegniły. Jeżeli wilgoć wdarła się też w ścianę, należałoby ją rozebrać.

Nie był jednak w stanie zajmować się tym teraz. Miał przed sobą bezwietrzny dzień, jezioro, maj.

Spokój wreszcie nadszedł. Dopuścił do siebie myśli, które krążyły wokół niego całymi dniami.

Eeva w drzwiach, taka, jaką ją zobaczył po raz pierwszy: uśmiechająca się, trochę niepewna.

Czy miłość zaczęła się od razu?

Kiedy już wszystko trwało przez jakiś czas, uświadomił sobie, że miłość była dla Eewy całkowitym poświęceniem się, krokiem wykraczającym poza nią samą. Może też jakimś pęknięciem wewnątrz, niezdolnością do zachowania samej siebie w wędrówce w stronę drugiego człowieka. Lub równie dobrze to pęknięcie mogło być w nim samym - nie był w stanie przyjąć takiego poświęcenia. Pamiętał kłótnię z ich ostatniego roku: „Jesteś niemożliwa, jak można cię kochać, kiedy sama siebie zatracasz, kochając tak mocno!”. Eeva odpowiedziała wtedy spokojnie, niemal lodowatym głosem: „Nigdy nie wymagaj ode mnie, żebym kochała powściągliwie. Równie dobrze mógłbyś żądać, żebym zmieniła się w kamień!”.

Może właśnie ta konfrontacja między nimi doprowadziła do zagłady.

Przypomniawszy sobie, jaka była. Nie robił tego od lat, choć od czasu do czasu o niej myślał. Teraz składał Eevę kawałek po kawałku.

Usta pełne, choć małe. Nieśmiałe kolana, dziewczęce. Łydki i reszta, można to było nazwać nóżkami. Kochał te nóżki i niepojętą biel jej ud. Niefrasobliwe ramiona, niespokojne ręce - Eeva często poruszała nadgarstkiem, kiedy o czymś myślała. Jej piersi wyglądały trochę jak zadziwione pąki kwiatów, przynajmniej na początku, w pierwszych latach, gdy miała zaledwie dwadzieścia dwa czy dwadzieścia trzy lata.

Zadzwonił telefon. Musiał wrócić do terażniejszości. Przeniósł wzrok na świerki rosnące na wyspie. Rozpościerały swoje gałęzie również w tych latach, które spędzali tu razem z Eevą.

Dzwoniła Eleonoora.

- Gdzie jesteś?

- W Tammilehto.

- Sam? Dlaczego? Jak się tam dostałeś?

- Przyjechałem samochodem.

- Nie powinieneś sam jeździć.

- Zdaje się, że to miejsce jest zapisane na moje nazwisko.

I zdaje się, że jestem twoim ojcem, a ty nie jesteś moją matką.

Tak więc równie dobrze mogło się zdarzyć, że po prostu wzięłem samochód i przyjechałem tutaj zupełnie sam.

- Przynajmniej nie zaczynaj tam malować. Słyszałam od mamy, że planowałeś znowu zacząć. Proszę, tylko nie zaczynaj sam otwierać żadnych terpentyn!

- Przypomnę ci, tak na marginesie, że mam w zwyczaju pracować w samotności. Ale skoro już poruszyłaś tę kwestię, to pomyślałem, że może lepiej zacznę budować.

- Budować? Co?

- A właściwie rozbierać. Ganek. Ganek w saunie przegnił.

Trzeba go odnowić. Być może trzeba będzie nawet rozebrać ścianę.

- Nic nie zaczynaj rozbierać! Razem możemy zobaczyć, co trzeba zrobić. A jak mama?

- Została w domu, miały zamiar pójść razem z Anną na piknik.

Eleonoora musiała westchnąć.

- No dobrze - powiedziała, zrezygnowana. - Dla mamy całe to leczenie to jeden cholernie wielki piknik.

7.

Anna przechodzi przez ulicę. Miała spotkać się z Sarą w parku na Esplanadi. Jest już spóźniona.

Niesie w torbie dzinsy i bluzkę. Sukienka ociera się o jej łydki.

W załamaniach materiału nie widać plamy wina. Jest trochę gorąco, a może czuje się podekscytowana, jeszcze czuje suchość w ustach po winie. Jedno pytanie cały czas ją nurtuje: czy mama wie? Czy w ogóle pamięta Eevę? Musi coś pamiętać. Czegóż takiego nie można zapomnieć. Można wyprzeć z pamięci, ale nie zapomnieć. To różnica.

Sara siedzi na trawniku, je lody.

Wplotła we włosy turkusową jedwabną wstążkę. Być może kolor ma coś sugerować. Wieścić znowu jakąś nową ideę, o której Anna usłyszy dopiero jesienią. Błyszczak na ustach Sary ma kolor fuksji.

Anna wie: to oznacza tylko, że lato ma już przyzwolenie, by nadejść.

W liceum Sara nigdy się nie malowała, ale kiedy zaczęła studiować, zdecydowała, że to taka maska jak wszystkie inne. Można było ją łatwo założyć i zmienić, wykorzystać jak celną broń.

- Nowa sukienka - mówi Sara. - Ładna.

Anna chciałaby powiedzieć od razu wszystko, co usłyszała. Ale nie mówi, zamiast tego rozmawia o lodach. Jaki smak kupić, czy jagodowe, czy orzechowe toffi, a może te nowe, z piankowymi cukierkami.

- Zobacz, jakie są jaskrawe - mówi Sara i wskazuje swoją śliczną główką na kwiaty czereśni, a potem liże lody. Nie ma nic przeciwko czereśni, choć sprzeciwia się wielu innym rzeczom.

- Jakie jaskrawe - powtarza Anna, żeby nie powiedzieć zaraz czegoś o Eevie.

Idzie do kiosku, piasek chrzęści pod jej butami, sukienka szeleści. Jest sobą i zarazem trochę kimś innym. W jej krokach rozpościera się drugie miasto, które współistnieje z tym tutaj i je uzupełnia, ale Anna nie może tego do końca pojąć. Zamawia lody o smaku „wanilii z dawnych lat” u mężczyzny wprost stworzonego na sprzedawcę lodów, taki jest uśmiechnięty, wprost promienieje z radości. Żwawe dłonie, beztróskie spojrzenie. Ani cienia powagi w ruchach. W oczach tylko obrazy nadchodzących letnich dni. Anna dziwi się trochę samej sobie: od kiedy to zaczęła zamawiać waniliowe?

W powietrzu wisi oczekiwanie. Pojawiły się już mewy, pracownik kawiarni odpędza je od stolików.

Mężczyźnie w garniturze towarzyszy atmosfera pośpiechu.

Idzie z jakiegoś biura z północnego Esplanadi i wygląda pociesznie, kiedy wymachuje teczką w taki piękny dzień, trzyma komórkę przy uchu i udaje, że to coś ważnego. Przypomina przejętych pięciolatek, którzy bawią się w bank.

Sara rozwodzi się leniwie o planach na lato, o eseju, na którego recenzję czeka, i o książce, którą ostatnio czytała.

- Jestem pewna, że tego lata coś się wydarzy - mówi. - Musi się coś wydarzyć - dodaje z naciskiem, żeby nikt przez pomyłkę nie wziął jej niezachwianej wiary za oznakę braku nadziei.

- Tego lata zburzymy stary świat i na jego miejscu zbudujemy nowy - odpowiada Anna.

Tak właśnie powinna była odpowiedzieć, choć w istocie rzeczy boi się zmiany, jakiej łaknie Sara. Mogłaby zostać przy tych wieczorach, kiedy jako szesnastolatki spały czasami u siebie. Wrywały się przymusowi dorastania, kupowały ciastka i popcorn, zamrożone pizze i żelki, oglądały Dirty Dancing, raz i drugi, tańczyły, gdy Johnny i Baby ćwiczyli kroki na kłodzie przerzuconej nad potokiem. Ale ich taniec to było raczej przetaczanie się po wcześniejszym obżarstwie, na końcu zawsze padały na podłogę i chichotały.

- Co nowego? - pyta w końcu Sara. - Jak magisterka? Przeczytałaś już tę Feminine Mystique?

- Tak, ale muszę jeszcze poszukać więcej źródeł. Powiązać temat z innymi historycznymi wydarzeniami, sama druga fala nie wystarczy. Muszę przeczytać więcej. Nie daję rady.

Anna myśli o Eevie. Nie planowała, żeby opowiedzieć o niej Sarze. Ale Eeva jej nie opuszcza. Jest już tutaj, blisko.

Lub nie - Eeva jest w niej. Włożyła na siebie tę sukienkę i już nigdy nie będzie w stanie oddzielić historii Eevy od swojej własnej.

Sara kładzie się, zamyka oczy. Wygląda zaskakująco młodo. To nadal ta sama dziewczyna, która podeszła do niej porozmawiać na korytarzu w pierwszym tygodniu szkoły, podała jej drugą słuchawkę od swojego iPod'a i powiedziała gruchającym głosem, który z jakiegoś powodu wprawił dół brzucha Anny w wibrację, choć nigdy nie myślała, że mogłyby jej się podobać dziewczyny:

„Posłuchaj tego”.

Oh, don't be shy, let's cause a scene, like lovers do on silver screens, let's make it yeah, we'll cause a scene.

Od tego momentu zaczęły wszędzie chodzić we dwójkę i dzielić ze sobą emocje wzbudzone przez dopiero co nawiązaną przyjaźń: nieco wstydliwą wdzięczność i pewność, że rzeczywistość była właśnie taka, jaką chciały widzieć.

W następnym roku maszerowały z niezłomną pewnością siebie w proteście przeciwko wojnie w Iraku i wierzyły, że właśnie zmieniają świat.

Czy czegoś jeszcze potrzeba do zmiany? Przyjaźń, niezachwiana wiara, zaufanie?

Anna ma wrażenie, jakby to wszystko wydarzyło się wczoraj i jakby od tego wszystkiego upłynęły już dziesiątki lat.

Zanim przeprowadziła się na Pengerkatu, mieszkała przez rok na ulicy Liisankatu razem z Sarą. To były niekończące się wieczory, muzyka, rozmowy przy kuchennym stole, drzwi nieustannie otwarte dla gości. Ich śniadania zawsze się przedłużały i zamieniały w dyskusje. Puszczaly płyty i nie zważały na wymowne spojrzenia sąsiadów na klatce.

Teraz na Liisankatu z Sarą mieszka ktoś inny.

Sara uśmiecha się, jeszcze nie otwiera oczu. Kiedy spojrzeć na nią z dołu po skosie, wygląda trochę jak kobieta Picassa. Chaotyczna, rozbita na kawałki, dopiero szukająca dla siebie wyrazu.

Czasami Annie wydaje się, że w towarzystwie Sary staje się mało nowoczesna, niezgrabna. Że jest staromodna, zawsze o jeden krok do tyłu. Sara ma swoje marzenia i nie czuje strachu, dążąc do ich realizacji, tak jak ona. Wiedzie takie życie, jakiego Anna nigdy nie będzie miała, bo za bardzo się boi.

Anna powraca myślą do Eevy. Co o niej wie?

Zna tylko kilka faktów. Pochodziła z Kuhmo, przeprowadziła się do Helsinek, żeby studiować filologię francuską.

Tworzy sobie w myślach jej obraz.

Eeva marszczyła brwi przy czytaniu i wyglądała wtedy trochę na zmartwioną. Miała długie ręce, a zimą zawsze katar. Jakaś bliżej nieokreślona powaga czaiła się w jej źrenicach. Kiedy smarowała chleb czy też zmywała naczynia lub szczotkowała włosy, zapomniała się na chwilę w tej czynności, tak że wydawała się senna, spokojna i szczęśliwa, jak kobiety z malowideł z przełomu wieków. Kobiety Schjerfbeck.

Kiedy się śmiała, wyglądała z początku na przestraszoną.

Przez jedną setną sekundy w jej oczach zobaczyć można było strach. Dopiero potem rozbrzmiewał w powietrzu śmiech.

Anna ma w swoim umyśle obraz, a na wargach początek historii - mężczyzna, dziecko, zadziwiająco biały kark dziecka, zaufanie.

Mężczyzna był jednym z najbardziej podziwianych w owych czasach. Choć nie na pierwszym froncie zmian ani nie największy prowokator, lecz z całą pewnością najbardziej obiecujący i niewątpliwie najpiękniejszy. Uwodziciel, taki, do którego stolika przysiadło się w restauracji i nie wstawało już przez cały wieczór, taki, którego chciało się pytać, dokąd zmierza rzeczywistość, na którego chciało się patrzeć przy stole i dowiedzieć od niego, o co właściwie w tym wszystkim chodzi. Każdy chciał coś sobie z niego uszczknąć. Jeżeli zwrócił na kogoś uwagę, traktowano to jak prezent. Kiedy na kogoś spojrzał, zdawało się, jakby ten ktoś dopiero w tej chwili zaczął naprawdę istnieć.

Artyści są właśnie tacy: mają moc widzenia i jasno ukształtowane poglądy. Sprawiają, że realne staje się to, co inaczej zostałyby przyczajone na progu, na przystanku, na rogu ulicy, w zdaniu pobocznym.

Anna potrzebuje już tylko głosu Eevy.

Drzewo dźwiga nad ich głowami swoje kwiaty, zupełnie jakby dopiero wczoraj samo siebie wymyśliło. Tak działo się już wcześniej, dokładnie tak samo, nigdy jednak nie miało podobnej pełni i świeżości jak teraz.

Również Eeva miała takie dni. Również ten niepokój był jej, ta niecierpliwość, żeby być już gdzieś indziej, tam, gdzie życie staje się jeszcze pełniejsze.

I wreszcie - to była miłość Eevy, taka sama jak miłość Anny.

Dać z siebie absolutnie wszystko i otrzymać w zamian cały świat, w to wierzyła Eeva. I tak postąpiła z dziewczynką, tak też zrobiła z mężczyzną.

Anna postanowiła nie mówić Sarze o Eevie, ale Eeva jest tutaj i domaga się opowieści.

Głos Anny jest trochę inny, trochę bardziej miękki i pełny, kiedy rozpoczyna.

1964

Tak wszystko się zaczyna.

Jestem tutaj. Stoję pod drzwiami, mam właśnie zadzwonić.

Kiedy wszystko się zaczyna, nowe hasła jeszcze czekają, aż ktoś je wymyśli, ale mała pigułka ujrzała już światło dzienne. Zaczynają się pojawiać pytania, co dzieje się naprawdę, ale spódnice są jeszcze przyzwoicie długie, a krowy nadal ryczą w oborach.

Kiedy wszystko się zaczyna, mam dwadzieścia dwa lata. Zaliczoną połowę przedmiotów potrzebnych do ukończenia studiów, beztróskie, nieco przedłużające się wieczory w restauracjach i od czasu do czasu silną tęsknotę za Kainuu, gdzie moja mama i

tata trzymają dziesięć krów i sześć byków w gospodarstwie pomalowanym na bordowy kolor. Tam, skąd pochodzę, w miejscowości Kuhmo, mleko pije się ciepłe prosto od krowy, nalewa się je do szklanek wprost z kanki, i ono zostawia na ustach tłusty kożuszek.

Kiedy wszystko się zaczyna, żyję pomiędzy dwoma światami.

Mam Helsinki, kieliszki wina kupione za ostatnie pieniądze, uśmiechy, które rozdają w pokojach, nie myśląc o konsekwencjach, chłopców, z którymi całuję się w bramach, nie zważając na zgrozę matki. Mam tanie buty i mieszkanie, które dzielę z Kerttu na ulicy Liisankatu.

Imam Kuhmo, łąkę, jezioro i ścieżkę leśną, która mnie pamięta. I tęsknotę za domem, noce, kiedy leżę bezsennie na łóżku w stożkowej poświacie lamp ulicznych i wypłakuję swój smutek.

Marzę o łące, o przepłynięciu jeziora nocą, o wiejskim serze, o wykrochmalonych prześcieradłach i o czasie, kiedy miałam dziewięć lat i lekcje mijały mi sennie przy szkolnym stoliku.

Ale w 1964 roku z tych dwóch światów to Helsinki są dla mnie bardziej rzeczywiste. Tu mieszkam, chodzę na wykłady, przemierzam ulice, spotykam ludzi, z których większość to znajomi Kerttu, ponieważ Kerttu zna wszystkich młodych ludzi w tym mieście, wszystkich, którzy kiedykolwiek mieli jakieś własne zdanie.

Mam nudną pracę w domu towarowym w dziale kapeluszy i wiele planów, z których jeszcze ani jednego nie zrealizowałam.

Nie, żebym się śpieszyła. Jeszcze pomieszkuję sobie, jak we śnie, w tych latach, kiedy mogę bez strachu zanurzyć się w oczekiwaniu, bo mam wrażenie, jakby przede mną był nieskończony ciąg dni.

Przez całą jesień, zimę i lato słuchałam w dziale kapeluszy zdań rozkazujących wypowiedzianych przez Vieno, która chce zrobić ze mnie „lady”. Vieno używa takich słów jak „kibić”, „gorset”, „moralność” i „dobre wychowanie”. Ale ja wcale nie chcę

„kibici” ani żadnego z reszty tych starych słów sobie przyswajać.

Chcę stwarzać sama siebie.

Dlatego właśnie stoję tutaj, pod drzwiami. Jest maj, drzewa mają jeszcze mnóstwo nagich gałęzi, choć już się ociepliło. Przeszłam dystans dwóch przecznic. Spacer spowodował, że na moim karku pojawiły się perelki potu. Trochę się denerwuję i zarazem jestem podekscytowana. Ogłoszenie, które zobaczyłam w auli uniwersytetu, było proste: „Rodzina poszukuje czulej, umiejącej gotować opiekunki do dziecka. Prosimy o kontakt wieczorem”.

Zadzwoiłam od razu, jak tylko zegar wybił szóstą, bo czułam, że to ogłoszenie było napisane właśnie dla mnie. Oczywiście, że mam w sobie czułość. Czasami wydaje mi się, że splywa mi z koniuszków palców jak miód. Moja umiejętność gotowania jest raczej przeciętna. Potrafię zrobić ser wiejski i uformować babeczki z jagodami, a zupa mięsna, którą robię, jest zawsze smaczna i gęsta. Lokum nie potrzebuję, mam dobry układ z Kerttu na Liisankatu. Mieszkamy razem w dwóch pokojach z kuchnią, które zostawiła jej w spadku babcia.

Ja śpię w mniejszym pokoju, a Kerttu usadowiła się w salonie, nie licząc tych tygodni, kiedy chłopak Kerttu z Niemiec - albo ten drugi ze Sztokholmu - są w Helsinkach, i wtedy zgadzam się przenieść na kanapę.

Ale teraz stoję pod drzwiami i dzwonię.

Później uświadamiam sobie, że moje życie - moje całkiem nowe życie - zaczyna się właśnie tutaj. Być może widać też jego koniec, tu, już pod drzwiami. Ale na razie to początek, a początek nie chce słyszeć o końcu.

Elsa otwiera drzwi. Potem widzę dziewczynkę i mężczyznę.

Mężczyzna stoi tam, na progu. Dziewczynka wychodzi zza niego, idzie do mamy, tuląc do siebie szmacianą lalkę, łapie mamę za rąbek spódnicy, patrzy na mnie.

Nie wiem, co mogłabym o niej pomyśleć. Co innego niż to, że jest taka niewinna, taka świeża. To jest ten moment, który później, gdy wszystko już się skończy, będzie nadal trwał.

Ja stojąca w drzwiach, Elsa która mnie wita z uśmiechem na ustach - ponieważ nie uczyniłam jeszcze niczego, co starłoby uśmiech z jej twarzy - i dziewczynka u jej boku.

Jeśli chodzi o mężczyznę, w pierwszej chwili odnotowuję tylko jakąś miłą dla oka harmonię i piękno, które nie robi wokół siebie zamieszania.

Siadamy na kanapie. Mężczyzna ma w sobie coś, co przypomina mi konia - może to nogi, a może włosy. Ma też w sobie coś znajomego, z czego nie umiem sobie dokładnie zdać sprawy. Coś, co sprawia, że mój wzrok wciąż powraca do niego, do jego rąk, do jego błędzących po pokoju oczu.

Elsa uśmiecha się i myślę sobie, że jest piękna. Mężczyzna podaje mi rękę, przedstawia się.

- A to jest Ella - mówi Elsa i bierze dziewczynkę w objęcia, unosząc ją. Lalka spada na podłogę, dziewczynka wyciąga rączkę w moją stronę, ja zaś jeszcze nie potrafię nawet zgadnąć, że ta rączka będzie się wyciągała do mnie przez wszystkie następne lata, dokądkolwiek pójdę.

- Cześć, Ella - mówię.

Elsa opowiada o poprzedniej pomocy domowej, Hilmie, która musiała odejść z powodu choroby.

- To przykre.

Mężczyzna wybucha śmiechem.

- Była trochę zbyt surowa dla Elli.

Elsa jest taktowna, nie chce powiedzieć o nikim złego słowa.

Kładzie dłoń na udzie mężczyzny. Dzieli z sobą taką właśnie czułość. Elsa kładzie powściągnięto dłoń na jego udzie, żeby nie powiedział czegoś zbyt dosadnie.

On szybko się zapala, dowiadując się tego później. Uczę się kochać tę jego zapalczliwość, która nieraz wpędzała go w tarapaty, gdy jeszcze był chłopcem, zwłaszcza na boiskach piłkarskich albo na podwórkach kamienic. Elsa też ją kocha. Kocha ją dokładnie tak samo jak ja.

- No - Elsa mówi pojednawczo. Jej ręka nadal spoczywa na udzie mężczyzny. - Mój mąż - dodaje - miał od czasu do czasu z Hilma małe nieporozumienia. Hilma była trochę staroświecka.

Mogę tylko napomknąć, że nasz sposób wychowania jest dużo bardziej liberalny.

- Co to oznacza? - pytam z zaciekawieniem.

Byłam przyzwyczajona do „pana Brzózki”. Mój tata, którego uratowała podczas wojny jedynie przechowywana w kieszeni na piersiach Biblia, zawsze lał mnie po plecach brzoową witką, kiedy tylko zapomniałam powiedzieć „dziękuję” albo „przepraszam”. Kochany był, ale surowy.

Mężczyzna patrzy czule na żonę.

- Elsa ma swoje zasady. To leży niejako w naturze jej zawodu.

- Chcemy, żeby nasza pomoc domowa była jak członek rodziny.

Opowiadam o mamie i o rodzinie, u której mieszkałam na pierwszym roku studiów, opiekując się dziećmi. Opowiadam o pracy w domu towarowym w dziale kapeluszy. Nie wspominam nic o Vieno ani o tym, że ubiegam się o tę pracę, bo chcę od Vieno uciec. Opowiadam o Kerttu.

Nie mówię nic o naszych wspólnych nocach, o prywatkach, które czasami trwają do rana. Nie mówię o wieczorach, kiedy zapraszamy do siebie znajomych. Kiedy otwieramy butelki nazywane przez nas strzałem byczka i białym bordeliuszem. U nas rozmawia się o wszystkim i planuje różne rzeczy, chociaż jeszcze nie wiadomo jakie. Czyta się wiersze. Często ktoś gra na gitarze, a czasami ktoś inny przerywa grę, otwierając wszystkie okna na wykuszu i krzycząc coś na ulicę. Dziewczyna siedząca w kuchni nie zważa jednak na hałas,

tylko słucha muzyki, rozpuszcza włosy i tańczy przed starym piecykiem drzewnym, a jej spinki wypadają na podłogę jak omdlałe świerszcze.

Nie mówię o tym wszystkim, by kobieta i mężczyzna nie uznali mnie za lekkomyślną.

Nie potępiliby moich nocy. Oni też otwierają butelki wina, a w ich salonie zbierają się i rozmawiają znajomi. Ale o tym nic jeszcze nie wiem.

- Już kiedy miałam piętnaście lat, opiekowałam się w domu w Kuhmo bliźniakami z sąsiedztwa, gdy inni byli na sianokosach. I gotowałam zupę mięsną dla całej wioski.

Elsa kiwa głową. Nagle wydaje mi się, że powiedziałam coś nie tak.

- Raczej nie będziesz tu musiała się zajmować jakimś wielkim gospodarzeniem. Mój mąż przychodzi i wychodzi, kiedy ma na to ochotę, ty też będziesz mogła mieć wolne, kiedy tylko będziesz chciała.

Nie pozwalam, by dostrzegli moje zażenowanie. Od kiedy to zupa mięsna wyszła z mody?

Patrzę ukradkiem na mężczyznę. Czy skądś go znam? Uprzytamniam sobie, że widziałam go już kiedyś w gazecie. Jeżeli wyteżę pamięć, to przypomnę sobie, jak przechodziłam koło jego dziwacznych obrazów na wystawie. Były dla mnie zbyt nowoczesne. Wolę te stare, te, na których są wyraźne linie, a twarze pozostają na swoim miejscu, nie rozpadając się na kawałki.

Elsa dopija kawę. Jestem nią oczarowana. To właśnie w Elsie najpierw się zakochuję.

Ma brązowe, mocne włosy i brwi, które wyglądają jak małe rozczochrane żuczki. Jej uśmiech jest swawolny, tak jakby stale i niezmordowanie szukała kogoś do zabawy. Jakby, nawet nie zdając sobie pewnie z tego sprawy, proponowała każdemu swojemu rozmówcy: „Chodź, pójdziemy do spizarki, weźmiemy sobie po dużym kawałku ciasta marmurkowego, urządzimy przyjęcie dla elfów”.

Myślę sobie o niej od razu, że to jest taka kobieta, z którą można wypić niejedną kawę, taka, z którą można upiec niewiarygodną liczbę bułeczek w deszczowy wieczór lub ochłodzić się na ganku sauny nad brzegiem jeziora. Że to jest taka kobieta, która potem zaproponuje, by jeszcze raz przepłynąć, zrobić na zatoce wyścigi.

Później będzie rozczesywać swoje mokre włosy przy świetle świecy i przeglądać się w pękniętym lustrze, zaplatając sobie i swojemu odbiciu warkoczyki. Ale w tych latach Elsa nałożyła maskę rzeczowości. Robiła karierę, siedziała na katedrach w salach wykładowych i przedstawiała swoje tezy, zapisywała twierdzenia i do późna w nocy pisała artykuły do międzynarodowych publikacji.

W tych latach Elsa wcale nie jest swawolna. Jest przede wszystkim świadoma swoich

celów, dorosła i tajemnicza. Myśli, że kobieta powinna ukryć pewne rzeczy o sobie, żeby być wiarygodna. Później odzyskuje swoją skłonność do zabawy. Kiedy kończy czterdzieści lat, tańczy na stole. W swoje pięćdziesiąte urodziny wycina z kartonu Freuda oraz Junga, i sadza ich do stołu przy obiedzie. Podczas jubileuszu z okazji sześćdziesiątych urodzin na zakończenie wieczoru kładzie się na podłodze i chichocze.

Ale w tych latach to osoba zasadnicza. Jest przede wszystkim naukowcem, potem matką, dopiero potem żoną. Gdzieś głęboko w sobie skrywa młodą kobietę, która potrafiła przepłynąć jezioro, dziewczynkę, która w wieku czternastu lat okazywała radość z wygranej na nartach, wylewając sobie zupę jagodową na głowę.

Widzę w niej tę kobietę mimo jej gorączkowej próby ukrycia tego wszystkiego, i zakochuję się w niej od razu.

Jednej rzeczy jeszcze nie wiem, kiedy tak siedzę naprzeciwko Elsy i jej męża. Nie wiem, że gdy za oknem nadejdzie lato i w filiżance do kawy zadzwięczy łyżeczka, stanę się kimś, kogo Elsa znienawidzi. A jeśli nie znienawidzi, to przynajmniej będzie mną pogardzać.

Ale teraz Elsa postanawia, że wybiorą właśnie mnie. Troszkę się jeszcze waha, chce porozmawiać z mężem na osobności, rozważyć, czy wziąć mnie, czy pomarszczoną na czole byłą opiekunkę pięciorga dzieci, z którą odbyła rozmowę przede mną. Nie mam takiego doświadczenia jak tamta, ale Elsie podobam się bardziej, nie może temu zaprzeczyć. Tamta ze zmarszczkami przywiodła jej na myśl Justiinę z wałkiem, i to mnie chętniej dałaby posadę.

Żeby zatwierdzić decyzję, sadza mi na kolanach dziewczynkę.

Dziewczynka wygląda na zdziwioną, zaciekawioną i nieporadną, jak każdy, kto dopiero co znalazł się na tym świecie.

Jest ciepła, ciężka i trochę wilgotna. Pachnie mlekiem.

Wyciąga rączki w moją stronę i od razu łapie mnie za nos, ogląda go ze zdziwieniem. Przenosi wzrok na talerz z ciastkami i sięga w jego stronę, wierci się trochę, tak że szew sukienki wbija mi się jeszcze mocniej w plecy. „Daj ciastko” - mówi i mogłabym ją oddać już mamie, bo jest mi gorąco, a pod pachami spływa mi pot. Wkrótce jednak dziewczynka uspokaja się na moich kolanach. Sprawia wrażenie, jakby miała zasnąć, opiera się o mnie, oddycha miarowo.

Jej brzusek jest ciepły i okrągły, unosi się gwałtownie.

- Chyba ją polubiłaś - mówi Elsa.

Przytakuję. Boję się, że widać moją niepewność. Trochę wyolbrzymiłam to moje doświadczenie w opiece nad dziećmi. Chcę się po prostu wyrwać z zasięgu uszczypliwych komentarzy Vieno, dostać do kręgu oddziaływania tej serdecznej i pewnej siebie kobiety.

Elsa opowiada o swojej grupie badawczej i o podróżach, które odbywa w związku z pracą. Cała Elsa, wspaniała, pewna siebie wolnomyslicielka. Wykłada swoje wyjątkowe plany tak naturalnie i bez żadnego nadęcia, jak inni mówią o wieczornej kaszce.

Od razu widzę, że należy do tych, którzy dostają od życia wszystko, do tych, przed którymi część ludzi pada na kolana w poczuciu własnej niemocy.

Elsa prosi męża, żeby pomógł jej przez chwilę w kuchni.

Wiem, że ściszym głosem prowadzą rozmowę o moim zatrudnieniu.

Ale nie wiem, że to mężczyzna jest tym, który się waha. Mówi mi o tym później, kiedy leżymy cicho obok siebie. Przeczuł to już wtedy, sugerował kobietę ze zmarszczkami, ale w końcu zgodził się na żądanie Elsy.

Siedzę na kanapie z dziewczynką na kolanach i próbuję usłyszeć, co o mnie mówią. Dziewczynka zagłusza rozmowę swoją paplaniną. Rozglądam się. Komoda, książki na półkach. Brak przesadnego porządku, nowoczesne przedmioty. W rogu pokoju stoi telewizor. Nie wiem, czy będę umiała się w tym wszystkim odnaleźć.

Na ścianach wiszą obrazy, z których - dowiaduję się tego dopiero później - część została namalowana przez mężczyznę, a część przez jego przyjaciół. Dziewczynka zsuwa się z moich kolan na podłogę i biegnie do kuchni do mamy i taty. Trochę się jeszcze mnie wstydzi.

Podchodzę i oglądam obraz oparty do góry nogami o ścianę.

Aż mnie ciarki przechodzą. Schjerfbeck. Widziałam jej prace jedynie w muzeach.

Elsa wchodzi do salonu, prostuje się.

- Czemu ten obraz stoi tutaj, w kącie? - pytam.

Elsa macha ręką, zaczyna się śmiać. Pochyliła się w moją stronę i ścisza głos, jakby chciała podzielić się ze mną sekretem:

- Jest staromodny, mój mąż chce zdjąć ze ściany wszystkie stare obrazy. Podoba ci się?

Mężczyzna patrzy na mnie, też się uśmiecha. Spogląda w bok, potem znów na mnie. Elsa mówi z podnieceniem w głosie.

- Chcielibyśmy cię zatrudnić. Jeżeli oczywiście jesteś tym zainteresowana.

Dziewczynka odwraca głowę i patrzy na mnie, unosi brwi. Kiedy robię to samo, wybucha perlistym śmiechem.

- Dostałam pracę - mówię wieczorem do Kerttu.

Kerttu siedzi przy stole i konsumuje. Jej zdziwiona mina w jednej chwili przeradza się w podekscytowaną.

Moja Kerttu: włosy ciemne i grube, oczy czarne jak dwa węgielki. Rodzina Kerttu jest bogata, jej dziadek nazywał się jeszcze Brannare, ale zmienił nazwisko na Palovaara*, wierzył bowiem, że ten kraj zasługuje na mieszkańców, którzy potrafią wymówić nazwisko w języku, którym mówiono tu od pokoleń.

Oprócz nazwiska Palovaara w domu Kerttu wymawiało się gorliwie słowa takie jak „religia” i „ojczyzna”, jednak w marzeniach Kerttu krył się zawsze wielki świat i nieznanne kraje, niczym egzotyczne klejnoty.

Poznałam Kerttu w kolejce na zapisy na kurs niemieckiego.

- Nie uważasz, że powinno się tu wywołać jakiś skandal? - szepnęła mi do ucha i uśmiechnęła się. - Ściągnijmy bluzki, przebiegnijmy przez aulę, dostaniesz za to ode mnie markę, wszystkie moje uniwersyteckie przerwy na kawę i moje serce na wieki wieków, jeżeli tylko tak zrobimy.

Nie zrzuciłyśmy z siebie bluzek, nie ściągnęłyśmy rajstop, ale wszystkie przerwy na kawę spędzałyśmy od tej pory ze sobą.

Mieszkałyśmy razem już od dwóch lat i zdążyłam poznać zwyczaje Kerttu oraz jej styl życia. Kerttu co drugi dzień śpi do południa, co drugi dzień budzi się o szóstej. Niekiedy przez cały tydzień żywi się tylko risottem. Czasem jada w restauracjach na koszt dżentelmenów i olśniewa rajstopami ze szwem w drodze do damskiej toalety. Później kpi sobie z tych mężczyzn; to część jej tajemnego spisku, tak mówi.

*W Finlandii na początku XX wieku wielu szwedzkojęzycznych Finów zmieniło nazwiska na fińsko brzmiące.

W pierwszych latach, właśnie wtedy, gdy to wszystko się dzieje, Kerttu zmienia swój styl: zamiast rajstop ze szwem i krótkich spódniczek nosi dżinsy i czarne golfy. Później odkrywa coraz to inne style, jest jak kameleon. Pod koniec lat sześćdziesiątych przewiązuje głowę wstążką, nosi kamizelkę z frędzlami i białe bluzki ze sznurkami.

Wakacje spędza gdzie tylko się da, jako niania u znajomych w Ameryce albo w Kopenhadze na kanapie u jakiejś Ingrid.

Z tych podróży przywozi książki, puderniczki, kapelusze, słowa, których nigdy nie słyszałam, i single, które później puszcza w salonie tak głośno, że tynk odpada z sufitu w mieszkaniu na dole. W naszym domu raz śpiewa kobieta o zachrypłym głosie, a kiedy indziej rozlega się muzyka, dla której dopiero co wymyślono nazwę i którą moja mama uważa za łomot. Nie nadszedł jeszcze czas indyjskich melodii, to dopiero za kilka lat. Kerttu nie rzuca jeszcze staników w kąt pokoju, choć pod koniec lat sześćdziesiątych spaceruje wyniośle w samym Tshircie i dżinsach, a jej piersi sterczą pod koszulką jak dwa dumne jabłka.

W 1964 roku wszystko dopiero się zaczyna. Teraz Kerttu zdarza się jeszcze czasami zaczesywać włosy i wysikiwać cały lakier na kok uformowany jak gniazdo os - coś, czym będzie później pogardzać.

Kerttu szuka, ale sama nie wie czego. Jest zmienna i niespokojna, entuzjastyczna i radosna, i postanawia, że będę częścią tego wszystkiego, co jej się przydarza.

Pisze egzaminy w salach wykładowych z pięciu książek naraz - opolityce, historii, filozofii, czasami też o narodach starożytnych. Przysięga, że strząśnie z siebie jeszcze kiedyś kurz tego kraju i ruszy w wielki świat.

Ale teraz, w maju 1964 roku, jest tu, na Liisankatu, ma zaczesane włosy i czarne jak węgiel oczy, i patrzy na mnie podekscytowana.

- Uwolnisz się od Vieno, wreszcie! Jaką pracę dostałaś? W redakcji czasopisma? Jako tłumacz? Czy jako sekretarka? Może to nie najlepsza praca, ale sekretarka ma zawsze możliwość awansu.

- Nie - odpowiadam. - Będę pomocą domową u pewnej rodziny.

Na twarzy Kerttu pojawia się rozczarowanie, mina jej rzednie.

Wyobrażała sobie coś innego.

- Nawet nie lubisz gotować.

- Polubię.

- Czemu? - pyta Kerttu. - Jakim cudem?

Nagle zaczynam się tłumaczyć.

- Daj spokój, przecież wiesz, że potrzebuję pieniędzy. Wiesz, jak nienawidzę działu z kapeluszami.

Nie poprosiłam rodziców o pieniądze ani razu, odkąd przeprowadziłam się do Helsinek. Nawet by nie mieli, przyzwyczaili się raczej do cotygodniowych listów, w których poza „co słyhać” przysyłałam im banknot lub dwa.

- To tylko praca - mówię. - Będę się opiekować dzieckiem, kiedy żona wyjedzie w podróż służbową.

- Będziesz sprzątać i robić zakupy?

- Tak, będę sprzątać i robić zakupy.

- Zobaczysz - mówi Kerttu niby osoba wszystkowiedząca i wkłada sobie do ust kawałek chleba, jakby tym gestem mogła odzegnać się od wszystkich prawidłowości tego świata. - Zobaczysz, zostaniesz służącą.

- Nie. To wcale nie tak. To jest rodzina. Powiedzieli, że będą mnie traktować jak członka rodziny.

Kerttu zaczyna się gorzko śmiać. Narasta we mnie sprzeciw.

- Powiedzieli, że mogą mi dać pokój.

- Masz zamiar się przeprowadzić?

Oczy Kerttu robią się jeszcze ciemniejsze.

Uspokajam się, podchodzę do niej i ją przytulam.

- No, nie, nie zamierzam. Będę spać w tym pokoju, który mi zaoferowali, tylko wtedy, gdy żona będzie w podróży. To całkiem dobry układ.

- Co ona robi?

- Jest psychologiem. Doktorem. Bada dzieci.

Mina Kerttu trochę się rozjaśnia.

- A on?

- On... - mówię trochę z ociąganiem. - Myślę, że jest dość sławnym malarzem.

Rzucam nazwisko. Kerttu przez chwilę siedzi cicho.

- W porządku - mówi po chwili. - Znam go. Kumpluje się z poetami i innymi takimi. Może być całkiem do przyjęcia. Dobre towarzystwo, to mam na myśli. Choć równie dobrze może okazać się prostakiem.

- Wcale nie robił takiego wrażenia.

Kerttu wzdycha, uśmiecha się.

- No dobra. Masz moje błogosławieństwo. O ile nie będziesz służącą do końca życia.

Muszę jeszcze zadzwonić do rodziców. Mama nie mówi, że jest zawiedziona, choć słyszę to w jej głosie: miała nadzieję, że coś lepszego trafi się jej córce. Zamiast tego mówi o telewizorze, który kupił tata. Zapalił się do zakupu, kiedy Mantyranta zimą wygrał na nartach złoto. Wcześniej był absolutnie przeciwny.

- Co oglądacie?

- Obraz kontrolny - odpowiada matka. - Całkiem interesujące. - Przez chwilę jest cicho. - Pewnie nie będziesz miała czasu przyjechać na lato.

- Zobaczymy.

Ojciec mówi to, czego się obawiałam.

- Mogłabyś przecież... - zaczyna.

- No co?

- Mogłabyś przecież i tutaj gotować, robić owsiankę i doglądać dzieciaków sąsiadów.

Nie dbam o to, co mówi, sama chcę tworzyć swój własny świat.

W czerwcu, dzień przed wyjazdem Elsy, wnoszę dwie walizki przez próg. Elsa jest sama, mężczyzna zabrał dziewczynkę do parku.

Elsa pokazuje mi pokój. Jest mały, ale ładny. Z okna widać podwórko, drzewo kasztanowca, którego kwiaty przekwitły już o tej porze lata, i dwie młode jabłunki. To początek szczęścia.

Jakiegoś szczęścia. Jeszcze nie wiem jakiego.

Elsa pakuje się w sypialni, wyjmując ubrania z szafy, wkłada sukienki i zakłady do wielkiej walizki.

Przechodząc obok, muska mnie zachęcająco. To jak przyzwolenie. Nie jestem tutaj żadną służącą, mogę wejść do sypialni.

- Co tam właściwie robisz? - pytam, zachęcona jej poufałością. - Co badasz?

Odpowiada bez żadnego zadęcia.

- Badamy dzieci. Rozwijamy nową formę terapii, terapię przez zabawę.

W trakcie podróży Elsa spędza dni w klinice, w której powietrze aż gęste jest od krzyków o pomoc, rozczarowań i prośb dzieci, by posadzić je na kolana, ich gniewu, który wziął się nie wiadomo skąd. Ale przede wszystkim powietrze w klinice pełne jest nadziei - tego Elsa jest pewna - tej niewyczerpanej nadziei, którą noszą w sobie wszystkie małe dzieci. W pokojach, ciągnących się jeden za drugim, przebywają dzieci, w kojcach do zabawy, w ogrodzonych łóżeczkach, na kolanach bezradnych matek. Niektóre z radością bawią się układankami i lalkami, inne wpatrują się przygnębionym wzrokiem w klocki. Elsa bierze płaczące dziecko w ramiona, kołysze je przez chwilę, zapisuje spostrzeżenia. Nie potrafi zostawić dziecka bez pociechy. Ramiona Elsy nie proszą o wyjaśnienia, są szerokie, kochające, nie wiedzą, co to znaczy się wahać.

- Zobacz - mówi nagle Elsa i chwytą jedną z sukienek wiszących w szafie. - Myślałam, komu by też mogła pasować. Zrobiła się dla mnie za ciasna. - Unosi sukienkę, ogląda ją z uwagą, patrzy na mnie. - Chcesz przymierzyć? - pyta.

Sukienka jest piękna, szyta na miarę. Troszkę staromodna i jakby zbyt dorosła - taka, że może ją nosić tylko osoba mądra i doświadczona. Chcę ją przymierzyć. Pragnę się w nią wtulić, pragnę, by użyczyła mi swojej powagi.

Elsa patrzy, gdy się rozbieram. Między nami jest jeszcze coś na kształt układu siostrzanego, akceptacja, może też chęć pomocy i udzielania rad.

Zaciąga mi suwak, otwiera na oścież drzwi szafy z przytwierdzonym lustrem. Sukienka jest trochę za duża, w biuście materiał tworzy nadęty balonik.

- Spójrz, prawie dobra - mówi Elsa z uśmiechem. - Jest tylko nieco zbyt luźna, możesz ją zanieść do krawca. Łatwo będzie ją zwęzić po bokach o kilka centymetrów.

Wieczorem w swoim pokoju znów przymierzam sukienkę.

Wkładam ostrożnie przez głowę, wchodzę w nią jak w formę odlewniczą, ale nie wypełniam jej po krańce.

Przeglądam się w wąskim lustrze w szafie na ubrania.

Wyglądam jak kopia, trochę jak zabawne powielenie. Coś trzeba by zrobić. Powinno mnie być więcej, ale nie wiem jakim cudem. Kasztanowiec na podwórzu wygląda groźnie w ciemności, gdy gaszę światło. Długo nie mogę zasnąć i próbuję usłyszeć odgłosy z sypialni. Jeżeli mąż i żona robią coś - bo i czemu by nie, przecież to ich wieczór pożegnalny - robią to po cichu.

- No tak - mówi Elsa.

Pije kawę na stojąco. Później spogląda na mnie, jakby pytała:

„Czy jesteś gotowa?”. Jest siódma rano, świeci słońce.

Turlamy się po kuchni bezradnie, niepewnie, jak zagubione kostki do gry. Dziewczynka zaczyna szaleć. Wie, że nadchodzi coś nowego. Biega z pokoju do pokoju, wspina się z moich kolan na kolana Elsy, a stamtąd na kolana mężczyzny.

Mężczyzna nic nie mówi, unika mojego spojrzenia. Później dowiaduję się, że to zwyczaj, którego nabrał w dzieciństwie, gdy obok niego było więcej kobiet niż jedna. Zwyczaj, którego nigdy się nie pozbył. Kiedy jego matka zapraszała przyjaciółki w odwiedziny, siedział przy stole razem z nimi, widział ich falujące, onieśmielające pagórki piersi, i odwracał głowę do okna.

Skradziony widok, jakby podejrzany przez szparę w drzwiach: światło leje się z okna i otula wszystko jasną poświatą, ale gwar rozmów kobiet nie cichnie, światło tańczy w ich włosach i na perłowych guzickach bluzek. Błogosławione piersi i uśmiechy kryjące niewypowiedziane tajemnice.

Mężczyzna postanawia spędzić wieczór u swojego przyjaciela Lauriego. Może obdzwania całe towarzystwo i idą razem gdzieś do knajpy. Nie zamierza spędzać ze mną milczących godzin w tych pokojach. Daje córeczce buzi na dobranoc i zamyka za sobą drzwi. Właśnie za to mi płacą. Że będę spać tutaj, a on będzie mógł sobie chodzić, gdzie tylko zechce.

Kiedy drzwi się otwierają, dziewczynka wybucha płaczem.

Wie, że mama wyjeżdża. Biegnie do salonu, chowa się pod stolik przy kanapie.

- Moja malutka - mówi Elsa już w progu. Wraca do salonu, nie zdejmując płaszcza ani butów. Dziewczynka zgadza się wyjść spod stolika, Elsa bierze ją jeszcze raz w objęcia, kołysze cicho i szepcze jej do ucha słowa, które nie są przeznaczone dla nikogo innego.

Myślę, czy będę kiedykolwiek zdolna do takiego pocieszenia, jakie Elsa potrafi dać

dziewczynce. Niepewność powoduje, że kurczę się do rozmiarów pięści.

Dziewczynka bierze ze sobą szmacianą lalkę. Idzie z opuszczoną głową do drzwi, trzymając lalkę, która jest tak duża jak ona.

Elsa obejmuje ją długo na ulicy przed samochodem, kiedy wkładają walizki do bagażnika. Przez chwilę nie wie, czy mnie objąć, czy podać mi rękę. Postanawia mnie objąć.

- Teraz ty możesz wziąć dziewczynkę - mówi.

Biorę dziewczynkę na rękę, przyciska główkę do mojego ramienia, ściska lalkę pod pachą, nie patrzy na mamę.

Mężczyzna zerka na mnie, kiwam głową. Mogą jechać. Elsa uśmiecha się jeszcze, zanim otworzy drzwi samochodu. Kiedy odjeżdżają, dziewczynka prosi, bym postawiła ją na ziemi. Przybieram troskliwą postawę. Teraz ja muszę jej wystarczyć.

- Dobrze.

Moje słowa niosą się po ulicy, powodują, że znów czuję się, jakbym była tylko kopią.

- Co byś chciała? Możemy zrobić, co tylko zechcesz.

- Chodźmy do parku - mówi dziewczynka.

To nie wydaje się trudne. Możemy pójść do parku, żeby zobaczyć fontannę. Albo zabiorę ją nad brzeg morza, pokażę jej statki.

Możemy kupić lody i przejechać się tramwajem, jeśli będziemy chciały. Wspólnie nazywać mijane drzewa, grzebać patyczkiem w ziemi i zauważyć jakiegoś robaka. Nadać mu imię, na przykład Pekka, i wypowiedzieć na głos życzenie, żeby znalazł sobie w życiu takie szczęście, jakiego potrzebują robaczki.

- Molla też z nami pójdzie - mówi dziewczynka.

- Dobrze - potwierdzam. - Molla też pójdzie z nami.

Dopiero teraz naprawdę jej się przyglądam. Od dawna nie widziałam żadnego dziecka z tak bliska. „Czysta” - to słowo, które przychodzi mi jako pierwsze na myśl i wcale nie oznacza braku brudu, ale coś innego, świeżość. Jej rzęsy są niewiarygodnie długie, powieki krągłe, nosek wygląda na miękki, wyrasta z buzi jak dojrziała jagoda. Na twarzy widać już ślady uczuć, ale smutek nie zagościł na niej jeszcze ani razu. Widzę, że jeszcze nie. To szczególne uczucie. Widzieć to, czego jeszcze nie ma, ale co wiadomo, że przyjdzie.

To ja będę tą, która narysuje smutek na jej twarzy. Jeszcze tego nie wiem ani tego, że owszem, da sobie radę. Ze mną będzie gorzej. Ona będzie tą, która narysuje smutek na mojej twarzy. Tą, której zniknięcie z mojego życia odbierze mi siły i sprawi, że będę leżeć przez całe dni na podłodze bez ruchu, nie mogąc wstać.

Idziemy ruchliwą ulicą i nagle zaczynam sobie wyobrażać całą serię przerażających

zdarzeń. Być może dziewczynka tak bardzo boi się tramwaju, że zacznie krzyczeć. Może wpadniemy pod samochód czyszczący jezdnię albo pod jakiś inny. Może się zgubi, a ja będę musiała za nią wołać, dopóki całkiem nie zachrypnę.

Dziewczynka nagle robi się niema.

Nie potrafię na nią patrzeć, nie potrafię do niej mówić. Jakie to uczucie, kiedy ona widzi mnie całą, na wylot?

Nie widzi. Ma dwa i pół roku, nie widzi we mnie nic ponad to, że jestem dorosłą, prawie obcą dla niej kobietą, której niepewność rośnie z sekundy na sekundę.

Chcę ją ochronić przed wszystkimi możliwymi stratami. Nagle przyłapuję się na myśli, że nie powinniśmy nigdy opuszczać tego skrzyżowania, że powinniśmy uciec czym prędzej do bramy albo do schronu i siedzieć tam przyczajone przez całą resztę czasu, a przynajmniej do momentu, aż mężczyzna wróci. Żeby z mojej winy dziewczynce nie stała się krzywda, żeby przeze mnie nie pojawiła się żadna bruzda na jej twarzy.

Dziewczynka ucina narastające we mnie przerażenie, łapiąc mnie za rękę.

Jej rączka jest zaskakująco miękka, giętka i pulchna. Uścisk delikatny. Zdążyłam już zapomnieć o tym zaufaniu, które mają w sobie wszystkie dzieci, bo nie znają jeszcze niczego poza otrzymaną przy narodzinach wiarą w to, że wszystko będzie dobrze.

Na pewnym etapie życia traci się nagle tę wiarę, musi się ją stracić. Jeśli ma się szczęście, wraca. Przychodzą ludzie, którzy biorą nas w ramiona pod kołdrą w sypialni, wyciągają ręce pod stołem, i można wraz z nimi uczyć się na nowo tego, co trzeba było bezwzględnie stracić, gdy utraciło się dzieciństwo.

Ale dziewczynka jeszcze niczego nie straciła. Całą sobą, taka mała, mówi mi, że mogę ją ochronić. Nie boi się tramwajów z hukiem przemykających obok ani samochodów, ani ludzi, ani mew, ani walących się drzew czy śmierci, ponieważ wierzy, że ja mogę ją ochronić przed tym wszystkim.

I kiedy sekundy się wydłużają, samochody wciąż przejeżdżają obok, a dziewczynka nie wypuszcza mojej ręki z uścisku, ja też zaczynam wierzyć. To takie proste. Jej wiara powoduje, że sama czuję przypływ wiary. Ściskam dziewczynkę za rączkę i nie zamierzam jej wypuścić z moich rąk. Nie zamierzam.

- Mama mówi, że trzeba dobrze się rozejrzeć, gdy chce się przejść przez ulicę.

- Aha - mówię. - Mama ma rację.

Mignął mi kawałek miękkiego karku dziewczynki, jasny, biały, nagi obszar między płaszczykiem a delikatną granicą jej włosów. Chcę położyć na nim dłonie, żeby go chronić. Jej kark mówi mi, że nic złego nie może się wydarzyć tak długo, jak długo odważy się

pozostać taki ufny i nagi.

- Możesz mi kupić lody - mówi dziewczynka.

- Pewnie kupimy - odpowiadam i nie boję się już ani trochę.

8.

Wyberzmy się teraz na wyspę Seurasaari - zaproponowała nagle Elsa.

Właśnie wracali ze zwyczajowej przejażdżki.

- Nie chcę jeszcze do domu, za żadne skarby - powiedziała kusicielskim tonem. -

Wolałabym na przykład pójść popływać.

- Popływać? Nie, w żadnym wypadku. Nie puszczę cię.

- Czemu nie?

- Zamarzłabyś na śmierć.

Elsa spojrzała na niego, znacząco unosząc brwi. Zrozumiał, że popełnił nietakt, i nagle oboje wybuchnęli śmiechem.

- Dobrze, możemy pojechać choćby na wycieczkę - zgodził się wreszcie.

- Weźmiemy z domu herbatę - zaplanowała Elsa. - I koc.

Nalali herbatę do termosu. Elsa spakowała dwa duże ręczniki kąpielowe, uśmiechając się z przekąsem. Było już późno, dochodziła jedenasta, minęło ich tylko kilka osób uprawiających jogging. Morze pożyczyło koloru od nieba. W oddali wznosił się zakład energetyczny, mieniając się na pomarańczowo w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

Dzień był ciepły, choć po południu padało. Teraz, gdy słońce powoli oddawało się nocy, wszystko zdawało się unosić w różowej mgiele.

W pierwszym zakolu znajdowała się mała zatoczka ze skałami okalającymi piaszczysty brzeg. Para łabędzi drzemała na wodzie w pobliżu skał, z opuszczonymi głowami, jak nenufary unoszące się w ciszy na swoich miejscach. Piskląt nie było widać. Dalej na wodzie trzepotały się gęsi, z wyspy na środku zatoki słychać było jak co roku godowy śpiew ptaków. Mewy, jeszcze więcej gęsi, może też łabędzie.

Słońce wyglądało jak zadowolona z siebie pomarańczowa kula owinięta szarym grafitem.

- Jakie niebo? - spytała Elsa.

Taki mieli zwyczaj. On obserwował kolory, a Elsa o nie pytała.

Pytała go o światło i o znaki szczególne na niebie, a on opowiadał.

- Bez troskie chmury - odparł. - Jakby zapomniały, że kiedykolwiek istniała jakaś powaga.

- A księżyc? - Elsa wskazała na niebo, gdzie dopiero co zaczął się formować błądy

sierp.

- Wstydlivy - odpowiedział.

- Kocham ten twój romantyzm, choć wyszedł już z mody.

Elsa zatrzymała się, spojrzała na słońce, zerknęła na falującą wodę.

- A jeżeli teraz bym weszła?

- Naprawdę chcesz się odważyć?

- Kto mnie zatrzyma? - odparła Elsa i spojrzała na niego prowokująco. - A jeśli to ostatni raz, kiedy mogę popływać? Zamierzasz odebrać mi tę przyjemność?

Powiedziała to z uśmiechem.

- Nie - odparł.

Elsa podeszła do brzegu, oparła się po drodze o skarlłowaciałą sosenkę. Bez wstydu zdjęła ubranie: płaszcz, buty, spodnie, bluzkę, wreszcie bieliznę.

Martti mimowolnie rozejrzał się dookoła. Nikt ich nie widział.

Czuł ogromną radość, a zarazem przerażenie. Ta wyglądająca na wariatkę, chuda jak szkielet kobieta - pomyślał - w której nadal widzę rysy mojej ukochanej, ta kobieta zamierza sobie popływać tylko dlatego, że taka ją naszła ochota. Nie zatrzymam jej, pójdę za nią, jeśli się okaże, że nie da rady. Ale zatrzymać jej nie zamierzam.

Elsa zerknęła na niego jeszcze raz, stojąc na samym brzegu, jakby szukała w jego wzroku podniety dla swojego braku pokory.

Weszła do wody.

Z jej ust wydobył się pomruk zadowolenia. Woda była zimna.

Przypomniał mu się nagle inny, dokładnie taki sam obraz.

Eeva ściągnęła ubranie, weszła do wody, zerknęła na niego, zanurzyła się jeszcze głębiej, by popłynąć. Spokojne ruchy jej rąk wśród panującej wokół ciszy. Woda była zimna, ale Eeva nie krzyczała, nie wydobyła z siebie ani jednego odgłosu. Jakby musiała udowodnić swoje bohaterstwo.

Wyszędłszy z wody, podeszła do niego, otulił ją ręcznikiem i objął. W ten sposób ich bliskość została potwierdzona, bez słów.

Uprawomocniona pływaniem w zbyt zimnej wodzie.

Elsa spokojnie zanurzyła się w wodzie, by popłynąć, jeden ruch, drugi, trzeci. Później stanęła i wyszła na brzeg.

- No, starczy już? - spytał, podając jej rozpostarty ręcznik.

Elsa przyłgnęła do niego z uśmiechem.

- Cudownie!

- Jeżeli teraz umrzesz, nigdy sobie tego nie wybaczę - usłyszał swoje własne słowa.

- Jeżeli teraz umrę, to nie mogłabym umrzeć szczęśliwsza - odparła Elsa bez wahania.

Drżała z zimna, zaczęła powoli się ubierać, pomógł jej i kazał włożyć dodatkowy sweter pod płaszcz.

- Teraz moglibyśmy napić się herbaty - powiedziała.

Weszli na pagórek. Elsa wspięła się o własnych siłach. Wolno przeszli obok ogrodzonej plaży dla nudystów, zobaczyli rozpościerającą się na prawo zatokę. U stóp kamiennych schodków dobrze im znany biały pomost ciągnął się w głąb morza, rozcinając wodę na pół. Na końcu stały ławki, z których można było podziwiać zachód słońca.

- Tutaj - wskazała Elsa.

Rozłożyli na ławce koc, nalali do kubków herbaty z termosu.

Elsa otworzyła paczkę ciasteczek Ballerina, zjadła jedno z nich ze smakiem.

- Nie jest ci zimno?

- Trochę.

Zdjął płaszcz i otulił nim Elbę, a ona pozwoliła, by jej wzrok błędził po horyzoncie.

- Pomyślałem, że moglibyśmy pojechać do Tammilehto - powiedział Martti. - Jak sądzisz, dałabyś radę? Podłogę w saunie trzeba w każdym razie odnowić, moglibyśmy to zrobić razem z Eero i Matiasem. Mogłabyś mieć wszystko na oku, nadzorować pracę trochę jak kierownik.

- Aha, jak kierownik! No, to na pewno nie odmówię, jeśli tylko wynagrodzenie będzie odpowiednie do moich umiejętności - odparła Elsa.

- Czego żądasz?

- Na przykład dwa ciastka. Ofertę poniżej dwóch uznaję za obraźliwą dla moich zawodowych umiejętności.

- A trzy? Co byś powiedziała na trzy?

- Za trzy ciastka sama rozbiore podłogę i jeszcze zatańczę na niej polkę.

- Umowa stoi.

Elsa położyła dłoń na jego udzie, patrzyła przez chwilę na chmury.

- Nie chciałabym umrzeć.

Powiedziała to nagle. Słowo wytrąciło go z równowagi.

- Boisz się?

- Nie. Nie boję. Ale nie chciałabym. Byłoby mi żal.

Zamknęła oczy. Martti przypomniał sobie obraz Elsy z lat siedemdziesiątych, kiedy w Dubrowniku spędzali razem miesiąc.

Elsa na leżaku, w żółtym bikini nad brzegiem Adriatyku, rozluźniona i łagodna.

- Anna znalazła sukienkę - powiedziała Elsa, mając nadal oczy zamknięte.

- Jaką sukienkę?

- Eevy.

- Ach tak - tylko tyle zdołał powiedzieć. - Czemu wciąż była u nas, czemu nikt jej nie wyniósł?

- Wisiała w szafie przez te wszystkie lata.

- I co?

Elsa przez chwilę była cicho. Cmoknęła ustami.

- Powiedziała jej - odparła wreszcie.

- Czemu?

- Chcę mówić o swoim życiu, tak sobie ostatnio zaczęłam myśleć. Jeżeli sama tego nie zrobię, historia zostanie nieopowiedziana.

Czy Anna powiedziała by matce? Czy rozmawiałyby o tym?

Czy Eleonoora w ogóle wiedziała? Niemal na pewno coś musiała wiedzieć, pamiętała szczegóły, a może wszystko. Tylko nigdy o tym nie mówiła.

- Czy nie należało o tym porozmawiać z Eleonoorą?

- Może - odparła Elsa.

Spojrzała na niego trochę bezradnie. Dostrzegł to: Elsa bała się, pewnie żałowała.

- Może powinniśmy byli powiedzieć o tym już na samym początku - dodała. - Może powinniśmy byli.

- Wtedy myślałaś inaczej.

- Wtedy widziałam tyle cierpiących dzieci, dzieci, które wiedziały zbyt dużo o sprawach dorosłych. Wtedy myślałam, że dzieci mają przywilej życia w dziecięcym świecie, wśród zabaw i marzeń.

- Ona jest szczęśliwa. Prawda? Chyba stała się szczęśliwa.

- Tak, chyba - odrzekła Elsa. - Zamierzam, owszem, o tym opowiedzieć. Kiedy nadejdzie właściwy moment. Czekam na właściwy moment.

Nie powiedziała tego, choć tak pomyślała: właściwy moment nigdy nie nadejdzie.

Siedzieli jeszcze przez dłuższą chwilę. Czekali, aż niebo zmieni kolor na pomarańczowy, potem przybierze barwę malwy, aż w końcu stanie się niebieskie. W drodze powrotnej Elsa zmęczyła się, poprosiła go, by podjechał po nią samochodem.

Jest gwarne popołudnie, Anna nie może już wystać w księgarni. Jeszcze dwie godziny. Mają się spotkać z mamą w Stockmannie przy delikatesach. Jakie to szczęście móc robić

zakupy przed wyjazdem na wieś, chodzić koło góry owoców i lady z sałatkami, wybierać ser lub piankowe cukierki albo cukinię, drogi jogurt z moroszkami i wszystko, na co tylko ma się ochotę!

Anna czeka na wyjazd do Tammilehto, choć ma obawy, że może okazać się trudny. Nigdy nie wiadomo, czy będzie dużo śmiechu i czubienia się, czy może napięta atmosfera, która w jednej chwili może przerodzić się w kłótnię. Czasami tylko gadają o tym i tamtym, przygotowują jedzenie, chichoczą jak rodzeństwo. W takich chwilach mama jest skora do zabawy i swawolna jak piętnastolatka. A czasem Anna od razu wie, widząc matkę, że będzie to jedno z takich spotkań, podczas których matka rzuca w jej stronę kąśliwe, wieloznaczne uwagi lub próbuje wydobyć informacje o jej życiu, oblekając pytania w empatię.

W księgarni jest cicho, powietrze suche. Na górze w kawiarni słychać donośny odgłos ekspresu do kawy. Światło koncentruje się w okienku na dachu, książki drzemią na półkach. Anna zbiera z lady zapomniane egzemplarze do koszyka.

Roznoszenie ich na odpowiednie miejsca to jeden z najradośniejszych momentów w jej pracy. Można pójść do działu z obcojęzycznymi słownikami kieszonkowymi, potem w górę po schodach ruchomych na drugie piętro, do polityki i gospodarki, a może nawet na trzecie piętro, do książek o sztuce i podróżach.

W głowie Anny pojawia się znajoma myśl, która sprawia jej przyjemność. Ile zaczątków miłości kryje się w książkach sprzedawanych w tej księgarni?

Niemal w każdej powieści jest historia miłosna, opis jej początku. I we wszystkich tych historiach jest coś podobnego, może wręcz identycznego, że dokładny opis groziłby popadnięciem w banał. A mimo to każdy z tych opisów ma własną tajemnicę.

Kiedy człowiek wykracza poza samego siebie i jest przerażony, a zarazem przepelniony szczęściem. Kiedy uświadamia sobie, że powrotu już nie ma, że wszystko już się zupełnie zmieniło. Kiedy zaczyna sobie zdawać sprawę, że nie jest już w miejscu, w którym myślał, że zaczął podróż w stronę drugiego człowieka.

Anna wchodzi z koszykiem przewieszonym przez ramię na schody ruchome, wjeżdża na drugie piętro.

Dziadek i babcia spotkali się na przyjęciu na uniwersytecie.

Dziadek nie mógł oderwać oczu od babci, która była wtedy jeszcze tylko studentką psychologii, o szerokiej, uśmiechniętej twarzy, z dołeczkami w policzkach. Annie łatwo jest wyobrazić sobie dziadka. Młody mężczyzna z rodzaju tych, których nazywa się raczej pięknymi niż przystojnymi. Wrażliwy, zapalczywy w gniewie. Elsa zakochała się w tej jego wybujałej zapalczywości, w wielkich planach, jakie w sobie żywił.

Mama i tata mieli szesnaście lat, kiedy ich miłość się zaczęła.

Obojgu zadano przygotowanie prezentacji z fizyki, której nie chciało im się robić. Środowy wieczór, pokój taty w przyjaznym cieniu rzucanym przez koślawą lampę stojącą i zasłonki w duże wzory Marimekko.

Prezentacja z fizyki miała dotyczyć grawitacji. Mama sprzeciwiała się wszystkiemu, co tata powiedział, choć odnotowała już w myślach jego uśmiech. Tata twierdził, że potrafi zjeść pomarańczę, stojąc na głowie.

- Nie dasz rady - powiedziała mama. - W żaden sposób.

- No to zobacz - odparł.

I wskoczył na łóżko, stanął na głowie, oparł nogi o ścianę i połknął za jednym zamachem kawałek pomarańczy. Mama zakochała się w nim dokładnie w tym momencie, gdy stanąwszy na głowie, oparł chude nogi o plakat zespołu Led Zeppelin i w spokoju, skupiony, zjadł całą pomarańczę. Następnie zszedł na dół i powiedział z uśmiechem:

- Teraz sama widzisz, że są inne siły niż siła grawitacji.

- No jakie? - spytała. - Podaj jeszcze jakiś przykład!

- Chociażby zaufanie - odpowiedział.

- Czemu miałabym ufać? - zapytała mama, która jeszcze nie była mamą, tylko dziewczynką o imieniu Ella.

- Na początek choćby temu, co mówię - powiedział, uśmiechając się, chłopiec z pomarańczą.

Anna była zazdrosna o te obydwie historie, chciała taką samą dla siebie.

Przypomina sobie Marca z września ubiegłego roku. Pojechała do Paryża, od rozstania upłynęły cztery miesiące. Nagle tak głupio strzeliło jej to do głowy. Wykupiła tani lot. Sama w Paryżu!

W domu ten pomysł wydawał jej się romantyczny i szalony, niczym symbol wolności: jej miłość się skończyła, zostawi za sobą Helsinki i spróbuje życia jako inna kobieta, wyjeżdżając sama do miasta miłości. Na miejscu czuła się jednak jak sierota.

Kręciła się w kółko, w muzeum spotkała chłopaka, miał na imię Marc. Podzielili się w kawiarni butelką wina i lękami z dzieciństwa. Marc pocałował ją nad brzegiem Sekwany i nagle wprost zaproponował, by przeprowadziła się do Paryża. Postanowił, że zakochają się w sobie i będą żyli długo i szczęśliwie.

- Nawet cię nie znam - odparła Anna.

- Idź na całość - odpowiedział.

I tak Anna zrobiła - poszła na całość w mieszkaniu Marca w Marais. Skończyło się tak

szybko, jak zaczęło. Rano zebrała swoje rzeczy i zniknęła, nie budząc chłopaka. Nigdy się nie dowiedziała, czy z miłości, którą jej obiecał, mogło wyrosnąć coś naprawdę rzeczywistego, czy też była to tylko droga do krótkiej i bliżej nieokreślonej przyjemności pod obrazkiem z Che Guevarą - jakie to niesmaczne trzymać obrazek mordercy na ścianie! - w miłym, aczkolwiek zabałaganionym mieszkaniu Marca. Być może Marc był jedynie oszustem. A może był jej wielką historią miłosną, którą przeoczyła. Nigdy się nie dowie.

Oczywiście, Anna miała nadal swoje życie, to, które skończyło się na podłodze w przedpokoju. To życie chciała uczynić całkowicie prawdziwym dzięki miłości: daj z siebie wszystko, a dostaniesz cały świat.

Na chwilę zrobiło jej się czarno przed oczami. Zrzuca z półki książkę, przechodząc obok, zatrzymuje się, by ją podnieść, schyla się, podnosi. Uśmiecha się odruchowo do koleżanki z pracy.

Świat znów odzyskuje kształty i kolory, Anna zabiera koszyk z podłogi, idzie dalej do działu.

Kiedy spotkała Matiasa, nie poczuła nic szczególnego. Jeden uśmiech na imprezie rzucony przez pokój, mało znacząca rozmowa przy lepkiem stole w kuchni, podczas której pomyślała tylko: ot, taki sobie chłopak.

Matias zaproponował, żeby razem gdzieś poszli. Anna się zgodziła, bo nie było nikogo innego. Zauważyła, że lubi jego uśmiech.

Pili kakao w Succès na Korkeavuorenkatu i zjedli na spółkę jedną bułeczkę z cynamonem. Po upływie dwóch tygodni pomyślała, że może te uczucia przyjemności i łatwości, które w niej dominowały podczas przebywania z Matiasem, oznaczały właśnie początek miłości.

Po pięciu tygodniach przenieśli przez próg wspólną kanapę.

Anna idzie do działu z filozofią, odkłada książkę na półkę w odpowiednie miejsce. Przychodzi jej do głowy, żeby sprawdzić, czy w dziale z psychologią są książki babci.

Na półce jest jeden egzemplarz jej najbardziej popularnej książki Rozpoznanie i tożsamość. Anna przeczytała ją po raz pierwszy dopiero w liceum, kiedy wygłaszała prezentację na kursie psychologii rozwoju o teorii przywiązania. Czuła przy tym dumę połączoną ze zmieszaniem.

Nauczycielka spytała:

- Czy Elsa Ahlqvist to naprawdę twoja babcia? Kto by pomyślał! Proszę przekazać jej pozdrowienia!

W podręczniku umieszczono zdjęcie z lat sześćdziesiątych z kliniki psychiatrycznej

dla dzieci. Byli na nim badacze, których imionami nazwano potem hipotezy i schematy obrazujące rozwój uczuć. Wśród nich babcia. Oglądanie na zdjęciu babci w książce do psychologii dla drugiej klasy było jak patrzenie na obcego człowieka.

Anna otwiera książkę babci. Przedmowa zawsze ją wzruszała.

Opowiadanie o przypadku Luny - dziewczynki znalezionej w kartonowym pudle poniewierającym się na dworcu kolejowym, która krok po kroku odbudowywała swoje zaufanie do świata - nie mogło dać jej spokoju. Często wracała do tych linijek napisanych przez Elzę Ahlqvist:

Własne „ja” stanowi zawsze z punktu widzenia dziecka ogromne ryzyko. Do tego wniosku doszłam, prześlodziwszy tydzień po tygodniu bolesny rozwój Luny w klinice. Chwila, gdy dziecko po raz pierwszy doświadcza faktu istnienia własnego „ja”, jest chwilą jego pierwszej samotności. Jest to zarazem pierwsza przytrafiająca się dziecku okazja do doświadczenia szczęścia. Każdy człowiek ma wpisaną możliwość przeżycia jak największej samotności i jak największego szczęścia. Oba te uczucia są w zasięgu dziecka w chwili, w której uświadamia sobie swoją odrębność w stosunku do rodziców. W tym momencie dziecko staje się zarazem obce samemu sobie. Dopiero nieustannie rozpoznając siebie w spojrzeniu troskliwej i dającej poczucie bezpieczeństwa osoby dorosłej, dziecko ma możliwość poznania samego siebie. Rozpoznanie jest zarówno doświadczeniem uczestnictwa, jak i rozdzielenia. W tym pęknięciu, w napięciu między błogosławieństwem uczestnictwa a rozdzierającą serce rozłąką, zaczyna się kształtować własne „ja”. Wydarzenie to można by uznać za prawdziwą tragedię, gdyby zarazem nie rodziła się wpisana nieodłącznie w istotę ludzką nadzieja.

Wyobraźcie sobie Lunę, dziewczynkę znaną przez przechodnia w kartonowym pudle, dziewczynkę, która zdążyła już doświadczyć niezliczonych smutków. Wyobraźcie sobie jej wyciągającą się na oślep małą rączkę. Pierwsze tygodnie leczenia spędziła w kącie, apatycznie się kołysząc, nie chciała spojrzeć nikomu w oczy. W następnych tygodniach wczepiała się w opiekunki kleszczowym uściskiem, przypominającym wołanie o pomoc.

Z wolna jej zaufanie zaczęło rosnać. Wyobraźcie sobie jej pierwszy uśmiech posłany przez pokój, jej pierwszy radosny śmiech, na który się zdobyła w kojcu do zabawy. O co innego w życiu ludzkim, w jego najgłębszej istocie, chodzi, jeśli nie o nadzieję. O co innego, jeśli nie o miłość, którą ludzie, nawet ci ciężko doświadczeni przez los, pogwałceni, mogą dać w darze drugiemu.

Anna pamięta mocne ramiona babci, jej miękkie, duże piersi pewnego dnia w saunie, gdy była dzieckiem, i babcia pochylała się, by odkręcić kran z ciepłą wodą.

Maria miała pięć lat, była jeszcze bezwstydnie szczerą, jak wszystkie małe dzieci.

Zdumiały ją piersi babci.

- Ale jesteś duża w tym miejscu - oznajmiła, pokazując na pagórki piersi.

- Chyba tak - odparła babcia z uśmiechem.

- Czy mi też takie wyrosną? - zapytała Maria.

- Zapewne - odrzekła babcia.

- A potem zostanę mamusią - ciągnęła Maria, jakby wszystko już wiedziała.

- Nie od razu. Żeby być mamusią, potrzebny jest jeszcze mąż - odparła Anna. Miała osiem lat i znała już pewne fakty.

- A właśnie, że tak - upierała się Maria. - Nic nie wiadomo.

Z kogoś nagle może się zrobić mamusia.

- Tylko w bajkach. - Anna z zadowoleniem przyjęła rolę mądrej starszej siostry, która potrafi pouczać.

Tej babci, babci z dużymi piersiami, już nie ma. Ale wciąż istnieje babcia, która stworzyła te myśli, zapisała je w książce.

Książkę nadal będą sprzedawać, nawet gdy babcia już umrze.

Ludzie będą przeglądać te strony, czytać przedmowę i myśleć, że Elsa Ahlqvist była z pewnością mądrą kobietą, dobrą matką, dobrą babcią.

Anna wraca na ruchome schody. Przywołuje jeszcze raz tę myśl, która wcześniej wprawiała ją w omdlenie. Między tysiącami okładek tych książek kryje się niepojęta liczba początków.

1964

Miłości nie można zaplanować, przychodzi zawsze bez uprzedzenia, niepostrzeżenie. Jesteśmy nieostrożni i nie zauważamy znaków, które moglibyśmy dostrzec już tygodnie albo miesiące wcześniej, zanim cokolwiek właściwego się wydarzy.

Na początku unikamy się wzajemnie, wymieniamy w zdenerwowaniu uprzejmości i uwagi o pogodzie. Mężczyzna siedzi roztargniony przy stole kuchennym. Smaruje chleb, otwiera gazetę i drapie się po karku. Jak dużo pojedynczych ruchów, jaki wachlarz drobnych odcieni gestów. Odwracam głowę, nie chcę o nim wiedzieć tego wszystkiego.

Wędruję z pokoju do pokoju, jakbym nagle znalazła się w filmie.

Mężczyzna zaprasza do siebie przyjaciół na dwa wieczory z rzędu, zamyka przede mną drzwi. Słyszę przez ścianę odgłosy śmiechu, włączam telewizor. Prezenter w wiadomościach wygląda na zmartwionego. Nie miałam pojęcia, że o faktach należy mówić ze zmarszczką na czole, wcześniej o sytuacji na świecie słyszałam tylko z radia.

Trzeciego wieczoru mężczyzna maluje. Podobnie czwartego i piątego. Co wieczór,

gdy szarość zmroku zmienia się w poranek, słyszę, jak schodzi z głuchym łoskotem na dół. Może pił. Leżę, nie śpiąc, słucham. Słyszę każdy odgłos, jego miarowy oddech.

Jest obcy i boję się, że wejdzie do mojego pokoju. Na co ja się zgodziłam? A jeżeli jest w stanie upojenia, jeżeli jest z tych, którzy za jednym zamachem obalają całą butelkę wódki?

Ale nie jest pijany. Nie widzi dobrze o zmroku, w ciemności nie wyczuwa granic swojego ciała i wpada na przedmioty. Nie wiem tego jeszcze, dopiero poznałam jego poranną senność i roztargniony wzrok, gdy czyta gazetę. Jest tysiąc spraw, o których nie mam jeszcze bladego pojęcia, a po nich tysiąc następnych.

Tysiąc i znowu tysiąc, i tak w nieskończoność.

Słyszę, jak otwiera drzwi. Leżę, wstrzymując oddech, nasłuchuję. Nic. Wstaję, przekradam się przez kuchnię do holu, widzę go pod drzwiami do pokoju córki.

- Co robisz?

- Ciiii...

W jego wyrazie twarzy zauważam coś, czego jeszcze nie widziałam.

- Patrzą, jak śpi - mówi, jakby się trochę wstydził swojej czułości. - Muszę sprawdzić, czy jest bezpieczna, zanim sam pójde spać.

Jego czułość w stosunku do córki jest prawdziwa, ale maluje tylko po to, żeby pokazać, jaki jest ważny. Ma wybudowane ego, tak sędzę. Niby artysta, niby słynny artysta. Jednak według mnie praca pochłania go tak jak zabawa zamknięte w sobie dziecko.

Czwartego dnia dzwonię do Kerttu.

- Maluje całymi wieczorami - mówię. - I ledwie mówi mi dzień dobry.

- To chyba nie do wytrzymania.

- Jest wyniosły i arogancki. Nie wiem, co bym mogła zrobić.

- Idź i zapukaj do drzwi. Powiedz, że w kuchni się pali, że w łazience jest powódź i ściany zaraz się zawalą, że dziecko kąpie się w zlewozmywaku, a ty zaraz rzucisz to wszystko i uciekniesz, gdzie pieprz rośnie. W końcu będzie musiał zejść na dół.

- Wątpię.

Zbieram w sobie całą złość, stojąc na schodach. Poddasze wchłania odgłosy moich kroków, pachnie sauną. Zatrzymuję się na chwilę, żeby posłuchać, jak skrzypi. Przypominają mi się lipcowe popołudniowe drzemki z dzieciństwa w moim domu w Kuhmo, w półmroku pokoju na poddaszu. Podchodzę do drzwi, unoszę wysoko głowę i pukam. Wygląda na złego, kiedy wchodzę, nie czekając na odpowiedź.

- O co chodzi?

- A o to, jak długo jeszcze?

Patrzy na mnie, jakby nie rozumiał pytania, jakbym była dziwną, mówiącą lalką.

- Nie wiem, czemu pytasz?

- Dziecko już śpi.

- No i?

- Co mam robić?

- Skąd mam wiedzieć. Sama możesz zdecydować, masz wolne przez cały wieczór. Idź choćby na spacer.

- Nie mogę, mam dziurawe buty.

- To zaproś kogoś z przyjaciół.

- Wszyscy są na prywatkach albo zaręczeni, albo zaraz pójdą do ołtarza.

Patrzy na mnie, jakby coś szacował.

- Chodź - mówi i wciąga mnie do środka, złapawszy za ramiona, prowadzi przed obraz.

- Zobacz.

Jest pełen zapału, zaskakująco śmiały - to skutek wielogodzinnego malowania i nagłego przyływu pewności siebie. Wcześniej mnie nie dotykał.

- Co o tym myślisz?

Obraz wydaje mi się śmieszny, nic z niego nie rozumiem, i chcę, żeby to usłyszał.

- Kreski i koła - mówię bez entuzjazmu. - Widzę kreski i koła.

Trochę przesadzam z tą obojętnością, może dlatego, że w starciu trzeba wybrać rolę i przy niej pozostać.

- Chyba nie za bardzo interesujesz się sztuką - uśmiecha się z lekkim przekąsem.

Reaguję na jego beztroski ton głosu zjadliwie, tak jak Kerttu, gdy czuje się pewna swego.

- Niekoniecznie taką. Co niby miałyby przedstawiać?

- Nic - odpowiada. - Sztuka niekoniecznie musi przedstawiać coś nam znanego. Taka sztuka to już przeżytek.

- Wiem, co masz na myśli. Widziałam twoje obrazy na wystawie Ars. Myślałam o nich wtedy dokładnie to samo. Czemu nie malujesz ludzi? Czemu nie namalujesz Elsy albo dziewczynki?

- Bo nie maluję - mówi po prostu. - Nigdy ich nie malowałem.

- Może powinienes.

- A może ty powinnaś przyjść na moje zajęcia na uniwersytecie. Jesienią będę miał

wykłady o Jacksonie Pollocku.

- Pollock sprawia, że zbiera mi się na wymioty.

- Za dużo koloru?

- Za dużo lejących się farb, bałagan, jakby świat był chlewem.

Jego prace potrzebowałyby twardej szczotki i szarego mydła, żeby można je było wystawić.

Śmieje się. Nieprzejednanie patrzę mu w oczy przez sekundę, dwie. Chwila się wydłuża.

- Dobrze - mówię w końcu. - Kiedy już skończysz to...

Zerkam na jego prace. Pozwalam, żeby mój wzrok omiótł pędzle i słoiki, butelki z terpentyną i zwoje płótna.

-...kiedy już skończysz to tworzenie świata, możesz zejść na dół. Tam szafa jest nadal szafą, a jabłko jabłkiem. Ale nie myśl sobie, że zrobię ci coś do jedzenia. Ci, którzy nocą tworzą rzeczywistość, potrafią z pewnością również posmarować sobie kanapkę.

Wychodząc, zamykam drzwi, w euforii triumfu pomieszanego ze złością. To pierwsza faza miłości, ale jeszcze tego nie rozpoznaję, nie widzę, jakie wrażenie zrobiły moje słowa.

Spotykamy się przypadkiem, kiedy idę przedostatni raz do pracy w dziale kapeluszy. On idzie z naprzeciwka. Zauważam go z daleka, on mnie jeszcze nie widzi. Idzie beztrosko z rękami w kieszeniach, w ustach ma papierosa.

Jest w nim sprzeczność wynikająca z beztroski i uważności.

Najczęściej bywa beztroski i śmiały. Troskliwy i uważny tylko wtedy, gdy trzyma dziewczynkę na kolanach lub maluje. Czasami też, gdy czyta.

Ale teraz zerka na drugą stronę ulicy i spostrzega mnie.

Uśmiecha się i dużymi susami przebiega przez tory tramwajowe w moją stronę.

Ciska wypalonego do połowy papierosa na ziemię. Nieświadoma własnych uczuć, nie odczytując ich przesłania, myślę, jaki jest piękny.

- Cześć, Eeva - mówi.

Z pewnością wyglądał dokładnie tak samo, gdy miał trzynaście lat i syn sąsiadów skusił go, żeby poszli za róg zapalić, a mieszkająca w domu naprzeciwko piękna Loviisa, stenotypistka, w której kochali się wszyscy chłopcy z ulicy, pojawiła się akurat przed nim. Z pewnością wyglądał dokładnie tak samo, kiedy pozdrowiał Loviisę, podnosił uroczyście rękę do czoła z szelmowskim błyskiem w oku, patrząc na nią bez wstydu i nie pochylając głowy.

- Cześć.

- Idziesz do pracy? Nie skończyłaś więc jeszcze pracować w domu towarowym? A

może potajemnie doszłaś do wniosku, że masz już dość zajmowania się naszym dzieckiem?

Bezwiednie odżywają we mnie związane z nim uczucia, już niemal zepchnięte na margines. Gdybym wtedy wiedziała to, czego się później dowiedziałam, umiałabym się przygotować. To pierwsza faza miłosnego zauroczenia. Kiedy widzi się kogoś w całości i można zebrać z jego oczu każdy lęk i każde marzenie, jak dojrzały owoc.

Pozwalam, żeby znaki ostrzegawcze przemknęły obok, jak wróble.

- Zaczynam pracę dopiero za godzinę.

To zaproszenie. Może z niego skorzystać, jeśli zechce. I korzysta.

- To co byś powiedziała na kawę?

Kiedy spoglądam na niego przez stół, widzę, że o mnie myślał.

Myślał o skrępowaniu w pierwszym tygodniu, gdy zaskoczył mnie w łazience, otwierając przez pomyłkę drzwi, gdy ja szczotkowałam zęby, i powiedział wtedy coś o jasnym świetle pierwszych dni lata, żeby ukryć swoje zmieszanie.

Wiem, że teraz myśli o naszej dziwnej sprzeczce na strychu, w jego pracowni. Kłótnia na słowa czy tylko żarty? Nie wie. To było trochę przykre zdarzenie, nie chciałby, żeby się powtórzyło.

Następnym razem nie będzie już chciał uciekać w pracę. Następnym razem, gdy przyjdę, zaproponuje wycieczkę na weekend.

Zawiezie nas do Tammilehto, a wtedy my... My?

Nie wie. Nie dokończył jeszcze tej myśli. Zdołał już pomyśleć opoczątku i o nas, ale jeszcze nie zdecydował, co z tym dalej pocnie.

- A wykłady? - pyta. - Czy zdałaś już wszystkie egzaminy?

- Tak.

Rzucam rękawicę, nie chcę mu ulec. To dziwna gra.

- I wrócisz tam, skąd pochodzisz?

- Z Kuhmo.

- Jedziesz tam na lipiec, prawda? I co dalej? Będziesz karczować las i tym podobne?

- Karczować las! Skąd coś takiego przyszło ci do głowy?

- Z filmów. Biegasz po łąkach, bawisz się ze złotowłosymi chłopcami. Kryjesz za stogiem siana.

- Tak, tak, bawię się, bawię na łące, właśnie tak. A od czasu do czasu wskakuję do stodoły, żeby się całować.

Miesza cukier w kawie i patrzy figlarnie, gdy wkładam do ust łyżeczkę z ciastkiem.

- Myślisz, że ja bym sobie tam nie poradził? - pyta wyzywająco. - Ze zimą wpadłbym

do przereźbli, a latem zgubiłbym wiosło od łódki? Ze musiałbym wołać o pomoc?

- Zgubiłbyś się w lesie. Przyszędłby niedźwiedź i piszczałbyś ze strachu, a wilk odgryzłby ci nogę.

- Ale nie rękę - odpowiada. - Ręką mógłbym namalować światło. Jezioro byłoby lustrem, prawda? Na płótnie gdzieniegdzie z lasu wyrastałyby drzewa, takie zadziwione.

Śmieje się. On też wybucha śmiechem i spogląda w okno.

Jakiś starszy pan uchyla kapelusza w moją stronę.

- Chyba nie za bardzo podobają ci się moje prace.

- Kreski i koła? Moim zdaniem są trochę zadufane w sobie.

Unosi brwi. Znów jestem bezczelna. Myśli, jak powinien na to zareagować. Nie wie, czy moja bezczelność ma go doprowadzać do szału, czy też wzbudzać w nim zachwyt? Nagle zaczyna zastanawiać się, jak też mogę wyglądać nago. Ta myśl wprawia go w zakłopotanie, więc odwraca głowę w stronę okna. Nic o tym wszystkim nie wiem, myślę, że tak ma w zwyczaj: patrzeć gdzieś w bok, gdy zastanawia się, jak dobrać słowa.

- To co ci się podoba w takim razie? Jakie obrazy?

- Edelfelt. I Schjerfbeck. GallenKallela. Właśnie takie.

- Rzeczywiście dobre - przyznaje. - Ale może trochę staromodne. Nudne. Podobały mi się, gdy miałem piętnaście lat.

- Nudne?

Zerkam na zegarek, zjadam ostatni kawałek ciastka.

- Chcesz zobaczyć to światło, ten krajobraz, z którego pochodzę?

- Chcę - odpowiada.

Kiedy to mówi, patrzy mi w oczy, a nawet głębiej, i wydaje mi się wówczas, że twarz człowieka jest jak otwarta przestrzeń, jak polana w lesie. Każda prośba i nadzieja, lęk i ukryta dziecięca radość, otwiera się na twarzy, jakby się wychodziło z zacienionego miejsca w światło, gdy tylko człowiek powie „chcę”.

- Mam jeszcze pół godziny. Myślę, że powinniśmy złożyć krótką wizytę w Ateneum i spotkać się z tymi nudnymi obrazami, zanim pójde do działu kapeluszy. Jeśli rzeczywiście chcesz zobaczyć mój rodzinny krajobraz.

Po skrzypiących schodach wchodzimy na trzecie piętro, ja idę przodem. Zerkam na niego, idzie za mną, uśmiechając się, jakby prowadziła go do kolejki w wesołym miasteczku, do której ani myśli wejść.

Wchodzę do sali, podchodzę do obrazu. Przez chwilę nie chcę nic mówić, tylko stać przed nim cicho. Pierwszej jesieni po przyjeździe do Helsinek przychodziłam tu zawsze, gdy

tęsknota za domem wyciskała mi łzy z oczu. Wchodziłam do sal, w których niesło się echo, stałam niemal godzinę, a może i dłużej, przed tym właśnie obrazem.

Nad brzegiem jeziora rozpościera się las, widać wyraźne kontury drzew, szczyty zalesionych pagórków. Jasne i blade światło lata, niebo, które ma chłodny kolor i ścieka niczym mleko na drzewa, a o zachodzie słońca kładzie się promieniami na korony świerków. Na środkowym obrazie Aino wymyka się z rąk mężczyzny, blada skóra jej ud odbija się w tafli jeziora, Aino znika w wodzie, jakby zawsze należała do królestwa ryb.

- Ten - mówię i nie patrzę na mężczyznę. Patrzę na krajobraz.

Z jakiegoś powodu mężczyzna wyciąga dłonie i delikatnie dotyka moich pleców.

- Z tej to na pewno bym wypadł - mówi, wskazując przechyloną łódkę.

- Poszedłbyś aż na samo dno.

- I zrobiłbym sobie mieszkanie wśród okoni i leszczy.

- A dziad Kempainen złowiłby cię wiecierzem, ale potem wrzuciłby cię z powrotem do wody: takich nędznych to ja nie biorę. Takich marnych.

- Jeżeli kiedyś tam pojedę, może nauczysz mnie, jak się łowi ryby wiecierzem.

- Nauczę.

Odwracam głowę. Mężczyzna powiedział za dużo, wie to. I nie żałuje swoich słów.

- Owszem, umiem łowić ryby - mówi po chwili. - Ale z krowami nie miałem jeszcze okazji zawrzeć bliższej znajomości, w tym mnie na pewno pokonasz.

- A więc to jakieś zawody? Udowodnij więc, udowodnij, że umiesz spuszczać sieci do wody.

- Mogę cię zabrać do Tammilehto - mówi. - W sierpniu. Tam ci pokażę, że potrafię.

- Umowa stoi.

Stabilne ściany muzeum nagle oddalają się ode mnie. Przez chwilę widzę tylko obraz, tylko pejzaż.

Nie wiem, jak dużo czasu mija, w końcu mężczyzna dotyka lekko mojego ramienia.

- Nudne, nadal tak myślisz? - pytam.

- Nie, już nie.

Zerkam na zegarek i spostrzegam, że jestem spóźniona. Zbiegamy po schodach i wypadamy na zewnątrz. Zewnętrzny świat przełamuje ciszę muzeum.

Na skrzyżowaniu mężczyzna podaje mi kartkę papieru. Robi to zupełnie naturalnie, jakby podawał mi kawałek chleba albo nóż do masła. To gruby, szorstki papier ze szkicownika.

- Proszę - mówi.

Znów to widzę, ten szelmowski uśmiech chłopca przed piękną Loviisą z sąsiedztwa, kiedy miał trzynaście lat.

- Co to jest?

Chcę odwrócić kartkę, ale mnie powstrzymuje.

- Obejrzyj dopiero później - mówi.

- Czemu?

- Tak po prostu.

Szuka papierosa w kieszeni na piersiach, zapala go. Wydmuchuje dym w bok, robi kilka kroków do tyłu i unosi rękę na pożegnanie.

Kiedy znika za rogiem, odwracam kartkę. Narysował mnie, stojącą bokiem, od tyłu. Mój zadarty nos, łuk policzków i okrągłą krawędź górnej wargi.

Stoję na skrzyżowaniu. Nie zważam na przejeżdżające samochody. Znaki ostrzegawcze przemykają obok mnie jak wróble, nie chcę ich dopuścić do siebie.

Początek miłości potrzebuje snów. Potrzebuje też przebudzenia, myśli, których początkowo nie można nigdzie umiejscowić.

Potrzebuje dystansu, odległości, którą można pokonać, przywracając w myślach cechy drugiej osoby. Takie usta, taka szczęka.

Takie wgłębienie w nadgarstku. I ten wzrok! Ten śmiech! To zdanie wypowiedziane o drzewach!

Trzeba popłynąć łódką na wyspę, rozgrzać saunę i pomyśleć: tu chcę razem z nim być, chcę razem z nim przepłynąć jezioro i zobaczyć lisa znikającego w zagajniku. Chcę powiedzieć mu o świerkach okalających podwórko: czy nie wyglądają jak przyjazne postaci z bajki stojące na straży przeszłości?

9.

W lipcu jadę do Kuhmo. Jadę pociągiem, za oknem przesuują się krajobrazy. Mężczyzna jest z Elsą i dziewczynką w Paryżu. Nic o nich nie wiem w tych tygodniach. Nie wiem, że przeżywają tam szczęśliwe dni, że są chwile, gdy mężczyzna całuje Elsę w kark i spotykają się ze starymi przyjaciółmi. Nie wiem, że są również poranki, gdy mężczyzna spaceruje samotnie nad Sekwaną, idzie do muzeum lub po prostu do kawiarni i pozwala nadejść myśli:

Eeva. No tak, myśli. Eeva. Eeva w całej swej postaci, kawałek po kawałku. Zamawia kawę i pali papierosa, patrzy na kelnera, na ludzi, na samochody i psa załatwiającego się na rogu ulicy, i na kobietę w rękawiczkach, która pochyla się, by zobaczyć dzieło swojego ulubieńca, jakby to był rzadki klejnot. Śmieje się z tego widoku. Chciałby zrobić zdjęcie, ale nie wziął aparatu. Patrzy na to wszystko, pali w spokoju papierosa i buduje sobie mój obraz w myślach.

Usta, jakie?

A nos, włosy?

I uśmiech. Uśmiech przede wszystkim.

Tęsknota jest jak wydrążone miejsce pod mostkiem. Przypomina trochę zgagę, myśli mężczyzna, i ta myśl go bawi. Planuje sierpień. Zamierza zabrać mnie do Tammilehto. Planuje nawet zimę, niektóre mroźne dni, okrzyki, zjeżdżanie z pagórka - mam na sobie białą czapkę z pomponem i spodnie narciarskie, on chce mnie zobaczyć w czapce z pomponem - i nawet nie zdaje sobie w pełni sprawy z tego, że planuje zimę ze mną. Nie z Elsą.

Wszystko już się zaczęło. Wszystko już się dzieje.

W Kuhmo każdego dnia wyciągam z ojcem sieci. Mgła unosi się nad jeziorem, wyspy nie widać, gdzieś z oddali słychać głos nura. Wiosła postukują w dulkach. Gumiaki taty są duże. Kiedy byłam dzieckiem, czasami je przymierzałam i powłóczyłam nogami dookoła podwórka.

- Daj do tyłu - mówi tata. A potem: - Teraz do przodu. - I znów: - Nie, do tyłu. - I znowu: - Teraz do przodu.

- To jak w końcu? - pytam. - Powiedz, do przodu czy do tyłu?

- Do przodu - odpowiada i wiosłuję, ale wcale nie myślę o jeziorze.

Myślę o sosnach, które wznoszą się na przeciwległym brzegu - takie zadziwione.

- Co się tak cieszysz?

- A, nic, nic.

Myślę o Elsie. O jej brwiach przypominających zuczki, jej uśmiechu. Trochę denerwuje mnie to, że tak łatwo przywołuję w myślach jej obraz.

- Do tyłu, teraz dawaj do tyłu.

Odwracam wiosła i wykonuję ruchy do tyłu.

- A teraz do przodu.

W dulkach słychać postukiwanie. Wiosła nabierają wody na pióra i łódka sunie lekko przez jezioro. Jej ślad na wodzie zamyka się za nami, a jezioro znów staje się lustrem, które nie widziało nigdy ojca i córki.

- Sosny, czy one twoim zdaniem mogą wyglądać na zadziwione? - pytam.

- Co takiego?

- Zadziwione, tamte sosny na przeciwległym brzegu.

- Co za głupoty! - odpowiada ojciec.

Wieczorem rozgrzewam saunę. W piecu musi się porządnie rozpalić, idę w tym czasie posiedzieć na pomoście. Niebo otula drzewa, jezioro cichnie. Gdzieś słychać echo, może to dziad Kemppainen ruszył wypróbować swoją pułapkę na ryby.

Siedzę i myślę o zarysie szczęki mężczyzny. Jaki jest piękny.

I ten śmiech, jego zdania!

Potem idę do sauny. Wlewam parującą wodę do miski. Myję włosy, wylewam całą miskę wody na siebie, rozpryskuje się na podłodze, piec syczy od dotknięcia kropli.

Idę popływać. Brodzę głęboko w jeziorze, woda sięga mi do połowy uda.

Tak wszystko się zaczyna: przede mną wyrastają zadziwione sosny, niebo jest blade, księżyc wspina się po nim nieśmiało, i myślę, że pozwolę temu nadejść, jeśli ma przyjść.

Elsa dzwoni w sierpniu po moim powrocie do miasta. Opowiada o przyjęciu, które mają zwyczaj urządzać zawsze pod koniec lata. Namawia mnie, żebym przyszła. Trochę się waham, bo czuję wstyd wobec tych wszystkich ludzi, artystów, naukowców i pisarzy, którzy tam będą.

Rozmawiają o świecie tak, jakby to było coś, co do nich należy.

Ich głos słychać nawet na strychu i w piwnicy. W końcu ktoś wchodzi na stół i krzyczy, a ja kurczę się do rozmiarów zabawki, z samej tylko nieśmiałości nieruchomieję jak lalka.

- Co ja im powiem? - pytam Elbę. - Że jestem pomocą domową? Że studiuję na uniwersytecie?

- No co ty! - odpowiada Elsa. - Jesteś raczej przyjaciółką rodziny, jedną z nas.

- Nie mam co na siebie włożyć.

- Przecież masz - mówi Elsa. - Masz moją sukienkę. Tę, którą ci dałam.

Wkładam sukienkę Elsy. Stawiam niepewne kroki.

Już od progu słysząc głośną wrzawę. Są wąskie krawaty i buty na wysokich obcasach, koki a la gniazda os i włosy ułożone w fale, sztuczne rzęsy, papierosy. Przemierzam wzrokiem cały pokój, szukam dziewczynki, jego i Elsy. Wreszcie widzę małą: bawi się za kanapą z drugą dziewczynką w tym samym wieku.

Jego dostrzegam przy oknie, mówi coś do przyjaciela, trzyma w ręku kieliszek, śmieje się. Zerka na mnie i od razu odwraca wzrok.

Pomyślał o tym samym co ja, widzę to. Podchodzi do mnie Elsa. Związała włosy, jest rozluźniona i wesoła - wygląda, jakby na ten wieczór schowała swoją rzeczowość na dno szuflady w komodzie. Obejmuje mnie i właśnie ma coś powiedzieć, gdy nagle jej uwagę odwraca jakaś nieznana mi kobieta, i Elsa przerywa w pół zdania.

Ktoś inny, mężczyzna, podchodzi i przedstawia się. Przez chwilę rozmawiamy o poezji, ale teraz ten temat wcale mnie nie interesuje. Chcę zobaczyć dziewczynkę, chcę usłyszeć, co robiła, co myślała. Chcę się z nią pobawić.

- Ella, cześć, Ella - mówię, pochylając się do niej.

Ma wykrochmalony kołnierzyk sukienki, lakierki na nogach.

- Pobawisz się ze mną? - pyta.

Nie czekając na odpowiedź, wstaje, bierze mnie za rękę, prowadzi przez tłum obcych, wyciąga rączki w stronę klamki, otwiera drzwi.

W pokoju jest ciemno.

- Zapal światło - komenderuje dziarskim tonem.

Szukam po omacku włącznika, wreszcie znajduję, pstrykam.

Dziewczynka przykłęka starym zwyczajem przy małej kołysce. W kołysce śpi Molla. Ella przykrywa ją kocykiem i zaczyna bujać.

- Zaśpiewaj jej coś - mówi.

- Co?

- Kupankę.

- Nie kupankę - odpowiadam, bo potrafię już zgadnąć, co ma na myśli. - Kołysankę.

- No właśnie - odpowiada.

Zaczynam śpiewać kołysankę, którą śpiewała mi mama.

Dziewczynka siedzi nieruchomo na kolanach, z przechyloną głową, słucha.

Wzdrygam się, kiedy słyszę hałas w drzwiach. To on.

Uśmiecha się. Nie wiem, jak długo tam stał i patrzył na nas.

Dziewczynka wybiega z pokoju i zostajemy tylko we dwoje. On stoi w progu, z dwoma kieliszkami i butelką wina w rękach.

Podaje mi kieliszek, nalewa. Nagle trudno mu wymyślić, co ma powiedzieć, i sprawia mi to przyjemność. Znów otwieram mężczyznę, kawałek po kawałku, warstwa po warstwie. Widzę, jak ośmioletni biegnie wieczorem do domu po długo trwającej zabawie, gdy chłopcy z sąsiedztwa zeszli pobawić się w chowanego, a wieczór był jak szeroki, rozciągający się na wszystkie strony kontynent. Widzę jego ręce. Z podwiniętymi rękawami koszuli wygląda jak zawsze niefrasobliwie, i to mnie pociąga. Zauważam teraz, że to jego nogi mają w sobie coś z konia, i jeszcze bardziej mi się podoba.

Spostrzega, że o nim myślę, robi się jeszcze bardziej zmieszany, zaczyna szukać czegoś w kieszeniach. Chcę go przytrzymać w tej niepewności, więc nic nie mówię, opieram się o ścianę i odwracam głowę. Wygrzebuje z kieszeni papierosa. Te jego owalne paznokcie... Dałabym sobie głowę uciąć, że nieraz, czytając książkę, wodzi palcami linijka po linijce i czasami drapie się w skroń.

Zapala. Zaciąga się, trzyma papierosa między kciukiem a palcem wskazującym, jakby mu się śpieszyło. Buntownik. Widzę go takim, gdy chodził do liceum. Miał z pewnością wielkie marzenia, pragnął być gdzieś indziej, żywił przeróżne nadzieje, nauczył się popalać skręty w parku i nie wracał do domu przed nocą. Przekradał się obok sypialni matki, myśląc o dziewczynie, którą przed chwilą całował, i był zbyt podekscytowany, żeby zauważyć chwilę szczęścia, niepowtarzalne poczucie pełni tego wiosennego wieczoru, gdy wszystko miał na wyciągnięcie ręki, ale nic nie było mu przyrzeczone. Spostrzegał to dopiero następnego dnia, a w następnym tygodniu widział to jeszcze lepiej.

Teraz widzi wszystko tak wyraźnie, że myślenie o tym sprawia mu ból. Jeszcze więcej bólu sprawia mu świadomość, że prawie już zapomniał te pocałunki, to niespokojne popalanie pod pierwszymi pąkami rozkwitających lip i wszystkie drogi, którymi mógł podążyć, ale przez przypadek odrzucił je, bo wybrał inne.

- I jak tam w Kuhmo?

- Bawiłam się na łące.

- A sosny?

- Zadziwione.

Śmieje się.

- Dobrze sobie radzisz z Ellą - mówi. - Dużo o tobie mówiła, kiedy cię tutaj nie było.

Patrzy w okno, potem na mnie. Widzę, że bada mnie wzrokiem.

- Jak ci się podobał ten... ten rysunek? - pyta, nagle jakoś trochę zadyszany, jakby nie było czasu do stracenia.

W jednej chwili wszystko gęstnieje, czuć tę powagę, którą potem każde z nas, wracając do tej chwili, będzie mogło nazwać kwintesencją szczęścia.

Nie kryję swoich myśli, pozwalalam im ujawnić się w uśmiechu.

- Jeszcze nikt nigdy tak na mnie nie patrzył.

Wieczór trwa. Patrzę przez pokój, jak mężczyzna rozmawia z gośćmi, których nie znam. Mówi o polityce. To nic nieznaczące słowa w stosunku do tych, które chciałby mi powiedzieć. Całuje Elbę stojącą z boku. Ktoś znowu do mnie podchodzi, to przyjaciel mężczyzny, przedstawia się jako Lauri. Rozmawiam z nim roztargniona, a moja głowa cały czas się odwraca w poszukiwaniu mężczyzny.

Uśmiecham się, wszystko jest takie lekkie.

Mężczyzna spogląda na mnie spomiędzy barków, rąbków ubrań i kieliszków wina. Jego spojrzenie jest szybkie, to tylko zerknięcie. Widzę, jak szuka mnie wzrokiem, odnajduje i zaraz odwraca głowę.

Tu wszystko się zaczyna. Później zdaję sobie sprawę, że właśnie tu i teraz, gdy tak na mnie zerka. W jego wzroku kryje się lekkie przerażenie. Ja na kanapie, obok mnie Lauri, który później przez lata będzie niósł naszą tajemnicę, związany niepisaną umową, którą czasami zawierają przyjaźniący się mężczyźni.

Łokcie, ręce trzymające talerze i kieliszki wina, koki, kolczyki w uszach.

I pytanie Lauriego:

- To ty im teraz pomagasz?

- Tak, ja.

Odpowiadam w roztargnieniu, bo rozpoczęłam właśnie podróż w stronę drugiego człowieka.

Spomiędzy kieliszków wina i obojętnych zdań Lauriego wyławiam spojrzenie mężczyzny. Jest niefrasobliwe, nawet się na mnie nie zatrzymuje, od razu przesuwa się dalej.

Ale ja wiem.

W drugim tygodniu września zaczyna o sobie przypominać lato, dni są ciepłe i przezroczyście. Wieczorami wieje, ale mimo to nie jest chłodno. Znowu przychodzę, mam w walizce swoje rzeczy, przenoszę je przez próg.

W sobotę jedziemy do Tammilehto. Mamy ze sobą prowiant, kanapki zawinięte w papier śniadaniowy, lemoniadę i wafle.

W samochodzie uchylam trochę okno, pozwalam, żeby wpadł przez nie wiatr. Dziewczynka popiskuje, jakby była w wesołym miasteczku. Wkrótce zasypia na tylnym siedzeniu.

Dom to nie żaden drewniany domek, ale prawdziwa willa.

W moich stronach domy letniskowe to szare chatki albo czerwone, jeśli udało się skądś zdobyć farbę. A tu jest główny budynek, szopa i sauna, która wyłania się na brzegu. Idę na skraj podwórka i z powrotem, dostrzegam wodę.

- Najpierw zrobimy kawę - mówi mężczyzna.

Rozkładamy koc na brzegu, dziewczynka bez wahania siada mi na kolanach. Ubieram ją w sweter, wkładam czapkę i rękawiczki, które od razu ściągają z rąk. Słońce jeszcze przygrzewa. Na chwilę zdejmuję buty i skarpetki, nic sobie nie robiąc z jesieni, i zatapiam palce w piasku.

Robimy z dziewczynką sześć piaskowych babek tuż nad wodą, piszczymy z radości i zawodu, gdy zmywa je fala.

Ella znów chce robić babki z piasku.

- Gdzie one znikają? - pyta. - Czy jezioro je zjada? Czemu najpierw są, a potem ich nie ma?

- Jezioro je zjada.

- Ale gdzie potem idą? - pyta znowu. - Zupełnie znikają?

- Znikają tylko z zasięgu naszego wzroku - odpowiadam.

- A ty gdzie idziesz, kiedy cię nie ma?

- Do domu.

- A gdzie on jest?

- Na ulicy Liisankatu.

- Dziś też tam pójdziesz?

- Dzisiaj nie. Dzisiaj będę tutaj, dzisiaj zostaję.

Dziewczynka zasypia na kocu, ściskając Mollę, mężczyzna podnosi ją delikatnie i zabiera do domu. Robiąc to, jest czuły i cierpliwy. Przy dziecku jest zawsze czuły.

- Czy powinniśmy już pójść? - pytam.

- Jeszcze nie. Możemy tu pobyt chwilę, dziecko śpi.

Myślimy dokładnie to samo. Należy umiejętnie wykorzystać tę chwilę, przyjąć z całym jej błogosławieństwem. Patrzę na jezioro. Mówię, że chyba mam ochotę popływać. Mężczyzna potrząsa głową.

- Nie - mówi. - Woda jest zimna, cała zdrętwiejesz.

- Przeszkodzisz mi?

- Nie - odpowiada, uśmiechając się. - Nie przeszkodzę.

Ściągam spódnicę. Bluzkę. Nie patrzę na niego, gdy zdejmuję stanik.

Mężczyzna myśli, że już nigdy nie zdoła oderwać ode mnie oczu. Wszystko już zostało postanowione, jest tak, jakby ktoś za nas zdecydował, a to tylko mała scena obrazująca nieuchronność tego, co nadchodzi, która ma jedynie przypieczętować naszą bliskość. Wchodzę do wody, jest zimna. Idę, nie pisnąwszy ani razu. Wchodzę głębiej, aż woda sięga mi do pępka, potem się zanurzam, płynę.

Jezioro jest zadziwiająco spokojne, chmury sinoniebieskie.

Robię pięć ruchów rękoma do przodu, pięć z powrotem. Wychodzę z wody.

- Zimno ci? Masz zsiniałe wargi.

- W takim razie muszę się z pewnością ogrzać.

Mężczyzna bierze ręcznik z koca, rozpościera go jak ramiona.

Podchodzę bez wahania. Oddaje mi ręcznik, wycieram się. Patrzy na moje znamię na szyi, jakby chciał siłą umysłu skoncentrować w tym punkcie wszystko, co przed chwilą widział.

Trochę drży, oddychając. Ja drzę z zimna, a może też z oczekiwania.

- Pójdziemy już? - pyta.

Kiedy wchodzimy do środka, między nami jest jeszcze Elsa.

Mężczyzna myśli o niej, idąc przez podwórze, myśli o tym, co by Elsa powiedziała. Pewnie coś o dziecku. Byłaby trochę zmęczona, masowałaby kark i powiedziała, że pójdzie jeszcze zobaczyć córeczkę. Wszedłszy do środka, poszłaby roztargniona do kuchni, zaczęła się głośno zastanawiać, czy nie zrobić czegoś na kolację.

Całkiem miły dzień, stwierdziłaby na koniec.

Widzę wahanie rysujące się wzdłuż linii jego barku.

Ale Elsa zamienia się już tylko w obraz. Jeżeli telefon dzwonił, kiedy nas nie było, jeżeli dzwonił w Tóóló, dziesiątki kilometrów stąd, my go już tu nie usłyszymy. Z moich włosów skapuje woda.

Ściany nas chronią, noc osłania. Wszystko już się zaczęło, wszystko zaczęło się, gdy zadzwoniłam do drzwi, wszystko zaczęło się, gdy przekroczyłam próg. Być może wszystko zaczęło się już dużo wcześniej. Wszystko jest tak stare jak czas.

Pocałunek też jest zarówno pradawny, jak i nowy. To dziwne, ale tuż przed mówię coś o Elsie.

Elsa jest na kolacji z kolegami, śmieje się. Zanim zaśnie, rozciąga kark, zsuwa

nakrycie łóżka na bok, wkłada okulary i jeszcze raz czyta zrobione na jutrzejszy odczyt notatki.

Tutaj nic o niej nie wiemy. Jest daleko, ale jeszcze przez chwilę między nami. Stoimy naprzeciw siebie, patrzymy sobie w oczy.

Myślę o Elsie, kiedy mężczyzna podchodzi do mnie blisko.

Myślę o Elsie i pytam:

- Czy ma w zwyczaju całować cię wieczorem przed pójściem spać?

W spojrzeniu mężczyzny pojawia się znów to samo wahanie, które zdążyłam zobaczyć wcześniej, ale potem mówi tylko „ciii” i podchodzi bliżej. I już nic nie mówimy.

10.

Indukcja, intubacja, ekstubacja.

Teraz była jeszcze faza intubacji. Pacjent był pod głęboką narkozą, Eleonoora kończyła robić szwy. Operacja okazała się łatwa, zupełnie rutynowa.

Riitta, z którą Eleonoora najbardziej lubiła przebywać w sali operacyjnej - uśmiechnięta anestezjolożka, trochę dziwna, ale z koncentracją i zapałem podchodząca do pracy - sprawdziła stan pacjenta, zmniejszyła dawkę leku i skinęła głową do Eleonoory aprobująco: nadszedł czas starannego zrobienia szwu.

Wciąż jeszcze, po dwudziestu latach spędzonych w sali operacyjnej, tajemnica sztucznego snu nie przestawała Eleonoory zadziwiać. Obcowała z nim na co dzień, dobrze знаła jego historię, pełną prób i błędów.

Nikt tak naprawdę nie miał pojęcia, jak działał mechanizm zapadania w sen. Wiedzano jedynie, że pewne substancje powodowały taki zanik świadomości i czucia, że można było przeprowadzić operację. Stopnia znieczulenia nie dawało się zawczasu przewidzieć. Ta sama ilość anestetyku u jednych pacjentów wywoływała silną narkozę, innych zaś utrzymywała na granicy między drzemką a przebudzeniem. Większość nie pamiętała tego, co działo się podczas narkozy. Ale byli i tacy, którzy pozostawali w stanie przebudzenia w trakcie operacji, a potem opowiadali, jak wyszli poza swoje ciało i obserwowali zabieg, czuli, jak nacinano im skórę.

Pewien pacjent opowiedział kiedyś Eleonoorze o doświadczeniu łaski, która przekraczała wszelkie ludzkie pojęcie. „To, co zobaczyłem, to nie był anioł ani Bóg. Ale wziął mnie w ramiona i poczułem, że już nigdy nie będę musiał być sam. Poczulem całkowite bezpieczeństwo, jak w objęciach matki, kiedy byłem dzieckiem”.

Przyglądając się pacjentom pogrążonym we śnie, Eleonoora często myślała, gdzie też byli podczas narkozy. Riitta powiedziała kiedyś, że pacjenci pod narkozą podążali zarówno w stronę narodzin, jak i śmierci.

- To zupełnie wyjątkowy wymiar czasu, ja w to wierzę - rzekła Riitta. - Wszystkie wspomnienia są obecne, wszyscy ludzie.

Pomyśl tylko, co trzeba czuć, kiedy trzyma się w rękach ciężar całego życia, widzi się je w pełni, nieco z oddali. Gdyby wszyscy pacjenci pamiętali swój stan świadomości z czasu narkozy, opowiadaliby o nim. Myślę, że to doświadczenie przypomina stan, w którym

człowiek jest tuż przed śmiercią. Wszystko wie, wszystko widzi dokładnie. Szkoda, że ludzie rzadko powracają do świata drugich z tą wiedzą.

A może to błogosławieństwo, pomyślała Eleonoora. Może taka wiedza mogłaby człowieka przytłoczyć. Może całościowy wgląd w życie należał się tylko Bogu, jeżeli w ogóle istniał. I zmarłym, jeżeli było życie po śmierci. I pisarzom, którzy stawiali się poza życiem i posłusznie oddawali każdą myśl i każde uczucie swoich bohaterów, rzucali światło krzyżowe na wydarzenia.

Eleonoora skończyła szew i Riitta zaczęła przygotowywać ekstubację.

- Jak twoja mama? - spytała Riitta, kiedy wszystko się skończyło, a pacjenta odwieziono do sali pooperacyjnej.

Opowiedziała Riicie o stanie mamy pod koniec zimy, gdy zakończono krótkie leczenie cytostatykami.

- Chciała wracać do domu. Próbujemy jakoś sobie dać radę przez te ostatnie dni.

Riitta delikatnie dotknęła ramienia Eleonoory. Gdzieś z najbardziej chronionego i ukrytego wnętrza jej samej buchnęło znane uczucie: wdzięczność za troskę, niepozbowiona odrobiny zdziwienia. Ludzie byli nieskończenie dobrzy, mądrzy i czuli wśród całego tego pośpiechu, zebrań, zaproszeń na kolację, zapachów środków dezynfekujących, notatek ze spotkań.

Chciała wyznać Riicie to, co próbowała przekazać Eero każdego dnia na różne sposoby, utyskując, że coś jest źle posprzątane, że trzeba pójść do sklepu lub że znowu nie miał kto pozmywać.

Nie wiem, czy potrafię być bez matki, nie wiem, czy się tego nauczę w nadchodzących tygodniach, czuję, że zabierze mi to całą resztę życia.

- Jest coraz mniej czasu - zdołała tylko powiedzieć.

- Jak zawsze - odparła Riitta. - Rozmawiaj z nią, wspominaj to, co było. A kiedy nadejdzie czas, po prostu pozwól jej odejść.

Oto właśnie chodziło: pozwolić odejść. Puścić. Ona nie odpuszczała, ani na jedną chwilę, nikomu. Zawsze wszystko kurczowo przytrzymywała, próbowała wszystko zebrać razem, nie chciała, żeby się rozpadło. Skąd przyszła ta troska? Dlaczego zaczęła siebie uważać za tę, która musiała dźwigać na swoich barkach cały świat?

Jedna łza, potem druga, potoczyła się po jej policzku.

Riitta ją objęła.

Ojciec odebrał telefon dopiero za trzecim razem.

- Był ktoś ze szpitala?

- Tak, pobrali krew, przynieśli pompę znieczulającą. Pielęgniarka pokazała, jak dawkować, ale mama nie chciała jeszcze się podłączyć. Uznała, że na razie nie ma takiej potrzeby.

- Jadła już?

- Jeszcze nie. Trochę źle się czuła.

Eleonoora poczuła, jak faluje pod nią podłoga. Uczepiła się wzrokiem kawałka mydła leżącego na skraju umywalki.

- To znaczy... - usłyszała swój głos.

- Tak po prostu - odparł ojciec. - Leżała przez całe rano, nie miała siły wstać.

Eleonoora starała się wyśledzić wszystkie najmniejsze zmiany tonu w głosie ojca.

- Przyj edziemy do Tammilehto z Anną pod wieczór. Nie dotykajcie pompy znieczulającej, sama sprawdzę, jak działa.

Wiedziała, że denerwuje ojca poleceniami, ale nie mogła nic na to poradzić. Przebrała się, otworzyła drzwi, przeszła przez korytarz. Wokół rozpościerał się szpital niczym kulisy pracowitości.

Sprzedawczyni w stołówce wystawiała pączki z różową polewą, obok przeszła pośpiesznie pielęgniarka, skinęła jej głową.

Eleonoora wybrała numer Anny. Zadzwoiła sześć razy. Przypomniała sobie, że Anna jest w pracy, i napisała do niej wiadomość.

Wybrała numer Eero. Pozwoliła, by ogarnął ją zły nastrój.

Pozwoliła mu nadejść dwie sekundy wcześniej, zanim Eero odebrał, ale z jakiegoś powodu - nie wiedziała dokładnie dlaczego - ton jej głosu zmienił się w ostatniej chwili na nieco znużony i wymagający.

- Gdzie jesteś?

- W pracy - odpowiedział Eero. - Zaraz idę do domu.

Eleonoora znowu nie zdołała powiedzieć tego, co tak naprawdę chciała. Zawsze nakładała maskę, żeby Eero przyszedł i zaczął tę maskę zdejmować, czule, cierpliwie, kawałek po kawałku.

- Jedziemy na noc do Tammilehto, kup Marii i sobie coś do jedzenia.

- Dobrze - odparł Eero.

- Nie używajcie jeszcze grilla. Maria powiedziała, że dzisiaj go umyje, ale chcę być przy tym, jak będziemy go używać po raz pierwszy.

- Dobrze - powtórzył znów Eero.

Na chwilę w telefonie zaległa cisza rozciągająca się między nimi jak niewidzialna nić.

- Dasz sobie radę? - spytał Eero.

Nie odpowiedziała od razu. Jutro wieczorem, kiedy wróci, zamkną drzwi od sypialni, oprze się o niego i pozwoli, żeby płacz nadszedł. Wypowie na głos to, co teraz tak w sobie dusi. Drzwi od pokoju będą zamknięte, ściany będą ich chronić, położą się pod łóżkiem i zbudują tam mały domek. Będą się czuli przez chwilę tak, jakby śmierć nie istniała.

- Tak, dam sobie radę - odparła wreszcie.

Matka poprosiła, żeby Eleonoora przyniosła jej wodę. Eleonoora chciała, żeby to ojciec wyszedł na dwór, bo sama zamierzała zbadać matkę, ale tak, żeby ojciec tego nie widział. Był niezadowolony, kiedy przejmowała rolę lekarza. Ale co innego mogłaby robić? Łatwiej było jej obmacywać brzuch mamy niż wytrzymywać tępy ból niepokoju.

Przyjechali drugi raz ze szpitala z powodu złego stanu matki.

Mama była grzeczna i na dystans przez cały czas wizyty. Dopiero gdy odjechali, złość i rozdrażnienie wzięły nad nią górę.

Eleonoora nalała wody do szklanki. Mama próbowała pić, ale woda wywołała złe samopoczucie, szklankę trzeba było odstawić.

Kazała rozsunąć zasłony. Ale i to nie wystarczyło, zasłony trzeba było zdjąć, żeby mogła zobaczyć niebo. Kiedy Eleonoora już to zrobiła i od ściągania rozboleły ją na parapecie kark i ramiona, matka leżała przez chwilę, cierpiąc w plamie słonecznego światła. Potem poprosiła ją, żeby z powrotem powiesiła zasłonki.

- Co ci jest, zachowujesz się jak małe dziecko - wyrwało się Eleonoorze.

- Wyjdź, wyjdź stąd! - krzyknęła matka. - Zostaw mnie wreszcie w spokoju!

Eleonoora właśnie wieszala zasłony, ręka zatrzymała się w pół drogi, osłabła od krzyku matki. Spojrzała na nią, nic nie rozumiejąc.

- Czemu nie krzyczysz na ojca, czemu nie jesteś taka dla innych, tylko dla mnie? Czy nie widzisz, jak jest mi ciężko?

Pytanie zabrzmiało niczym oskarżenie. Matka nagle zrobiła się zła.

- Ach, więc to o twój ból tutaj chodzi? Ale to chyba ja tu umieram.

- Nikomu nie pozwalasz sobie pomóc. Utrudniasz wszystkie próby pomocy.

- A jak mogłabyś mi pomóc?

Matka zamilkła na chwilę, zanim wypowiedziała najtrudniejsze zdanie:

- Wszyscy umierają w samotności.

Po raz pierwszy Eleonoora zobaczyła na twarzy matki rozpacz.

Z jakiegoś powodu twardo odpowiedziała na słowa, które padły, może dlatego, że chciała je szybko pokryć innymi słowami.

- I rzeczywiście umrzesz, jak będziesz się tak dalej zachowywać. Daj znać, gdy już postanowisz, czy przyjmiesz pomoc, czy nie.

Zamknęła za sobą drzwi głośniejsze, niż chciała. Zaraz za drzwiami wybuchnęła płaczem.

Płakała w tym domu jako pięcioletnie dziecko, wykrzykiwała oskarżenia pod adresem matki jako nastolatka, trzaskała drzwiami, może nawet tymi samymi. Biegła korytarzem, nienawidząc.

Teraz zdawało jej się, że od tego wszystkiego upłynęła zaledwie chwila. Nienawidziła matki i ojca tak mocno, że aż sama dziwiła się, skąd mogła brać się w niej taka nienawiść.

Weszła do kuchni, otworzyła zmywarkę, naląła wody do zlewu.

To był jej stary zwyczaj. Zawsze zmywała, gdy zaczynała płakać i czuła, że źle ją potraktowano. Zmywając, można było odegrać rolę męczennika, lecąca woda i choreograficzne ruchy sprawiały jej ulgę. Na zlewie stały dwa kieliszki, na dnie było trochę wina.

Otworzyła drzwi od szafki z koszem na śmieci. W środku zobaczyła pustą butelkę po syrahu.

Zanim zdążyła cokolwiek pomyśleć, złapała butelkę i ruszyła do sypialni.

- Co to jest? Piłaś wino?

Matka sprawiała wrażenie, jakby nie rozumiała pytania.

- Pijesz sobie tutaj wino, a potem narzekasz, że cię boli, tak?

Z kim piłaś, z Anną?

- Z twoim ojcem. Dorosły człowiek może sobie czasem pozwolić na kieliszek wina.

- Nie może, jeśli jest w takim stanie jak ty.

- Nic o tym nie wiesz - odparła nagle matka zduszonym głosem. - Myślisz, że wiesz wszystko o bólu. Ale nic nie wiesz. Nic.

Eleonoora stała cicho, z przechyloną butelką w dłoni, czerwone krople skapywały na podłogę.

W oczach matki krył się gniew. Eleonoora przemknęła przez głowę, że ulżyłoby jej, gdyby matka umarła, ulżyłoby niewypowiedzianie, może nawet byłaby szczęśliwa. Odsunęła szybko tę myśl od siebie w ostatnim momencie, zanim pozwoliła jej wypłynąć na wierzch.

- Nawet nie wiesz, jak chętnie wzięłabym na siebie część twego bólu. Jeżeli to było tylko możliwe, mogłabym wziąć nawet cały.

Przypomniała sobie nagle bezradność, jaka ją ogarnęła, gdy Anna była mała i pierwszy raz poczuła ból.

Czasami wydawało jej się, że każdy płacz Anny oddalał ją od niej.

Kiedy miała dwa latka, Anna włożyła palce do piekarnika. Piekły razem pierniczki, była nieostrożna, pozwoliła Annie patrzeć, jak jasnobrązowe gwiazdki rosły w żarze.

Anna wskazywała małym paluszkiem ramiona gwiazdek, gdy ona wyciągała blachę ze środka. Odwróciła się na chwilę, na sekundę, zostawiła drzwiczki od piekarnika otwarte. I wtedy Anna się na nich oparła.

Oszołomione spojrzenie, zaskoczone. Zupełnie tak, jakby poczuła się oszukana. Eleonoora miała wrażenie, że to właśnie ona oszukała córkę. Wmówiła jej, że pieczenie ciasteczek będzie fajne, że takie będzie życie. A potem uśmiechała się do pierniczków, gdy jej dziecko doświadczyło strasznego bólu. To wszystko - poczucie, że ją oszukano, zdziwienie, że została sama, doświadczenie bólu - przez sekundę odmalowało się na twarzy Anny.

Pierwszy raz Eleonoora zobaczyła w Annie jedynie dziewczynkę. Moja córeczka, powstała ze mnie, ale jednak była odrębna, swoja własna.

Annę trzeba było zawieźć do szpitala, białe bąble były duże i nabrzmiałe. Co wieczór przez tydzień trzeba je było przekłuwać i smarować rączki grubą warstwą maści. I co wieczór Anna gorzko płakała.

Jej płacz zawsze się kończył, zawsze, gdy tylko Eleonoora pocieszała ją wystarczająco długo. Ale już odtąd widziała w Annie obcego człowieka, tego drugiego, który stopniowo sam zaczął się rozwijać, który po każdym płaczu się od niej oddalał.

Eleonoora spojrzała na matkę i wyciągnęła bezradnie ręce.

- Powiedz, co jeszcze mogłabym zrobić. Powiedz.

Matka była przez chwilę cicho. Potem klepnęła ręką w ramę łóżka.

- Chodź tu.

Wzięła ją w ramiona. Eleonoora się poddała. Tak samo leżały przytulone, gdy była dzieckiem.

- Twój ojciec tego nie wytrzyma - powiedziała nagle matka. - Udaje mocnego, ale tego nie wytrzyma, widzę to.

- Owszem, wytrzyma.

- Ty tego nie wiesz.

- Jak to? Przecież zawsze był tutaj. Dziesiątki lat, rok po roku.

Przecież zawsze był blisko ciebie. To nie jest mało.

Matka spojrzała w okno, jej twarz się skurczyła.

- Tak, to nie mało - powtórzyła.

Leżały obok siebie. Eleonoora przeniosła nogi na łóżko, wyciągnęła się.

Spróbowała powiedzieć innym tonem:

- Upiłaś się?
- Nie - odparła matka. - Tylko trochę. Trzy kieliszki.
- Trzy! Ty wcale nie umierasz! Masz po prostu kaca!
- Zawsze tak się mówi - odparła. - Kac to jak mała śmierć.
- Tak samo mówi się o orgazmie.
- Naprawdę?

Wreszcie mogła to powiedzieć. Wyrzuciła to zdanie z siebie lekko, jakby było jednym z wielu.

- Nie chcę, żebyś odeszła.
- Jeszcze nie odchodzę - odparła matka. - Jeszcze nie.

Otworzyły się drzwi do przedpokoju. Maria wołała już z daleka, stanęła w progu. Anna za nią.

- Jak samopoczucie? - spytała Maria od razu.
- Dobrze, zbieramy siły - odparła matka.
- Więcej leku przeciwbólowego? - Maria spytała Eleonoore, jakby asystowała jej w szpitalu.

- A gdzie tam. TU nie potrzeba żadnych leków - odparła babcia z lekceważeniem. - Tu potrzeba piosenki. OB powyżej sześćdziesięciu, CRP doszło do stu. Z tego naprawdę można by zrobić piosenkę, nawet kuplet.

Anna odważyła się wreszcie wejść do pokoju. Podeszła z tyłu łóżka, uszczypnęła babcie delikatnie w palec u nogi.

- Przecież mamy na wypadek bólu to zakłęcie. Jak to było?
- Zakłęcie na rany - odparła Maria ucieszona.

Eleonoora zaczęła recytować pierwsze zwrotki.

- Wystarczy już - rzekła nagle matka niechętnym tonem.
- Czemu? - spytała Eleonoora. - Dlaczego nie chcesz, żebyśmy ci zaśpiewały?
- Czy nie dość już się tego nasłuchałam?
- Jak to? - zdziwiła się Maria. - Jak to się nasłuchałaś?

Eleonoora zerknęła na Marię, potem na Annę. Jej ręka spoczywała jeszcze na nodze babci. Anna spojrzała na nią, potem na babcie.

- Co? - spytała Eleonora i spojrzała po kolei na córki. - Co tu się dzieje?

Matka wzruszyła ramionami.

- Nic, zupełnie nic. No, a ten kuplet?

Anna uśmiechnęła się, Eleonoora zauważyła jednak nerwowość w jej ruchach.

Wybuchnęła płaczem dopiero, gdy podeszły do samochodu.

Z jakiegoś powodu włączył się alarm, Eleonoora próbowała pośpiesznie wystukać kod, ale wycie nasilało się, wwiercało niczym żądanie w uszy, krążyło po całej głowie.

Maria spytała o coś w tym hałasie, i właśnie wtedy Eleonoora zaczęła w końcu płakać. Maria obeszła samochód, podeszła do niej i wzięła ją w ramiona. Taką właśnie córkę wychowała. Taką, która podchodziła bez pytania, jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie, że matki czasami się załamują, matki, które powinny troszczyć się o robienie zakupów, o zmywanie i sprzątanie, i o leki, o alarmy samochodowe, tak samo jak powinny wytrzymywać złość własnych matek i ich rozkazy, które z trudem skrywały prawdę - powolną, lecz nieuchronną podróż w stronę niebytu.

Światła migotały, alarm wył.

- Ciii, już dobrze - mówiła Maria, jakby zawsze tak było, jakby jej ręce zawsze ją obejmowały.

Eleonoora zerknęła na Annę, rozpoznała w jej wzroku tę samą bezradność, którą ona tak często czuła, gdy Annę coś bolało.

W dniu, kiedy Anna poparzyła sobie ręce w piekarniku, w dniu, kiedy Anna wyznała jej, że ponad tydzień leżała na podłodze.

Zobaczyła niepewność Anny, zanim zamknęła oczy i pozwoliła, by cały ten świat na chwilę gdzieś odpłynął.

11.

Anna siedzi w saunie obok matki.

Mama polewa chochlą wodę na piec. Nic złego nie może się wydarzyć tak długo, jak długo otacza je para. Stare ściany sauny leciutko wzdychają.

- Dobrze się rozgrzała, choć podłoga jest już trochę przegniła - mówi mama.

Pojechały samochodem na zachód, były w wiejskim sklepiku, wymieniły parę słów ze sklepikarzem, kupiły z grzeczności za dużą jak na potrzeby dwóch osób rybę. Drzwi skrzypiały jak zawsze. Myszy, jeżeli jakieś były, z pewnością zdążyły już uciec.

Obrazy dziadka pozdrowiały je, przechowując w sobie wszystkie te zimowe chwile, które spędziły w pustych pokojach, nieoglądane przez nikogo.

To tu dziadek przynosił swoje najbardziej śmiałe próby malarskie, te, w których wizja momentu tworzenia zatrzymywała się w pół drogi i sterczała surowo jak nieoheblowana deska w podłodze.

Próby z impastem i z łączeniem różnych technik, które potem uznał za bezużyteczne. W piwnicy, pod starym łóżkiem, poniewierały się jedne na drugich płótna z dziwnej serii ideé fixe, na których dziadek ćwiczył niegdyś technikę rozpryskiwania farb.

Wszędzie porozlewane farby, jakby winem ochlapano ścianę, jeden kolor na drugim. I wydrapane potem szpachelką lub nożem kształty, wgłębienia, draśnięcia, zarysy postaci.

W szopie znajdowało się więcej obrazów z różnych lat, nie wszystkie z nich były dziadka. Czasami przyjaciel dziadka, artysta z Laponii, spędzał tu całe tygodnie, malując w szale i po pijaku swoje wizje na ścianach szopy: renifer płynący przez krajobraz, słońce jak rozżarzona kula ognia.

- Zamierzam wyrzucić futro zimowe - mówi Anna.

To wyzwanie.

- Szalony pomysł - odpowiada przekornie mama.

Anna rozpoznaje w tonie jej głosu raczej przyzwolenie niż zakaz.

- Umyłabyś mi plecy? - pyta mama.

Wszystko pełne jest dobrej woli. Ściany, wiaderko z wodą do mycia, kawałek mydła, które uparcie trwa w miętowozielonym kolorze, nie zważając wcale na nowe mody.

Mama siedzi przed nią. Ma zgarbione plecy. Można z nich wyczytać, że nie robi zbytniego hałasu wokół własnych trosk, raczej zbiera po drodze ze ścieżek i skrzyżowań

troski i zmartwienia innych.

- Jesteś bardzo szczupła - mówi Anna.

Nalewa do miski gorącej wody z kranu przy piecu, dodaje zapachu bagna zwyczajnego i jaśminu. Rękawica do mycia jest szczelna, Anna zanurza ją w wodzie i czuje, jak przestrzeń między palcami stopniowo staje się mokra. Masuje plecy zgodnie z ruchem wskazówek zegara, długimi, spokojnymi pociągnięciami. Wraca do niej wspomnienie z dzieciństwa, gdy któregoś ranka zachorowała i wymiotowała przed pójściem do przedszkola.

Mama kazała jej się położyć i masowała jej plecy. Szerokimi, okrężnymi, spokojnymi ruchami, aż złe samopoczucie powoli samo odeszło.

Gdyby ktoś ją o to poprosił, Anna potrafiłaby narysować na białym papierze wszystkie znaki szczególne na plecach matki.

Dwa znamiona na dole, powyżej bliznę, która została jej po pożarze w Tammilehto. W kształcie przekrzywionego krzyża, niczym wypalony znak.

Anna głaszcze powierzchnię blizny. Jako dziecko zawsze chciała słuchać tej historii od nowa. Była równie niezwykła jak opowieść o jej narodzinach. Mama jako dziecko - już sam ten fakt zdawał jej się niepojęty. Jak też mama mogła być bezbronnym dzieckiem, dzieckiem, któremu grozi niebezpieczeństwo!

- Kto cię uratował? - pytała zawsze.

- Tata. Wbiegł do środka i szukał mnie pośród dymu.

- Jeszcze zanim, jeszcze zanim, gdy...

Słowo nie chciało przejść jej przez gardło, ale musiała o nim pomyśleć, wydawało się tak niepojęte: mama, która nie była jeszcze mamą, mama jako dziecko, w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

- A babcia gdzie była?

- W saunie.

- I nie widziała, że dom się pali?

- Nie.

- I co było potem?

- Potem zabrano mnie do szpitala. Tata i mama czuwali przy moim łóżku, a kiedy się obudziłam, zobaczyłam mamę. Jeszcze nigdy nie widziałam na jej twarzy takiej ulgi jak wtedy.

- A dom spalił się na popiół, tak? Bum, spalił się na popiół i trzeba go było od nowa budować?

- No, nie do końca spalił się na popiół.

- Ale trochę, trochę się jednak spalił? A tobie został znak, na plecach, magiczny znak, który chroni cię zawsze, zawsze, od wszelkiego zła, tak że nic strasznego już więcej nie może ci się przytrafić?

- Tak, może to właśnie taki znak.

Anna rysuje czule rękawicą krąg dookoła blizny.

- Boli cię czasami?

- Tak - odpowiada mama słabym głosem, pogrążona w zadumie. - Kiedy siedzę zbyt długo na słońcu.

- Trzeba posmarować - mówi Anna. - Posmaruję po wyjściu z sauny, kiedy się wytrzesz.

Jaka mama jest mała, niby pisklak, nieco przygarbiona, otoczyła się ramionami.

- Czy opowiadałam ci, jak w zeszłym roku byliśmy z tatą w Stambule i poszliśmy do świątyni Hagia Sophia? Czy opowiadałam ci o tej kobiecie, która wtedy do mnie podeszła?

- Nie, mówiłaś tylko, że widzieliście malowidła ścienne, pozostałe po okresach bazyliki i meczetu. Tata potrafił o tym opowiadać całymi tygodniami.

Anna zaczyna naśladować głos ojca, sposób, w jaki rzuca faktami i odmalowuje swoje szerokie horyzonty myślowe, kiedy jest czymś podekscytowany. „Nigdzie indziej Europa nie doczekała się lepszej karykatury niż w Stambule. Mecze piłki nożnej, świątynie, meczety, kawiarnie, można by pójść w jakiegokolwiek miejsce, żeby zobaczyć całą Europę w pigułce. Ale by zobaczyć to, co w środku, trzeba jechać na obrzeża”.

Mama się śmieje.

- Dobrze. Prawił o tym kazania już podczas podróży.

Anna widzi mamę z profilu. Kiedy się śmieje, wygląda zupełnie jak dziecko. Kiedy jest mowa o ojcu, w jej oczach pojawia się czułość.

- Tata chciał wejść na górę, ale ja musiałam iść do toalety, więc wyszłam na zewnątrz. Kiedy w kolejce ściągnęłam bluzkę, tamta kobieta podeszła do mnie. Myślę, że była Amerykanką, taki miała akcent. Powiedziała: „You bear a cross on your shoulder, something horrible happened to you?”*

- Dziwaczka.

Mama milknie, opiera się plecami o gąbkę jak kot o głaszczącego.

Mokre ślady na szarym drewnie pomostu. Anna biegnie do końca, pomost kolebie się w znajomy sposób. Matka idzie tuż za nią, zarazem ostrzegając i przyzwalając.

- Tylko nie pływ zbyt daleko!

* (ang.) Masz krzyż na ramieniu, czy coś strasznego ci się przytrafiło?

Woda jest zimna. Na chwilę zapiera jej dech. Szok termiczny przechodzi po chwili w śmiech, który niesie się po wodzie. Na niebie widać nieśmiało rysujący się późnowiosenny księżyc.

Śmiech dociera aż do jego zabawnie przechylnego sierpa. Anna dostaje zadyszki, trochę prychnie i czuje, jak chłodne masy wody delikatnie obmywają jej brzuch.

- Jest ci zimno? - mama woła zaaferowana z brzegu.

Imno, mno, odpowiedział las.

Być może to najodważniejsza rzecz, jaką Anna kiedykolwiek zrobiła. Mama na pomoście, a ona tutaj, w otchłani wody, zarazem bezpieczna, jakby znajdowała się w łonie matki, i wydana na niebezpieczeństwa, gotowa, by wyjść na świat, poza jej zasięg.

- Tak! - krzyczy.

- Wracaj już - namawia mama.

- Zaraz! - Anna wzdycha jeszcze, nie patrząc na nią.

Odwraca się i spostrzega, że zapuściła się zaskakująco daleko.

Płynie długimi pociągnięciami rąk, między zimnymi i ciepłymi warstwami wody, jakby przemieszczała się z jednej podwodnej otchłani w drugą. To tak jest być rybą! Ta myśl przychodzi jej nieoczekiwanie do głowy, jak coś zabawnie pewnego. Wychodzi z wody, mama wyciąga do niej ręce, chwytą ją. Przez chwilę nic innego nie istnieje.

Stoją na pomoście.

Lato oddycha. Powierzchnia jeziora wygładza się i uspokaja.

Cisza wstępuje w niewidzialne framugi i krajobraz zapada z powrotem w niezakłócony sen.

- No dobrze - mówi mama. - A teraz z powrotem do sauny.

Przypłynął nur, obwieszczając swoją obecność miękkim nawoływaniem. Sauna trzeszczy, za oknem zaczyna się zmierzchać.

Anna wyciska na palec grubą warstwę kremu z metalowej tubki ismaruje nią plecy mamy.

Mama przytrzymuje włosy w górze lewą ręką, głowę ma lekko przekrzywioną, piersi zwisające.

- Robi się czerwona? - pyta.

- Trochę.

Anna nadal smaruje plecy matki, krem ucieka z blizny, rozpościera się perliście na łopatkach. Od samego początku te uczucia były stworzone dla siebie, może pączkowały już wtedy, gdy usta pierwszy raz poszukiwały piersi, a ciało oddzieliło się ostatecznie od

drugiego. Teraz Anna czuje to niezwykle mocno: czuje, co to znaczy mieć w sobie troskę, i strach, i dumę, z powodu tego człowieka - Eleonoory Ahlqvist, Elli.

- Czy teraz jest dobrze? - pyta.

Ella potakuje.

- Troszczysz się, jakbyś była czyjąś matką.

Anna milczy. Jej palce zaczynają się poruszać trochę niespokojnie, zataczają małe koła. Krem zalega w przezroczystych zgrubieniach na skórze matki. Ma nadzieję, że mama nie zada jej tego pytania, choć wie, że zaraz to się stanie. Mama pyta:

- Widziałaś się z tą dziewczynką, z Lindą, w ostatnim czasie?

Jak łatwo wymówiła imię. Ta dziewczynka. Linda.

- Nie. Nie widziałam.

- Czy nie będzie teraz obchodzić urodzin?

- W przyszłym tygodniu.

- Ile lat skończy?

Skończy, mówi mama, a nie by skończyła. Linda będzie zdmuchiwać gdzieś świece z tortu również w tym roku. Jej mama będzie się uśmiechać i powie: „Świetnie, jesteś już dużą dziewczynką!”. To wszystko jest prawdą, gdzieś indziej.

- Pięć - odpowiada Anna. - Skończy w tym roku pięć lat.

Musi się odwrócić. Czarna plama atramentu wlewa się w nią jak w butelkę. Kiedy Linda skończyła trzy latka, kupiła jej w wesołym miasteczku watę cukrową. Teraz ma wrażenie, jakby to wszystko przydarzyło się komuś innemu.

Wkłada majtki, dzinsy. Mama unosi głowę, obserwuje ją przez chwilę.

- Chcesz, żebym zaplotła ci warkocz? Taki sam jak wtedy, gdy byłaś mała?

- Tak - odpowiada beztrosko Anna i uśmiecha się.

Siada na stołku. Mama rozdziela jej włosy na trzy pasma.

I Anna znów jest sobą. A mama znów jest mamą, ma pewną rękę, wie, co trzeba zrobić.

Smażą rybę na węglach w kominku, doprawiają do smaku oliwą, solą i pieprzem, pozwalają, żeby sobie skwierczała w folii.

Mama robi sos z masła i cebuli do młodych ziemniaków. Wyciągają z szafy lniany obrus, cały pomarszczony, rozkładają go na stole, ustawiają talerze.

Mama nalewa białego wina do kieliszków i pilnuje ryby, gdy Anna otwiera drzwi i wychodzi w zmierzch nabrzmiewającego lata. Chce uciąć kilka gałązek jabłoni na stół.

Idzie wąską ścieżką do szopy. Kamyczki na ścieżce wydają się gładkie pod jej nagimi

stopami. Krzyk nura, gdzieś na drugim brzegu jeziora, staje się coraz bardziej przenikliwy. Kos na gałęzi drzewa tęsknie wyśpiewuje swoją znaną, smutną piosenkę, która w uszach Anny zawsze miała odcień durowy.

Z zamglonej ciemności wyłania się szopa. Drzwi skrzypią.

Znajomy zapach terpentyny, benzyny i trocin dociera do nozdrzy Anny. Anna zanurza się w nim na chwilę, tak jak przed chwilą zanurzała się w wodzie.

Nożyce ogrodowe wiszą na gwoździu. Anna zapala światło.

Stare farby w proszku, puste puszki po lakierze, zaschnięte kleje ipędzle. Drewniane listwy na półkach.

Anna pozwala, by jej wzrok błędził po szopie, po ułożonych na półkach zwojach rysunków węglem, po porzuconych próbach mieszania farb. Większość prac to szkice, a mimo to nie powinny się tu znaleźć na łasce wilgoci. Każde muzeum sztuki zakupiłoby je przecież do swoich zbiorów.

Sponiewierane, wiele razy zamalowywane płótna wiszą na sztalugach w głębi szopy. Anna podchodzi i ogląda je w roztargnieniu.

Zaczyna niefrasobliwie myśleć o tym wszystkim. O lesie, o niebie, o szopie, która uparcie tkwi na swoim miejscu, dzień po dniu, rok po roku. Być może czasami wiewiórka skacze po jej dachu, który coraz bardziej pokrywa się mchem. I jeszcze te niedokończone obrazy, odrębny kawałek rzeczywistości, tu, w środku zgiełku całego świata.

Zamyka za sobą drzwi trochę z żalem.

Ucina z najbliższej jabłonki kilka gałęzi. Trzaskają z chrzęstem jak kości.

Kiedy wraca, mama wychodzi na ganek.

- Jak jest w środku?

- Znajomo, wszędzie chaos.

Mama wzdycha dobrotliwie, wyczerpana.

- Ktoś powinien to uporządkować, posegregować obrazy.

Ojciec nie ceni swoich starych prac na tyle, żeby chciało mu się nimi zająć.

Anna wzrusza ramionami.

- Może będziemy mogli przyjechać z Matiasem i zrobić tu porządek.

- Byłoby miło z waszej strony. Jeżeli babcia jeszcze tu przyjedzie, moglibyście wysprzątać wszystko na jej przyjazd.

- Dobrze - odpowiada Anna.

Uśmiecha się bez wysiłku, podaje mamie kwitnące gałęzie.

Mama odwzajemnia jej uśmiech.

- No to teraz idziemy jeść - mówi.

1964

Kerttu czeka na skrzyżowaniu. Wrzesień, wysoka kopuła nieba, powietrze jest przejrzyste. Miasto nic jeszcze nie wie o zimie.

Kerttu ma nowy styl, odkryła go latem, gdy była u krewnych w San Francisco. Czarny golf, dzinsy, przymglone oczy, jakby postanowiła, że odtąd w jej spojrzeniu będzie można odkryć zagadkowość życia. Wyszczotkowane na połysk włosy opadające z obu stron głowy.

Upłynie chwila, zanim przyzwyczaję się do takiej Kerttu. Jeszcze rano miała na sobie pończochy i krótką spódniczkę.

- No dobrze - mówi. - Chodźmy, świat czeka na zmiany!

Zwabiła mnie tutaj, choć nie miałam ochoty ani czasu. Egzamin na karku, a poza tym w moim życiu pojawili się właśnie mężczyzna i dziewczynka, i spędzane wspólnie z nimi dni. Ale Kerttu nie dawała za wygraną. Przyspieszam kroku, żeby ją dogonić.

- Dokąd dokładnie idziemy?

- Na zebranie - odpowiada Kerttu i nic więcej nie tłumaczy.

Na miejscu jest garstka młodych. Obok mnie migają okulary w grubych oprawkach, wszędzie śmierdzi papierosami, pod sufitem kłębią się niewypowiedziane nadzieje i marzenia, których jeszcze nikt nie potrafi wykrzyzczeć. Dziewczyna w czerwonej spódnicy mówi coś o wojnie w Wietnamie, ale chłopak w zielonej koszuli nie słucha, snuje w myślach wielkie plany na wieczór.

- Czy to nie ekscytujące? - Kerttu szepcze niskim głosem przed wejściem do środka, ale mimo to powstrzymuje uśmiech na twarzy.

Dziewczyna w kącie rozpoznaje ją, od razu dostrzega jej dzinsy. Ogarnia mnie radość, dociera aż po koniuszki palców. Jestem w towarzystwie Kerttu, to właśnie ja jestem jej przyjaciółką i dlatego jestem tą nową.

Siadamy w rzędzie z przodu obok chłopaka, który pachnie przetłuszczonymi włosami i wczorajszym czerwonym winem. Pamiętam go z uniwersytetu, ma na imię T&pio. Dwa lata temu na wykładzie ze wstępu do teorii społecznych pożyczył mi długopis i wyszeptał: „Powiedz, że to mówiłem - Rousseau jeszcze powróci”.

Zaczynają się przemówienia. Jest jak w sejmie, z tą różnicą, że tu dominują zapał i szczupłe talie. Łysiejący na skroniach i ubrany w aksamitny płaszcz mężczyzna mówi o Mao.

- A więc to Chiny podziwiają - szepczę Kerttu do ucha. - Ale czy tam przypadkiem nie panuje głód?

- W Afryce, tam to dopiero jest głód - odszeptuje Kerttu. - Ale teraz słuchaj.

W sprawie Wietnamu wszyscy są jednomyślni. Jeden z chłopców wstaje i wyraża protest w formie wiersza.

Wszyscy kiwiają głowami z aprobatą. Podnoszą ręce w geście poparcia. Ja też, choć jestem tu tylko w połowie. Nie mówię nikomu, że część mnie została na Sammonkatu. Co by pomyślała Kerttu, gdyby wiedziała? Nagle przypomina mi się dłoń mężczyzny. Myślę o jego brzuchu, o miejscu, w którym zaczyna się owłosienie. To prawdziwe szczęście znać takie miejsca u drugiego człowieka, jego niezbadane obszary.

Przez jedną obezwładniającą chwilę mam w zasięgu cały świat, kiedy myślę o jego brzuchu. Im się wydaje, że wiedzą. Planują przyjacielską wizytę w Berlinie, sprzecząją się, czy wieczór piosenki może służyć wyrażeniu poglądów. Jednak to nie oni mają w sobie cały świat, ale ja.

Dziewczynka podała mi wczoraj rączkę, wspięła się na moje kolana, trzymałam ją. Nakarmiłam i położyłam do łóżeczka. Jej włosy pachną jabłkami, skóra - trochę stęchlizną. To jej własny zapach. Jej oddech rankami jest trochę ostry. Pupa wbija się w moje uda tak, że muszę ją trochę przesunąć, żeby jej dwie ostre jak dłutka malutkie kości siedzeniowe nie wwierciły się we mnie. Potem otaczam ją ramionami. Opiera na mnie główkę.

Eeva, chcę, żebyś była u nas zawsze!

Kiedy wczoraj już spała, przez chwilę stałam cicho w drzwiach.

Mężczyzna podszedł blisko. Nie musiał o nic pytać. Nie zgasiliśmy światła. Zanim zaczęłam go smakować, przyjrzałam mu się z bliska. Ten świat w porównaniu z tamtym wydaje się jedynie rzadko utkaną gazą.

Na zakończenie spotkania kobieta o dźwięcznym głosie śpiewa dziwną piosenkę, jakiej jeszcze nigdy nie słyszałam. Przez chwilę patrzy na mnie i widzę w jej oczach tęsknotę. Zupełnie jakby tęskniła za brzegiem Morza Czarnego, choć nigdy nie zanurzyła stopy w jego słonych wodach.

Kiedy zebranie się kończy, Kerttu nie może usiedzieć w miejscu.

- Chodźmy do knajpy, muszę się napić.

Widzę go dopiero wtedy, gdy zdjęliśmy już płaszcze. Siedzi do mnie plecami. Lauri coś mu tłumaczy, zatacza rękoma szerokie koła. Potem mam się dowiedzieć, że Lauri już wie. Należy do tych, którzy muszą łagodzić ostrość prawdy potokiem słów.

- Tam siedzi twój artysta - mówi Kerttu.

- On nie jest mój.

Upłyną jeszcze całe miesiące, zanim odważę się użyć tego słowa: mój.

Kerttu zmierza władczyimi krokami do jego stolika. To jedna z tych chwil, które

później staną mi się znajome. Muszę poprosić wzrokiem o przyzwolenie, żeby usiąść obok niego. Uśmiecha się.

Jeżeli coś się już zaczęło, nie daje tego po sobie poznać.

Dwie rzeczywistości przenikają się nawzajem. Ta druga, utkana ze snów, kołysze się nad naszymi głowami. Właśnie teraz może stać się prawdziwa, jeżeli tylko wyciągniemy po nią dłonie.

Pozwalamy jej trwać.

Kerttu mówi wprost, wskazując głową w stronę kieliszków.

- Jeśli nam też postawicie do posiłku kieliszek, a najlepiej dwa, to powiemy wam, co w trawie piszczy.

Mężczyzna się uśmiecha. Później dowiaduję się, że to jego uśmiech obronny, zarezerwowany na sytuację, kiedy kobieta, którą ceni, wyzywa go na pojedynek. Nigdy mnie nie ma, kiedy uśmiechając się w ten sposób, patrzy na Elbę. Nie ma mnie w dni, gdy się sprzecają, wyznają sobie czułość za pomocą tego spojrzenia. Elsa pyta: „A jeśli pójdę popływać, przeszkodzisz mi?”. Mężczyzna patrzy na nią w taki właśnie sposób i oboje wiedzą bez słów, że już od dawna nie musieli śnić o sobie.

Ale teraz ten uśmiech skierowany jest do Kerttu.

- Kim jesteś?

- Eeva nic ci o mnie nie mówiła?

Kerttu przenosi wzrok na mnie i mówi z wyrzutem w głosie:

- Nic o mnie nie mówisz!

- Eeva mówi, co chce. Mówi to, na co ma ochotę - odpowiada mężczyzna. Teraz patrzy na mnie.

- No, to może zamówmy wreszcie to wino - odpowiada Kerttu.

Mężczyzna kiwa na kelnera.

Kerttu udaje, że musi iść do toalety, prosi, żebym z nią poszła.

- Przecież widzę, co się tu wyprawia. Nawet nie próbuj zaprzeczać. Ale nie myśl sobie, że to coś nowego. Że tak się nie działo nigdy wcześniej.

- Jesteś na mnie zła?

- Czemu miałabym być?

- Bo jest żonaty.

- Małżeństwa są dla tchórzy!

Nagle Kerttu obraca się, patrzy na mnie:

- Musisz mnie przedstawić jego przyjaciółom. On zna ich wszystkich. Chętnie

zamieniłabym parę słów z tym poetą.

- Z nim nie warto nic zaczynać, nie słyszałaś, jaki on jest?

Można wylądować w urzędzie stanu cywilnego, jeśli przypadkiem powie się „cześć”.

- Ale chociaż myśli - odparła Kerttu. - Wie więcej niż inni.

- Jaki to ma związek?

- Jak to jaki? To ma związek z solidarnością narodów!

- Ach tak.

Kerttu przez chwilę milczy. Potem pyta:

- Czy ty go kochasz, czy już go kochasz?

- A nawet jeśli, to co? Będziesz się sprzeciwiać?

Kerttu mnie obejmuje.

- Nie, nie będę. Nie miłości.

Przy stole Kerttu rzuca mężczyźnie rękawicę.

- Co zamierzasz zrobić dla dobra świata? - pyta. - Co innego poza swoimi obrazami?

Mężczyzna przyzwyczajony jest do takich pytań. Do ludzi, którzy podchodzą w restauracji i chcą, żeby im objaśnił świat.

Do ludzi, którzy pytają go o zdanie i poglądy. Kerttu wie, że mężczyzna porusza się w kręgach, gdzie rodzą się nowe idee.

Chce chwycić każdą iskierkę. Więcej: sama chce ten ogień rozpałać.

- A co innego miałbym robić? - odpowiada, patrząc na Kerttu przez stół.

- Mnie nie pytaj, sam powinieneś wiedzieć, to ty znasz ludzi.

- Masz na myśli tych? - pyta mężczyzna i wskazuje na drugą stronę sali, na stolik w rogu, gdzie pijak na chwiejnych nogach zanoszą się falsetem. - Nie należę do żadnych kręgów. Nie zdradzają mi swoich najważniejszych pomysłów. Rozpoznaję już jego ironię, kryje się w kącikach ust. Ci, którzy jej nie znają, błędnie biorą ją czasem za uśmiech.

- Najwyżej dadzą mi wypić przy stole kieliszek czy dwa - dodaje.

- Co myślisz o Wietnamie? - pyta Kerttu zaczepnie.

Wciąż wyobraża sobie jeszcze, że on kroczy w pierwszym szeregu zmian, bo zna poetę i innych. Wietnam to pytanie kluczowe.

Mężczyzna się uśmiecha.

- Stawiasz mi wielkie pytania.

- Bo świat jest wielki.

- Nie wiem o Wietnamie nic ponad to, że sprzeciwiam się wojnie - odpowiada. - Jestem przeciwny działaniom Amerykanów w Wietnamie.

Kerttu potakuje.

- No i?

- Co nie oznacza, że popieram tych, którzy są przeciwko nim.

Kerttu jest zawiedziona, parska, wypija wino do końca.

Myśli. Szuka najostrzejszego kolca, szybkiego zdania, które mogłaby rzucić przez stół.

- To, że trzymasz Schjerfbeck do góry nogami, nie czyni z ciebie mniej mieszczańskiego. Z powodu klasy średniej, ludzi podobnych do ciebie, cały ten kraj skończy w szambie.

Mężczyzna śmieje się zaskoczony. Zerka na mnie, wie, że to ja jej powiedziałam. Potem wzbiera w nim złość.

- To co twoim zdaniem należałoby zrobić?

- Wymyślić plan. Uczynić nasz głos słyszalnym. Śpiewać lub tańczyć, cokolwiek, żeby tylko było to widać. Czemu ukrywasz się w swojej pracowni? Czemu nic nie zrobisz?

- Posłuchaj - mówi mężczyzna. - Ja już to widziałem. Widziałem to wszystko w Paryżu, kiedy jeszcze chodziłaś z plecaczkiem do szkoły. Widziałem, że to nie prowadzi do niczego. Politykę i sztukę trzeba trzymać z daleka od siebie, bo inaczej jedno zniszczy drugie. Sztuka staje się pusta, głosząc tylko jedną prawdę.

Tak ja myślę. Najlepiej, gdy nie wtrąca się w walkę przeciwnych poglądów.

Kerttu pożałowała swoich słów. Mężczyzna pyta mnie wzrokiem: kim ona jest, ta twoja porywcza przyjaciółeczka?

Chciałabym coś powiedzieć. Ale Kerttu wcale nie pragnie, żeby ktoś ją tłumaczył.

- W porządku - mówi mężczyzna. - Teraz możemy wypić jeszcze jedną kolejkę za różnicę naszych poglądów.

Jesień czeka na łaskę zimy. Jestem szczęśliwa, moje szczęście jest takie nowe! Opiera się na dziwnym porozumieniu, które zawieram z mężczyzną na tygodnie i na miesiące. Kiedy Elsy nie ma, ja mam rodzinę. Uczę się jej dopiero, ale już ją kocham.

Istnieją dwie rzeczywistości.

Jedna, w której jestem studentką filologii francuskiej, tą, która je bułki za markę i pije tanie wino. W tej rzeczywistości jestem tą samą Eevą, która biegła przez łąki i wymyślała zaklęcia, by ratować świat, którą mama w chwilach nienawiści szarpała za włosy, tą samą, która w drugiej klasie zakochała się na zabawie choinkowej w chłopcu, tym co nie dostał ani jednej kartki na święta. Miał na imię Heikki, a dziewczynka o imieniu Eeva kochała go, bo nie rozumiała jeszcze różnicy między litością i miłością.

I jest ta druga rzeczywistość, druga kobieta, która nosi to samo imię i przypomina Eevę mieszkającą na Liisankatu. Ale kobieta z drugiej rzeczywistości może sobie pozwolić na nieco więcej niż ta, która biegała po łące z zakłębieniem na ustach. W tej drugiej rzeczywistości Eeva ma mężczyznę i dziecko, ściany kamienicy i noce, kiedy przekrada się, by spać u boku mężczyzny.

Ta druga rzeczywistość ma wyraźne granice. Zamyka się, trafia do przechowalni, czekając na następny raz zawsze wtedy, kiedy Elsa wraca. Ta druga rzeczywistość to rzeczywistość snów, a Eeva w tej rzeczywistości jest kobietą ze świata snów, choć jeszcze nie potrafię tak siebie nazwać.

Elsa jeszcze niczego nie podejrzewa, ja też nie czuję, jak kurczę się w uścisku obu tych światów, ani mężczyzna nie robi się chory z poczucia winy, ani dziewczynka nie zadaje nieśmiałych pytań, co to wszystko ma znaczyć.

Próg obu rzeczywistości jest zawsze ten sam. W wieczór poprzedzający powrót Elsy patrzemy na siebie z mężczyzną tak, jakbyśmy dopiero co się obudzili. Wiemy, co nas czeka, przygotowujemy się na powrót Elsy, wymieniamy uprzejmości, nie dotykając się nawzajem.

Elsa wraca z reguły w poniedziałki. Przeciagam długie pożegnania przez całe niedzielne wieczory.

- Dokąd idziesz, kiedy wychodzisz? - pyta dziewczynka, widząc, że się pakuję. Wkładam do torby bluzki, spódnice i rajstopy.

- Do domu.

- Nie możesz zostać?

- Wrócę później - odpowiadam.

Dziewczynka potakuje, puszczając rąbek mojej spódnicy.

Kiedy Elsa wraca, uśmiecham się nad kawą przy stole, opowiadam o nowych słowach dziewczynki, o tym, jak trochę płakała przez pierwsze noce, lecz potem się uspokoiła, jak uderzyła łopatką chłopca w parku i musiałam jej tłumaczyć różnicę między dobrem a złem.

Odwracamy z mężczyzną wzrok do okna i któreś z nas robi uwagę o liściach mieniających się w słońcu kolorami. Mężczyzna całuje Elsę. Patrzę na to, nie mogąc odwrócić głowy.

Nalewam Elsie kawy, bo nauczyłam się w te dni zachowywać tak, jakbym była tu gospodynią. Moja ręka drży.

Potem to ja biorę swoje skromne bagaże i jadę tramwajem do dzielnicy Kruunuhaka na Liisankatu. Rozpakowuję walizkę, siadam na skraju łóżka i nie wiem, co począć. Wieczór rozpościera się za oknami. Łóżko babci Kerttu, w kącie ciężka szafa wypełniona

niepotrzebnymi rzeczami, w salonie zegar ścienny, który zaraz wybije kolejną godzinę. Wkrótce nadejdzie noc i ostatni tramwaj zazgrzyta na zakręcie, a ja zasypiam, czując ciężar ręki mężczyzny na swoim biodrze, który jest jak zapowiedź bólu.

Wracam do swojego drugiego życia, czasem spotykam się z jakimiś chłopcami, chodzę na prywatki i zdaję egzaminy, i wszystko jest tak, jak powinno być. Nie potrafię jeszcze tęsknić za niczym innym.

- Mamo! - krzyczy dziewczynka, kiedy mnie już nie ma.

Cieszy się z jej powrotu. Świat dziewczynki jest taki prosty:

Eeva przychodzi, Eeva odchodzi.

- Pewnie lubisz Eevę?

- Lubię - odpowiada.

Wspina się na kolana Elsy.

- Tęskniłam za tobą, mamusiu - mówi nagle niewyraźnie, z płaczem tuląc się do Elsy.

- Naprawdę? - mówi z rozczuleniem Elsa. - Moja kochana córeczka - dodaje i całuje dziewczynkę.

Wieczorem, przed snem, przykrywa ją w łóżeczku i czyta bajkę. Mężczyzna całuje Elsę w kark. Żałuje. Poczucie winy rozciąga się w nim jak czarny obszar, próbuje pokryć czułością wszystko to, co robił pod jej nieobecność. Myśli o mnie, o tym, jak ścisnęłam udami jego boki.

Nagle dziwi się, skąd w nim ten niezrozumiały pociąg do mnie, zaczyna myśleć, że to może tylko chwilowe zauroczenie.

Słyszy moje jęki w uszach i przechodzi go dreszcz, w którym kryje się zarówno pożądanie, jak i przerażenie.

Przypomina sobie moje ciało, moje małe piersi, mój brzuch, który być może jest nieco za biały, mój uśmiech, który, gdy teraz to wspomina, wydaje się trochę zbyt śmiały i kuszący.

Dziewczynka szarpie się, bo tęskniła za mamą, piszczy, nie chce od razu iść spać. Kiedy wreszcie zasypia, mężczyzna rozbiera żonę w sypialni i robią to tak długo, jak długo starcza im sił i czułości.

Kiedy leżą obok siebie, Elsa pyta:

- Jak wam było tym razem?

- Dobrze - odpowiada mężczyzna sennym głosem.

- A Eeva? - pyta dalej. - Miałaś z niej pomoc, miło spędziliście czas?

- Tak, Eeva bardzo mi pomagała. Porządna z niej dziewczyna.

Elsa wkrótce zapada w sen. Mężczyzna leży obok niej, nie mogąc zasnąć. Postanawia,

że tamto trzeba skończyć.

Dzwoni. Nie spał u boku Elsy przez całą noc, obwinał siebie, w końcu postanowił.

- Trzeba to skończyć - mówi od razu.

Nic nie odpowiadam.

- No więc - mówi. - To już koniec, dobrze?

- Dobrze - odpowiadam.

- Przyjdiesz, przyjdiesz następnym razem i będzie tak, jakby nic się nigdy nie stało.

Zgoda? - pyta.

- Zgoda.

Rozłącza się. Myśli, że kiedy zdarzy się następny raz, jeżeli w ogóle nadal będę im pomagać, gdy Elsy nie będzie - bo przecież może wymyślić jakiś pretekst, by zatrudnić kogoś innego - uda mu się traktować mnie jak Hilnę. Rzeczowo, przyjaźnie, ale bez czułości.

Tydzień później dzwoni do drzwi. Wydawało mi się, że złapałam przeziębienie, spędziłam rano w domu, zrobiłam herbatę, powinnam była poczytać, nudzi mi się, mam na nogach stare wełniane skarpety mojej mamy. Jest popołudnie, słońce ostro świeci, w tym roku już pewnie po raz ostatni.

Otwieram drzwi na korytarz i nie jestem zaskoczona, gdy widzę go na schodach. Wchodzi na górę.

Nie ma już powrotu, nie można się cofnąć.

Ma przy sobie rekwizyty gościa przychodzącego z wizytą, bułeczki korvapuusti w papierowej torebce. Wie, że je lubię.

Pachnie znajomo, ostro i zarazem miękko.

- Przyszedłeś, żeby ustalić reguły?

- Przyszedłem szukać pewnej kobiety, która przybyła tu z pola znad skraju lasu.

- Tu mieszkają tylko światowe kobiety.

- Z jakiego to świata?

- Ze świata snów.

- Chyba nie tylko - odpowiada. - Kobieta, której szukam, to chodząca czułość.

- A, ta. Wyjechała do innego miasta, powiedziawszy, co miała do powiedzenia, zanim się spakowała.

- Co powiedziała?

- Że chyba się zakochała.

- Naprawdę? I co się stało?

- To trochę skomplikowane, tak powiedziała. On chce wszystko skończyć, choć

jeszcze nawet się nie zaczęło.

- Głupiec - odpowiada mężczyzna. - Powinien zgubić się w lesie.

- I wilk zjadłby mu nogę.

- Ale nie rękę.

- Ale nie rękę.

- Jak myślisz? - pyta mężczyzna. - Co ona teraz zrobi? Kiedy już wróci z innego miasta.

- Zaprosi go do środka, zaparzy kawę, przez chwilę będą rozmawiać ze sobą jak obcy.

- A potem? - pyta.

- Potem... - mówię beztrąsko, jakbym opowiadała o płynących chmurach. - Potem wszystko zależy od niego, od tego, co będzie chciał zrobić.

- A ona, czy ona nie ma prawa głosu?

- Ależ oczywiście. Jednak ona jest z tych, którzy myślą, że nikt nie może sobie pozwolić na to, by przeoczyć miłość. Że nikt nie jest aż tak bogaty, by mógł po prostu ot, tak sobie, przejść obok miłości. I dlatego nadal trzyma drzwi otwarte.

Mężczyzna przekracza próg, wchodzi do środka, bez wysiłku, jakby progu w ogóle nie było.

Wrzucam odmierzoną kawę do garnka, patrzę, jak się gotuje, pianka podchodzi do góry, zdejmuję garnek z płyty. Jemy jedną bułeczkę na spółkę, popijamy kawę, jeszcze mętą od fusów.

Mężczyzna roznieca ogień w piecu kaflowym, znajduje w palenisku nadpalone w połowie listy babci Kerttu, z których jeden zaczyna się od słowa „ukochana”. Kto też mógł kochać zrzędliwą babcię Kerttu, próbujemy zgadywać. Drewno w piecu zajmuje się płomieniem od spodu, zmieniam płytę w gramofonie. Światło wypełnia wszystkie kąty, stary zegar szafkowy oznajmia, że właśnie minęła godzina. Podchodzę do mężczyzny. To, że opieram się o niego, wydaje mi się tak oczywiste.

Wkrótce zapraszam go do swojego pokoju.

Zegar wybija czwartą, słońce zachodzi, ludzie wracają z pracy, tramwaje zapełniają się nadziejami popołudnia i już mi nie jest zimno. W piecu kaflowym w salonie trzaska palące się drewno świerkowe.

Tata zawsze mówi, żeby nie palić świerkiem, zbyt dużo żywicy. Ale ja lubię te trzaski, są jak wystrzały na przyście nowego, dzielą czas na przeszły i nowy, który jeszcze nie przybrał kształtu.

Kiedy mężczyzna odchodzi, siedzę jeszcze przez chwilę na parapecie. Wzięłam od

niego papierosa, pokaszuję od dymu, ale mimo to palę. Ostre jesienne powietrze wchodzi do pokoju przez szparę w oknie, mam gęsią skórę. Zmierzch jeszcze nie zapadł, siedzę na parapecie tak długo, dopóki nie zapadnie.

Otwieram się na miłość. Pragnę jej i ją przyjmuję.

Jest jeszcze jedno uczucie, które nabiera kształtu, gdy tak siedzę. Łączy się z melancholią, skrywaną za miłością. Dotyczy Elsy i ma na imię wina.

Po tym pierwszym razie spotykamy się u mnie z rzadka również w te tygodnie, kiedy Elsa jest w mieście. Mężczyzna przychodzi zawsze popołudniami. Zostaje na dwie godziny, czasem trzy. Ściany są granicami naszego świata. Niemal nie wychodzimy na zewnątrz. Przynosi mi słodkie bułeczki, nieraz chleb.

Nasze bycie razem jest jak długa podróż, rozciągamy granice dnia, najpierw smarując masłem kupiony przez niego w piekarni chleb o twardej skórce, potem gotując mocną kawę, w końcu zamykając za sobą drzwi od mojego pokoju.

Czas wypływa przez szparę pod drzwiami, a my wnikamy nawzajem w siebie.

Miłość do mężczyzny to tylko jedna sprawa w życiu nowej Eevy. Druga, ukradkiem się rozwijająca, to miłość do dziewczynki.

Pod koniec jesieni zdążyłam się już jej nauczyć. Rozdrapuje rany, gdy zaczynają się goić. Jest niegrzeczna, gdy czuje zmęczenie, bije mnie wtedy i kopie. Czasami jest nieznośna i muszę jej stawiać zakazy. Kiedy robię to pierwszy raz, wpada w szal. Ja jestem tym bardziej zła, a potem płaczę w łazience.

Ale mimo zakazu nadal mnie akceptuje, może właśnie dlatego, że mówię jej „nie” i może doświadczyć, jak mocne jest moje postanowienie i gdzie jego miejsce, spostrzec, że jest jak ściana, stojąca niewzruszenie zawsze w tym samym miejscu.

Od razu, już w pierwszych tygodniach, chce, żebym ją usypiała, żebym była blisko niej, nim zaśnie.

Zasypia zawsze nagle, jak wtedy, gdy pierwszy raz zostałam z nią sam na sam. Chce posłuchać jeszcze jednej bajki. Choć już zamykają się jej oczy, nalega i sennie uprasza mnie tak długo, dopóki jej czegoś nie opowiem. Układam bajkę z tego, co przychodzi mi do głowy, i patrzę, jak powoli zapada w sen, a potem na chwilę się budzi, jakby sprawdzała, czy nadal tu jestem. Kontynuuję opowieść, żeby mogła mieć pewność, że nigdzie nie poszłam, że wciąż siedzę obok.

Pod koniec października, pewnego zwykłego wieczoru, dziewczynka robi sobie krzywdę. Mężczyzna jest jeszcze w pracy, a my bawimy się w berka. To najweselsza zabawa, jaką dziewczynka zna - raz za razem wymyka się z mojego uchwytu, piszczy, gdy już mam ją

złapać, śmieje się wniebogłosy.

Po dziesiątkach nagłych ucieczek nagle skarpetką zahacza opróg. Przewraca się z rączkami wyciągniętymi do przodu, uderza głową o drzwi.

- Ojejejej! - mówię.

Najpierw dziewczynka jest zupełnie cicho, jeszcze dwie sekundy, trzy, i wstaje, wygląda na zdezorientowaną. Przez chwilę myślę, że nie będzie płakać.

- Mocno się uderzyłaś? - zdążyłam ją jeszcze zapytać.

Potrząsa głową, potem otwiera usta i wtedy się zaczyna.

Płacz na początku jest cichy i chrapliwy, aż wreszcie przechodzi w wielki wrzask, przerywany co chwilę przez oddech dziewczynki. Przypominają mi się wszystkie moje płacze z dzieciństwa, kiedy nie mogłam zaczerpnąć powietrza, a katar spływał mi do krtani. Kiedy przez chwilę wmawiałam sobie, że nic dobrego już mnie nigdy nie spotka.

Dziewczynka wstaje, wtula się między komodę i grzejnik, zwija w kłębek i zanosi płaczem. Podchodzę, próbuję jej dotknąć, ale odpycha moje ręce.

- Kochanie, czy mocno cię boli, gdzie się uderzyłaś?

Widzę, jak na jej czole wyrasta lśniący, pulsujący guz.

- Mama - mówi. - Chcę do mamy.

- Twojej mamy teraz tu nie ma.

- Gdzie jest?

- Wyjechała, ale ja tu jestem.

Płacz dziewczynki jeszcze się wzmacnia, głos podnosi się o ton lub dwa.

Coś się we mnie łamie, nie wiem, co począć. Ja nie wystarczę.

Jej płacz porusza we mnie każdy lęk i każdy strach z dzieciństwa, kiedy budziłam się sama w nocy i nie znałam swoich granic.

Odpycham od siebie przerażenie i robię krok dalej. Znajduję słowa.

- Daj, podmucham.

Wyciągam ręce. Dziewczynka wstaje, wyczołguje się z kąta.

Najpierw staje obok, nie wspina się jeszcze na moje kolana.

- Chodź tutaj.

Siadam na podłodze. Biorę ją w ramiona. Jej małe ciało jest gorące, ból spowodował, że na skórze pojawił się pot. Guz robi się czerwony, pod skórą widać czerwone krzyżujące się drobne żyłki, wyglądające jak sieć pajęcza.

Przypominam sobie zaklęcie, które powtarzała mi mama. Słowa ulatują z zablźnionych już ran, unoszą się w powietrzu.

Dziewczynka słucha.

Dmucha, szepczę cicho zakłęcie do jej ucha, tak samo jak kiedyś, moja mama i babcia.

Dziewczynka już nie płacze. Ślad po łzach na jej policzku jest lśniący i czerwony.

Siedzi cicho, patrzy w kąt, kładzie delikatnie głowę na moje piersi. Coraz bardziej czuję jej ciężar.

Gdyby to uczucie miało jakiś kolor, byłoby żółte i zarazem trochę niebieskie.

Pamiętam uśmiech mamy w tych sennych chwilach, gdy siedziałam na jej kolanach, a ona pocieszała mnie w ten sam sposób. Wtedy widziałam wszystko z zewnątrz, nie przeczuwałam, że to uczucie będzie takie pełne.

Coś drga we mnie, jestem w sobie dużo większa i jaśniejsza niż kiedykolwiek przedtem.

12.

Jadą, po drodze mijają krajobrazy. Matias czasami kładzie rękę na udzie Anny.

Mieli dziwną scysję w domu przed wyjazdem. Zdania czają się jeszcze gdzieś nad ich głowami. Na kłótnię zanosilo się już od wielu dni. Czasem Anna wybuchała, zirytowana jakimś zdaniem, które Matias wypowiedział, jakimś jego gestem, sposobem, w jaki zdejmował skarpetki - zsuwając je z pięty palcami stopy i ciskając w drugi kąt pokoju, najpierw jedną, potem drugą - albo sposobem, w jaki dotykał dołu jej brzucha, mruczając „mrrmr”, jakby za każdym razem był zdziwiony, że koniec końców zawsze znajduje tam gęstwinę włosów.

- Co to jest? - spytał nagle Matias, kiedy Anna się pakowała.

Anna podniosła wzrok. Matias machał trzymaną w ręku kartką papieru.

- Nie wiem - odparła.

- Leżało tam, na stole - powiedział Matias. - Ty to pisałaś?

- Nie - odpowiedziała Anna, zanim zdążyła pomyśleć. - Tak - poprawiła się od razu. -

Któż by inny.

- Czytałem to - rzekł Matias.

- Dlaczego? Oddaj mi to zaraz!

Matias podniósł kartkę wysoko nad głowę i spojrzał na Annę.

Pomyślała, że w jego spojrzeniu kryła się drwina albo coś na kształt drwiny. Ale właściwie czemu? Matias był poważny. Wcześniej nie widziała go tak rozgniewanego. Podeszła i spojrzała.

Rozpoznała tekst, przeczytała pierwsze linijki.

Kiedy zobaczyłam Lindę pierwszy raz, nie byłam przygotowana. Mężczyźni pomyliły się dni, musiał iść do pracy. Obiecałam, że popilnuję dziewczynki przez kilka godzin. Stali w drzwiach, Linda trzymała plecak. Od dawna nie widziałam żadnego dziecka z tak bliska. „Czysta” - to słowo, które przyszło mi jako pierwsze na myśl i wcale nie oznaczało braku brudu, ale coś innego, świeżość. Jej rzęsy były niewiarygodnie długie, powieki krągłe, nosek wyglądał na miękki, wyrastał z buzi jak dojrzała jagoda.

Na twarzy widać już było ślady uczuć, ale smutek nie zagościł na niej jeszcze ani razu. Widziałam, że nie. Było to szczególne uczucie. Widzieć to, czego jeszcze nie ma, ale co wiadomo, że przyjdzie. „Daj jej kanapkę i sok, i nie pozwól jeść piankowych cukierków ze

stołu - powiedział mężczyzna. - Pobawcie się, możecie pójść choćby do parku.”

Tak też zrobiliśmy. Kiedy przeszliśmy przez ulicę, pomyślałam, że powinniśmy były uciec czym prędzej do bramy, żeby z mojej winy dziewczynce nie stała się krzywda, żeby przeze mnie nie pojawiła się żadna bruzda na jej twarzy.

Dziewczynka przerwała narastające we mnie przerażenie, łapiąc mnie za rękę. To takie proste: jej zaufanie sprawiło, że sama też zaczęłam wierzyć. Kiedy wszystko już się skończyło, zrozumiałam, że owszem, da sobie radę. Ze mną miało być gorzej.

Może od samego początku wszystko tak właśnie miało się stać.

Ona miała być tą, która narysuje smutek na mojej twarzy. Tą, której zniknięcie z mojego życia odbierze mi siły i sprawi, że będę leżeć przez całe dni na podłodze bez ruchu, nie mogąc wstać.

- Taka tam prozatorska twórczość - powiedziała Anna.

Matias patrzył na nią, nie odwracając głowy, chciał się dowiedzieć.

- Dlaczego mam wrażenie, jakbyś chciała zostawić tę kartkę na wierzchu?

- Czy ty jesteś jakimś stróżem prawdy? Chyba mogę tu pisać to, na co mam ochotę!

- Zostawiłaś tę kartkę na wierzchu, bo chciałaś, żebym to przeczytał, tak sądzę.

Zostawiasz takie rzeczy na stole do czytania. To nie przypadek.

- O czym ty właściwie bredzisz? Jakim prawem grzebiez w moich rzeczach?

- To było na stole, na naszym wspólnym stole do pracy. Nie udawaj, że myślałaś, że tego nie zobaczę.

- A nawet jeśli? Nie powinno się czytać cudzych pamiętników!

Matias popatrzył na nią w znaczący sposób.

- Pamiętników? Właśnie powiedziałaś, że to taka tam sobie prozatorska twórczość.

- Na jedno wychodzi.

- I ta twórczość dotyczy tego, co ci się przydarzyło. Twojego poprzedniego związku.

Tego, o którym nie chcesz mówić.

- Wszystko kojarzy ci się z moimi minionymi miłościami, daj już sobie wreszcie z tym spokój!

Matias się zaśmiał.

- To ty nie możesz dać sobie z tym spokoju.

- To ty znów zaczęłaś o tym mówić.

- Bo sama nic nie powiesz. Dla mnie to dziwne.

- A co miałabym opowiadać? Co o poprzednich mężczyznach można opowiadać nowym? Chcesz przeczytać moje zapiski w kalendarzu z zeszłego roku albo jeszcze

wcześniejszego, dowiedzieć się, z kim byłam na kawie w styczniu dwa lata temu? Co chcesz wiedzieć?

Matias wzruszył ramionami.

- Sama wiesz. Jeżeli jest coś takiego.

Odłożył kartkę z powrotem na stół. Leżała teraz między nimi.

Anna odwróciła wzrok.

Ale teraz Matias kładzie rękę na jej udzie, a ona jej nie odsuwa. To ich rytuał ugodowy.

- Zatrzymamy się w supermarkecie? - pyta Anna.

Matias patrzy na nią czule.

- Zatrzymamy.

Na parkingu Anna myśli, że mogłaby już na zawsze tak tu zostać, u boku Matiasa.

Widzi ich wspólne życie. Wokół nich podskakują dzieci, pokrzykują, chcą, żeby kupić im lody.

Zwykle chwile, wcale nie takie smutne, ale też nie takie, o których w wieku nastu lat i marząc o przyszłości, myślało się błędnie, że są niezbędne do szczęścia. Takie chwile, w których czuje się zniechęcenie, takie, których nie określa się wcale słowem „szczęście” - Anna wie, że to słowo będzie jej się kiedyś wydawać zbyt napszone i dziecinne, kiedy już pozna inne chwile - ale jakimś innym, zwykłej szym, które tylko pozornie wydaje się banalne. Zadowolenie.

Oboje w skrytości ducha lubią supermarkety. Lubią duże wózki na zakupy, które można pchać po alejkach, jakby sterowało się statkiem. Lubią sterty owoców i głupie, niezaplanowane zakupy - obręcze hulahoop i rękawice do grilla w kształcie raka, które zawsze robi się przy okazji w supermarkecie. Lubią pocieszne rodziny, które zgodnie kupują dziesięć litrów mleka zeroprocentowego i dwa rzędy opakowań jogurtów, rodziny, w których wszyscy chodzą w crocsach.

W dziale rybnym Anna wybiera sieję. Wędrują z roztargnieniem między półkami, wkładają do wózka warzywa na grilla, węgiel drzewny, rozpałkę w płynie, piankowe cukierki, lody.

Lody rozpuszczają się w miseczkach, Anna siedzi Matiasowi na kolanach na ganku.

Rozmawiają z roztargnieniem o filmie Szalony Piotruś Godarda, który widzieli w zeszłym tygodniu w archiwum. Matias uznał go za fragmentaryczny i pseudoartystyczny, Sara za szowinistyczny.

- Obraz kobiety u Godarda! - zachnęła się Sara, akcentując niedowierzenie. - Same

rozkapryszone księżniczki!

Do Anny jak tatuaż przylgnęło jedno zdanie, którego nie chce wyrzucić z głowy:

Jesteśmy utkani ze snów, a sny utkane są z nas.

Anna nie wie, czy zdanie miało dotyczyć kobiety, której mężczyzna nie mógł zrozumieć do końca, czy czasu, w którym żyli bohaterowie filmu, czy marzeń, bez których człowiek umiera, czy też może całej rzeczywistości, wszystkiego, co się wydarza między ludźmi.

Nieoczekiwanie ogarnia ją dobre samopoczucie, tak jakby była całkowicie sobą, a zarazem trochę kimś innym. Głos kosa rozbrzmiewa znajomo, jest głośniejszy niż ostatnio, choć ciemnej sylwetki ptaka już nie daje się wyłowić z gęstwiny liści.

- Jutro zdejmę podłogę, kiedy ty będziesz sprzątać w szopie - mówi Matias i wygląda na zadowolonego z siebie, tak jak czasami wyglądają mężczyźni, którzy całymi dniami pracują umysłowo i nagle mogą wziąć się do stolarki lub budowania i odkryć w sobie ukryte talenty.

- Nie zaczynaj sam niczego rozbierać. Zaczekaj, aż przyjedzie tata.

Uzgodnili, że rodzice i Maria przyjadą jutro. Dziadek i babcia też się zjawią, jeżeli stan babci na to pozwoli.

Anna słyszy w tym zdaniu rozkazującym swoją matkę, sposób, w jaki mówi czasem do ojca i którego Anna nigdy nie cierpiała. Teraz jednak ton tego zdania sprawia jej cichą przyjemność. Jest w tym boleśnie podobna do matki, ale wcale jej to nie przeraża.

- Ale przecież potrafię to zrobić - mówi Matias. - Zdejmę ją i będziemy mogli od razu położyć nową.

- No dobrze - Anna zgadza się i udaje poświęcenie, choć tak naprawdę jest zadowolona.

Tata zaproponował, żeby ułożyć nową podłogę na ganku sauny w zeszłym tygodniu, przeprowadził na ten temat z Matiasem męską rozmowę w przedpokoju. Annie przemknęło wtedy przez głowę, że być może tata zawsze chciał mieć syna. Mógł z Matiasem rozmawiać o deskach, gwoździach, wiertarkach, i wielkodusznie powiedzieć, patrząc na jezioro: "W lodówce jest piwo, weź sobie, jeśli masz ochotę".

Siedzą w saunie pełni dobrej woli, zdania z kłótni ulatują razem z parą. Potem Matias smaruje Annie ramiona i plecy, rozprowadza zapach moreli na jej łydkach i wszystko prowadzi do tego, co zdążyli już przeczuć.

Mgła unosi się nad trawnikiem, Anna widzi ją z okna, zanim położy się na lnianym prześcieradle, nieco wilgotnym od pary w saunie. Matias wchodzi w Annę zadziwiająco

ostrożnie i namiętnie. Nagle Anna ma wrażenie, jakby byli innymi ludźmi, którzy robią to ze sobą po raz pierwszy. Sama jest nieco bardziej namiętna niż w domu, a Matias - czuły i poważny.

Co też myśli sobie nur albo kos, kiedy słyszy to wszystko, przelatuje przez głowę Annie, zanim osiągnie szczyt rozkoszy.

Potem siedzą na ganku. Matias brzdąka na gitarze, Anna pije piwo z butelki, podciąga kolana do piersi. Jest trochę zimno, ale jeszcze nie aż tak bardzo. Czyta gazetę, którą znalazła w szufladzie stołu w przebieralni. Pisarz w średnim wieku i piosenkarka opowiadają o swoim nowym szczęściu.

Anna czyta na głos słowa pisarza: „Nareszcie wiem, co to jest miłość”.

- Z którego to roku?

- Z dziewięćdziesiątego siódmego.

- I mówi o tym?

- O czym?

- Co to jest miłość?

- Nie.

Poranek jest deszczowy. Przygnębiające chmury wiszą nad koronami drzew. Kos gdzieś zniknął. Matias wkłada stare dzinsy, idzie z narzędziami do sauny. Anna rusza za nim, przez chwilę patrzy, jak on z zadowoleniem pracuje.

Wraca ścieżką na górę. Otwiera drzwi do szopy. Ten sam zapach, szkice węglem na półce, próby malarskie na sztalugach.

Nie wie, od czego zacząć. Odsuwa na bok pudełka, puszki z farbą i narzędzia do pracy w ogrodzie.

Niemal od razu wpada jej w oczy obraz z pomarańczami. Jest niedokończony. Wygląda zwyczajnie, pewnie przesłaby obok niego, gdyby sobie o nim nie przypomniała. Na obrazie jest ona - gęste włosy, ciemne oczy, w jej spojrzeniu kryje się cała przyszła powaga.

Annę ogarnia nieprzeparte uczucie: nagle jest pewna, że nie będzie potrafiła dalej żyć, jeżeli nie dostanie tego obrazu. Musi go zabrać do domu. Musi go powiesić na ścianie. Zdjęcie, które wisiało w jej mieszkaniu na Pengerkatu przez dwa lata na ścianie - kiczowaty pastisz Aino - będzie mogło pokryć się kurzem w komodzie.

Ten obraz to w jakimś sensie streszczenie jej całej. Zawiera w sobie wszystko, czym była jako dziecko, i wszystko, co dopiero w niej zaczynało kiełkować. Jeżeli ten obraz miałby tu zostać, w szopie w Tammilehto, rzucony na pastwę pośpiesznych wizyt wiewiórek, ona zostanie razem z nim. Lub jeszcze lepiej: wróci do swego dzieciństwa, do tych bezkształtnych

lęków i nadziei, których nie potrafiła nazwać, ale rozpoznawała jako swoje.

Ostrożnie bierze obraz, stawia go przed sobą. Kiedy spojrzy się z bliska, można zauważyć, że dziadek zręcznie wymieszał farby, żeby wydobyć ciemną głębię jej oczu. Być może w malunku oczu kryje się jeszcze coś innego niż zwykle farby olejne. Dziadek miał w tym wprawę, od czasu do czasu dokładał czegoś do farb, to proszku aluminiowego, to znów srebra, popiołu lub trocin. Annę zaczyna nęcić myśl, że w jej oczach, w miejscu, gdzie zmiana odcienia wyraża nadzieję, w miejscu, które obrazuje wszystko to, co się jeszcze nie wydarzyło, a co dzieci już mają w sobie, jest odrobina srebra.

Kiedy wyteży umysł, potrafi przypomnieć sobie dokładnie, co myślała tego dnia, kiedy dziadek uwieczniał jej oczy. Podjęła wtedy poważne postanowienie, że nie będzie już kłamać, bo tydzień wcześniej ukarana została aresztem domowym za nabieranie Marii. Nabierała ją, wymyślając historię o porywaczach, jeżdżących czerwonymi samochodami i wyłapujących dzieci z ulic, przy których mieszkały, tak że Maria przez cały wieczór nie odważyła się wyjść spod łóżka.

Wieczorem w kuchni złościła się na mamę i tatę, aż musieli użyć zdań rozkazujących. Była wcześniej z dziadkiem u Eazera na lodach, dlatego niechętnie jadła teraz klopsiki na obiad - to też pamięta zaskakująco wyraźnie: ketchup i klopsy w kuchni, tykanie zegara, a potem czytanie o przygodach Tintina na dywanie w salonie. Zwyczajny dzień, który przyniósł taki obraz dziecka, jego nadziei i zmartwień, ukrytych pod zabawami i nuconymi piosenkami.

Anna postanawia, że zabierze obraz choćby ukradkiem. Da go do oprawienia i powiesi na ścianie, ponieważ czuje, że na obrazie jest bardziej sobą, niż kiedykolwiek uda jej się być w rzeczywistości.

- Idziemy jeść? - pyta Matias, stając za jej plecami. Pracował przez dobry kawał czasu.

W te kilka godzin wpadł w radosny zapał, cały aż paruje z wysiłku. Anna podchodzi i go całuje.

- Już masz dość?

- Nie - odpowiada Matias z zadowoleniem. - Teraz przyszła kolej na ścianę. Zabierze mi to trochę czasu, bo wyłożono ją starymi gazetami. Połowa zejdzie na czytaniu! Nawet nie masz pojęcia, jakie tam są gazety. „Nowa Finlandia”, „Helsingin Sanomat”!

Anna szczypie go delikatnie.

- Będę musiała zapamiętać, żeby już nigdy nie zatrudniać historyka do prac rozbiórkowych.

- Czy saunę też wyremontowano, gdy spalił się główny budynek? W ścianie są gazety z końca lat sześćdziesiątych. W którym roku był ten pożar?

- W sierpniu sześćdziesiątego siódmego. Nie wiem, trzeba zapytać dziadka i babcię, może postanowili wtedy zrobić wszystko od nowa.

Matias zerka na obraz z pomarańczami.

- Co to jest? To ty jesteś na nim? Czy nie taki sam jest u twoich rodziców? Są do pary?

- Tak. Dręczyłam dziadka przez długi czas pytaniami, gdzie go schował. Był tutaj przez te wszystkie lata. Jest niedokończony, ale myślę, że mimo to można by go dać do oprawienia.

- I powiesić u nas na ścianie?

- Tak, a czemu nie?

Anna przyłapuje się na tym, że szuka w spojrzeniu Matiasa krytyki. Czy obraz jest kiczowaty? Czy jest zły, razi tak jak zdjęcie Aino? A może Matias po prostu nie chce jej widzieć u nich na ścianie, z takimi smutnymi oczami, ze wzrokiem dziecka, które pilnuje wszystkiego, co się dzieje wokół? Jej sześćoletnie ja, opowiadające historie, przekręcające prawdy, jako obserwator ich życia wiszący na ścianie.

- Czemu nie - mówi w końcu Matias. - Zabierzemy go w niedzielę, damy po drodze do oprawy. To znaczy, jeżeli twój dziadek nam go da.

- Na pewno da.

13.

Był niespokojny z przejęcia. Ostatni raz wpadli tu jesienią, Elsa była jeszcze wtedy silna.

- Kupimy wodę? - powiedział tylko po to, żeby coś powiedzieć.

To dziwne, tak się ekscytować przy własnej żonie. Miał wrażenie, jakby na nowo przeżywali coś, co dawno minęło, co było ponad pięćdziesiąt lat temu. Słuchał Elvisa tamtego dnia, kiedy spotkał Elbę. Nagle przypomniał sobie Elvisa i tamto podekscytowanie. Ręce zacisnęły się na kierownicy, pięćdziesiąt lat się w nim rozplynęło.

- Po co? - spytała Elsa. - Przecież tam jest bieżąca woda.

Ukradkiem zerknął na nią. Elsa odwróciła głowę. Leciutki uśmiech.

- Powiedz, jeśli się zmęczysz.

- Powiem, powiem.

Z zadowoleniem spostrzegł, że nie ma samochodów, gdy skręcali na podwórko. Anna i Matias byli na zakupach, Eleonoora, Eero i Maria jeszcze nie przyjechali. Mogli przez chwilę pobyc z Elbą tylko we dwoje.

Wcześniej padało, drzewa na podwórku dźwigały krople z taką dumą, jakby były świadome doniosłości zadania. Elsa wysiadła ostrożnie z samochodu, przez chwilę badała grunt pod sobą, potem zdecydowanie ruszyła w stronę sauny. Gdzie widać było chorobę? Właściwie nigdzie. Nogi Elsy były jak dwa patyki pod spodniami, ale nie dało się tego zauważyć, należałoby patrzeć bardzo uważnie.

- Cała podłoga poszła - Elsa zawołała z ganku sauny. - I część ściany. - Słysząc było jej głos ze środka.

Otworzył drzwi do domu. Ogarnęła go czułość, która wiązała się z Tammilehto i spędzonymi tutaj ich wspólnymi dniami.

Pamiętał zapachy wszystkich kaw o poranku, zapachy kanapek z szynką i ogórkiem, promienie słońca w oknie.

Anna nauczyła się tu chodzić pewnego lata, tak samo jak Maria kilka lat później. Eleonoora i Eero pobrali się na podwórzu. Ile to już lat minęło? Dwadzieścia pięć. Prowadził wówczas Eleonoorę, pamiętał jej wilgotną dłoń i nieco przerażony uśmiech. Zatrzymała się na chwilę, jakby nagle zmieniła zdanie.

Zamierza się wycofać, pomyślał Martti. Zdążył już zobaczyć w wyobraźni, jak jedzie

razem z Ellą na stację benzynową, welon byłby jeszcze na swoim miejscu, niczym beza. Nie zapytałby dlaczego, bo ojcom nie wypada pytać. Kupiliby bułki z serem i kawę i nie dbaliby o spojrzenia innych.

Ale Ella powiedziała: „No dobrze, chodźmy”.

Eero patrzył na Ellę przez podwórze, Ella uśmiechnęła się do niego trochę skonsternowana, jakby chciała powiedzieć: Co za głupota, co za szaleństwo, to z tobą chcę się na to szaleństwo odważyć!

Martti wziął ciastko z talerza na stole, markizę. Była zawilgotniała, smakowała mu, pasowała tutaj.

Elsa weszła do środka.

- Zróbmy kawę - powiedział.

- Chłopak rozebrał pół sauny - stwierdziła Elsa radośnie.

- Jeżeli przegniła, to trzeba ją rozebrać.

- Być może była przegniła od samego początku - powiedziała nagle Elsa.

Martti spojrzał na nią, szukając w jej spojrzeniu oznaki sprzeciwu, znanej mu zmarszczki między brwiami, która wieściła obrazę.

Przyciągnął Elsę do siebie.

- Była wtedy potrzebna. Trzeba ją było szybko zbudować.

- To tylko tobie się tak śpieszyło. Nie trzeba było w ogóle budować sauny, nie było wcale aż takiej potrzeby.

- Może. Może to o mnie chodziło.

Przez chwilę nic nie mówił, pozwolił błędzić bez celu spojrzeniu.

- Kupiłem nowe farby - powiedział wreszcie. - I płótna.

Papier oraz inne przybory. Trochę zaszalałem, mógłbym założyć w razie potrzeby mały sklepik. Jest z czego wybierać, gdybym znów chciał spróbować.

Elsa uniosła brwi.

- To wspaniale!

Pojechał w zeszłym tygodniu do sklepu Rautalampiego z przyborami malarskimi. Właściwie nie wiedział, co miałby zrobić z kupionymi materiałami. Czy naprawdę chciał chociaż zacząć?

Wszystko wydawało mu się trochę bez znaczenia. Ale mimo to zrobił zakupy. Rautalampi uśmiechnął się, kiedy go zobaczył.

- Nadal chcesz malować?

- Zobaczymy. Ale mógłbym coś kupić. Jakies pigmenty. Gdybyś mógł zamówić dla

mnie na przykład te pigmenty z Francji, te, których używałem. Można je jeszcze dostać?

Rautalampi prowadził sklep malarski i oprawiał obrazy na ulicy Uudenmaankatu już od lat. Wielu zamawiało teraz materiały w internecie, ale Martti niewzruszenie robił zakupy u Rautalampiego; chciał, by pewne rzeczy pozostały tak jak dawniej.

- Wiedziałem, że jeszcze kiedyś tu przyjdiesz - powiedział mu Rautalampi serdecznie. - Powtarzałem to sobie cały czas w myślach. Ahlqvist jeszcze tu przyjdzie, Ahlqvist znowu zacznie pracować.

Marttiego ogarnęło dziwne zawstydzenie, które było całkiem przyjemne; takie samo jak to, które znał z młodych lat, gdy ktoś pierwszy raz nakrył go, jak rysował w szkicowniku.

Wypili w pokoju na zapleczu kawę i wypalili po fajce dobrego tytoniu. Wychodząc ze sklepu, Martti czuł ten sam zapach do malowania jak wtedy, gdy był młody.

Elsa weszła do kuchni i zajrzała do szafek.

- Dobrze. Anna i Matias kupili nową kawę.

Nalała wody do dzbanka, powąchała puszkę z kawą tak jak to miała w zwyczaju, zamykając na chwilę oczy, po czym odmierzyła kawę. Martti uchwycił ten ruch, zapisał go dokładnie w pamięci. Elsa zobaczyła jego spojrzenie, uśmiechnęła się i postawiła ze stukiem dzbanek na bazę ekspresu. Ekspres zaszumiał, woda zaczęła bulgotać.

- A gdybym tu usiadła - powiedziała Elsa, siadając przy stole. - Gdybym tu siedziała, a ty zanotowałbyś wszystko, co jest we mnie istotne. Jeżeli pomyślałeś, żeby znów malować, to mógłbyś spróbować namalować mnie.

Zaśmiał się.

- Nigdy bym nie potrafił.

- Spróbuj! - odparła Elsa.

Założyła nogę na nogę, oparła się na dłoniach, zamknęła oczy.

W tym geście kryły się wszystkie twarze Elsy. Jak rzadko udawało mu się zobaczyć taką Elsę, w całości, we wszystkich jej wariantach naraz.

Przypomniał sobie jedną taką chwilę. Elsa pakowała rzeczy przed kolejną podróżą. Jej plecy, na które zawsze patrzył czule, dotykał ich przelotnie, przechodząc, gdy tylko miał okazję.

Pomyślał, że nigdy szczególnie nie dbał o to, jak Elsa wygląda od tyłu. Lub nie. Pomyślał: ta kobieta mogłaby być kimkolwiek, nieznajomą.

Ta myśl nagle w nim wezbrała, granicząc z przerażeniem.

Elsa wykształciła całą serię gestów i wyrazów twarzy, do których nie miał dostępu, z którymi nie potrafił poczuć się jak w domu, i wreszcie stała mu się obca.

Uświadomienie sobie tego wszystkiego sprawiło mu nagle dziwną radość, jakby wygrał. Jakby znalazł przyczynę swoich niejasnych uczuć nienawiści. Jeżeli moja nienawiść jest taka wielka, pomyślał, to miłość musi być kłamstwem.

Pamiętał, jak wmawiał sobie, że nienawidzi sposobu, w który Elsa żuła kanapkę, czesała się i porcjowała warzywa na talerzu, układając je dokładnie na jednej czwartej.

Nie cierpiał też sposobu, w jaki Elsa martwiła się o Ellę, gdy była już w domu. Próbowala nią zawładnąć, wykształciła własne rytuały w obcowaniu z dziewczynką, tak że on zostawał zupełnie z boku. A dziewczynka patrzyła na Elbę jak w słońce, była zawsze blisko niej, chciała wchodzić jej na kolana, kręciła się wokół.

Najostrzejsze kłótnie mieli w dniach następujących po powrocie Elsy. W trakcie kłótni zapisywał sobie każdy jej gest, każde wgłębienie i wypukłość jej tułowia, jak lekarz, który robi obchód w klinice.

Czasami całe dni upływały w dziwnej, miłkiej atmosferze.

Elsa spoglądała przez okno, tuliła córeczkę, ale do niego odzywała się rzadko. Wyglądała, jakby tęskniła za badaniami, za podróżami, jakby chciała wyjechać.

Potem, ni stąd, ni zowąd, wybuchała kłótnia. Elsa trafiała w niego tymi samymi zdaniem co zawsze, a on w nią też sobie znanymi, takimi, które uważał za celne.

Jednego z takich wieczorów stał w drzwiach i patrzył, jak Elsa się przy czymś krzątała.

Dopuścił tę myśl do siebie: Nie kocham cię. Kiedy tylko to zrobił, mógł też zobaczyć Elbę w pełni.

Kobieta - brązowe włosy, okulary, spódnica trochę zbyt obcisła na biodrach, spoczywające pod bluzką ciężkie piersi, które wykarmiły jedno dziecko. Kobieta mająca w zapasie cały zasób oficjalnych słów, również tych czułych, kobieta skrzętnie ukrywająca swoje zmęczone twarze, tylko on je znał. Zawsze dbała oto, żeby nie odkryć się przed innymi. Kobieta wyczerpana różnymi czynnościami, prasowaniem bluzek, składaniem prześcieradeł, przeglądaniem notatek. Zamyślona, zgarbiona.

- Co tu robisz? - spytała Elsa. - Jak długo tu stałeś?

Podniosła wzrok, jakby zawstydzona tym, że ktoś obserwował ją bez jej wiedzy.

- Jesteś piękna.

- Aha - odparła zaskoczona, uśmiechnęła się, pochyliła, żeby wyjąć z koszyka jeszcze jedno ubranie. Może rzeczywiście prasowała, a nie przeglądała papiery.

- Nie wiem, czy jeszcze cię kocham.

Elsa spojrzała na niego zdziwiona, przyjęła zdanie jak niespodziewany cios, nie zdając

sobie jeszcze sprawy z jego mocy.

Martti pomyślał, że tu właśnie przecięły się drogi. Jeżeli nadal będzie żył tak, jak już się przyzwyczaił, jeżeli nadal będzie uważał Elbę za tę dziewczynę, którą była, gdy się spotkali, nigdy nie będzie mógł tak naprawdę być blisko Elsy.

Drugiego człowieka trzeba się zawsze uczyć od nowa.

Elsa jakby odgadła jego myśli. Otworzyła szerzej oczy i patrzyła na niego z lekkim wyrzutem.

Wydała z siebie delikatne westchnienie. Przez chwilę oczekiwał jakiegoś zdania, pretensji, wspomnienia mu czegoś, co było.

Kiedy nic takiego nie nastąpiło, zapytał:

- Jesteś zła?

- Jak to?

- Wyglądasz na poirytowaną.

Elsa wstała, podeszła do niego, objęła go. Stali tak długo, nic nie mówiąc. W końcu Elsa powiedziała:

- Tęsknię za czasami, gdy można było się złościć. Teraz wydaje mi się, że śmierć nadejdzie, a ja nawet nie zdążę zakląć.

- Owszem, zdążysz powiedzieć choćby jedno „do cholery”, tylko spróbuj.

Oddech Elsy wydawał się gorący i wilgotny.

- Do cholery! - powiedziała wreszcie, na próbę, pytając jak dziecko.

- No widzisz, potrafisz!

- Czy nadal zamierzasz mnie namalować?

- Nie wiem. A chciałabyś?

Lekko, jakby mówiła o upływie jakiegoś terminu lub o zebraniu truskawek, zanim nadejdą mokre dni sierpnia, lub o wykopkach młodych ziemniaków w czerwcu, kiedy są jeszcze małe i smaczne, Elsa powiedziała:

- Nie wiem. Ale jeżeli zamierzasz, to powinniśmy się pośpieszyć.

Szczęśliwy dzień, jak kiedyś. Dom tętnił życiem. Anna i Maria krzątały się na górze, sprzątały w szopie i kosiły trawnik, czasami przychodziły pomagać w saunie. Elsa siedziała na ganku i wyglądała na zadowoloną.

- Przyglądam się teraz bardzo uważnie - powiedziała. - Mam wrażenie, że muszę odnotować wzrokiem każde drzewo i każdą zatokę.

Po obiedzie Matias brzdąkał trochę na gitarze i drażnił Eleonoorę, grając piosenkę Eleanor Rigby, której Eleonoora nie lubiła.

- To taka smutna piosenka - powiedziała. - Nie chcę, żeby nosiła moje imię.

- Ale jest taka piękna - droczył się Matias.

- Wszyscy zostają w niej sami - zauważyła Eleonoora. - Zagraj coś innego, zagraj Black bird.

Matias zagrał Blackbird i wszystkim się podobało. Elsa spojrzała nagle ku koronom świerków, ku brzegowi. A Eleonoora wyciągnęła ręce i gładziła ją po plecach. Ta chwila trochę trwała i to nic, jeśli miała już nie wrócić. Choć raz była taka pełna.

Zerwali podłogę w saunie do końca. Anna chciała zachować gazety, rozłożyła cały koniec lat sześćdziesiątych na pomoście, na krawędziach kartek położyła kamienie i badała strony, siedząc zgarbiona przez pół dnia, tak jakby oglądała pod mikroskopem rzadkie rośliny.

Potem podeszła do drzwi. Inni poszli już jeść. Martti rzucał na stos ostatnie deski.

- Ten pożar, wtedy, wybuchnął w jednej chwili? - spytała.

- Tak - odparł. - Wybuchnął nagle.

Anna potrząsnęła nadgarstkiem, zaczęła przebierać nogami.

Miała na sobie tenisówki, dzinsy i bluzę z kapturem, jak dwunastolatka. Być może była mądrzejsza i uważniejsza, niż mógł przypuszczać. Dzieci zmieniają się tak niepostrzeżenie. Najpierw mają rok lub dwa, potem pięć lat. Biegają z nadmuchiwanymi poduszkami do pływania na wąskich ramionkach przez podwórko. Wszystko już się zaczęło, już zaczęły rozumieć, czym jest świat. Lata mijają, dzieci wkładają inne ubrania, co innego maluje się na ich twarzach, ukradkiem zbierają informacje i cicho noszą je w sobie.

- A obrazy w szopie? - zapytała Anna.

Martti pochylił się, by wyciągnąć ostatnią deskę z kąta, złamała się z trzaskiem. Ten trzask sprawił mu radość, której nie potrafił nazwać.

- Tak? - spytał.

- Pomyślałam, że gdybym tak wzięła sobie jeden i powiesiła na ścianie.

- Jeżeli się nadają, czemu nie. Weź, co tylko chcesz. Choćby te stare ryciny. Eksperymentowałem z nimi kiedyś, to było dużo pracy, ale za to przyjemnej.

- Dzięki, przeglądałam je wczoraj - odpowiedziała. - Niektóre są naprawdę dobre.

Zauważył, że tęskni za jej towarzystwem. Kiedy ostatni raz poszli razem do kawiarni, usiedli i gawędzili?

- Czy nadal grasz w tę zabawę z tramwajem? - spytał. - Tę, w której wymyślałaś przechodniom życie?

Anna uśmiechnęła się, przypomniała sobie ich wspólne chwile.

- Nadal.

- Spróbujemy? - zapytał. - Tak jak kiedyś?

- Choćby natychmiast, jak tylko wrócimy do miasta.

Pochylił się, żeby wyciągnąć kartkę gazety spod deski. By-

149 ła z tego samego roku co inne. Nagłówki mówiły o demonstracji.

- Zobacz, buntują się - powiedział.

Anna wyciągnęła rękę, wzięła kartkę, zerknęła na nią.

- Bunt nadal tli się pod deskami - odpowiedziała z uśmiechem.

14.

- Zaczekaj, pójdę jeszcze po portfel - mówi dziadek. - Tak na wszelki wypadek, gdyby przyszło nam do głowy kupić całe miasto.

Wkrótce wchodzi do tramwaju numer trzy. Dziadek patrzy na nią pytająco od razu, kiedy tylko siadają: Kto? Anna zerka dookoła.

- A tamta? - mówi dziadek i wskazuje na lewą stronę tramwaju.

- Kto, tamta dziewczyna?

Anna przygląda się jej bacznie przez chwilę. Dziewczyna ma rudobrazowe włosy i nieśmiały półuśmiech. Anna potrząsa głową. Historia dziewczyny jest całkiem zwyczajna. Matura, strach, który przyspiesza bicie jej serca, strach o to, że coś ważnego dzieje się gdzieś indziej. Niezmierzone marzenia w słoneczne wiosenne dni, gdy jedzie na rowerze przez las, a cienie świerków przecinają piaszczystą ścieżkę niczym wysokie postaci, które kłaniały się w jej dziecinnych snach.

- Ta nie - mówi Anna.

Dziadek potakuje, zgadza się.

Na następnym przystanku do tramwaju wsiada mężczyzna w łachmanach. Nie jest to śmierdząca ruina człowieka, jest jeszcze dosyć młody, jak wielu pijaków, ma może trochę powyżej czterdziestki. Dziadek zerka szybko na Annę: A ten? Anna potakuje.

Oboje pochylają się nieco do przodu. Mężczyzna siada na siedzeniu przy przejściu i szuka w kieszeni telefonu. Telefon jest nowoczesny, ale już ciężko doświadczony. Sklejony do kupy srebrną taśmą klejącą.

Anna przechyla się do dziadka i szepcze:

- Ma na imię Vesa.

Dziadek przypatruje się mężczyźnie z zainteresowaniem.

- Mechanik? Czy może robotnik budowlany?

Anna patrzy na mężczyznę przez chwilę.

- Nie - mówi nagle z całkowitą pewnością. - Prawnik. Były prawnik.

Dziadek potakuje, akceptuje tezę Anny, zaczyna szkicować sylwetkę mężczyzny.

- Studiował na Uniwersytecie w Helsinkach i na Uniwersytecie Cornella. Ożenił się z lekarką. Długo trwało, zanim żona się zorientowała. Zawsze go chwaliła, że umie pić po europejsku.

Anna kontynuuje:

- I nawet nie zauważyła, że zaliczała się też do tego butelka w każdy piątek.

I znów dziadek:

- Odeszła, gdy spostrzegła, że zapisywanie przepisu na bimber na krawacie nie należy do kultury picia w żadnym kraju.

- Podczas ostatniego ciągu alkoholowego, zanim stracił pracę, zdążyła go jeszcze zapisać na odwyk, ale Vesa uciekł, udawał, że ma mnóstwo pracy.

- I miał. Podróż służbowa do Hamburga, która była już jego ostatnią. Obudził się na Reeperbahn, oszukany przez chorwacką striptizerkę, i z całego wieczoru pamiętał tylko ozdobione frędzelkami sutki kobiety.

- A potem zadzwonił do niego szef.

I oto mają Vesę, całe życie Vesy. Vesa przestał się bać, bo to potrafi zdziałać wolność. Ale przestał też mieć nadzieję. Już nic mu się nie śni, nie ma marzeń, i trochę go to martwi, bo pamięta, co powiedziała mu matka, gdy był jeszcze dzieckiem: jeśli człowiek przestanie marzyć, to zaczyna umierać.

Vesa wysiada przy dworcu. Oboje się odwracają, żeby jeszcze raz za nim spojrzeć. Anna kątem oka patrzy na dziadka. Zauważa w nim ten sam zapach, który sama czuje.

- W tramwajach najlepsze jest to, że nic się nie kończy - mówi dziadek.

- Tak - powtarza Anna. - Wszystko się dzieje, nic się nie zaczyna i nic nie kończy.

- Idziemy do hotelu Torni? - pyta dziadek. - Na samą górę, do kawiarni z widokiem, jak kiedyś? Ty weźmiesz napój gazowany, a ja kawę.

- Ja też już piję kawę.

- Naprawdę? Ty?! I może jeszcze pociągasz coś sobie, ot tak, po prostu? I polewasz żołądek na kaca?

- Do tego prowadzą używki?

- W końcu tak.

Uśmiechają się do siebie. Anna myśli: pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają, nie można im zresztą pozwolić się zmienić.

- No to chodźmy - mówi.

Miasto rozpościera się na prawo i lewo. Za Stadionem Olimpijskim przechodzi w las, na południu użycza swoich krańców morzu. Statki wyglądają jak przepełnione nadzieją zwierzęta, które wyruszają w podróż za granicę, gotowe zapomnieć na chwilę, skąd przybyły. Jeżeli uważnie się przyjrzeć, to można dostrzec nawet zarysy Tallina. CocaCola kosztuje cztery euro, kawa trzy.

- Siadywaliście tu, gdy byliście młodzi?

- Czasami. Ale na ogół w Kosmosie albo w Hansie.

Anna znów myśli o Eevie. A gdyby tak zapytać wprost? Ma to pytanie na końcu języka, ale coś w wyrazie twarzy dziadka ją powstrzymuje.

- Popatrz - mówi dziadek i rysuje gestem krajobraz od prawa do lewa. - Piękny jak z obrazka.

- Mimo to zostawisz go takim, nie zamierzasz go namalować?

- Krajobraz? Nie. Krajobrazy to nie moja specjalność, moje prace zawsze były przecież abstrakcyjne.

- Czemu już nie malujesz? - pyta nagle Anna.

Dziadek sprawia wrażenie, jakby to pytanie mu nie przeszkadzało.

- Nie wiem. Może pomyślałem, że lepiej będzie, jak skoncentruję się na życiu. Tworzenie sztuki często zmienia się niepostrzeżenie w przeciwieństwo życia.

Anna pamięta jeden z wielu wernisaży dziadka. Miała szesnaście lat, sprzeciwiała się udziałowi w tym wydarzeniu rodzinnym i na znak protestu obrysowała sobie oczy jak femme fatale. Dziadek był niezależny, schlebiało mu zainteresowanie. Wyjaśnił dziennikarzowi, że niektóre z obrazów powstały przez położenie płócien na podłodze w pracowni: kiedy farba ściekała i rozlewała się naokoło, rodziła się nieodgadniona sztuka. Była to przypuszczalnie prawda. Ale dziadek kontynuował: „Czasami chlapnie też coś z obiadu, grochówka, ketchup i tym podobne. Czasami przeznaczona do kawy bułeczka z cynamonem zamienia się w tworzywo artystyczne i tworzy ciekawą wypukłość na obrazie.

Badam swoje dzieła w tym procesie jak tajemną mapę, rzucam się w niezakończony akt tworzenia, jakbym gubił się w lesie”.

Dziennikarz potakiwał, sceptycznie się uśmiechając. Dziadek zerknął nad jego ramieniem na Annę i uśmiechnął się. Po tym uśmiechu Anna poznała, że tylko żartuje.

Zdała sobie sprawę, że humor chronił dziadka jak tarcza przed zdenerwowaniem. Już po wszystkim dziadek popijał na zapleczu koniak i wyglądał zarówno na szczęśliwego, jak i na przygnębionego.

Wystawa okazała się sukcesem. Kiedy podczas śniadania Anna czytała w gazecie recenzję z wystawy, to była jedna z tych chwil, w której uświadamiała sobie, że jej dziadkowie są kimś wyjątkowym.

Przypomina sobie znowu senne godziny, gdy dziadek ją malował. Był niby znajomy, a jednak podczas malowania jakiś inny.

Wyczuwała różnicę, nie umiejąc jej nazwać. Tkwiła w jego wzroku. Dziadek usadowił

ją pod oknem, bawiła się lalką lub jeździła samochodzikami po podłodze. Nic innego jak tylko jego wzrok świadczył o tym, że zaczął malować.

Dolewał rozcieńczalnika do farby, pogwizdując. Kątem oka Anna widziała, jak podszedł do okna. Potem wrócił do sztalug.

Uniósł trochę brodę, zawinął rękawy. Wziął do ręki pędzel, spojrzął, i rozpoczął.

- Jak tam twoja praca magisterska? - pyta dziadek. - Czy dotarłaś już w wyjaśnianiu przyczyn świata do wątku teologicznego? Czy też grzebiesz się jeszcze w latach sześćdziesiątych?

- Grzebię się jeszcze głęboko w przeszłości. Promotorka powiedziała, że temat należałoby bardziej powiązać z jakimś politycznym ruchem, sama zmiana sytuacji kobiety nie wystarczy.

Dziadek śmieje się.

- No to masz tutaj bank wiedzy. Pytaj, o co chcesz, to ci opowiem. Złożę niejako zeznanie świadka naocznego.

- I będę potem mogła wpisać w źródłach: „Pewien dziadek”.

- Przekazy ustne pewnych dziadków powinny stać się odrębną kategorią w literaturze źródłowej.

Dziadek szuka papierosa w kieszeni, ale go nie zapala.

- To były hałaśliwe lata, kiedy się teraz o tym pomyśli. Szalony czas. Zawsze, gdy jechałem do Paryża, coś musiało się wydarzyć, a moi koledzy ze studiów musieli coś nowego wymyślić.

Miałem wrażenie, że tu są peryferie, chociaż i u nas też się działo.

Ale mimo to wszystko tu było takie trochę samodiałowe i jakby obłaskawione w porównaniu z Paryżem czy Amsterdamem.

W Finlandii wymyślono na nowo to, czym moi przyjaciele zajmowali się w Paryżu już w latach pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych. Przez Paryż przewinęły się najprzeróżniejsze ruchy. Czasami uczestniczyłem też tam w zebraniach, w Finlandii jednak trzymałem się od tego z daleka.

- Co się tam robiło w tych środowiskach?

- Tworzyło drogowskazy dla nowej rzeczywistości.

Dziadek używa wielkich słów, jakby mówił o zabawie, która rozrosła się do niebotycznych rozmiarów. O zabawie, której barwne wydarzenia wspomina się, potrząsając z niedowierzaniem głową, ale tęsknie: Kiedyś to byliśmy tacy wrażliwi i tacy dzicy!

- Zawsze trzeba było wymyślić coś nowego. Często zdawało mi się, że ledwo

zdołałem przyswoić sobie jakiś styl i technikę, a oni już zaczęli wszystko robić inaczej. Malarstwo wychodziło z mody, trzeba było pokazać świat w odmienny sposób, przez prowokację. Trzeba było przynajmniej mieszać ze sobą techniki.

Czasami miałem wrażenie, że w tych kręgach polityka była ważniejsza niż sztuka. A właściwie nawet nie polityka, to była sztuka dla sztuki. Powszechne zamieszanie i takie tam.

- Zbyt nowoczesne dla ciebie?

- Może. A może myślałem, że zbyt zwracano wtedy uwagę na szokowanie, a staranność i wierność sobie nie liczyły się już w pracy. Kiedy te idee, którymi się ekscytowano, dotarły do Finlandii, wydawało mi się, że wszystko to już słyszałem. Może zdawały mi się dziecinne. Chociaż całkiem sporo moich przyjaciół wtedy nimi żyło.

Przez chwilę nic nie mówią. Dziadek pozwala, by jego wzrok błądził po ludziach siedzących w kawiarni, jakby chciał powiedzieć: Po co mówić o tym, co było, kiedy właśnie teraz dzieje się świat, staje się życie! W obliczu tego każde dzieło sztuki to kruchy zamek z piasku.

- A tamta kobieta - dziadek pyta i wskazuje głową w stronę stolika w kącie. - Co o niej powiemy?

- Która?

- Ta, która je ciasto czekoladowe.

Anna odwraca się, żeby zobaczyć.

- Ta smutna?

Kobieta ma w kącikach ust zmarszczki zrezygnowanej osoby, tak jakby żadna sprawa tego świata już jej nie dotyczyła. Pije kawę, z zamkniętymi oczami nabiera kawałek ciasta na łyżeczkę.

- Czym się tak smuci, jak myślisz?

Anna widzi oczy kobiety. Przygląda się krawędziom jej smutku. Kobieta wygląda, jakby wciąż była nieco zdziwiona tym, że świat nadal trwa, że są tacy, co przychodzą tutaj i zamawiają cocacolę, że chce im się zawracać głowę takimi głupstwami.

A innym chce się drukować gazetę, sprzedawaną przy ladzie, jeszcze innym pracować, wycierać stoły, mówić „Dziękuję” i „Miłego dnia!”.

- Może straciła kogoś? - mówi dziadek. - Ojca? Matkę?

- Nie - odpowiada Anna. - Kogoś innego. Dziecko.

- Naprawdę tak myślisz? Z czego to wnioskujesz?

Anna nie słyszy pytania dziadka.

- To wydarzyło się nagle, zeszłego lata.

- Czy to był wypadek? - pyta dziadek. - Wypadek samochodowy?

To wydarzyło się nagle, tak szybko, jak szybko można wymówić beztrioskie słowa: „Do zobaczenia jutro!”. Tak szybko świat kobiety zamknął się w nawias. Nagle wszystko zmieniło się w ten absurdalny spektakl, w którym coraz to inne dzieci przeprowadza się przez ulice, w którym karuzele kręcą się przez całe lato w wesołym miasteczku, a z przystanków krzyczą reklamy aparatów cyfrowych. Dziadek patrzy na Annę, obserwuje wyraz jej twarzy. Słońce świeci, Anna pochyla się, wyciąga okulary przeciwsłoneczne i je wkłada.

- Jasno - mówi.

- Tak - mówi dziadek. - To co teraz, co jeszcze wymyślimy?

Kobieta, która jadła ciasto czekoladowe, wstaje, zerka w ich stronę, zanim podejdzie do drzwi. Zupełnie jakby wiedziała.

Żadnego uśmiechu. Tylko krótkie spojrzenie i już jej nie ma.

Anna odwraca głowę. Dziadek próbuje zgadnąć, o czym myśli.

Anna dostrzega w twarzy dziadka tę drugą twarz, młodą, tę, której nigdy nie widziała, a którą dziadek nosił przez lata. Dziadek unosi jedną brew, uśmiecha się, zapala papierosa, wydmuchuje dym. Jego gesty przesłaniają skraj boiska, aż po bramę. Kiedyś tymi gestami czarował i pieścił, wyrażał swój stosunek do rzeczywistości. Dłońmi ciągnął długie linie na płótnie, testował nowe techniki. To wszystko należy do jego młodości.

W przyplywie nagłego kaprysu dziadek sięga po ich starą zabawę.

- Spotkałem dziewczynę - mówi, nie patrząc na nią.

- Jaką?

- Nosila w sobie smutki, o których nikomu nie chciała powiedzieć.

Teraz dziadek patrzy jej w oczy. Anna widzi, że dziadek wie.

- Miała oczy jak dwa stawy, bo zebrały tak wiele łez - mówi dziadek.

Jedna łza, potem druga spływa Annie po policzku, na szyję, pod bluzkę.

- Może powinna w takim razie opowiedzieć o tych smutkach - Anna słyszy swoje własne słowa.

- Też jej to powiedziałem, tej dziewczynie, którą spotkałem.

- Powie - mówi Anna. - Powie, jak tylko będzie gotowa.

1965

Od razu w taksówce między nami powstaje przepaść. Lot do Paryża jest za dwie godziny, jesteśmy jeszcze na ulicach Helsinek wybrukowanych kocimi łbami, a kierowca zwraca się do mnie, jakbym była żoną mężczyzny, jakby to zawsze było moje miejsce. Cała zmieniam się w przeprosiny, jestem nieruchoma jak posąg.

Mężczyzna żałuje już teraz. Co za szaleństwo! Podróżuje z pomocą domową, którą ten chłoptaş nazywa jego żoną!

- To nie jest moja żona, to podróż służbowa.

Odwracam głowę do okna, patrzę na kocie łby, żebym nie musiała zaczytywać myśli z jego twarzy. Choćby takich: A więc tego chciała. Chciała pokazać mi to miasto. Przecież mnie kocha, prawda? Miłość zaczęła się wtedy, na przyjęciu. Zaczęła się w sierpniu, gdy spojrzała na mnie przez pokój, to była choroba, z której jeszcze nie wyleczyła się od tamtego czasu i pewnie nie wyleczy.

Jak mógł o tym wcześniej nie wiedzieć, że miłość jest jak gorączka lub jak narkotyk, że to jest przymus, by być blisko drugiego. Czemu nie czuł tego z Elsą, czy dlatego, że zawsze do siebie należeli? Wydaje mu się, że umrze, jeśli nie będzie mógł być mój. Przestanie istnieć, jeśli nie będzie mógł przebywać w moim wnętrzu, we mnie. Jeśli nie będzie mógł zobaczyć mojego uśmiechu o poranku, gdy jestem jeszcze trochę zaspana, to równie dobrze mógłby wziąć w nawias cały świat.

Próbuje wyciągnąć dłonie w moją stronę, ale nie daje rady.

W jego głowie rodzi się sprzeciw, ma kształt Elsy. Widzi Elsę zaraz po tym, jak urodziła - i dziwi się, bo najczęściej Elsa jest twarda, nie daje łatwo za wygraną. Elsa idąca korytarzem szpitalnym nieco ostrożnie, brzuch dźwigający ich wspólną córkę i58 jeszcze tak wielki jak samo życie. Elsa na korytarzu, wyciągająca do niego rękę: „Chodź, pójdziemy zobaczyć niemowlę, pokażę ci, ma taki sam nosek jak twój”.

Pamięta, jak skłamałam Elsie, gdy ta usłyszała o jego podróży.

Skłamałam, że mam dużo nauki, nie patrząc jej w oczy, wymyśliłam historię, że jadę do domu. „Szkoda”, rzekła Elsa.

- Nie powinnaś była kłamać - mówi mężczyzna, gdy kierowca wyjmuje nasze bagaże i zostajemy we dwoje przed drzwiami. - A przynajmniej mogłaś nie okłamywać jej tak bardzo.

- A więc trochę byłoby lepiej? Skłamać tylko trochę?

Mężczyzna odwraca głowę w stronę tłumu ludzi.

Rozmawialiśmy o tej podróży przez całą zimę. Czy jest możliwa? Jak duża byłaby to zdrada? Czy byłaby bardziej zdradziecka niż cokolwiek innego, czego byśmy się dopuścili? Teraz jego przyjaciel urządza w Paryżu wystawę i to służy nam za przykrywkę.

W samolocie mężczyzna mierzy wzrokiem ciężar chmur, jakby rozważał możliwość ucieczki. Siedzimy obok siebie bez słowa, jak dwoje nieznajomych, nie ośmielam się nawet go dotknąć.

- Lecę pierwszy raz - mówię stewardesie.

Jest w niej coś takiego, co przynosi mi pociechę, może uśmiech, ale może też sprawia to myśl, że tutaj, ponad chmurami, bezpieczeństwo i pociecha skupiają się w trzymanym przez nią dzbanku z kawą.

- Boi się pani? - pyta mnie.

- Trochę się stresuję. Ale start był cudowny, jak w wesołym miasteczku.

Nalewa mi kieliszek koniaku. Wychylam go duszkiem i szybko ogarnia mnie podekscytowanie, w sposób całkiem nieoczekiwany. Nie dbam już o odwracającą się ode mnie głowę mężczyzny. Co za szczęście! Co za radość! Podróżować w stronę możliwości, o których wiadomo jedynie tyle, że są.

Na miejscu plastikowe tuby podnoszą się do góry i spadają jak w filmach science fiction. Cały czas ktoś jest gdzieś wzywany.

Wchodzimy do tuby, mężczyzna jeszcze na mnie nie patrzy.

Obok mnie stoi arabska kobieta, jej oczy są jak narysowane węglem. Ma na sobie wiele metrów materiału, spod którego błyskają tylko oczy niczym dwa szmaragdy. Otacza ją słodki mur kadzidełek. Widzę w przelocie jej paznokcie, są tak czerwone jak jej usta. A więc tak to wygląda! To, o czym czytałam tylko w książkach! Przez wszystkie te senne popołudnia w Kuhmo, na strychu, gdy pszczoła brzęczała w oknie, czytałam o dalekich krajach. Teraz te kraje stają się dla mnie faktem. Przez chwilę kocham tę kobietę, jej bogactwo i głośny, zachrypnięty głos, który nie pyta o przyzwolenie.

Mówi do mnie po francusku, że moja skóra jest tak biała, jakby w środku paliła się lampa, i uśmiecha się. Uczyłam się francuskiego sześć lat, potrafię czytać Balzaca i zamówić w restauracji kawę, sok pomarańczowy i średnio wysmażony befsztyk, potrafię rozmawiać o pogodzie, uwzględniając wszelkie niuanse, i wymieniać poglądy na temat rozwoju dobrobytu społecznego, a mimo to jestem zaskoczona, że ten język naprawdę istnieje i cały czas żyje swoim życiem. Rozmawiam z kobietą, a mężczyzna patrzy na mnie, pierwszy raz się uśmiecha.

- Mówisz tak, jakbyś mieszkała tu od zawsze!

Wsuwam swoje dłonie w jego. Mężczyzna je przytrzymuje, ale nie potrafi jeszcze strząsnąć z siebie poczucia obcości. Kim jest ta kobieta? Mógłby pomylić mnie z przypadkową paryżanką.

Chociażby z tą, która ma rozkloszowaną spódnicę.

Właściwie nie chce zrobić nic innego, jak tylko pójść, wybrać w domu towarowym kilka prezentów dla Elsy i dziewczynki, i odejść, tak jakby wcale mnie tu nie było. Chce wrócić do Helsinek i zapomnieć, że był kiedyś tak głupi, bezmyślny i zuchwały, że

zarezerwował lot razem ze mną.

Nie zamierza zatem przedstawić mnie swoim przyjaciołom.

Wyśle mnie samą, żebym poszła pooglądać zabytki, pójdzie z poczucia obowiązku na kilka obiadów z przyjaciółmi, a potem skreśli swoją śmiechu wartą decyzję i kupi mi bilet powrotny na inny samolot.

Tak postanawia zrobić, kiedy trzymamy się za ręce, i macha, by zatrzymać taksówkę.

W taksówce na chwilę odsuwam poczucie winy od siebie, bo oto przede mną roztacza się Paryż. Domy za domami, dopiero powstające i już gotowe osiedla, w których kiełkują nadzieje o wyjątkowości i sławie. Za ścianami życie przybiera jednak pospolite kształty, nie zważa na marzenia. Na sznurach suszy się pranie, które powiewa jak flagi świętujące prozaiczność coraz to nowych wtorków. Potem widać balkony z kutego żelaza i piekarnie, ten Paryż, który widziałam na zdjęciach. Chcąc nie chcąc, wydaję z siebie okrzyk radości.

Mężczyzna myśli o Elsie, o chwilach, które wraz z nią spędzał w Paryżu. Kiedy mieli po dwadzieścia lat i Elsa studiowała w Helsinkach, a on tutaj, Elsa zawsze do niego przylatywała, kiedy tylko udało jej się uskładać pieniądze na samolot. Czasami przyjeżdżała też pociągiem.

W niedzielę spacerowali wzdłuż Sekwany i chodzili do muzeów. Siedzieli w kawiarni, mężczyzna czytał gazetę lub tłumaczył coś Elsie podekscytowanym tonem, a ona czytała książkę do egzaminu, bo postanowiła, że odniesie sukces, i nie chciała ani na chwilę zrezygnować z tych planów. Spacerowali po Ogrodzie Luksemburskim i kupowali w budkach naleśniki, zatrzymywali się na chwilę, by popatrzeć na mecz tenisa. Byli młodzi, a ich miłość jeszcze taka świeża. Zdarzały się też kłótnie, nieporozumienia, trzaskanie drzwiami na znak protestu. To mężczyzna często był tym, który się gniewał. Z jakiegoś powodu złościł się na Elsię, gdy mu się sprzeciwiała, a on nie mógł tego znieść.

Wychodził wtedy powłóczyć się po ulicach, przystawał w Dzielnicy Łacińskiej, by kupić papierosy, i czerpał ukrytą przyjemność z tego, że został źle zrozumiany.

Spacerował po lewej stronie rzeki, schodził w dół na nadbrzeże, zaznajamiał się z przypadkowo napotkanymi kloszardami. Jeśli gdzieś można było się pięknie kłócić, to właśnie w Paryżu. Niepostrzeżenie ustalili z Elszą rytuał ugody. Mężczyzna zrobił się głodny w czasie swojego pierwszego, cichego, trwającego godzinami buntu, poszedł więc na plac Sorbony do małego bistro, zamówił omlęt, a może ciepłą bagietkę z rostbefem. Pierwszy raz stało się to przypadkiem. Elsa go nie szukała. Traf chciał, że spacerowała bulwarem Saint Michel, zobaczyła zapraszające okna restauracji na placu i otworzyła drzwi do tego samego bistro.

Nie wyolbrzymiali nigdy tego wydarzenia, nie robili z niego sceny filmowej, bo nie należało to do przyjętych przez nich prostych obyczajów. Elsa usiadła naprzeciwko niego, uśmiechnęła się, zamówiła dla siebie być może taki sam omlet lub bagietkę.

Każde z nich trochę ustąpiło i kłótnia, teraz już całkiem śmieszna, rozeszła się po kościach.

Ściemniało się już, gdy szli razem na stację metra, i żadne z nich nie musiało wymawiać na głos tego, co oboje myśleli: życie, również to szczęśliwe, było skromniejsze w rzeczywistości niż w marzeniach, a zarazem też więcej znaczyło.

Hotel jest bardziej paryski niż jakakolwiek przysłana z Paryża kartka. Wąziutkie korytarze, małe windy, strome schody, żeliwne balustrady za oknami. Ściany zachęcają do czułości, nasze ciała powinny się pocić, leżąc jedno na drugim, ale idziemy spać jak rodzeństwo. Nie potrafię zasnąć. Pokój jest jak przepaść.

W nocy wstaję, idę do łazienki, nie mogę znaleźć włącznika, załatwiam się po ciemku. Kiedy otwieram drzwi, zderzam się z mężczyzną. Jest jak cień, przez chwilę go nie rozpoznaję.

Zdążyć jeszcze krzyknąć. Mój krzyk niemal wrywa okna z framug. Mężczyzna podchwytuje go, traktuje jak prośbę, bierze mnie w ramiona.

- Cii, nic się nie stało. Już w porządku - mówi.

Trzęsę się cała, nie mogę przestać.

- Nie cierpisz mnie.

- To nie tak.

- Nienawidzisz, widzę.

- Nie nienawidzę. Ja cię kocham.

- To tylko słowa.

- A jednak to prawda.

Rano znów jest milczący, jakby był posągiem z drewna. Chce sam spotkać się z przyjaciółmi i wytłumaczyć im, kim jestem, zanim wszyscy się spotkamy. Zostawiam swoją złość w pokoju hotelowym i zabieram zamiast niej ciekawość - pójdę sama.

Przez cały dzień spaceruję po muzeum. Znajduję obraz, przed którym stoję przez godzinę. Obraz Rembrandta. Kobieta zdaje się unosić w moją stronę. Jej skóra jest świecąca. Nikt nie wie nic o jej nadziejach, radościach i czułości, a mimo to uczucia te opromieniają jej twarz, jakby w jej wnętrzu paliła się lampa.

Idę do kina. Oglądam film, w którym bohaterzy uciekają z Paryża na południe przed płatnymi mordercami i napotykać wszelkie możliwe trudności. Mężczyzna w filmie nie

rozumie kobiety, mówi, że widzi tylko obraz. A kobieta może nawet nie chce być zrozumiana, czasem jest w drodze na tańce, czasem wodzi za nos przestępców. A czasem tylko przechadza się nad morzem i nic nie robi. Chce tańczyć, nie dba o nic więcej. Chce tylko żyć, ale mężczyzna nigdy tego nie rozumie. Kobieta dziwi się, że ludzie na zdjęciach mają zawsze nieodgadnione myśli, o przeszłości, przyszłości albo koszykówce. I ci, którzy patrzą na zdjęcia, nigdy ich nie poznają.

Myślę o kobiecie Rembrandta w Luwrze i o tym wszystkim, czego się nigdy o niej nie dowiem. Myślę o ludziach na wszystkich zdjęciach, na wszystkich obrazach świata. Za ich uśmiechniętymi twarzami kryją się całe mikroświaty! Zjedzona rano piętka chleba! Kichnięcie! Wyznanie miłości, które tylko czeka, aby je ktoś wypowiedział!

Po filmie jadę metrem na północ. Zapach karmelu i stęchłe podmuchy wiatru pod ziemią wyrzucają mnie na powierzchnię tuż obok białego kościoła. Świat jest nagle pełen pieśni i gorących promyków słońca, pełen pokrzykiwań i uśmiechów ulicznych grajków.

Mężczyźni wołają za mną, dziecko biegnie w moją stronę i wręcza mi kawałek precelka. Kościół wydaje mi się śmieszny i chępliwym, jakby zupełnie nie miał wstydu. Nie chcę dziś żadnej świątyni, chcę świata: rozpryskujących się odgłosów na rogu ulicy i kłębow dymu na horyzoncie.

Wspinam się po schodach i chodzę małymi uliczkami, dopóki zupełnie się nie zgubię. Znajduję plac, na którym rozłożył się chwiejny, mały park rozrywki. Pokrywa swój smutek jasnymi kolorami, które odnawia się co wiosnę. Jest młyn diabelski, karuzela i małe słonie w kolejce, w odwiecznej podróży po okręgu.

Płacę mężczyźnie o szczupłej twarzy, który ma czapkę z daszkiem i szary zarost, pożyczam lornetkę za franka, wchodzę do jasnozielonego kosza. Unosi się w powietrze. Nagle całe miasto należy do mnie, kręte uliczki i wyrastająca na środku wieża. Daleko w dole mrowią się ludzie, płaczą, śmieją się i kochają, i zdradzają siebie nawzajem, wybaczą sobie i jedzą posiłki.

Mogłabym mieszkać za którymś z tych paryskich okien. Znam ten język. Nikt nie poczułby zapachu obory na moich palcach.

Nauczyłabym się w końcu tak wymawiać aujourd'hui, żeby z ani jednej sylaby nie można było wyczuć, że spędzałam lata i zimy na skraju suchych sosnowych lasów. Stałabym się kobietą, która żyje dzisiaj, a „wczoraj” byłoby słowem, które wymawiałabym, nie czując tęsknoty.

W recepcji hotelu jest dla mnie wiadomość, recepcjonista podaje mi kartkę uroczyscie jak klejnot. W środku jest adres i przeprosiny. „Przyjdź” - napisano pod imieniem.

Idę tak, jakbym była gościem. Paryż wkradł się w moje gesty, las sosnowy to tylko wspomnienie. Otwarcie wystawy przyjaciela mężczyzny już się skończyło, szalona wrzawa sięga stropów. Ktoś wlaźł na stół, ktoś gra na pianinie, choć nie potrafi.

Mężczyzna podchodzi do mnie. Ma ręce w kieszeniach, nie waha się, ale chce wyczuć klimat.

- No tak.

- Uhm.

- Znasz tu kogoś?

- Jednego. Jest artystą, jak cała reszta.

Mężczyzna mierzy mnie wzrokiem. I właśnie teraz uświadamia sobie, że właściwie nie wie, co czuję. Powstaje w nim myśl, która krąży w jego głowie uporczywie jak mucha: przecież ja mogę go nienawidzić, skąd ma wiedzieć, czy nie nienawidzę go bardziej, niż kocham!

Pyta mnie, nie na serio, ale żeby wciągnąć mnie do zabawy:

- I co o nim myślisz?

Mówię beztrąsko, jakbym mówiła o endywii:

- Ktoś powiedział, że go kocham, ale to przesada, bo on trzyma moje serce w blaszanym pudełku, wśród pyłków kurzu i błahostek.

- W blaszanym pudełku? Co za idiota! Ktoś powinien dać mu nauczkę!

- Zamówiłam już paru osiłków spod mostu na lewym brzegu, przybędą w tej minucie. Na Montmartre sprzedałam naszą historię miłosną grajkowi ulicznemu za franka, śpiewa ją teraz turystom w nadziei, że dadzą mu jakiś grosz. Przekręca wszystkie szczegóły, nie uwierzyłbyś, jakie bezceństwa plecie! Po prostu wydmuszki, jak chleb w tych stronach, pełne powietrza i pozbawione znaczenia.

Mężczyzna rozkłada ręce na znak, że się poddaje.

- Więc mężczyzna z pewnością przegrał już tę grę.

Zwlekam z odpowiedzią.

- Nie do końca - mówię wreszcie. - Jedna rzecz odróżnia go od reszty. Widzi mnie. Widzi mnie dokładniej niż ktokolwiek inny.

Przedstawia mnie przyjaciołom. Poznają René i jego żonę Yvette. Julię i Oscara, według którego artyści powinni tworzyć politykę, powinni być niepokorni, rozrzucać ubrania po kątach, oblewać się krwią i spermą.

„Eva”, mówią, i podoba mi się ten akcent. Nagle nasz wieczór staje się pełny. Odsuwamy stoły i krzesła na bok, restaurator stawia na stoliku pod ścianą adapter. Tańczymy.

Na końcu, gdy nikt już nie ma siły tańczyć, tańczę sama.

Dźwigam na ramionach cały Paryż, unoszę go w powietrze, jak na diabelskim młynie, nie pozwalam, by upadł. Wyciągam ręce, pozwalam, by spódnica odsłoniła mi uda.

Mężczyzna myśli, że taką mnie kiedyś zobaczy, jeśli to wszystko już się skończy: delikatny łuk moich stóp, gdy lekko dotykają podłogi, zanim znowu wzniosą się do góry, tak że wyglądam, jakbym unosiła się w powietrzu. Mój kark, który pokrywa się perełkami potu, mój uśmiech skierowany do całego miasta.

Kiedy noc wkrada się w wieczór i od tańca bolą mnie nogi, siadam przy stole i słyszę, jak René mówi do mężczyzny:

- Twoja nowa kobieta jest zachwycająca!

Mężczyzna przytakuje, uśmiecha się. Nie zaprzecza. Także temu, że jestem jego. Może dlatego, że René mówi to po francusku: ta femme.

Zaczynają rozmawiać o sztuce. Słyszę, jak ktoś rzuca w przestrzeń, co należałoby zrobić, jak stworzyć cały świat na nowo.

Może René albo zapalczywy Oscar, mający najwyraźniej ugruntowany pogląd na to, w jakim kierunku powinna zmierzać rzeczywistość:

- Nie tylko jeden obraz, ale wiele, jeden na drugim. Trzeba zmieścić wszystkie warstwy rzeczywistości. Cień, smutek, powaga obok radości. Nie zapominając też o okrucieństwie, o humorze i banale. Nikt nie może już sobie pozwolić, żeby zamknąć się w pułapce wyraźnie zaznaczonego obrazu. „Powielanie” to słowo kluczowe. Kopia kopii kopii, o to chodzi. Ikony do śmieci, w ich miejsce pliki powieień!

Ktoś pyta mężczyznę:

- Zamierzasz ją namalować, Evę? Czy już to planowałeś?

Nie widzę wyrazu jego twarzy, kiedy odpowiada, ale słyszę ton głosu. Jest w nim duma i czułość:

- Eeva sama potrafi wydobyć z siebie wszystkie niuanse.

Wracamy z balangi nad ranem ścieżkami wytyczonymi przez zmiatających. Wypełniamy nawzajem swoje puste miejsca, nie ma czasu ani dystansu między naszymi ciałami. Siadam na kolanach mężczyzny, on kładzie ręce na moich pośladkach. Wsuwa palec do środka. Otwiera mnie całkowicie, tę małą szparę w moim wnętrzu. Przytrzymuje skrajem dłoni mój srom, tak że przez chwilę jestem tylko wznoszącym się głosem, jasną wibracją od ud po końcówki włosów.

Czy to jestem ja, czy on? Czy poprzez mnie widzi światy, które dotychczas widział tylko z progu? A może to on czyni mnie prawdziwą?

Opadam w niego, jest we mnie głęboko, miasto nas osłania.

Kiedys będzie nam się wydawać, że to był tylko sen. W tym mieście, w którym zaczyna się mówić o przełomie, mającym za trzy lata zatrząść całym światem. Lecz teraz jesteśmy utkani ze snów, a sny utkane są z nas.

Otuleni w sen urzeczywistniamy siebie nawzajem.

Po powrocie mężczyzna odkrywa w sobie zazdrość. Zaczyna mnie wypytywać, dokąd chodzę. Kiedy Elsa jest na mieście, a ja na Liisankatu, dzwoni do mnie wieczorem, by się upewnić, czy jestem w domu. Pyta, jak minął mi dzień, jakby chciał się wszystkiego dowiedzieć.

- Co robiłaś?

- Jak to?

- Powiedz.

- Byłam na wykładach, siedziałam w bibliotece, byłam też z kimś na spacerze.

- Z kim?

Zwlekam z odpowiedzią, chcę go wyprowadzić z równowagi.

I oto go mam, błaga mnie na kolanach o łaskę i sprawia mi to przyjemność, sama nie wiem czemu. Podsuwam mu przed oczy obraz, może go sobie podchwycić.

- Chciałam iść na spacer z tobą. Myślałam o tobie.

- Z kim byłaś?

- Z Kerttu.

Mężczyzna milczy, waży w myślach odpowiedź, zastanawia się, czy może jej zaufać.

- Mogę cię znowu zobaczyć, możemy spotkać się jutro?

- Kto wie.

Potrafię grać już w tę grę.

- Dobrze - mówię w końcu. - Spotkajmy się jutro.

Następnego dnia przychodzi do mnie, zamykamy drzwi i przez chwilę jest tak, jakby świata nie było.

W maju mężczyzna trzyma w rękach znaną na stole książkę, zupełnie tak, jakby to było jakieś niebezpieczne, właśnie i67 przez niego ogłuszone zwierzę. Stoi w drzwiach salonu ze znaczącą miną, zarazem gniewną i wystraszoną, jak u małego chłopca, który zrobił coś złego, ale nie wie komu.

Bawię się z dziewczynką na podłodze, akurat wydaję jej polecenie, gdy mężczyzna pyta:

- Kto ci dał tę książkę, twój ukochany?

Patrzę na niego, uśmiecham się, jakbym nic nie rozumiała.

Uśmiech mnie zdradza. Książka jest od chłopaka, którego spotkałam na uniwersytecie, odprowadził mnie do domu. Dał mi książkę, złożył pamiątkowy wpis w środku. Czemu kładę ją na stole, podsuwając pod oczy mężczyzny? Po to, żeby ją wziął do ręki i zobaczył obce imię, które będzie z niego szydziło? Tak, po to. Właśnie po to.

- Chcę, żebyś stąd wyszła - mówi mężczyzna spokojnie. - Precz stąd.

- Co takiego? Nie mogę sobie stąd tak po prostu wyjść.

Dziewczynka patrzy wystraszona na ojca. Potem na mnie.

Mężczyzna krzyczy powtórnie, żebym wyszła, więc wstaję.

Dziewczynka biegnie do swojego pokoju. Widzę, jak patrzy na nas przez szparę w drzwiach, niczym ptaszek, który uciekł na gałąź. Mężczyzna wypycha mnie do przedpokoju.

- Nie, nigdzie nie pójdę - próbuję.

- Precz stąd!

- Nawet się z nim nie spotkałam.

- Precz!

Wypycha mnie na korytarz, śmieję się oszołomiona. Dociera do mnie, że nie ma nic, co mogłabym zrobić lub powiedzieć, aby zakończyć to dziwaczne przedstawienie. Kiedy już udało mu się mnie wypchnąć, trochę się uspokaja. Jest zaskoczony tym, co zrobił, ponieważ ja płaczę. Nie może się jednak już wycofać, postanawia nadal się gniewać, bo kłótnię trzeba doprowadzić do końca, trzeba pochwycić każde wiszące w powietrzu zdanie, cisnąć w drugiego każdym ostrym słowem jak małą szabelką.

- Idź do niego, przecież sama tego chciałaś.

- Nie ma nikogo.

- Kłamiesz. Widziałem jego imię.

Siedzę na klatce schodowej przez pół godziny. Żona sąsiada przechodzi obok, pozdrawia mnie. Słyszała kłótnię, dobrze wie, o co poszło. Ale życzy mi dobrego dnia i idzie dalej.

Widzę koniec. Siedzę na stopniu, nie umiem wstać i odejść, nie mam odwagi zadzwonić do drzwi, i widzę koniec. Nie chcę jeszcze na niego patrzeć, choć wiem, że ma w sobie pustkę.

Kiedy upływa pół godziny, mężczyzna otwiera drzwi i prosi mnie o wybaczenie. Nie potrafię nic innego, jak tylko podejść i sama zamienić się w przeprosiny. Bierze mnie w ramiona.

Stoimy cicho w przedpokoju. Głaszcze mnie po pośladkach, wtulam nos w jego szyję.

Wykształciliśmy już skomplikowane rytuały kłótni i zgody, męża i żony. Kiedy tak mnie trzyma i nawzajem się pocieszamy, mężczyzna myśli, że nasze rytuały są zaskakująco podobne do tych jego i Elsy. Za każdym razem odgrywa taką samą rolę: najpierw okrutny, potem czuły.

Elsa jest w czasie kłótni bardziej zapalczą ode mnie. Stać ją na bardziej wyrafinowaną drwinę i celniejsze, boleśniejsze ciosy. Zna każde jego czułe miejsce i nie waha się skorzystać z tej wiedzy.

Ale i my stajemy się coraz bardziej zaprawieni w bojach.

Widzę w tych momentach wszystkie jego słabości. Nienawiść, która później zwija się we mnie w bolesny kłębek i sprawia, że zaczynam wymyślać różne sposoby, jak go upokorzyć, rodzi się właśnie w tych rytuałach po kłótni - przez pierwsze lata kończą się one jeszcze tym, że ciało nie potrafi oderwać się od ciała.

Zdażyłam już poznać jego małostkowość. Zapisuję w myślach każdy jego fizyczny i psychiczny niedostatek i cieszę się z tego, jak ich wiele i jakie są różne.

Później dziewczynka wdrapuje mi się na kolana. Siedzę przy stole w kuchni, od kłótni upłynęły już godziny, ale dziewczynka nadal ją pamięta.

- Będziesz musiała wyjść? Na schody?

- Nie, kochanie, nie będę musiała.

- Mogę do ciebie przyjść?

Patrzy na mnie błagalnym wzrokiem i właśnie w tym momencie zaczyna kiełkować w niej uczucie, które później będzie ją determinowało. Stopniowo, po upływie parudziesięciu lat, te sceny odgrywane w teatrze cieni jej dzieciństwa sprawiają, że będzie chciała o wszystko się troszczyć, że będzie kryła niepewność za systematycznością i wyrazem „trzeba”, że będzie umiała okazać mężowi tęsknotę za czułością tylko wtedy, gdy zachoruje. Będzie gorączkować, gdy szef zacznie ją pouczać w pracy. Kiedy córki będą rzucały w jej stronę przesadne oskarżenia, jak to córki mają w zwyczaju, będzie dostawać migreny. Będzie leżała w ciemnym pokoju, a światło wpadające jej w oczy spomiędzy zasłon spowoduje, że będzie jej się zbierać na wymioty.

Kiedy zachoruje, cierpliwość i zwykła czułość męża będzie ją zaskakiwać. Mąż będzie zerkał przez drzwi i pytał, czy czegoś nie potrzebuje i co mogłoby sprawić, że poczuje się lepiej. Przyprawi ją to o łzy. Właściwie będzie płakać dlatego, że ma tak niewiarygodne szczęście, że znalazła sobie właśnie kogoś takiego, kto pokonał siłę grawitacji, jedząc pomarańczę.

„Przynieś wody. I pogłaszcz mnie”. To jej prośby, nie będzie umiała poprosić o nic

więcej w dorosłym życiu. A on przychodzi i ją głaszcze, przynosi wodę, siada obok niej, masuje jej plecy spokojnymi ruchami. „Czy chodzi o dziewczynki? - pyta łagodnie. - Była jakaś kłótnia?”

„Uhm” - odpowiada. Mężczyzna ją zna. Jej migreny, tak prawdziwe i szczerze jak tylko mogą być, zręcznie nakładane przez jej ciało maski proszące o troskę. Jak bardzo może być szczęśliwa, że ma takiego męża, który ją kocha, przez wszystkie dni i noce, przez senne niedzielne popołudnia i przez drażliwe wtorkowe wieczory. Rok po roku jej mąż cierpliwie zdejmuje warstwy otaczające to dziecko, które w wieku trzech lat stało z lalką w kuchni i prosiło, by je wziąć na kolana.

Ale do tego musi upłynąć jeszcze czas, jeszcze kilka dziesięcioleci. Teraz dziewczynka ma nadal tylko trzy lata. Jej prośba jest jedynie prośbą i odpowiadam na nią, biorę dziewczynkę bez wahania na kolana.

Wieczorem mężczyzna otacza mnie ramionami. Znów łatwo jest mi uwierzyć, że tak było zawsze. Dzisiejsza kłótnia rozciąga się między nami jak posępne rozdarcie, które mężczyzna próbuje załatać słowami i dotykiem. W końcu wstaje, wzdycha, podchodzi do okna. Szuka w kieszeni papierosa, siada na parapecie, otwiera okno. Odpuszczam trochę, siadam na łóżku, opieram głowę o ścianę.

- Nie powinnaś była tu zostawać - mówi nagle mężczyzna. - Powinnaś była z nim pójść, kimkolwiek jest ten mężczyzna.

- Dlaczego tak mówisz? Wcale nie chcę!

Pierwszy raz widzę ból na jego twarzy, ból, który kiedyś stanie się bardzo znajomy.

- Bo to się nie skończy dobrze - mówi. - Dlatego.

- Nie mów tak.

- Powinnaś zacząć kochać innego mężczyznę.

- Nigdy więcej tak nie mów. Nigdy więcej nie każ mi kochać nikogo innego.

15.

Czekali na gości wśród blasku śnieżnobiałych kwiatów jabłoni.

Mama chciała wyprawić dla przyjaciół ostatnie przyjęcie. Na Sammonkatu zbyt pachniało chorobą, więc postanowili przenieść przyjęcie do ogrodu. Poza tym mama zauważyła: „Gdzie indziej można by wyprawić ostatnie przyjęcie przed śmiercią, jak nie pod kwiatami jabłoni!”.

Mama i tata przyjechali na długo przed tym, zanim przybyli pierwsi goście. Mama chciała jeszcze móc sama zasadzić powoje. Teraz ich pnącza zwieszały się już pod oknem, oszołomione ziemią i światłem, i czerpały z gleby wilgoć. Jutro z pewnością się ożywią, a za kilka tygodni, gdy opadną już kwiaty jabłoni, będą się pięły aż za parapet.

Były we dwie z mamą w kuchni, przygotowywały sałatki.

Mama włożyła jasnoczerwone buty na wysokich obcasach, rwała liście sałaty, wrzucała je do miski i wyglądała na zadowoloną.

- Kobieta potrzebuje w życiu dwóch rzeczy: dobrego humoru i czerwonych butów na wysokich obcasach - powiedziała. - Dyplom doktora też się przyda, ale nie jest już taki niezbędny.

Tata i Eero rozpalali grill za oknem, dziewczynki kosiły trawnik. Drzwi były otwarte, kołysały się od podmuchów wiatru.

Eleonoora czuła się świetnie. Właśnie teraz nie trzeba się było onic martwić.

- To twoja ostatnia złota myśl dla potomnych? - spytała ze śmiechem.

- Tak, zapisz ją na kartce i dopilnuj, żeby znalazła się w moim nekrologu.

- Oj, nie zaczynamy tylko spisywać nekrologów!

- A czemuż by nie? Marzę o krótkim nekrologu, który zawierałby wszystko co trzeba: Elsa Ahlqvist, sylwetka w kształcie gruszki, pomijając ostatnie czasy, piersi aż do grobu zupełnie niczego sobie. Matka i babcia, pełna wysługa lat, niezawodny smak, jeśli chodzi o buty. Żyła bez strachu, umarła szczęśliwa, nigdy nie zostawiła niedojedzonych lodów.

Mama parsknęła śmiechem.

- Trochę mniej tej przedśmiertnej ironii, proszę.

- Ironia do mnie pasuje. Zauważyłam to. Ludzie często chcą, żebym mówiła o zbawczej sile miłości, ale doszłam do wniosku, że rozmowy o zbawieniu przystoją tylko mężczyznom, którzy noszą długie brody.

Mama opłukała pomidorki cherry i zaczęła przecinać je na pół. Weszła Maria, porwała z talerza kawałek mozzarelli, objęła babcię. Babcia dała jej buziaka w policzek, zaczęła, aż Maria wyjdzie z powrotem na dwór, nim powiedziała to, co zamierzała powiedzieć:

- Nie zobaczę już chyba tych powojów, jak urosną.

Eleonoora oddaliła od siebie smutek, wzdychając. Kiedyś będą rozmawiać o mamie i będą wzdychać właśnie w taki sposób. W przyszłym roku, gdy zakwitną kwiaty jabłoni, usiądą pod drzewami i będą jeść sałatki zrobione z tych samych składników co teraz, i powiedzą: „Mamie by się to podobało”.

- Może nie. Ale przyjedźcie choćby w przyszłym tygodniu, gdy puszczą korzenie. I zaczną rosnać.

- Można by mnie pod nimi pochować.

- Mamo. Nie będziemy cię chować pod klombem.

- Myślę, że pod klombem byłabym szczęśliwa - odpowiedziała lekko mama.

Wyjęła z pudełka folię aluminiową i zaczęła zawijać w nią warzywa na grill. Do każdej paczuski wkładała pomidorek, kawałek mozzarelli, bazylię i skrapiała oliwą.

- Jakie fajne - powiedziała Eleonoora. - Takie same jak wtedy, gdy byłam dzieckiem i bawiłyśmy się razem. Pamiętasz?

Mogłyśmy się bawić całymi godzinami jedną rękawicą albo twoimi skórzanymi rękawiczkami. tymi czerwonymi, które miałaś. Ja ze swoją rękawicą byłam muszlą, a ty rybą, która niczego nie przeczuwając, wpływała prosto do mojej paszczy!

- Naprawdę? - spytała mama.

- Gdzie podziały się te wszystkie zabawy?

- Tak to już jest - odparła mama. - Niektóre rzeczy się zapomina, a na ich miejsce przychodzą nowe.

- Może zniknęły, gdy skończyło się dzieciństwo - powiedziała Eleonoora i nagle poczuła przemożną tęsknotę za tamtymi dniami.

Nie chciała mieć pięciu lat. Nie chciała być dzieckiem. Ale chciała mieć znowu tę mamę, która zachęcała do zabawy, która wymyślała szalone wierszyki o chatkach z czterech stron wiatru, o księżniczkach, książętach, wiedźmach i czarownikach. Tę mamę, która nagle szeptała jej do ucha na ciemnej leśnej ścieżce: „Buka!”. I obie biegły pod mokre gałęzie z okrzykami przerażenia i radości. Mamę młodą, beztroską jak dziewczyna, która wszystkie lata ma jeszcze przed sobą. Tata spacerował z rękami w kieszeniach, uspokajał je łagodnym głosem, choć zarazem chciał zobaczyć, jak obie biegną i wydają przeraźliwe okrzyki radości.

Mama otworzyła jedną z zawiniętych paczuszek.

- Pomyślałam... - zaczęła nagle.

- Co?

Mama zerknęła na tatę za oknem. Wrócił do grilla, z ruchów można było wywnioskować, że udało mu się z Eero uzyskać optymalną temperaturę.

- Popełniłam pewne błędy.

- O czym ty mówisz, jakie błędy?

Mama szukała odpowiednich słów, wzdychając.

- Nie wiem. Mam poczucie, że nie przekazałam ci wszystkiego tak, jak należało. Tak mi się wydaje.

- Co? A co miałaś mi jeszcze przekazać?

Mama wzruszyła ramionami. Nie przestawała pracować, nowe zawiniątka z warzywami wychodziły spod jej rąk. Nagle zawartość jednego z nich wysypała na talerz.

- Nie wiem, czy byłam wystarczająco dobrą matką dla ciebie.

Nie potrafiłam się zmienić. Nie potrafiłam być bardziej matką, zostać w domu.

- Czemu miałabyś się zmieniać? - spytała zaskoczona Eleonoora. - Przecież nigdy nie mówiłam, że powinnaś była zostać w domu.

- Ale jednak dałaś sobie radę, prawda? Wyrosłaś na dobrą dziewczynę.

174

- Jak to: dałam sobie radę?

Mama nagle umilkła, spojrzała, jakby chciała jeszcze coś powiedzieć.

- Co? - spytała Eleonoora.

Zawyła kosiarka do trawy, zagłuszając głosy taty i Eero.

Mama odwróciła wzrok.

- Moja macica się rozdarła, kiedy cię urodziłam. Nie całkowicie, ale jednak. Na tyle, że nie mogłam już urodzić drugiego dziecka.

Mama wyrzuciła to z siebie nagle, jednym tchem.

- Nie wiedziałam - zdołała tylko powiedzieć Eleonoora.

- To sprawiało mi ból. Żeby o tym nie myśleć, wyjeżdżałam, wypełniałam sobie czas różnymi sprawami, wiecznie byłam zajęta.

Mama spojrzała na Eleonoorę.

- Zawsze byłaś dobrą matką - stwierdziła Eleonoora. - Nie mogłabym pragnąć innej.

Wydało jej się nagle istotne, że powiedziała to wprost.

- Dziękuję - odrzekła mama.

Odwróciła twarz do zachodzącego słońca, które świeciło przez okno, zamknęła oczy,

wyglądała na kruchą i szczęśliwą. Jakby była zrobiona z bibułki, pomyślała Eleonoora.

- Wiesz co, kocham ten moment, gdy samolot startuje - powiedziała nagle mama. - Przesuwa się przez chmury, a słońce oświetla twarz. Zawsze bardzo mi tego brakowało, gdy byłam w domu. Nigdy nie umiałabym się do tego przyznać, ale skurczyłabym się na śmierć bez tej chwili startu. Czekałam na nią, gdy samolot się rozpędzał, na uśmiechy stewardes i rozmowę z nieznanym pasażerem obok. To była moja słabość.

- Dlaczego, na Boga, to miała być słabość? Przecież kochałaś latać!

Mama wyglądała na nieco strapioną.

- Pragnęłam podróżować, przez cały czas. A jeśli wcale nie chciałam zmieniać świata, czynić go lepszym, pomagać tym wszystkim dzieciom i dokładać swojej cegiełki do nauki? Jeżeli chciałam tylko radości ze wznoszenia się, z podróży? Raz za razem. To dlatego wyjeżdżałam.

Pytanie zabrzmiało pośpiesznie, było jak błaganie:

- Jeżeli tak było?

Eleonoora czuła, jak niepokój czai się w kącikach jej ust. Głos kosiarki zamilkł. Dziewczynki dołączyły do taty i Eero.

- Jakie to ma znaczenie? Jakie to ma znaczenie, że lubiłaś latać?

- A jeżeli to lubiłam najbardziej? Jeżeli wcale nie byłam tak szlachetna, nie byłam wcale uzdrowicielką świata? Jeżeli chciałam tylko zabawy? Byłam niespokojna i znudzona, nie umiałam się zatrzymać. Jeżeli moja własna rodzina mnie przerażała, ten brak ruchu, ta powtarzalność wszystkiego? Szare listopadowe wieczory? Zawsze te same wyrazy twarzy? A więc jeździłam i pomagałam innym rodzinom, żeby nie musiała spotykać własnej.

- O czym ty mówisz? Zrobiłaś prawdziwą karierę! Nie bałaś się własnej rodziny! Byłaś obecna zawsze wtedy, kiedy byłaś!

- No tak - odparła mama. - Byłam.

Eleonoora musiała coś jeszcze dodać. Mama potrzebowała zapewnienia. Potrzebowała mocnego uzasadnienia, ostatecznego wglądu w siebie.

- Tak właśnie robi szczęśliwy człowiek - powiedziała Eleonoora. - Szczęśliwy człowiek dobrze się czuje, dobrze się bawi, a przy okazji zmienia świat, niejako na boku. Dostałaś wszystko.

Rodzinę, radość ze startu samolotu, wszystko! Taka właśnie byłaś!

Za oknem korzenie powojów być może zaczęły już wrastać w ziemię. Kwiaty jabłoni na drzewach, ich niewinna, połyskliwa biel, dziwiąca się samej sobie, jak dziecko przystępujące do pierwszej komunii, które po raz pierwszy włożyło odświętną sukienkę i

spostrzegło swoją moc przyciągania. Przez chwilę wszystko było na swoim miejscu, dokładnie tak, jak miało być.

Wszystko, co ważne, zostało powiedziane. W uśmiechu mamy odbiła się wdzięczność.

- Tak, taka właśnie byłam - potwierdziła.

Długo siedziały, obejmując się nawzajem. Kągle zawiniątka czekały na stole, wkrótce miały zaskwierczeć na grillu.

- Moja córeczka - odezwała się mama. - Tak bardzo wyrosłaś.

Przez głowę Eleonoory przemknęła zaskakująco jasna myśl: dla tej chwili warto było żyć.

- Czy wszystko już gotowe? - spytała Eleonoora. - Czy goście mogą przyjść?

- Tak, wszystko gotowe. Będę świętować z przyjaciółmi, jakby to był ostatni dzień, a jeśli zanadto się zmęczę, ty mi pomożesz.

- Dobrze. Jeśli zanadto się zmęczysz, ja ci pomogę.

16.

Telefon zadzwieczał trzy razy, zanim usłyszała głos kobiety.

Anna odkładała tę chwilę już ponad tydzień.

- Referat Ewidencji Ludności - powiedziała trochę surowo nieznajoma kobieta.

Z jakiejś przyczyny Anna postanowiła zachować anonimowość. Nie przedstawiła się.

- Czy to u państwa można dostać na podstawie adresów i nazwisk informacje o nowym adresie?

- Tak. Jeżeli zna pani nazwisko osoby i rok urodzenia, to wystarczy.

Ręka Anny drży.

- Nazywa się Eeva Ellen Ronkainen. O ile wiem, urodziła się w 1942 roku. Nie wiem, gdzie mieszkała. Jednym z jej adresów mogła być ulica Sammonkatu w Helsinkach. Urodziła się w Kuhmo. Jej nazwisko być może się zmieniło, jeśli wyszła za mąż.

Ronkainen to jej nazwisko panieńskie.

- Dobrze - odparła kobieta. - Zobaczmy, co uda się znaleźć.

Słychać, jak wystukuje coś na komputerze.

- A więc panie nie są spokrewnione?

- Właściwie nie. To znaczy... w pewien sposób.

Na drugim końcu linii słychać wahanie.

- W jakim celu potrzebne są pani te dane?

Annę ogarnia złe przeczucie.

- Czy muszę koniecznie podać przyczynę?

- W niektórych przypadkach pytamy o to - mówi kobieta. - Nie wszystkie dane są do publicznego wglądu.

- Do badań genealogicznych. Tak, do badań.

- Dobrze.

Anna słyszy klikanie myszki. Wyobraża sobie, jak strzałka na ekranie komputera pokazuje grupę osób, nazywających się Eeva Ronkainen, a potem wszystkie Eevy Elleny. Może jest ich dwie, a może więcej. Anna niemal słyszy, jak system dokonuje wyboru i zostawia na końcu tylko jedną opcję.

- Tak - mówi kobieta. - Wydaje się, że mamy tutaj odpowiednią osobę. Chce pani, żebym przeczytała dane na głos?

Anna słyszy, jak mówi, że tak.

- Eeva Ellen Ronkainen - mówi kobieta i robi małą przerwę. - Urodzona w Kuhmo w 1942 roku. Są tu adresy, co prawda nie Sammonkatu. Może nie mieszkała tam oficjalnie. Wszystkie adresy są w Helsinkach, na przykład ostatni...

- Ostatni?

Kobieta robi przerwę, wzdycha, następnie czyta - twierdzącym tonem, akcentując - informacje.

- Zmarła w Kuhmo w roku 1968.

Słysząc, jak trzyletnia córeczka sąsiadów, Frida, płacze przejmująco. Frida uśmiecha się do Anny w windzie niemal każdego dnia, gdy tylko się widzą. Pokazuje jej wtedy swoje zabawki i z powagą wypowiada zdania. „Ja mieszkam na dole, a ty na górze, ale to zupełnie inna sprawa niż niebo”.

- Jak to? - pyta oszołomiona Anna.

Kobieta śmieje się do słuchawki. Może należy do tych, którzy cieszą się z efektów wywołwanego przez siebie szoku, lub do tych, których po prostu nie stać na współczucie. Dziwią się, śmieją, zamiast wyrazić ubolewanie.

- Nie mamy oczywiście takich danych. Prowadzimy rejestr urodzeń, małżeństw, adresów, narodzin dzieci, śmierci. Nie mamy możliwości, żeby jeszcze zapisywać, jak kto umarł. Ani pozwolenia, w gruncie rzeczy.

- To co mam zrobić? Co powinnam w takim razie zrobić?

Kobieta znowu się śmieje, stuka dalej w klawiaturę komputera. Rzeczywiście należy do takich, którzy zaskakują, przekazując informacje. Kończy wystukiwanie. Anna nie może wydusić z siebie ani słowa. Na linii nie ma szumów. Jest zupełnie cicho.

- No - mówi w końcu kobieta. - Jeśli nie zna pani jej krewnych, to nie mogę nic więcej pomóc.

Potem jeszcze dodaje, trochę zdziwiona.

- Umarła, mając dwadzieścia sześć lat.

- Ach tak.

- Czasami umiera się młodo. Zdarzają się wypadki, choroby, które nieoczekiwanie zabierają ludzi, w ciągu jednego tygodnia.

- Tak - mówi Anna. - Zdarzają się.

Kobieta przez chwilę milczy. Anna zdaje sobie sprawę, że ci, którzy pracują w ewidencji ludności, składają kondolencje, podając klasyfikacje. Kobieta jednak ją zaskakuje, mówi z westchnieniem:

- Zawsze sobie myślałam, że jeśli umarłabym młodo, na przykład w wypadku samochodowym, na przykład latem, na drodze, jadąc przez pola, to umarłabym szczęśliwa. Może ona też tak umarła.

- Tak, może.

Kobieta odczytuje jeszcze raz trzy ostatnie adresy. Anna je zapisuje, mówi „Dziękuję” i „Do widzenia”, chce już zakończyć rozmowę. Dopiero teraz kobieta to mówi, nieco spiętym głosem, jakby posługiwała się obcym językiem:

- Bardzo mi przykro.

Kobieta jest młoda, Anna zauważa to dopiero teraz. Może trochę starsza niż ona sama. Kondolencje to obcy język dla tych, którzy przeżywają młodość, to język, którym mówienie boli. Młodzi ludzie myślą: to nie dla mnie, to nigdy nie będzie mnie dotyczyć.

Odkłada słuchawkę i wsłuchuje się w ciszę. W gazecie z ogłoszeniami, która wpadła przez szparę w drzwiach, jest reklama dentysty. Na żółtej karteczce zrobiona wczoraj przez Matiasa lista zakupów. „Mleko do kawy” jest podkreślone dwa razy.

Matias nie znosi poranków, kiedy nie ma mleka do kawy.

Anna stoi w przedpokoju. Czuje, jak uchodzą z niej siły. Plama atramentu, która już zaczęła w niej zanikać, rozszerza się znowu.

Atrament wylewa się na podłogę, skapuje w szpary między deskami.

Niewiele myśląc, wystukuje znowu numer do ewidencji ludności. Zostaje połączona z jakimś mężczyzną. Jest trochę zawiedziona, że nie będzie mogła zadać pytania tamtej kobiecie.

- Eeva Ellen Ronkainen, urodzona w Kuhmo w czterdziestym drugim, zmarła w Kuhmo w sześćdziesiątym ósmym. Czy na podstawie tych danych mógłby mi pan powiedzieć, czy miała rodzeństwo?

1966

Jasne dni, przepastne. W czerwcu i lipcu Elsy nie ma przez trzy tygodnie, urządzamy sobie dom na wsi. Każdego ranka sprawdzamy pułapkę na ryby, wkładam gumki mężczyzny iwiosłuję. Mężczyzna siedzi z dziewczynką z tyłu łodzi i śmiejąc się, wymyślają sobie różne historie.

Raz znajduję w pułapce szczupaka, szamocze się, ale udaje mi się go przytrzymać. Szczupak pozdrawia nas z dna jeziora, dziewczynka śmieje się, kiedy wymyślłam mu słowa.

- Czy na dnie jeziora jest zimno? - dziewczynka pyta szczupaka ze śmiechem.

- Tak - odpowiadam rybim głosem. - Jest chłodno i spokojnie, na dnie jeziora nigdy nic się nie zmienia.

Czasem mężczyzna rysuje mnie, kiedy wiosłuję. Z reguły zostawia dni, szczupaki i dno jeziora samym sobie i się nimi nie zajmuje. Słońce wstaje i zachodzi, świat wypełniony jest spokojem. Dęby na podwórku gęstnieją z dnia na dzień. Kos już zamilkł, ale piecuszki jeszcze śpiewają. Od czasu do czasu któryś z przyjaciół mężczyzny wjeżdża samochodem na podwórko bez zaproszenia, ale nam to wcale nie przeszkadza. Niektórzy z gości przywożą ze sobą butelkę wódki, część z nich chce narobić trochę hałasu. Czasami przyjeżdżają całe rodziny. Siedzimy do późna w nocy z winem, czekoladą, którą dostaliśmy w prezencie, i z poglądami wszelkiej maści, dziewczynka co chwila zasypia na moich kolanach.

Przemowy zaczynają się u nas od wielkich słów.

„No, ale świat” - ktoś mówi. „Ten kraj” - odpowiada ktoś inny.

„I ten czas” - ktoś dodaje. Znowu rozmawiamy o człowieku i o tym, dokąd powinien zmierzać.

Nikt nie chce tego przyznać, ale wszyscy tak naprawdę jesteśmy bardziej zainteresowani jeziorem, sauną i połówką ciasta z jagodami leżącego na stole niż tym, że właśnie teraz w biurach, salach obrad i na mównicach, a może też, kto wie, pod ziemią, na zebraniach grup, którym dopiero wymyśla się nazwy, tworzona jest rzeczywistość.

Kerttu spędza czas na takich właśnie zebraniach. Wcale nie dba o ciasto z jagodami. Zjada je, jeśli ktoś podsunie jej ciasto pod nos, ale poza tym nie poświęca mu przesadnej uwagi. Nur to dla niej tylko słowo związane z minionymi dniami.

Ale jesteśmy też my, którym do szczęścia wystarczą same początki zdań w cieniu dębów, podczas gdy nur przeczesuje swoim głosem powierzchnię jeziora.

- No, ale świat - ktoś mówi.

Mężczyzna patrzy na mnie, dziewczynka śpi na moich kolanach z Mollą pod pachą, i nikt nie musi mówić tego na głos: świat jest tutaj. Gdzieś w innych stronach, właśnie teraz, napalm rozchodzi się po dżungli i wszyscy są przerażeni. My też będziemy, jeżeli ktoś będzie nam chciał zabrać ciasto z jagodami.

W Paryżu wybuchły już zamieszki wywołane ostatnimi zdarzeniami, próbują je teraz podać w formie dostępnej dla mas.

Obok tego wszystkiego - wzburzenia, morza płomieni i przerażenia, solidarności i niekończącej się recytacji haseł - gdzieś właśnie w tej chwili ubierają długonogą, krótkowłosą dziewczynę w żółtą sukienkę. Podkreślają jej oczy, głębokie i duże jak staw, przyklejają sztuczne rzęsy, robią zdjęcia. Widzę te fotografie jesienią w gazecie i dziwię się, od kiedy to twarze wyrażające zdumienie weszły w modę. To dzieje się gdzieś właśnie teraz, tworzą się nowe tendencje. Ale my o to nie dbamy, ponieważ mamy świerki i dęby, ciasto z jagodami i

początki zdań. I to jest to, czego teraz potrzebujemy.

Któryś z gości dolewa sobie wina, mówiąc:

- Wszystko należałoby rozpatrywać głównie z punktu widzenia nadziei. Jak to powiedział Martin Luther King.

- Nie King, tylko Kant - ktoś poprawia. - Powinno się wrócić do Kanta i spytać, jaką tak naprawdę można mieć nadzieję.

A dopiero później, co możemy zrobić.

Inni potakują. Kant zostaje zaakceptowany, jednak wzrok wszystkich kieruje się w stronę ciasta z jagodami i niezdarnej osy, która postanowiła uszczknąć sobie z niego kawałek.

Każdego wtorku i piątku chodzimy z dziewczynką do sklepu, który mieści się w samochodzie. Przebiegamy przez skrzyżowania drózek, a nasze nogi pokrywają się polnym kurzem. Molla jest z nami. Dziewczynka pokazuje jej łąki, krowy i mieniące się w słońcu wierzbownice, których blask aż kłuje w oczy. Dziewczynka jest pogryziona przez owady i opalona. Ma rączki nóżki.

„Ciasteczka” - mówi. „Markizy czy cynamonowe z cukrem?” - pytam i zastanawiamy się przez chwilę, które będą lepiej smakowały ze świeżym mlekiem. Próbujemy zgadnąć, kto będzie dzisiaj w samochodzie. Pulchniutka żona sklepikarza, która często daje Elli lody w prezencie i dla Mollie też ma piankowe cukierki - którymi dziewczynka karmi Mollę z zamkniętymi oczami, bo lalki jedzą tylko wtedy, kiedy nikt nie patrzy - czy może jego syn, który wcale nie dba o takie gesty.

Kupujemy ciastka, chrupkie pieczywo i płatki kukurydziane, bo dziewczynce nagle przyszło do głowy, że je lubi. Kupujemy też lemoniadę i konserwy, na wypadek gdyby w pułapce na ryby znalazła się tylko drobnica. Ryż i sok pomarańczowy. Ziemiaków nie musimy kupować, bo mamy własne, tak jak groszek.

Salata wschodzi z ziemi tuż pod drzwiami, jej też nie potrzebujemy. Mleko kupimy w drodze powrotnej kilometr stąd od Ekmana.

Dziewczynka chce popatrzeć na krowy. Staje obok Kaisly o wielkich wymionach, jest cicha, poważna, próbuje jej rozkazywać. Spogląda z lekka niespokojnie na jej wymiona. Zaczynam sobie zdawać sprawę, z jak bardzo daleka pochodzę. Nigdy nie dosięgnę świata dziewczynki. Świata, w którym kiedy dziewczynka dorośnie, mleko będzie w butelkach, torebkach albo kartonach.

Itak też się stanie: będzie kobietą, która zjada na lunch sałatkę z serkiem owczym, a na podwieczorek ciabattę z mozzarellą. A ja już na zawsze pozostanę w rzeczywistości smalcu isosu grzybowego.

Lato się zatrzymało, niebo jest na swoim miejscu, trawa rośnie, nie wydając głosu, poziomki stają się ciężkie od rosy i światła, każdego dnia chylą się coraz bardziej ku ziemi. Dziewczynka zbiera je co ranka, wpadają do emaliowanego kubeczka jak ślepe, szczęśliwe larwy.

- Nadziejemy je na źdźbło trawy i zrobimy naszyjnik? - pytam.

- Jak? - pyta dziewczynka.

Plotę dla niej naszyjnik z poziomek, dla Molli drugi. Dziewczynka nosi go tak długo, aż poziomki puszcza sok. Z jej szyi spływa czerwona perła między łopatki i ktoś z gości mówi:

„Kochane dziecko, wyglądasz, jakby ktoś cię przekłuł!”.

- To Eeva mnie przekłuła - mówi dziewczynka. Jest zadowolona z ozdoby.

- Nie opowiadaj głupot - ganię ją.

- Ewa przekłuła mnie w wariatkę - mówi dziewczynka, a ja grożę, że zmyję jej usta mydłem, jak to kiedyś robiła moja mama.

Marszczę twarz, a dziewczynka śmieje się i zmyka.

Mężczyzna pracuje powoli. Szykuje się do rozpoczęcia obrazu, ale właściwie nie zaczyna malować. Jakiś kolega przywozi mu płótna, które on rozciąga na blejtramach. W deszczowe dni uczy się w szopie nowych technik, o których mówiono w Paryżu w zeszłym roku. Połączenie fotografii i farb olejnych, może to?

Czy powinien spróbować? Nastawia ostrość aparatu na wszelki wypadek, ale nie robi zdjęć.

- Co robisz? - pytam pewnego razu od drzwi, gdy jedni goście już wyjechali, a nowych jeszcze nie ma.

- Ćwiczę - mówi, nie odwracając wzroku.

- Poćwicz ze mną, nudzi mi się.

Ella zapadła w popołudniową drzemkę i czuję, że zaraz deszcz mnie rozpuści, jeśli nic się nie wydarzy.

- To usiądź tutaj - mówi mężczyzna.

Rysuje moją sylwetkę grubymi, niedbałymi pociągnięciami, zaczyna najpierw miękkim ołówkiem na papierze i nie jest to nic nadzwyczajnego. Nie myśli o pracy ani o obrazie, tylko próbuje.

Ja siedzę obok, patrzę na niego. Zapala papierosa, wciąga dym i włącza radio. Wracam do książki, którą czytałam.

- No już, takie sobie - mówi po upływie dłuższej chwili.

- Czyli?

- Po prostu zwykle bohomyzy.

- Mnie rysujesz?

- Tylko próbuję.

Upływa godzina, może dwie. Mężczyzna miesza farby, pociąga pędzlem kilka razy. A może użyć atramentu, myśli, może w ten sposób lepiej wydobyłyby moje cechy? To myśl połowiczna, czuła, pojawiła się trochę od niechcienia. Na porowatym papierze, myśli dalej, i postanawia spróbować później, jeżeli będzie mu się chciało.

Deszcz bębni po dachu i żadne z nas nie zmieniliby niczego w tej chwili, nie usunęłoby nawet muchy, która swoją ssącą trąbką zawłaszcza szybę na miejsce swoich naukowych eksploracji, gdy na nią nie patrzymy.

Deszcz, krzaczki jagód w lesie, czerwone wiadro w saunie, dziewczynka śniąca w domu. I my, bez żadnego konkretnego planu. Rozmawiamy o czymś, o niczym ważnym. Że można by było jutro wybrać się do miasta i odebrać pocztę z domu. „A może jednak nie” - mówi jedno z nas. „Może lepiej pojutrze” - odpowiada drugie.

Roztargniony, z papierosem w ustach, radosny, mężczyzna wygląda tak, jakby rzucał niemal mimochodem spojrzenia uprawniały go do uchwycenia obrazów wieczności.

Nie myśli o tym, że mnie maluje, ale właśnie w ten sposób zaczyna.

Jednego z tych dni, gdy słońce przygrzewa i czas nie istnieje, gdy można usłyszeć, jak dojrzewają poziomki, Kerttu przyjeżdża do Tammilehto. Jesteśmy tu już od dwóch tygodni. Został nam jeszcze tydzień do powrotu Elsy. Nie myślałam o Elsie ani o Kerttu, bo miałam niebo, żdźbła traw i poziomki, wieczory spędzane z mężczyzną i spacer z dziewczynką do sklepu na skrzyżowaniu. Kerttu przyjeżdża niespodziewanie. Razem z Pennanenem, asystentem profesora na socjologii, który lubi sobie czasem popić.

Nie widziałam Kerttu od końca czerwca. Była w Sztokholmie, zaczęła znowu tworzyć siebie od nowa. Grzywka, mocno podkreślone oczy, spódniczka jak rękawica do gorących naczyń. Kozaki, choć jest lato.

Pennanen to stary znajomy mężczyzny. Kerttu chodziła do niego wiosną na seminarium i posprzeczała się z nim kilka razy.

Można by pomyśleć, że to odwieczni wrogowie. Ale czasem między wojującymi parami rodzą się dziwne przyjaźnie.

Przywożą ze sobą olbrzymi udziec wieprzowy, wino i wódkę Koskenkorva. Pennanen głaszcze mięso, chwali się, że dostał najlepszy kawałek. Patrzy na Kerttu. Kerttu przewraca oczami i nie wiem, co jest między nimi grane - nienawiść, żarty czy może jeszcze coś innego.

- Dzisiaj zarżnięty - mówi Pennanen. - Trzeba go upiec.

Pennanen pije i pali przez cały czas, śmierdzi mu z ust. Kerttu podoba się to, że może sobie trochę poustawiać mężczyzn takich jak on. Nieustannie się boksują, kłócą z powodu przypadkowego zdania. Kerttu naumyślnie drażni Pennanena, a Pennanen ją.

Pieczemy mięso nad brzegiem jeziora. Dziewczynka chce, żeby Kerttu zrobiła jej naszyjnik z poziomek, Kerttu zabiera się do pracy. Siedzą na ganku sauny i dzielą się tajemnicami, które są przeznaczone tylko dla nich.

Mężczyzna poprawia rozżarzone węgle pod skwierczącym mięsem, a ja kroję ziemniaki na sałatkę, kiedy Pennanen rozpoczyna swój pijacki wywód. Rozwodzi się na temat tego, w jakim kierunku zmierza kraj, mówi o groźbie wojny, broni nuklearnej, Wietnamie, pozycji kobiety i wytycznych dla rozwoju sztuki.

Należy do tych, którzy zaczynają mówić o rewolucji, gdy ktoś da im wódki. Którzy dzielą kobiety na dobre i złe.

Chce przywołać Kerttu do porządku.

- Powinnaś być taka - mówi. - Taka jak Eeva. Dostosować się.

- Eeva się nie dostosowuje - odpowiada ostro Kerttu.

Pennanen unosi brwi, sapie.

- Przecież zajmuje się tu dziećmi innych. - Pociąga z butelki, zanim dopowie zdanie do końca. - I mężami.

Mężczyzna dopada go w dwóch skokach, wyrzuca butelkę do jeziora, dociska go do ściany sauny tuż przy wiszącej na gwoździu sieci na ryby i podnosi do góry.

- Zostaw - mówi Pennanen. - Zostaw, to był ostatni raz.

Mężczyzna zwalnia uchwyt, a Pennanen poprawia kołnierzyk, trochę oszołomiony, jakby nie wiedział, co się stało.

Dziewczynka patrzy na to wszystko, siedząc na ganku sauny.

Poziomki świecą się na jej szyi jak czerwone porzucone oczy.

- To miał być komplement - mruczy pod nosem Pennanen. - No, tak jakby - dodaje. - Szczególny komplement dla ciebie, Kerttu.

- Zaczynaj lepiej prawić inne komplementy - odpowiada Kerttu.

Siedzimy z Kerttu w saunie do późna w nocy. Mężczyźni są na ganku, a dziewczynka już śpi. Nie pytam, dopóki nie wyjdziemy na chwilę, żeby się ochłodzić.

- Czy ja się dostosowuję, tak to wygląda?

Kerttu mnie obejmuje.

- Nie przejmuj się. Tylko tak powiedział. Po pijaku.

- Ale czy powinnam więcej wymagać?

Kerttu patrzy na mnie badawczo. Między jej brwiami pojawia się zmarszczka.

- Kiedy przyjeżdża Elsa?

- W przyszłym tygodniu, w środę.

To jedyny raz, kiedy przez ten cały czas ktoś wspomina o Elsie.

Dziewczynka czasem o niej mówi, mężczyzna nigdy. Kerttu patrzy na jezioro, wygląda tak, jakby zastanawiała się, co powiedzieć.

- Kiedy nadejdzie jesień - mówi w końcu - powinnaś coś zrobić.

- Co?

- Mogłabyś na przykład wziąć się do nauki. Zaczynasz pisać pracę magisterską czy nie? Pójdiesz na uniwersytet razem ze mną, ostatnio poznałam nowych ludzi, już nie mogę się doczekać, kiedy ich spotkasz.

- On mnie kocha.

- To niemało - odpowiada Kerttu.

- I dziewczynka. Ona też mnie kocha.

- Widzę.

Płyniemy na drugą stronę jeziora i wolno z powrotem, nasze głosy odbijają się od powierzchni wody. Kiedy moje nogi dotykają dna, jeszcze zanim wyjdziemy z wody, myślę, że jesienią coś powinno się zmienić.

Kiedy zaczyna zmierzchać, robię to. Z początku mężczyzna nawet nie zauważa zmiany. Myśli, że jestem bardzo zajęta. Chodzę po Sammonkatu z pokoju do pokoju z książką w ręce.

Może Eeva odwraca wzrok, myśli mężczyzna, odwraca wzrok częściej niż przedtem, ale to nic nie znaczy. Podchodzi, całuje mnie. Nie potrafię się odwrócić. Odpowiadam na pocałunek.

Ale w tych tygodniach, gdy mieszkam na Liisankatu, udaję, że nie słyszę dzwoniącego telefonu. Jeżeli przypadkiem usłyszę, odbieram i odpowiadam prostymi zdaniem. „Tak - mówię. - Dzień jest krótki, noc zapada niespodziewanie szybko”. „Nie - mówię. - Nie byłam w kinie, siedziałam w bibliotece. Tak. Dużo pracy”.

Odkładam słuchawkę. Wychodzę z domu, schodzę na dół i idę innymi ulicami niż kiedykolwiek przedtem. Wchodzę do barów, w których nigdy nie byłam. Czasem kogoś spotykam, ale najczęściej idę do biblioteki, do ciszy panującej w czytelni, otwieram książki i pilnie pracuję.

Myślę, że mogłabym na przykład uczyć. Mogłabym z powodzeniem poszukać sobie

jesienią pracy. Czemu nie?

Listopad przynosi śnieg, a grudzień świeczki w oknach. Bywają wieczory, kiedy w ogóle nie myślę o mężczyźnie, a o dziewczynce tylko raz. Mimo to noszę ich wszędzie ze sobą, jakbym taszczyła bagaż gotowy do przeprowadzki w nadziei na nowy dom.

Wciąż pamiętam mężczyznę, choć chodzę zupełnie innymi ścieżkami. Jego zapach jest we mnie, choć noszę nowe ubrania.

Kiedy człowiek nauczy się drugiego człowieka, wie o nim wszystko, zna zarys szczęki i sposób, w jaki szcztokuje zęby. Kiedy nauczy się tego, jak mamrocze przez sen, jakby mówił w jakimś niezrozumiałym starożytnym języku, ledwo go znając, trudno to potem zapomnieć.

Znam wrażliwość i okrucieństwo mężczyzny, jego okresy radosnego zapału i zagmatwane sploty nawiedzającego go czasem niewytłumaczalnego smutku. Dźwigam na swoich barkach tę wiedzę przez całą jesień, próbując żyć własnym życiem. Jak nieużyteczny, niewygodny i ciężki skarb. Co mogłabym z nim zrobić? Zakopać w parku?

Chciałabym wyjechać gdzieś daleko z tą wiedzą, jak mężczyzna podkurcza palec stopy, kiedy czyta. Chciałabym zrzucić tę wiedzę ze szczytu góry i zobaczyć, jak uderza o skałę. A jego kichanie? Albo dziewczynka! Jak się śmieje! Mogłabym sprzedać wspomnienia o tych kichnięciach czy śmiechu dziewczynki za markę przechodniowi. Mogłabym wymienić je na butelkę lemoniady w którąś sobotę na mieście, bo zaczyna mi się wydawać, że staję się przez nie ociężała i niezgrabna. A może nie, może nie ociężała. Staję się lekka, przezroczysta.

17.

- A tamta? - pyta dziadek i pokazuje na siedzącą w przejściu kobietę z wózkiem dziecięcym.

Dziadek zadzwonił, mówił o pogodzie, zaprosił na przejażdżkę tramwajem, był dziwnie zmieszany, tak że Anna musiała dopowiadać słowa i potwierdzić szybko, z uśmiechem w głosie: „Tak, chodźmy”.

A teraz siedzą z tyłu tramwaju na ostatniej ławce. Anna przez chwilę prześwietla w myślach kobietę z wózkiem, potem potrząsa głową.

- Nie, ma dziecko, wygląda na szczęśliwą. Powinno być w niej jakieś pęknięcie, ale nie chcę jej tego robić. Niech zostanie taka szczęśliwa.

Dziadek potakuje.

- Pomyślmy lepiej o miłości - mówi po prostu, jakby mówił o tym, który ser wybrać.

Kładzie ręce na oparciu siedzenia z przodu, bębni po nim palcami, jakby ćwiczył etiudę, i wpatruje się w drzwi. Tramwaj zatrzymuje się na przystanku. Do środka wchodzi nastolatki i dwie kobiety w średnim wieku, z których jedna rozmawia przez telefon. Mężczyzna w garniturze zerka na innych pasażerów, w jego wzroku widać podenerwowanie, a na końcu języka błąka się zuchwała zapowiedź rozmów biznesowych. Dziadek pochyla się ku Annie, mówi żartobliwie, szepcząc i wyolbrzymiając dramat wywołany zawodem:

- Ani jednej miłości, żadnej, nawet początkującej albo zakończonej.

- Wysiadamy?

- Chyba nie ma innego wyjścia.

Wysiadają na najbliższym przystanku.

- Teraz to wymyśliłem - mówi dziadek. - Miłość zaczyna się od lodów.

- A, to ciekawe.

- Udowodnij, że nie!

- No dobrze. Nie dam rady. Niech się zaczyna od lodów.

Szukają budki z lodami. Anna wybiera lody orzechowoczekoladowe. Namawia dziadka, żeby spróbował nowego smaku, salmiakki* i gruszka. Dziadek mówi do sprzedawcy:

- Namówiłaby mnie nawet na lody o smaku cebuli, gdyby powiedziała, że to najnowszy hit tego lata!

Z nonszalancją wyciąga banknot i płaci. Idą usiąść na parkowej ławce.

- No tak. Ręczę, że zaraz coś się wydarzy - mówi dziadek, smakując lody. - Całkiem dobre.

- Zobacz - mówi Anna. - Dzięki mnie będziesz na bieżąco z najnowszymi trendami, tak jakbyś był szesnastolatkiem.

- Czyli będę całkiem nowoczesnym starym wygą.

Pięć minut, dziesięć. Ludzie z psami, spacerowicze. Jeden tata z dzieckiem i trójkołowym rowerkiem. Wreszcie para. Chłopak nie trzyma dziewczyny za rękę, dziewczyna się uśmiecha, on tłumaczy jej zasady polityki gospodarczej.

Dziadek zerka na Annę i unosząc brwi, mówi, jakby zdawał raport.

- Miłość zaczyna się od lodów i od zmian stóp procentowych.

Co ty na to?

- Zaprotokołujmy. Również to, że mają na imię Rebekka i Aleksy. Wiek dwadzieścia dwa lata. Trzecia randka. Dotarli już do ideologii, ale jeszcze nie do pocałunku.

Dziadek potakuje.

- To też przyjdzie. Przyjdą dni, kiedy nie będą umieli żyć, jeśli jedno drugiego nie zobaczy.

- Zacznie się niepewność i zazdrość.

- I te kłótnie. Jedno krzyczy: Nie pozwalasz mi oddychać!

A drugie: Twojej miłości nie da się już wytrzymać!

- Kto zostawia walające się wszędzie skarpetki, a kto brudne naczynia.

*Salmiakki - jeden z ulubionych fińskich przysmaków, ma słodkosłony smak, przypominający anyżek, i czarny kolor.

- A mimo to uczucie, że się umrze, umrze, jeśli ten drugi przestanie istnieć, że człowiek zachoruje, będzie istniał tylko połowicznie, jeśli...

Dziadek milknie. Para - Rebekka i Aleksy lub kimkolwiek są - odeszła już daleko. Dziadek patrzy na bruk ulicy. Chwila się przeciąga. Ptak, którego Anna nie rozpoznaje, zaznacza trzema ostrymi sylabami przerwę w swoim występie. Czy dziadek myśli obabci? Czy może o Eevie?

Dziadek spogląda na morze.

- Wiesz o Eevie?

- Tak - odpowiada szybko Anna.

- Elsa ci powiedziała.

Anna milknie. Wydaje się jej, że nie warto odpowiadać.

- Próbowałam się dowiedzieć, gdzie mieszka - mówi w końcu. - Zadzwoiłam do ewidencji ludności.

- Naprawdę? - pyta dziadek, ale nie wydaje się zaskoczony.

Anna nie wie, czy chciałaby to powiedzieć. Mimo to mówi.

- Pewnie dobrze wiesz, że Eeva nie żyje.

Dziadek potakuje.

- To małe miasto, oczywiście, że się dowiedziałem. Chciałbym co prawda dla tej historii innego zakończenia. Eeva na nie zasługiwała. Pozwoliłbym jej na to.

Dziadek wzdycha. Anna widzi na jego twarzy smutek. To ten sam smutek, który zdaje się skrywać za oczami dziadka zawsze, gdy mama mówi o leczeniu babci.

- Zachować swoją odrębność czy uszczuplać ją, aż całkiem przestanie istnieć, całkowicie się zjednoczyć. To nigdy nie przestało mnie dręczyć. O jaką miłość chodzi? Czasami chciałem, żeby Eeva stała się częścią mnie. Miała też innych, przynajmniej w ostatnim czasie. Żyła wolnym życiem, wyprzedzała swoje czasy. Sama myśl o innych mężczyznach powodowała, że chciałem, żebyśmy byli całkiem nierozdzielni.

Anna mówi to, w co wierzy, że jest prawdą.

- Inny, zawsze inny. Nieskończenie inny, nieznajomy do głębi.

To lepsze niż ten sam.

Dziadek się uśmiecha.

- Elsa tak mówi.

- Nauczyłam się tego od babci.

- Wydaje mi się, że nigdy Eevy do końca nie poznałem.

Owszem, znałem ją tak, jak można znać bliskiego człowieka, tego jestem pewien. Znałem ją dobrze. Ale mimo to w jakiś sposób pozostała nieznana. Nie wiem, skąd to poczucie.

Anna odwraca wzrok, patrzy na jasnozielone połacie parku.

Drzewa się kłaniają. Ludzie wyczarowują lato, zdejmując kurtki, rzucając frisbee, biegając za nim tam i z powrotem. Jeszcze kilka dni temu Anna szukałaby wzrokiem wśród ludzi przechadzających się po parku Eevy. Myślałaby: może to ta kobieta, a może tamta?

- Myślę, że ją znałeś - powiedziała Anna. - Jestem tego pewna.

Dziadek patrzy z ukosa w dół, jakby badał jakiś bardzo stary widok, wspomnienie sprzed wielu lat. Anna myśli: nigdy nie widziałam go tak poważnego.

- Wiesz, Eeva czasami wprost kategorycznie upierała się przy swoim, jak dziecko. Uważałem to wtedy za naiwność, myślałem, że jest jeszcze taka młoda. Ale później zacząłem

sobie zdawać sprawę, że to było jej głębokie przekonanie. Nie dawała ani trochę za wygraną. Żyła w zgodzie z tym, w co wierzyła.

Dziadek uśmiecha się, jakby czule pielęgnował w pamięci upór Eevy.

- Miłość to jedyny sposób, żeby uczynić świat prawdziwym, tak kiedyś powiedziała. Żadna rewolucja tego nie dokona. Czy to było dziecinne? Nie wiem.

Zjedli lody do końca. Rebekka i Aleksy, wraz ze swoimi niezłożonymi jeszcze pocałunkami, kłótniami, rozstaniem i powrotami do siebie, zniknęli im już z oczu. Dziadek przechyla się do tyłu, zaplata ręce, nagle wygląda, jakby chciał zagwizdać.

- No tak, pomyśleliśmy sobie o miłości, więc niech im się wiedzie. Tym samym ogłośmy, że zebranie komisji rewizyjnej do spraw miłosnych zostało zakończone.

- Niech będą szczęśliwi.

- A kiedy świat wkroczy między nich, jak to zawsze robi, niech na przekór położą się cierpliwie obok siebie, obok, a nie w sobie - proszę to dopisać do protokołu - bo dobrze jest, gdy człowiek pozostaje sobą także w miłości.

- Tak jak ty i babcia.

Dziadek się uśmiecha.

- Tak. Tak jak ja i Elsa.

18.

- No - powiedziała Elsa, żeby zacząć, trochę zmieszana. - To tu mam usiąść?

- Na przykład.

Dobrze się przygotowali, jakby wyjeżdżali w podróż. Wzięli ciastka, kanapki, herbatę w termosie, płyty z muzyką.

Marttiemu podobało się to, że Elsa była z lekka skrepowana, przejawiało się to w szczególnym uśmiechu. Oczy spuszczone w dół, nieco do przodu pochylony kark. Moja stara kobieta, nagle nieśmiała jak młoda dziewczyna, pomyślał i ogarnęła go tak nieprzeparta czułość, że musiał przenieść wzrok na farby.

- Ponad pięćdziesiąt lat minęło i dopiero teraz chcesz mnie namalować.

- Tak, teraz - powiedział niby beztrąsko, nie patrząc na Elbę.

- Niby czemu nie - odparła z uśmiechem.

Było tak, jakby malował człowieka po raz pierwszy w życiu, chociaż dobrze to znał, bardzo dobrze: wziął ołówek i zaczął szkicować sylwetkę. Łatwo uchwycił linię karku, kształt głowy, nos.

Lata nawarstwiły się w Elsie, wychwytywał je wszystkie.

- Trochę w lewo.

- Tak?

- Tak, tak jest dobrze.

Przypomniał sobie, jak kiedyś rysował Hilję, ich pomoc domową, gdy zmywała naczynia lub obierała ziemniaki. Siedział na stołku w kuchni, przeżuwał kanapkę, popijał mleko, gawędził z Hilją, tak jak to mieli w zwyczaju.

Hilja miała osiemnaście lat, on czternaście. Hilja była kobietą, która być może miała już starających się o jej rękę zalotników i swoje własne sprawy poza pomaganiem u nich w domu. On był jeszcze tylko uczniem.

Narysował piersi Hilji i jej ramiona, które wcale nie były delikatne, ale za to dziarskie, i właśnie dlatego takie piękne. Zaznaczył też to coś ciężkiego w okolicach jej podbródka, co sprawiało, że Hilja robiła wrażenie nieco męskiej. Przeniósł na papier jej szerokie biodra, nieco pochyloną sylwetkę nad zlewozmywakiem.

Oczywiście próbował uchwycić styl artystów z przełomu wieków: kobieta przy pracy. Nauczył się już, że wyjątkowość w sztuce można osiągnąć tylko wtedy, gdy jest się

uczciwym, aż do granic przyzwoitości. Nie wolno idealizować, trzeba pokazać rzeczywistość ze wszystkimi jej szczegółami, nie pomijając wypaczeń.

„Jesteś naprawdę dobry - powiedziała Hilja. A potem dodała czule: - Tylko spojrzeć, mój chłopiec! Zawsze byłam pewna, że coś tam się w tobie kołacze, o czymś marzysz za tymi swoimi pięknymi oczkami”.

Zobaczył, że Elsa go obserwuje.

- Czy już zacząłeś? - spytała niemal od razu.

- Zaczekaj chwilę - odpowiedział miękko. - Albo nagroda za pozowanie do obrazu zmniejszy się do dwóch ciastek.

Elsa umilkła, w kącikach jej ust jeszcze błąkał się uśmiech.

Odwróciła głowę do okna.

- Mogłeś to zrobić wcześniej - powiedziała. W jej głosie nie było nagany ani wyrzutu. Stwierdziła to tylko czule. - Kiedy umrę, wtedy przyjdą i będą chcieli zrobić wystawę, kupią tę pracę, nawet szkice. „Czemu chciał pan namalować pusty worek po ziemniakach? - ktoś spyta. - Co pan właściwie chce przez to powiedzieć?” Ktoś inny powie, że to wyraźna alegoria społeczeństwa, pokazująca wzrost różnicy w dochodach. A ty odpowiesz:

„Nie, to nie jest żaden worek, to moja żona, którą udało mi się kochać przez ponad pięćdziesiąt lat”. A potem pójdą na kawę.

Będą jedli sernik i dziwili się na głos w przerwie między jednym kęsem a drugim: „Spójrzcie tylko, kochał żonę podobną do worka przez ponad pięćdziesiąt lat!”. I ktoś będzie jeszcze to podważał, jakiś mądrała przywiązany do swoich teorii: „Nie sądzę, żeby to była jego żona, w każdym razie. Myślę, że w istocie chce zobrazować przemianę społeczeństwa z agrarnego w miejskie. Chodzi mu o urbanizację, pamiętajcie, że to mówiłem. Chce zilustrować ten przełom ze wszystkimi jego bolesnymi miejscami na przykładzie kobiety o wyglądzie worka”. Tak więc byłoby lepiej, gdybyś namalował mnie, póki jeszcze przypominałam kobietę, uniknąłbyś tych przemądrzałych, błędnych interpretacji.

- A teraz bądź już cicho - powiedział z czułością.

Elsa zaczęła się dźwięcznie śmiać z własnego toku rozumowania. Martti spostrzegł w tym śmiechu coś bardzo mu znanego.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że był zawsze taki sam. Nie musiał rozkazywać ręce, niemal mimowolnie udało mu się przenieść ten śmiech na płótno.

Teraz Elsa spojrzała na niego.

- Lubię sposób, w jaki na mnie patrzysz - powiedziała. - Lubię ten twój wyraz twarzy. Pozwala mi odczuć, że strzegę tajemnicy.

Martti uśmiechnął się.

- Bo strzeżesz.

1966-1967

Na początku grudnia znajduję Mollę w szafce kuchennej. Ma wyszarpane jedno oko.

Siedzi na dolnej półce obok słoika z mąką jęczmienną. Wpatruje się we mnie z przestraczem. Na ustach ma zawiązaną chustkę. Tak ciasno, jakby to był knebel.

Do warkoczyków ubrudzonych poziomkowym dżemem przykleiły się płatki owsiane z półki w szafce. Dżem jest też w torebkach z mąką i w puszcze do kawy, na papierze rozłożonym na półkach tworzy lepkie plamy. Dziewczynka otworzyła torebkę z kaszą, zanurzyła nogi Molli w dżemie, a potem w perełkach kaszy, zrobiła jej z tego wymyślne buciki.

Zabieram Mollę z szafki, w której była zamknięta jak w więzieniu. Opada mi bezsilnie w rękach, z czystego przerażenia.

A jednak jej drugie oko zrobione z guzika uśmiecha się nadal, a lepkie warkoczyki sterczą radośnie mimo upokorzenia i próbują powiedzieć, że na świecie są różne radości, na przykład kąpiel w pianie i lizaki na patykach czy jasne słońce w grudniu, które właśnie teraz rozcina podwórko na pół, dzieli je na zacienioną i oświetloną stronę.

Podchodzę do okna.

Kasztanowce niemo i sennie wyciągają swoje gałęzie w zimowym świetle. Dziewczynka i jej przyjaciółka Teija pokrzykują na podwórku. Biegają od huśtawki do trzepaka, tam i z powrotem.

Przez wiele dni bawiły się w tę samą, dziwną grę. Dziewczynka jest dobra w wymyślaniu zasad, które co rusz się zmieniają.

Teraz już od dawna bawią się w ganianego, w trakcie wymawiają zaklęcia i przeganiają duchy.

Otwieram okno i słyszę, jak dziewczynka każe przyjaciółce przejść na zacienioną stronę podwórza.

Tłumaczy zasady gry. Nikt nie może dotknąć kasztanowca.

Trzeba jednak przejść obok niego. Przejść tak blisko, że niemal się przekraść. Ale jeśli się go dotknie, to trzeba iść do cienia i pozostać tam już przez całą zabawę, i nie można wyjść stamtąd przed obiadem. Albo przed nocą, dopowiada. Nie można stamtąd wyjść przed nocą, jeżeli w ogóle. Tłumaczy z zapalem zasady, jakby czytała rozkazy, które przysły w zapieczętowanym liście od najwyższego zwierzchnika w niebie.

- Ella!

Dziewczynka nie słyszy albo nie chce słyszeć. Pobrudzony dżemem warkoczyk Molli robi mi plamę na bluzce.

- Ella, chodź na górę. Mam do ciebie sprawę.

Dziewczynka odwraca się plecami. Jej kark błyska bielą spod czerwonego szalika.

- Eeva cię woła - mówi dziewczynce Teija.

Dziewczynka słyszy wszystko. Ale nie chce zawracać tym sobie głowy.

- Ella, natychmiast chodź tutaj.

Teija patrzy na Ellę z wahaniem. Dziewczynka zwiesza w końcu głowę, jak zawsze, gdy naburmuszona zmierza do drzwi.

Na schodach słychać stąpanie, za kilka minut będą już na górze. Odwijam chustkę z ust Molli. Wyziera spod niej rana. Na wierzch wychodzi czerwona wata z uśmiechniętego półokręgu, tak jakby Molla pluła przez swoją radość suchą pianą. Jej twarz została pocięta nożyczkami.

Trzęsą mi się ręce. Dziewczynka otwiera drzwi, staje na progu, patrzy na Mollę, potem na mnie. Przytulam Mollę do siebie, nie wiem, czy to ona jest moją tarczą, czy ja jej. Teija spogląda na mnie przez ramię dziewczynki, widzę jej wystraszoną minę.

Dziewczynka wygląda, jakby ktoś ją uderzył. Potem krzyczy.

- Molla powinna być w szafce!

- Bawiłaś się nią. Cięłaś ją nożyczkami, jak ci się tylko podobało!

Dziewczynka nie odpowiada.

- Dlaczego tak się nią bawiłaś i tak ją pobrudziłaś?

Dziewczynka wpada w szał. W kilka sekund robi się czerwona i podbiega do mnie. Wrywa mi Mollę z rąk i biegnie do kuchni.

Idę za nią. Dziewczynka sadza lalkę na półce, otwiera paczkę z płatkami owsianymi i nim zdążę ją powstrzymać, wysypuje płatki na Mollę.

- Koniec, Ella. Koniec tej zabawy.

Łapię ją za ramię i odciągam od szafki. Odpycha mnie. Ma zaskakująco dużo siły, chwieję się do tyłu i uderzam biodrem okant stołu. Dziewczynka robi dwa kroki w stronę szafki, chwytając zdecydowanym ruchem puszkę z kawą ze stołu, otwiera ją i wysypuje zawartość na Mollę. Wydaje mi się, jakbym w jej spojrzeniu widziała samą tylko radość ze zwycięstwa.

- Ella!

Podchodzę, chwytam ją za włosy na karku i szarpnię, jakbym wrywała szczypior z ziemi. Dziewczynka piszczy. Spostrzegam, że popełniłam błąd. Dziewczynka już zaczyna

płakać, moje przeprosiny na nic się zdadzą.

Uderza mnie pięścią w brzuch. Jej piąstka jest jak ostry młoteczek, przez chwilę brak mi tchu. Chwytam powietrze niczym noworodek. Dziewczynka przestaje krzyczeć, przygląda mi się.

Zdziwiona tym, co udało jej się zrobić, patrzy na mnie z zainteresowaniem. A potem znów płacze. Podchodzi do szafki i wyrzuca na podłogę wszystko, co tylko trafi w jej ręce. Pęka słoik z dżemem, konserwa toczy się pod stół. Molla uśmiecha się na półce, wypychając sobie watę z ust.

Biorę dziewczynkę w ramiona. Woła o pomoc, powtarza jak zaklęta „nie, nie, nie”. To jej „nie” odbija się od ścian, ucieka na zewnątrz przez okna. Obejmuję ją jeszcze mocniej ramionami.

- Ciii - mówię. - Już cichutko, nic się nie stało, nic się nie stało.

Dziewczynka krzyczy, szarpie się, wreszcie zaczyna wrzeszczeć. Jest już poza moim zasięgiem, wytarganie za włosy zabrało ją w ciemność.

Jest cała zasmarkana, od krzyku w kącikach jej ust tworzą się bąbelki śliny. Wybuchają jak ciche rakiety ostrzegawcze.

Teija stoi na progu, patrzy na nas z przerażeniem. Potem się odwraca, zatraskuje drzwi za sobą, zbiega po schodach. Nie mam czasu, żeby się nią teraz zajmować, biorę dziewczynkę w ramiona, nadal krzyczy. Przedzieram się z nią przez hol. Napina się jak łuk i o mało nie upuszczam jej na ziemię.

Kładę ją do łóżka, bije mnie. Jej policzki pokrywają się plamkami, takimi samymi jak wtedy, gdy była chora. Jej nóżki śmigają przed moimi oczami, jednym kopniakiem trafia mnie boleśnie w pierś.

Kładę się obok niej, trzymam ją mocno.

- Jestem tu, nie bój się, nic się nie stało.

- Nienawidzę cię.

- Na pewno nie.

- Właśnie, że nienawidzę. Chcę mamę!

- Będziesz miała mamę, ale teraz ja jestem tutaj.

- Idź sobie stąd, chcę, żebyś poszła!

- Nie pójdę. Nigdzie teraz nie pójdę.

Krzyk dziewczynki jeszcze się wzmagają. Jej głos jest już ochryply. Trzymam ją przez cały czas, nie uwalniam z uścisku.

- Ciii...

Krzyk pomalu ucicha, dziewczynka jest tak wyczerpana, jakby wróciła z biegu dookoła świata. Wciąga powietrze. Płacz nachodzi ją falami jeszcze przez prawie godzinę. Szuka go jak piosenki, jakby od czasu do czasu budziła się po to, żeby coś zamruczeć.

Zegar tyka w salonie, ludzie wracają do domów, leżymy objęte razem w łóżku. Dziewczynka jest spocona. Trzęsie się. Ja powtarzam: „Ciii...”

Dziewczynka pamięta to też później. Pamięta te chwile, gdy ma dwanaście i szesnaście lat, dwadzieścia dwa i czterdzieści dwa. Jej wspomnienia koncentrują się wokół głosu. Nocami budzi się, nie mogąc złapać powietrza, i nie wie, co ją tak przytłacza. „Ciii...” - mówi sobie i myśli, że to ją uspokoi, bo przypomina morze i podróż poślubną do Nicei.

Stopniowo dziewczynka zaczyna miarowo oddychać. Jej pierś unosi się jeszcze gorączkowo, serce bije niespokojnie. Obejmuje mnie rączkami. Nie patrzy na mnie, tylko cicho leży.

- Nigdzie nie pójdziesz, prawda? - szepcze w końcu.

Nie chciałam nigdy nadać tym słowom takiego znaczenia jak teraz:

- Nie. Zostanę tutaj.

Przez cały grudzień kłócimy się z mężczyzną. Nie odzywam się do niego, gdy przychodzi, by posprzątać w pokojach, obrać ziemniaki, pogłaskać wieczorem dziecko przed snem. Mężczyzna również milknie. Dziewczynka natomiast gada bez przerwy, przychodzi do mnie blisko. Chce być tak blisko, jakby chciała we mnie zamieszkać. Idę wynieść śmieci, a ona wkłada gumowce, lewy na prawą, prawy na lewą nogę, i biegnie za mną. Biorę ją na barana, prosi, żebym pobiegała z nią dookoła podwórza, jak koń. Ruszam galopem, nasze oddechy parują. Kiedy potem wchodzimy na górę po schodach, zwiesza mi się z pleców jak małpiątko. Spuszczam ją przy drzwiach na ziemię, otwieram drzwi, wchodzimy do przedpokoju. Prosi, żeby wziąć ją na rękę.

- Kochanie, nie dam rady cię wciąż nosić. Jesteś już dużą dziewczynką.

- Jestem jeszcze całkiem malutka - mówi i robi buzię w ciup.

Jej rączki obejmują mnie wokół talii, zakopuje się pod moim płaszczem.

Gorące fazy jej oddechu, małe podmuchy skierowane w mój brzuch, tak jakby chciała otworzyć sobie drogę przez mój pępek gdzieś do wnętrza mojej istoty, do samego środka Eevy, skąd nie ma już powrotu.

Mężczyzna patrzy na nas. Jest niespokojny i podenerwowany, jak zawsze w te ostatnie tygodnie. Nie siedzieliśmy już razem na poddaszu od miesiąca, ostatnim razem patrzyłam na niego, nawet nie drgnąwszy, z założonymi rękami. Znów wypróbował nową technikę, zamalowywał poprzednie płótna, robił zdjęcia, bo zamierzał zestawić ze sobą farby olejne i

fotografię.

A atrament? Czemu zrezygnował z atramentu tak lekkomyślnie? Mógł przecież zrobić już dziesiątki, setki odbitek, gdyby przyszło mu na myśl wyryć moją sylwetkę w drewnie lub linoleum. Farby olejne są zatęchłe i staromodne. Powinien być bardziej otwarty na inne metody.

Nie ubolewałam nad jego bezradnością. Nie pozwalałam, żeby jego spojrzenie wniknęło głębiej w moje oczy. To go rozwścieczało. „Idź stąd, przecież nie chcesz tu zostać!” - mówił, a ja odchodziłam.

Teraz widzi mnie i dziewczynkę, dziewczynkę i mnie w przedpokoju, splecione w objęciach, i nie potrafi zbliżyć się ani na krok. Widzę, że chciałby do nas podejść, tak samo jak chciałby wejść znowu do mojego wnętrza, we mnie. Wiem, że jeśli poprosi, może jeszcze tego wieczoru, nie będę miała siły powiedzieć mu „nie”.

Ale on o nic nie prosi, nasza kłótnia tym razem jest zaciekle.

Rozchodzi się po pokojach, przechodzi przez progi, wypełnia szczerlnie każdy kąt, jak wyrośnięte bez umiaru, wylewające się z miski ciasto.

Kiedy stary rok odwraca się do nowego plecami, przedstawiam Kerttu nieśmiało swój plan: Zamierzam się przeprowadzić.

Przez całą jesień myślałam o tym, że potrzebuję własnych ścian, kuchenki, stołu, progu, przez który mogę przejść i powiedzieć: To moje.

Siedzimy przez chwilę cicho przy kuchennym stole. Cała ulica się pochyla, ściany czekają na odpowiednie słowa.

Wreszcie Kerttu mówi:

- Coś się zaczyna, coś innego.

Uśmiecham się.

- I nie wiemy o tym nic ponadto, że będzie dobre.

Na samym początku stycznia znajduję dwadzieścia dwa metry kwadratowe drewnianej podłogi na Pengerkatu, z małym okratowanym okienkiem wychodzącym na podwórze. Zupełnie jak mój były pokój kuchenny, ale tylko mój. Płacę pierwszy czynsz gotówką, jeszcze zanim stół zostanie wniesiony przez próg.

Widzę swoje odbicie w oknie, wyglądam jak obca kobieta. Jeszcze obca, ale za to taka, jaką polubię.

Ta obca kobieta, która nie boi się wypowiedzieć swojego imienia, ma tytuł magistra. Dlatego przez cały miesiąc wciąż muszę się męczyć z pracą dyplomową, kiedy śnieg okrąża miasto od zachodu i wschodu, a mróz robi z niego skrzypiący posąg.

Szóstego lutego praca jest gotowa i Elsa chce mnie zabrać na kawę i ciastko.

- Mam dla ciebie prezent - mówi od razu na powitanie.

Spinka do włosów albo puder, czegoś takiego oczekuję, ale Elsa podaje mi przez stół czek.

- Moim zdaniem powinnaś pojechać do Paryża. Żeby wypróbować zdolności językowe. To prezent ode mnie.

Czek leży przede mną na stole. Kwota jest duża, mogę za nią polecieć w tę i z powrotem i nocować w hotelu, w którego jadalni rozpościerają się na stołach białe obrusy.

- Dziękuję - mówię.

W marcu znowu widzę kręte ulice Montmartre. Jeżdżę metrem i wysiadam na przypadkowych stacjach. Poznaję w kawiarniach ludzi i zaczynam się czuć jak paryżanka. Moje gesty nabierają pewności, testuję swoje poglądy i palę gauloise'y, chociaż to wcale nie w moim stylu. Ale Eva pali. Ta Eva, którą znają w Paryżu.

Śpię dwie noce w hotelu, za który zapłaciłam czekiem. W obydwie noce śni mi się ten sam sen o Elsie.

We śnie jesteśmy w saunie. Elsa siedzi już w środku, gdy otwieram drzwi. Jest tak dużo pary, że trudno coś zobaczyć. Czekam, aż Elsa zejdzie na dół. Ociąga się, wreszcie pokonuje stopnie. Nie patrzy na mnie, bierze miskę, nalewa do niej gorącej wody ze zbiornika. Dolewa jeszcze trzy czerpaki zimnej z dużego cebra i oblewa się całą.

Później patrzy na mnie: w jej wzroku nie ma złości, pogardy, zdziwienia czy ciekawości. Raczej stwierdzenie: A, tutaj jesteś.

Widzę sylwetkę Elsy, jest piękna i pełna. Jej piersi są ciężkie, z mokrych włosów po obu stronach głowy skapują krople na sutki, większe od moich. Ciężko mi na to patrzeć. Odwracam wzrok.

I znów się wpatruję.

- Masz piękne piersi - mówię.

Elsa rozchyła usta, wciąga trochę powietrza, jakby chciała coś powiedzieć, ale odwraca się z powrotem w stronę pieca. Przez chwilę myślę, że zamierza włożyć ręce do środka i z pełną świadomością się poparzyć. Ale ona dolewa wody do miski. Potem otwiera drzwi i odwraca się jeszcze, zanim przekroczy próg.

- Uważaj, żebyś nie nakruszyła chleba na podłogę.

- Przepraszam. Rzeczywiście nakruszyłam? Mogę zamieść - mówię.

- Dobrze. W końcu za to ci płacimy - odpowiada Elsa.

Budzę się cała roztrzęsiona i spocona, postanawiam, że trzeciej nocy nie spędzę już w

hotelu na rachunek Elsy. Pakuję swoje rzeczy i przesiaduję cały dzień na placach, wędruję z miejsca na miejsce.

Wojna daleko na wschodzie stała się nie do zniesienia dla mieszkańców Paryża, tak jak dla wielu innych. Zaczyna się to objawiać w zaskakujący sposób: za pomocą jaskrawych koszulek i okrzyków, których jeszcze dwa lata temu nikt nie wznosił w gwarze ulicy. Kapelusze i wąskie spódnice gdzieś zniknęły, ich miejsce zajęły krótkie, bardzo krótkie spódniczki. Mężczyźni mają brody, o których mama by powiedziała, że w takiej brodzie wrona bez problemu mogłaby złożyć jajka. Na okładce wydanego w czerwcu albumu wśród wypłowiałych białoczarnych staroświeckich osobistości występują angielskie Żuki w błyszczących uniformach. Jeszcze tego nie wiadomo, ale przez drzwi knajp, do środka i na zewnątrz, będą się przelewać ich naśladowcy z wąsami, zaokrąglonymi okularkami, niedbałymi ruchami i myślami przywiezionymi z Indii.

Mody rozprzestrzeniają się tak szybko jak choroby i poglądy.

Mnie nie podobają się wąsy. Nie wiem, co myśleć o tym, że wszyscy powinni ruszyć na front wspólnej miłości, jak tutaj mówią. Ja chciałabym tylko jednej. Jednej, która byłaby całkowicie moja. Czy to zbyt wielkie wymaganie? Czy taka miłość stała się już staromodna?

Drugiego dnia mojego pobytu w Paryżu spotykam w muzeum Marca. Oglądam obraz Rembrandta, kobietę, do której przez dwa lata tęskniłam jak do starej przyjaciółki, kiedy podchodzi Marc i mówi, że wyglądamy identycznie, kobieta i ja.

Wszystko dzieje się tak łatwo, niepostrzeżenie. W ten sposób zaczynają się miłości, myślę sobie, kiedy spacerujemy brzegiem rzeki i pijemy wino w małej restauracji. Marc patrzy mi w oczy - brązowe oczy, ani jednego cienia! - i uśmiecha się. Mówi: „Czemu nie zaufać nieznanemu, kiedy nikt nie udowodnił jeszcze, że to się nie opłaca? Życie zaczyna się wtedy, gdy człowiek ma odwagę się w nie rzucić!”.

Rzucam się w wir życia w mieszkaniu Marca w Marais. To wszystko byłoby brzydkie - mama z pewnością by tak powiedziała, co za brzydota! - jeżeli nie byłoby takie piękne. „To się nazywa rozkosz” - mówi Marc. Marc ma ciemne płaskie sutki, które wyglądają jak przyjazne oczy. Kiedy podróżuję w głąb niego, wpatruję się w nie jak w fiołki. Jest czulszy niż ktokolwiek inny, nieco zaskoczony, gdy odnajduje moje wnętrze.

Już po wszystkim robi dla mnie w wąskim aneksie kuchennym kawę i kanapki, przynosi je do łóżka. Jest tak, jakbyśmy byli na wycieczce, jakbyśmy żeglowali po otwartym morzu. „Je t'aime” - mówi Marc, i myślę, czy to w ogóle może być prawda, bo przecież znamy się dopiero jeden dzień. Dla Marca jest.

Nastaje drugi dzień, potem trzeci. Marc proponuje mi wspólne życie, tak jakby to był

towar na półce w sklepie, który mogę wybrać lub zostawić.

- Czy kochałabyś mnie? - pyta. - Czy mogłabyś mnie kochać?

- Stałabym się kimś innym. Nie wiem, co by to była za miłość.

- Piękna.

Mówi to tak, jakby pielęgnował w myślach coś na kształt niedzielnej wycieczki: coś lekkiego, łatwego. I kto wie, może dla takich jak Marc jest to łatwe. Dla takich, którzy przechowują swoje pieniądze w puszcze po kawie na półce w kuchni, dla takich, których drzwi są otwarte dla przyjaciół, a także dla nieznanomych, dla takich, którzy przykleili taśmą na ścianie zdjęcie pięknego rewolucjonisty, nie pytając o przyczyny ani konsekwencje.

Rewolucjonista umrze w październiku daleko stąd. Marc będzie płakał tego dnia, zapali na podłodze świeczkę przed plakatem. Ale zanim to się stanie, zdąży jeszcze upłynąć trochę czasu.

Po pięciu dniach wyjeżdżam. „Czy jeszcze się spotkamy?” - pyta Marc, a ja odpowiadam: „Peut-être”. Może jeszcze przyjadę kiedyś i mu zaufam, i rzucę się w wir życia, tak jak to robią odważni ludzie.

Ponieważ to, o czym mówi Marc, jest prawdą: każdy powinien mieć śmiałość, by poddać się temu, co nieznanemu. Świat jest dla każdego równie obcy, dopóki człowiek nie odważy się wyciągnąć ku niemu dłoni i uczynić go bardziej sobie znanym.

Dziwię się, jak łatwo jest mi zapomnieć Marca, kiedy wracam do domu. Mam jego adres, obiecałam, że będę w kontakcie. Napisałam swój adres na jego dłoni - może go zmyje, a może przepisze na kartkę papieru. Zgniatam karteczkę na dnie torebki, spoczywa w niej zmięta jak pestka wiśni - kiedyś mogłoby z niej wyrosnąć całe drzewo, w innych warunkach. Nie myślę o karteczce, ale też jej nie wyrzucam. Wiosenne światło przyjeżdża wraz ze mną z Paryża na Pengerkatu. Słońce wspięło się w ciągu tych pięciu dni o jeden stopień wyżej.

Trzeciego dnia po moim powrocie do domu mężczyzna siedzi na dworze przed drzwiami, kiedy wracam ze sklepu. Pali i kopie kamyczki, jakby był nieobecny. Zerka na mnie. Mam rozpuszczone włosy, podoba mu się to, ale wzbudza też w nim niepokój.

Kto je rozpuścił? Właśnie teraz nie może znieść wiatru z Paryża, który bawił się moimi włosami, to zniewaga od jego byłego miasta rzucona mu prosto w twarz.

- Kim też pani jest? - pyta, krzywiąc lekko usta w uśmiechu, tak jak to ma w zwyczaju. - TU mieszka niejaka Eeva, która pochodzi z miejsca na skraju pola pod lasem, gdzie robi się babeczki z ziemniakami i jagodami. A pani, z tymi włosami, z tym papierosem i z tym spojrzeniem, wygląda, jakby przybyła tu z jakiegoś wielkiego miasta.

Powinnam była umieć się odwrócić. Nie powinnam była już podejmować tej gry.

Za każdym razem oddalam się od niego, a on ode mnie. Odpychamy się nawzajem, żeby potem znów zrobić krok w kierunku siebie.

Nigdy w tym samym miejscu - zawsze w podróży do albo od.

Mężczyzna opiera się o ścianę domu tak, jakby nie dbał o to, że ściana mogłaby się zawalić pod jego naporem. Znam go takiego, z rękami w kieszeniach i papierosem w ustach. Pojechałam do samego centrum świata, a nie zdołałam zapomnieć, jakie to uczucie go kochać.

- Ładna dzisiaj - mówi mężczyzna.

- Co takiego?

- Pogoda. I takie tam.

Wzruszam ramionami.

- Wątpię, dziś widziałam przewalające się chmury. Leciały z hukiem jak ciężkie wałachy przecznice stąd. Więc nie sądzę, żeby się utrzymała.

- Gdzie? TU, w tych okolicach?

- Nie powiem ci, bo poszedłbyś i próbował je przenieść na obraz, nie zostawiłbyś ich w spokoju.

To zdanie na chwilę go ucisza. Nie wygląda na obrażonego.

Myśli, czy wypróbować naszą grę. Postanawia, że tak.

- Spotkałem kobietę - mówi ze znajomym wyrazem twarzy.

Unosi lewą brew. Nie wiem, jak to robi, ale unosi tylko jedną, jakby to była szaleńczo wygięta gąsienica motyla. Wiem dobrze, że powinnam się odwrócić. Ktoś inny, mądrzejszy o całe lata ode mnie i od takich jak ja, odwróciłby się plecami i nie zgodził na tę grę. Ale jestem tylko sobą i nie zdążę już nigdy stać się nikim innym.

- No i jaka była?

- Zła, przywiozła tę swoją złość z obcych miast, zmieniła się nie do poznania.

- I to rozwścieczyło mężczyznę. I już więcej jej nie zobaczył.

W jego spojrzeniu znów widać ból. Ktoś inny, mądrzejszy o całe lata ode mnie i od takich jak ja, stanąłby z kamienną twarzą na widok bólu. Ale ja to ja i nie znam takich zachowań. Nie wiem, jak powiedzieć komuś „nie”, skoro powiedziałam „tak”. Kiedy człowiek raz się zakocha, to już na zawsze otwiera się na tego drugiego, oddaje mu siebie całkowicie. Moje ręce mówią „nie”, zaciskają się w pięści, ale mężczyzna znów mnie otwiera, krok po kroku.

- Naprawdę? - pyta.

- No, czasami. Czasami widzi ją jeszcze, dokładniej niż ktokolwiek inny.

Uśmiecham się. Mężczyzna podchwytuje mój uśmiech i zaczyna czuć się swobodnie.

- Czy było przyjemnie - pyta. - T&a, w samym centrum świata?

- Niczego sobie, jak w cyrku.

- Bo tam jest cyrk, w tym mieście. A tak poza tym, to widziałem twoją Kerttu. Jechała właśnie do Sztokholmu. Żeby zrobić jakąś zadymę, jak sądzę.

- A ty? Przyszedłeś tu narozrabiać?

Zerka wokół, rzuca wypalonego papierosa na ziemię i gasi go nogą.

- Na zamówienie, czemu by nie.

Adres Marca spoczywa w mojej torebce, niebo jest wysoko nad nami. Gdzieś zaczęło grzmieć, gdzieś zaczął już wykluwać się ten świat, który po trochu, z roku na rok, uczy takich jak ja zamykać drzwi i siedzieć cicho w swoich własnych czterech ścianach.

Ale teraz jest koniec marca 1967 roku, a ja zgadzam się ustąpić we wszystkim mężczyźnie, którego kocham. Nie mam dla niego ani jednego „nie”. Otwieram drzwi i mówię:

- No to wejdź.

Podróżujemy do siebie przez całą wiosnę. Mamy nowe zręby dla naszej czułości, teraz są to ściany Pengerkatu. Mężczyzna częściej do mnie przychodzi. Przynosi ze sobą rzeczy, za każdym razem coś nowego, a to maszynkę do golenia, a to szczoteczkę do zębów, szkiełko, pęk ołówków, aż w marcu wszystko zaczyna już wyglądać tak, jakby podzielił swoje życie na pół.

Najczęściej leżymy w łóżku i urządzamy leniwe wyprawy badawcze do siebie nawzajem, spokojnie i przyjaźnie, bo tak już się znamy, że nie dziwi nas to, co znajdujemy. Powinam więcej pracować, przygotowywać się do ostatnich egzaminów na studiach. On też powinien pracować, ale żadne z nas do pracy się nie bierze.

Rzeczywistość może zaczekać, kiedy tkamy nasze wspólne sny.

Pod koniec kwietnia zimny wiatr wieje od morza, kiedy zdaję ostatni egzamin w chłodnej sali na rogu placu. Profesor Falek ocenia moją wymowę, każe mi mówić o wszystkim, co tylko przyjdzie mu do głowy, a ja mówię. Niebo zdaje się trzeszczeć w posadach, ale kościół za oknem stoi niewzruszony. Wymawiam „aujourd’hui” bezbłędnie.

Po egzaminie idę przez plac, niebo się pochyla, ziemia unosi.

Choć rzeczywistość rozpada się z traskiem, Elsa nadal wierzy w ciastka i simę* domowej roboty, którą sporządza się na pierwszego maja na zapleczu najbardziej tradycyjnej kawiarni w mieście. Chce koniecznie zabrać mnie tam po egzaminie, chociaż dyplom dostanę dopiero za miesiąc. Zgadzam się, nawet nie wiem czemu. Uciskają mnie rajstopy, w brzuchu

mnie skręca. Elsa zamawia dla nas kawę, simę i trzy rodzaje ciastek.

*Sima - tradycyjny fiński napój przygotowywany z wody, drożdży, cukru, owoców cytrusowych i rodzynek. Jego fermentacja trwa na ogół tydzień.

- No dobrze - mówi Elsa. - To wznieśmy toast na cześć pani magister.

Uśmiecha się, a zarazem dziwi sama sobie. Poprzedniej soboty - jednego z tych pracowitych dni, kiedy Elsa sama postanawia zająć się domem - sprzątajac, znalazła moje ubrania w szafie wnekowej sypialni. Bluzkę, sukienkę, spodnie, stanik. Przez chwilę wszystko było jasne: „Tego się spodziewałam! Nie chciałam dopuścić tej myśli do siebie przez trzy lata!”. Potem jednak Elsa zganiła samą siebie, wymyśliła sześć czy siedem różnych powodów, dlaczego moje ubrania znalazły się w jej szafie. Rzeczy z pewnością wędrują, skarpetki i nie tylko, więc czemu by nie staniki. Oczywiście ja nie rozbierałam się w jej sypialni. Ani nie ubierałam, ani nie rozbierałam.

Kiedy siedzę przed nią, jest utwierdzona w swoim przekonaniu: Eeva nie może zdradzić, bo Eeva jest dobra.

Stukamy się kieliszkami i rozmawiamy tylko po francusku, bo potrafimy. Moje kłamstwa znikają w odmętach simy, stają się bez znaczenia. Zapominam je, tak samo jak Elsa zapomina odwracający się od niej wzrok mężczyzny i pytania dziewczynki: „Jeżeli to nie Eeva jest moją mamą, tylko ty, to czyją mamą jest Eeva?”.

- Co planujesz? - pyta Elsa. - Teraz wszystko stoi przed tobą otworem.

Udaję optymizm, rozkładam szeroko ręce na znak gotowości.

Moje zdanie brzmi jak prośba:

- Chciałabym jeszcze popracować u was. Chętnie zostałabym jeszcze przez ten rok.

Elsa potakuje. Widzę w spojrzeniu Elsy jakąś myśl, ale nie znam jej treści. Myśli o poprzedniej sobocie, kiedy zrobiła uwagę mężczyźnie na temat moich ubrań w szafie. Rzuciła ją jakby od niechcienia. Mężczyzna również się nie przejął, powiedział z naganą w głosie: „Trzeba by powiedzieć Eevie, żeby była uważniejsza”.

Elsa spojrzała na niego. Chciała w to wierzyć i dokładnie w tym samym momencie mężczyzna wierzył samemu sobie. Elsa odetchnęła, zaczęła mówić o innych rzeczach, choć jeszcze nie do końca pozbyła się niepokoju.

Mężczyzna spojrzał na Elsę, która siedziała przy kuchennym stole, nagle jakby nieco mniejsza, bezradna. Niepewność spowodowała, że Elsa się skurczyła, i mężczyzna przypomniał ją sobie, gdy była jeszcze dziewczyną. Podszedł do niej i wziął ją w ramiona.

Miłość była przywarciem do siebie ciał, była tak samo oczywista jak istnienie tych rąk, które wyciągnęły się w stronę Elsy.

19.

Sara prowadzi, Anna siedzi obok. Sara jest przeciwniczką samochodów, ale kocha prowadzić. Pożyczyły auto od jej ojca.

Podróż nie jest długa, nieco ponad godzinę na północ.

Tak samo jeździły wtedy, gdy dostały prawo jazdy. Jechały na lotnisko, siadały w kawiarni, obserwowały wznoszące się samoloty i piły kawę, jedną za drugą. Sara planowała studia w Berlinie albo w Nowym Jorku.

Anna pamięta jeszcze niepokój, który czuła, gdy Sara mówiła o swoich planach. Sara wyjechałaby i wysyłała jej ozdobione wykrzyknikami kartki, na których pisałyby o swoim szczęściu i o ludziach, których ona nigdy nie pozna. Anna zostałaby w domu, nie będąc w stanie zrobić żadnych większych zmian w swoim życiu, nie mówiąc już o zmianie świata. Spacerowałyby między przecznicami, od domu do sklepu, od sklepu do pracy, z pracy do domu, nie ośmieliłaby się nawet sobie wyobrazić, że mogłaby znaleźć się gdzieś indziej.

- Denerwujesz się trochę? - pyta Sara.

- Tak.

Samochód pożera asfalt przed sobą. Annie zdaje się, jakby sama była wypełniona drogą. Sara nuci coś pod nosem.

- A twoja babcia?

- Uparcie walczy. Planuje założyć zespół, który będzie grał swinga.

- To całkiem w jej stylu - odpowiada Sara z uśmiechem.

Anna musi powiedzieć to na głos:

- Ale koniec już nadchodzi. Jest blisko. To widać.

Babcia powiedziała dawno temu o Sarze: oto dziewczyna, która ma mocną osobowość. Sara miała siedemnaście lat i opowiadała, że chce albo zostać politykiem, albo spróbować swoich sił w teatrze. „Jeszcze nie zdecydowałam, co da mi większy wpływ na rzeczywistość” - powiedziała.

- Mów, jeśli chcesz o tym porozmawiać - mówi Sara. - To musi być ciężkie. To największy smutek, jaki cię spotkał.

- Skąd to wiesz? - pyta nagle Anna.

- Co?

Sara zerka na nią, raz, drugi. Kontynuuje, choć nie miała zamiaru wszczynać kłótni.

- Komuś drugiemu nie można powiedzieć: to twój największy smutek.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

Anna milknie na chwilę, zanim powie:

- Smutek każdego człowieka jest tylko jego. Nikt inny nie może go pojąć.

- Nie bądź taka drobiazgowa. Czy to ma związek z tym, co się stało w zeszłym roku?

- Drobiazgowa? Drobiazgowa, tak?! Sama wszystko generalizujesz.

Anna nie miała zamiaru wracać do starej kłótni o tym, jak Sara spycha ją w cień, a ona nie ma nawet miejsca, żeby oddychać. Sara zdobywczyni, Sara rewolucjonistka. Sara odważna.

Sara bohaterska.

Teraz przez przypadek kłótnia znów wisi w powietrzu. Anna może jeszcze tylko podgrzać atmosferę:

- Myślisz, że wiesz wszystko lepiej niż inni. Jesteś zawsze w centrum, wciąż spychasz mnie na bok, odstawiasz innych do ściany.

Sara wygląda na zaskoczoną, ale nie odrywa wzroku od drogi.

- To chyba raczej twój własny problem.

- Co? Co jest moim własnym problemem?

Sara sprawia wrażenie, jakby zastanawiała się, czy powiedzieć to, czy też przemilczeć.

- Dzielisz wszystkie spotkane przez siebie kobiety na dwie kategorie.

- Czyżby?

- No, pomyśl tylko. Właścicielki świata i cierpiętniczki, które się poświęcają. Te, którym się powodzi, i te zrezygnowane. Szczęśliwe i nieszczęśliwe. Pełne życia i werwy, i te spięte. Nieskomplikowane i neurotyczne.

Anna słyszy, jak wydaje z siebie parsknięcie. Czuje obrazę, i to uczucie ma w sobie radość ze zwycięstwa: może odegrać rolę źle zrozumianej.

- Tego już za dużo! A ty sama uważasz się za jedną z tych właścicielek świata, tak? Twoim zdaniem spycham cię do sfery ludzi szczęśliwych, a siebie samą skazuję na nieszczęście?

Jakby w odpowiedzi Sara przyśpiesza do stu dwudziestu.

- Moim zdaniem tak właśnie robisz. Ja tak nie uważam.

Myślę, że świat jest otwarty dla wszystkich i pozwala każdemu zrobić ze sobą to, co zechce.

Anna chciałaby otworzyć drzwi samochodu. Chiałaby stąd uciec, polecieć w odpowiedzi aż na same wierzchołki świerków.

- Nic o mnie nie wiesz. Nie wiesz nic o tym, co się wydarzyło.

Znałaś mnie, kiedy miałam szesnaście lat, ale ja już nie jestem tą samą osobą.

Kłótnie z Sarą biorą się z niczego. W ten sam sposób Anna kłóci się z Marią, rzuca jej okrutne zdania prosto w twarz. Starzy przyjaciele i rodzeństwo potrzebują siebie nawzajem jak zniekształcających luster, w które można zerknąć, by stwierdzić: tak, z tego lustra uciekł już czas.

Sara nie przejmuje się jej ostrą repliką, mówi obojętnym tonem:

- I nic nie będę wiedziała, dopóki mi nie powiesz.

Przez chwilę siedzą cicho. Sara znów dodaje gazu, wymija dwa samochody, jakby chciała zostawić Annę na poboczu.

- Nie ma o czym mówić. - Anna słyszy wreszcie swoją własną odpowiedź. - Najlepiej po prostu troszczyć się o swoje własne sprawy. Zbyt nie angażować.

- Jak to?

- Żeby się nie zawieść.

- Jak to: zawieść?

- Zawieść w miłości.

Sara zerka na nią z niedowierzaniem, wręcz zdumiona, jakby chciała sprawdzić, czy osoba wypowiadająca te słowa to jeszcze Anna.

- Kiedy stałaś się taka cyniczna? Kiedy zaczęłaś być przeciwko miłości?

- Świat zmienia człowieka - odpowiada Anna. - Doświadczenia zmieniają. Zaczęłam myśleć, że miłość nie ma nic wspólnego z tym światem.

Odwraca głowę, nie może patrzeć na Sarę, gdy mówi:

- Świat jest zbudowany na innych zasadach.

- Na jakich zasadach?

Anna opiera głowę na podgłówku, mówi niedbale, siląc się na obojętność:

- Na innych. Bardziej realistycznych, rzeczywistych.

Sara nie kryje zdumienia.

- Posłuchaj samej siebie! Przecież wcale tak nie myślisz. To ty tańczyłaś na bosaka na ulicy Mannerheima, domagałaś się, żeby ją oddać znowu pieszym. To ty całowałaś przechodniów w czasie demonstracji przeciwko wojnie w Iraku, to ty wierzyłaś, że wystarczająco dużo pocałunków na zdjęciach wystarczy, by podważyć przekonanie, że jakakolwiek wojna jest usprawiedliwiona. All you need is love - To ty to śpiewałaś! Pamiętasz? To byłaś ty!

- To był ktoś inny, nie ja. Ta dziewczyna to było dziecko. Tylko głupie dziecko.

Sara milknie. Anna zerka na jej odbicie w lusterku. W oczach Sary jest smutek.

- Nie wierzysz już w miłość.

Sara nie patrzy na Annę, upuszcza tylko zdanie jak kamień.

W jej głosie jest zimna determinacja. Anna siedzi cicho. Słowa Sary wnikają w nią, paraliżują wszystkie członki.

W głosie Sary czuć zawód i gniew:

- Rozwiąż tę sprawę, bo inaczej staniesz się najsmutniejszym człowiekiem na ziemi. Nikt na tym świecie nie może sobie pozwolić na to, żeby uważać miłość za dziecinną, a wiarę w zmiany za fałszywą.

Droga wybiega ku nim i ucieka, las przemyka obok.

- Stałaś się całkiem inna - mówi Sara po chwili milczenia. - Z powodu tego, co się stało w zeszłym roku, a mimo to nigdy o tym nie mówisz.

Sara waha się przez chwilę. Anna zdąży tylko pomyśleć: jeżeli Sara wypowie imię dziewczynki lub mężczyzny, znów skończę, leżąc na podłodze.

I Sara je wypowiada.

Anna nie leży na podłodze, nie staje się niewidzialna. Widzi samą siebie, jak spada i rozplywa się w powietrzu, ale nadal siedzi tu, na swoim miejscu.

Parkują przy skrzyżowaniu, daleko od domu. Żółtego domu w cieniu świerków. Na podwórku jabłunki, buda dla psa. Bluszcz rozwija swoje pędy na froncie budynku, wspina się powyżej okna.

- A gdybym poszła sama? - mówi Anna.

Sara wygląda, jakby się wahała.

- Tak myślisz?

- Gdybym poszła?

- Skoro tak chcesz.

- Gdybyś mogła zaczekać, pospacerować sobie w tym czasie.

Czemu nie chce, żeby Sara weszła do środka, z powodu tej kłótni sprzed chwili? Czy dlatego, że cokolwiek by powiedziała siostra Eevy, ona chce usłyszeć to sama? Historia Eevy jest jej historią.

- Dobrze - mówi w końcu Sara, ściskając delikatnie jej ramiona. - Będę pod telefonem. Pójdę się przespacerować choćby tamtą ścieżką, jeżeli tylko znajdę tu to osławione wiejskie życie.

- W porządku - odpowiada Anna.

Myśli sobie: cokolwiek nam się przytrafi, zawsze będziemy przyjaciółkami. Sara zdobywczyni, Sara odważna, i ja.

Liisa Arteva, z domu Ronkainen, kobieta, której Anna nie potrafiła sobie wyobrazić jako siostry Eevy, otwiera drzwi niemal od razu i uśmiecha się. Czekala na Annę.

Anna pośpiesznie ogarnia rysy jej twarzy. Zmarszczki od śmiechu w kącikach niebieskich oczu. Identyczne miała Eeva.

I może zupełnie taki sam uśmiech. I taki sam sposób trzymania nadgarstka.

- Nareszcie - mówi kobieta, jakby już od pół godziny czekała pod drzwiami z zapartym tchem. - Jestem Liisa.

Anna ściska małą dłoń Liisy, która przywodzi jej na myśl ptaszka.

- Zrobiłam herbatę - mówi Liisa Arteva, żeby coś powiedzieć, i wskazuje ręką w stronę kuchni.

Anna zdejmuję płaszcz, zagląda do pokoju stołowego. Szuka wzrokiem zdjęć. Dwa zdjęcia na półce, obydwa to zdjęcia dzieci.

Może wnuków? Idzie za Liisą do kuchni.

Liisa należy do tych sześćdziesięciopięciolatek, które potrafią zachować swoją dziewczęcność. Takie wrażenie sprawia może jej podbródek, a może zadarty nos. Lub pełne życia oczy. Jako dziewczynka pewnie nieraz chichotała w szkolnej ławie i bała się, że wybuchnie głośnym śmiechem. Wyobrażała sobie śmierć mamy i wojnę atomową, żeby tylko zachować powagę, gdy nauczycielka grała na organach i śpiewała cieniutkim głosem

„Dziękujemy Ci, o dobry Boże”. Razem z Eevą miały swój tajemny język. Biegały razem do szkoły, bawiły się w lesie w stajnię, przebiegały przez sosnowe zagajniki. Dopuszczały się drobnych nieposłuszeństw, podkradały z miski rosące ciasto lub dawały krowie do zjedzenia wiaderko jagód, żeby zobaczyć, czy mleko zrobi się od nich niebieskie. Kiedyś wypily syrop na kaszel, bo usłyszały, że może od tego przyjemnie zakręcić się w głowie.

Wymiotowały potem obydwie za oborą i obiecały sobie, że już nigdy nie tkną żadnych mocnych trunków.

Liisa przez całe dzieciństwo wierzyła, że myślami można sprowadzić nieszczęścia. Eeva była jeszcze w tamtych latach beztroska, powierzała swoje zmartwienia Bogu w cichych modlitwach.

Kiedy przeprowadziła się do Helsinek, Liisa chciała pójść w jej ślady. Spróbowała i dostała się do szkoły dla pielęgniarek. Dopiero później przyznała się przed samą sobą, że nie było to jej marzeniem. Chciała w ten sposób łatwiej poradzić sobie z troską, jaką zawsze żywiła wobec innych ludzi. Móc kogoś uratować.

Liisa Arteva przyzwyczyła się robić to, czego od niej oczekiwano. Jej radości były

proste, a nadzieje zwyczajne. Jabłecznik jesienią z owoców rosnących na podwórzu - szaleństwem było dodanie do jabłek rabarbaru i przyprawienie spodu ciasta tureckim jogurtem, tajemnica soczystego smaku! - śmiech wnuka wieczorami w saunie, okraszone dobrocią zaparzanie kawy rano przez jej męża. Wieczór wigilijny, rok po roku. To wystarczało.

A może to było nawet więcej, niż Liisa odważyła się zamarzyć, dlatego że zawsze, na wszelki wypadek, przygotowywała się na straty.

Anna strząsa z siebie te wyobrażenia, przypomina sobie, co powiedziała przed chwilą Sara. Nie wie nic więcej o Liisie Artevie ponad to, co widzi: uśmiechnięta kobieta o drobnych dłoniach.

- Wyciągnęłam kilka albumów ze zdjęciami - mówi Liisa nieco zdyszczanym tonem. - Proszę.

Podaje herbatę. Anna z zasady zachowuje się podejrzliwie w stosunku do ludzi, którzy nie podają gościom kawy.

Trudno jej wymyślić, od czego zacząć. Nie potrafi wymówić imienia Eevy. Szuka zaczeplenia w drzewach na podwórku i w krzakach w ogrodzie, tak jak zawsze.

- Krzaki agrestu.

- Robię z nich dżem co roku - mówi Liisa, z ulgą podchwytyjąc taki początek rozmowy. - Nawet nie uwierzysz, jakie są dobre.

Chcesz spróbować?

Nie czekając na odpowiedź, Liisa wstaje i otwiera szafkę, szuka słoika.

- Cała tajemnica tkwi w cynamonie i wanilii. Jem ten dżem z ciastkami, które córka przysłała mi z Francji.

Liisa wzdycha, tak jak wzdychają ludzie podobni do niej. Trochę w tonacji molowej, ale zarazem przyzwalająco: świat zawsze należał do innych.

Nie, Anna się poprawia. Nie może tego wiedzieć o Liisie. To tylko jej własne myśli, interpretuje gesty tej kobiety, jak jej się podoba. Liisa Arteva nie jest neurotyczna ani uległa, to tylko wnioski Anny, które wysnuwa na podstawie zamięłowania Liisy do pracy w ogródku i nieco rozbieganego wzroku.

Liisa przygląda się, gdy Anna próbuje dżemu, oczekuje na jej życzliwe skiniecie. Anna potakuje.

- Jeszcze lepszy byłby z herbatnikami domowej roboty - mówi Liisa. - Najpierw trzeba by rozsmarować masło, potem dżem.

Na zdjęciach z dzieciństwa Eeva wygląda na sniadą, długonogą wiejską dziewczynę.

Warkoczyki, sukienka, wieczne lato.

Liisa jest młodsza, widać to po wzroście.

- Miałyśmy swoje ulubione krówki, a także koty i psy. Głaskałyśmy cielaczki, nawet kury.

Liisa się śmieje.

- Kiedy Eeva była dzieckiem, zawsze mówiła, że chce zostać na wsi, mieszkać w tym samym miejscu przez całe życie. Potem zaczęła czytać książki i marzyć o studiach.

- Miałyście ze sobą często kontakt, kiedy była w Helsinkach?

- Eeva miała swoich własnych przyjaciół, a ja swoich. Czasami zapraszała mnie na prywatki, na wieczorne posiadówki.

Miałyśmy w zwyczaju chodzić razem na przechadzki, z reguły w niedziele.

Na kolejnej stronie jest zdjęcie z późniejszych lat. Liisa uśmiecha się, kiedy je widzi.

- Pamiętam, że była zakochana. Spytałam ją o to, przytaknęła, ale nie chciała wtedy powiedzieć, kim był ten mężczyzna.

- Spotkałaś ich kiedyś?

- Oczywiście. Moim zdaniem byli jak rodzina. Chodziłam do nich często, zwłaszcza w trzecim roku jej pracy. Czasami spotykałam się też z Eevą i dziewczynką w parku. Siedziałyśmy na ławce, jadłyśmy jabłka... Myślę, że to było już później, dziewczynka była starsza, miała może z sześć lat.

Zdjęcia z ostatniego roku, zdjęcie klasowe ze szkoły: Eeva siedzi uśmiechnięta na środku, trzyma w rękach tabliczkę.

- Kiedy zobaczyłam to zdjęcie pierwszy raz, pomyślałam, że była szczęśliwym człowiekiem.

- A nie była? Nie była szczęśliwa?

Uśmiech nie znika z twarzy Liisy.

- Kiedyś myślałam, że Eeva kochała bez umiarkowania.

Powiedziałam jej to. Nie zawsze rozumiałam jej uczucia. Spytała mnie: „A jak można kochać powściągliwie? I czemu by właściwie tak kochać? Nie ma takiej miłości”. Może myślałam, że każdy powinien żyć tak, by nie tracił siebie samego dla innych, by nie zaczął żyć całkowicie ich życiem. To są rzeczy, których człowiek musi się nauczyć, żeby sobie poradzić w życiu. Nikt nie może być gwarantem, by ktoś inny przetrwał.

- Czy chciała nauczyć się tak żyć?

Liisa śmieje się.

- Nie sądzę. Mówiła, że czym jest życie, jeśli nie zatracaniem się w drugich i

odnajdywaniem siebie na powrót w innych ludziach. Spytała mnie o to, kiedy próbowali żyć razem, a mężczyzna odszedł. Powiedziałam jej, że powinna była być ostrożniejsza, szukać sensu na inne sposoby.

- Żyli razem?

- Tak. Próbowali. A gdy wszystko minęło, gdy nic z tego nie wyszło, i powiedziałam, że powinna nauczyć się żyć w inny sposób, odparła: „Jaki inny sens ma w takim razie bycie człowiekiem? Wówczas możemy równie dobrze żyć i umierać sami”.

Anna pozwala sobie na myślenie o Lindzie. Z początku Linda jej rozkazywała, a Anna słuchała, bo nie odważyła się jeszcze użyć zdań przeczących. Później nauczyła się zabraniać. Nauczyła się zabraniać w tym samym czasie, kiedy nauczyła się kochać.

Czy to była miłość bez umiarkowania? Przesadna?

Liisa zbiera okruszki z talerza. Może myśli, że zdradziła Eevę, opowiadając o tym wszystkim. Anna zastanawia się nad słowami Sary. Może Sara ma rację: ona sama przestała wierzyć w miłość.

Jakim się wówczas stanie człowiekiem? Ubogim.

Czemu nie może uwierzyć w to wszystko z Matiasem? Dlaczego raz za razem odwraca się na pięcie?

Anna nie potrafi zadać Liisie Artevie najważniejszego pytania:

Jak to wszystko się skończyło?

Żegnają się na ganku, tak jak robią to ludzie, którzy na chwilę odwiedzili się w swoim życiu. Wyciągają ramiona, mówią „Do zobaczenia”, chociaż każda z nich wie, że już się więcej nie spotkają.

Anna ma wrażenie, że widzi ulgę we wzroku Liisy.

- No i...? - pyta Sara, gdy Anna wsiada do samochodu.

- Dostałam dzem z agrestu - udaje się Annie wydukać. - I jeden numer telefonu.

Kerttu Palovaara to jedynie zmyślane imię. Anna ma w swojej kieszeni numer telefonu do tej prawdziwej Kerttu. Prawdziwa Kerttu Palovaara nazywa się Katariina Aavamaa i mieszka w ekskluzywnej dzielnicy Eira. Anna mogłaby zadzwonić do niej choćby zaraz, ale nie wie, czy chce. Może woli pozostać przy swoich własnych wyobrażeniach.

- W takim razie - mówi Sara - jedziemy do domu.

1967

Lato powoli dojrzewa. Bez ustanku grające radio co rusz wylewa na ganek sauny nową piosenkę Żuków. Zaczyna się od znanych rewolucyjnych motywów, a później zmienia w przesłanie radości. Kiedy lipiec gęstnieje, ludzie zaczynają pomału wierzyć w tę piosenkę,

zbierają się w duże grupy. Dziewczyny już nie dbają o to, żeby nosić bieliznę. Brody i włosy mężczyzn stają się coraz dłuższe. Ktoś wymyślił, że nie będzie pokoju bez miłości, i szepnął to komuś na rogu ulicy. Świadomość wszystkich się poszerza, niebo wznosi się nad poglądami, ziemia nie drży, tylko serca biją coraz szybciej.

Ale my nic o tym nie wiemy.

Potrzebujemy zapewnienia z piosenki bardziej niż czegokolwiek innego, bo miłość nagle zniknęła z naszych dni, przepadła w szparach między deskami podłogi.

Mężczyzna z dnia na dzień robi się coraz bardziej rozdrażniony, narzeka na światło, że cały czas się zmienia.

- Siedź na swoim miejscu.

- Przecież siedzę. Tylko powiedz, jak mam wyglądać, a tak będzie.

- Bardziej w lewo, nie odwracaj głowy przez cały czas.

- Przecież nie odwracam, raczej to ty się odwracasz.

- Cisza!

Nie ma w sobie czułości. Jakże inny jest teraz niż nocą, kiedy wplata się we mnie. Niebo nie chce trwać na swoim miejscu, a ja staję się podobna do cienia.

- Twoja twarz - mówi. - Jest dziś węższa.

- Jest taka sama.

- Na pewno jadłaś śniadanie? Jeżeli przez cały czas będziesz się tak zmieniała, to jak mam cię uchwycić? No powiedz sama!

Jego spojrzenie jest ostre jak nóż.

- To światło nie chce się ustawić. Co za cholerne światło!

- Może nie znalazłaś jeszcze po prostu odpowiedniej formy.

Wszystko zacznie się układać, jak tylko znajdziesz formę.

- Zaczynam myśleć, że już nigdy jej nie znajdę - mówi ponuro.

Wstaję, podchodzę i patrzę na pracę. Jest jeszcze nieukończona, ale wcale nie jest zła.

- No, co jest nie tak?

- Nie wiem - mówi mężczyzna, nie patrząc mi w oczy, odwraca głowę. - Po prostu nie mogę tego uchwycić.

- Według mnie wygląda całkiem dobrze.

- Nie jesteś obiektywna. A poza tym, nie jesteś profesjonalistką. Chodząc po muzeach, nie masz odpowiedniego podejścia.

Teraz wpadam w złość.

- O co ci właściwie chodzi? Co chcesz przez to wszystko powiedzieć?

Mężczyzna przeczesuje włosy tak, jak ma w zwyczaju, siada, zapala papierosa, zaciąga się, patrzy na jezioro i wzdycha.

- Chciałbym umieścić na obrazie jakiś staromodny szczegół.

I jeszcze wydobyć coś oprócz tego, jakieś załamanie.

Rozkłada bezradnie ręce, patrzy na obraz.

- Ten nie ma większego znaczenia. Jest przeciętny.

Namalował oczy, można już w nich mnie rozpoznać. Mój wzrok jest świdrujący, jak na tych dziwnych siedemnastowiecznych portretach oglądanych w muzeach. Unoszę się w powietrzu, jakbym była głową, która wzięła się z niczego.

- Oczy są dobre, spojrzenie też - mówię.

- Ale niewystarczająco - odpowiada.

Są też inne dni. W te inne dni zapominamy o pracy, szykujemy prowiant, pływamy na wycieczki łódką. Mamy cielęcinę owiniętą w papier pergaminowy, całą butelkę świeżo wydojonego mleka, trzy różne ciasta, z których jedno upiekłam ja, a pozostałe podarowała sąsiadka w prezencie. Mamy też sok z poziomek i czekoladę, która rozpływa się w opakowaniu. Dziewczynka przez cały czas uporczywie się jej ode mnie domaga, w końcu pozwalam jej wziąć jeden kawałek. Dziewczynka wylizuje czekoladę ze sreberka i uśmiecha się pomazanymi na brązowo ustami.

Mężczyzna robi zdjęcie.

Na zdjęciu dziewczynka wygląda na uradowaną ze zwycięstwa, a słońce za nią sprawia wrażenie, jakby nigdy nie zachodziło.

Dziewczynka pamięta później tę wyprawę łódką, choć nie pamięta nic innego z tamtego lata. Resztę wspomnień buduje ze słów innych, ale o wycieczce opowiada córkom jak o tajemniczym skarbie: najfajniej było popłynąć z mamą i tatą łódką na wyspę, najmocniej wiosłowała mama, tata czasami, słońce wyglądało na niebie jak przyjazna kula ognia, zdawało mi się, że świat był zawsze samym tylko światłem i wodą, i roztopioną niebieską czekoladą Eazera, którą mogłam zlizywać ze sreberka, póki tylko chciałam.

- Czy nie moglibyśmy zostać na tej wyspie już na zawsze? - szepczę do ucha mężczyzny wieczorem, kiedy przez cały dzień pływaliśmy i parzyliśmy kawę nad ogniskiem, upiekliśmy trzy chude rybki, które złowiłam na wędkę, znaleźliśmy nad wodą małe kamyczki i zrobiliśmy z nich na brzegu czarodziejską zagrodę, która miała chronić wszystkich jej mieszkańców.

- Zostaniemy - mówi mężczyzna i mnie całuje. - Wyobrazimy sobie, że nie ma innego świata.

- Będziemy tu mieszkać już na zawsze - mówi dziewczynka.

Powtarzam za nią:

- Już na zawsze.

Nikt nie myśli o obrazie na ganku sauny, teraz jest to bez znaczenia. Nikt nie myśli też o Elsie, nawet dziewczynka, która zasypia w namiocie z rączką w mojej dłoni.

Ostrożnie uwalniam się, gdy zaczyna oddychać miarowo.

Mężczyzna jest teraz trochę inny. Żyją w nim dwie osoby.

Okrutnik niecofający się przed niczym, wydający rozkazy, zniknął bez śladu.

Odsuwa delikatnie okrycie, cierpliwie, jakby ściągał z drogi utrudzone warstwy świata.

Przesuwa się niżej, całuje moje piersi. To jest tylko nasze, nikomu nie można o tym powiedzieć.

Zarazem zmieniamy się i pozostajemy tacy sami, kocham jego westchnienie w chwili, gdy się na niego otwieram i zapraszam go do siebie, a on przychodzi.

Pod koniec czerwca mężczyzna postanawia wypróbować nową technikę. W mieście, w pracowni przyjaciela, gdzie ma wszystkie potrzebne przybory, robi dziesięć odbitek mojej postaci na jedwabiu. Niezgrabne próby, sam dobrze o tym wie. Wzór wyziera z nich drwiąco jak wykrzyknik. Przyjaciel mężczyzny mówi mu to wprost, używa najgorszego słowa: tandeta. Mężczyzna wraca wściekły do Tammilehto, stara się poskromić nieco gniew, zatrzymując się po drodze nad brzegiem jeziora. Jezioro jest jak zwierciadło, mężczyzna pozwala, żeby jego myśli przybrały ten sam kierunek co woda. Potem zjada lody, rzuca kilka razy na płask gładkimi kamieniami. Już jako dziecko był w tym dobry: kamień odbijał się od tafli jeziora pięć, sześć razy, zostawiał na wodzie rozchodzące się kręgi, które go zawsze uspokajały.

Kiedy tak obserwuje kręgi na wodzie, przychodzi mu do głowy nowa myśl. Porzuci jedwab i odbitki, żałosne, że w ogóle się do tego wziął! Dlaczego nie miałby kontynuować tego, co już ma?

Wróci do farb olejnych, ale użyje innej techniki. Namaluje na tym, co było, nowe warstwy, jedną na drugiej. Tak postanawia zrobić.

Wszystko trwa dalej: siedzę przed nim, bez ruchu, dzień po dniu - i unoszę się na płótnie, eteryczna jak powietrze, niedokończona.

Tego wieczoru, gdy wszystko się kończy, dziewczynka nie może spać. Biegnie do sauny. Obudziła się sama o zmierzchu, jest teraz śpiąca i trochę nieprzytomna.

- Skąd się tu wzięłaś? - pyta mężczyzna i bierze ją na kolana.

- Rysujesz Eevę - stwierdza dziewczynka.

- Tak - mówi mężczyzna. - A dokładniej mówiąc, to maluję.

- Jeszcze nie wygląda jak Eeva - mówi dziewczynka z naciskiem.

- Ale kiedyś będzie - odpowiada mężczyzna. - Kiedy wystarczająco długo nad tym popracuję.

- A wtedy Eeva cała zostanie na obrazku - mówi dziewczynka. - Wtedy nie będzie musiała już siedzieć, będzie mogła się bawić.

- Tak - mówi mężczyzna.

- Czy mogę narysować księżyc? - pyta dziewczynka.

- Możesz narysować na innej kartce - mówi mężczyzna i podaje jej kartkę papieru.

Dziewczynka oświadcza, że narysuje mój nos.

- Będzie go można potem dołączyć do twojego obrazu, tato.

Prawda? Ten nos. Umiem go narysować lepiej od ciebie.

- Tak, tak, umiesz - mówi z roztargnieniem mężczyzna, ale nie słucha, bo utkwiał już wzrok we mnie.

Dziewczynka próbuje rysować przez chwilę, a potem podchodzi do mnie. Próbuje wdrapać mi się na kolana, ale mężczyzna jej zabrania.

- Ella, odejdz.

Dziewczynka nie słucha, mężczyzna jednym gestem każe jej wyjść.

- Idź - mówi i wskazuje ręką w stronę domu. Dziewczynka tupie nogą, błyskawicznie chwyta paletę, rozlewa farby na progu.

Mężczyzna jest surowy:

- Pójdiesz do domu, będziesz tam przez chwilę grzeczna i pobawisz się w spokoju, czy mam cię sam za rękę zaprowadzić?

- Nie, pójdę sama.

Ja jestem czuła:

- Mogę pójść z tobą, kochanie.

Mężczyzna nie chce, żebym szła. Dziewczynka decyduje za mnie.

- Nie, ja sama.

Idzie z pochyloną głową, nieco przygnębiona, wlokąc za sobą Mollę, którą trzyma w lewej ręce. Molla orze nogami trawnik, skrawek letniej sukienki dziewczynki ciągnie się posępnie po kończynach.

Zostajemy we dwoje w saunie. Upływa niemal godzina, zanim mężczyzna znów może się skoncentrować. Jest zdenerwowany. Jego ramiona lekko się unoszą, usta są bez wyrazu.

Miesza farby, rozcieńcza. Dodaje za dużo rozcieńczalnika i przeklina.

- No tak - mówię. - Znowu się zaczyna.

- Co się zaczyna?

Chce, żebym mu się sprzeciwiła.

Ale ja nie chcę kłótni, odsuwam ją jak kartonowe pudło pełne przedmiotów, które już mi się znudziły. Stawiam je między nami.

Odwracam wzrok w stronę jeziora.

- Patrz tutaj - mówi mężczyzna.

- A jeżeli nie? A jeżeli będę patrzeć tam, gdzie mam ochotę?

A jeżeli pójde sobie, na przykład, popływać?

Mężczyzna prychnął ze znużeniem.

- To wszystko już widziałem, znam wszystkie twoje sztuczki.

To popisywanie się, cały ten twój teatrzyk.

Wzdycham. Wcale mu się to nie podoba.

- Teraz to ty jesteś nadąsana.

- Nie.

- Jesteś, widzę.

- To źle widzisz.

- Owszem, widzę. Widzę to, co widzę.

- Myślisz, że widzisz to, co widzisz. A w rzeczywistości nie widzisz niczego.

Rzeczywistość jest inna. Nie masz o niej bladego pojęcia.

Myślę nad najcięższym zdaniem. Chcę zobaczyć, jak łamie się pod jego naporem. Nagle czułość to nic niewarta błyskotka. To rywalizacja, chcę rozkruszyć go na kawałki.

- Nigdy tak naprawdę mnie nie znałeś. Nie rozpoznałbyś mnie, gdybym na ulicy wyszła z naprzeciwnika.

Mężczyzna rzuca przybory w kąt. Dopada mnie, przypiera do ściany. Na moim ramieniu robi się siniak od uścisku jego dłoni.

Trzy dni i będzie to najmniejsze z moich zmartwień, jedynie symbol czasów, gdy problemów nie było. Ale jeszcze o tym nie wiem.

Zatyka mi usta lewą dłonią tak, że nie mogę wydobyć z siebie głosu. Ściana wyciska mi na plecach drugi siniak.

- To przez ciebie, cały ten marazm. Nigdy nie jesteś w tym miejscu, w którym ci się wydaje. Cały czas inna, nigdy nie jesteś tu sobą w pełni.

Uwalnia mnie z uścisku. Biegnę. Przewracam sztalugę, zdążę tylko zauważyć, że

mężczyzna nie posunął się ani trochę do przodu - nadal unoszę się na płótnie jak jakieś dziwne widziadło.

Biegnę na skraj świerkowego zagajnika i na wzgórze. Gdybym się teraz zatrzymała, mogłabym pewnie wyczuć dym, ale się nie zatrzymuję.

Wspinam się ścieżką na samą górę, na skały. Nie oglądam się za siebie. Chciałabym wtopić się w las, ukryć pod mchem. Ale tylko tu stoję i cała się trzęsę. Piecze mnie ramię, uścisk mężczyzny kładzie się cieniem na moich ustach jak knebel.

Będę musiała poczekać sporo czasu, zanim zobaczę, jak wspina się po ścieżce. Żałuję. Zatrzymuje się przy skale.

- Przepraszam.

Odwracam głowę. Nie pogodzę się tak łatwo.

- Miłość.

- Co, co takiego?! Będę miała siniaka! To ty mi go zrobiłeś!

Czy tak pojmujesz miłość? Mogę ci powiedzieć, że ja sobie inaczej to wyobrażam!

- Przepraszam - powtarza mężczyzna. - Nie miałem takiego zamiaru.

- A jeżeli ci nie wybaczę?

- Nie umiem namalować miłości. Nie umiem o niej opowiedzieć, a wraz z tym wszystko inne znika, wszystko, co jest w tobie istotne.

Odpuszczam trochę. Patrzę na niego, jeszcze nic nie mówię, zwlekam z odpowiedzią. Mężczyzna wygląda na bezradnego.

Stoimy cicho przez jedną minutę, potem kolejną.

W dole buchają już płomienie, ale my ich nie widzimy, bo wiatr wieje z południa na północ, przegania dym za świerkowy zagajnik. Las trzeszczy. Zaczynam się poddawać.

- Chodź tutaj - mówię wreszcie.

Mężczyzna podchodzi. Bierze mnie w ramiona.

Stoimy oparci o siebie. Czas płynie, otulają nas całe wieki.

Kłótnie stają się stare jak las. Kobieta przytula do siebie mężczyznę i zgadza się na wszystko. Stoją naprzeciw sobie, nie liczą czasu, jakby nie było go na świecie.

Widzę płomienie, kiedy odwracam głowę.

- Zobacz! - zdążę jeszcze powiedzieć.

Przez krótką chwilę myślę niemal uradowana, że płomienie wyglądają zaskakująco tak samo jak na rysunkach.

Dopiero po odgłosie trzasków i skwierczenia, który narasta z sekundy na sekundę, zaczynam sobie zdawać sprawę z tego, co dzieje się naprawdę.

Mężczyzna reaguje szybciej ode mnie. Pędzi ścieżką w dół.

Biegnę za nim. Zagajnik za domem oglądany przez zasłonę dymu wygląda jak drgająca fatamorgana.

Mężczyzna w jednej chwili dociera na podwórze, ja potykam się o korzeń drzewa i zostaję z tyłu. Mężczyzna jest przy drzwiach przede mną, szarpie je, ale są zamknięte. To dziewczynka je zamknęła, przez przypadek albo specjalnie.

Mogłabym przedrzeć się przez ścianę. Mogłabym wyrwać deski i spoiwa, rozszarpać tapety. Biegnę i szukam zapasowego klucza pod ogrodowym stolikiem. Mężczyzna mnie odpycha, chwyta za krzesło i wybija szybę. Zanim zdążę krzyknąć, tłucze resztę szkła tkwiącego we framudze i znika w środku.

Elsa schyla się, żeby znaleźć segregator w dolnej szufladzie.

Jest trochę zmęczona. Marzy o tym, żeby wieczorem zanurzyć nogi w misce z wodą, do której doda sól do kąpieli. Żeby zadzwonić do dziewczynki i mężczyzny. Schyla się, by wziąć segregator, widzi na podłodze spinkę do włosów, a obok kłębek kurzu, odczuwa małe poirytowanie z powodu bałaganu. I właśnie w tej chwili zostaje wezwana do telefonu.

Prostuje plecy, odwraca się, widzi w drzwiach sekretarkę. Zdaży jeszcze pomyśleć, że sekretarka należy do tych, które ukrywają swoją bez troskę w akuratnych ruchach, rozpuszczają włosy, gdy mają wolne, i wkładają dzinsy. Że sekretarka to jedna z tych, które noszą swoją maskę tylko za dnia i które można czasem spotkać na ulicach. Zdaży jeszcze pomyśleć o tym wszystkim, zanim zda sobie sprawę, że wiadomości są najwyraźniej złe.

Elsa nie wie jeszcze tego, czego się dowie, ale już jest świadoma, że wie.

Trzęsie się przez całą drogę do domu. Podróż trwa irytująco długo - taksówka, oczekiwanie na lotnisku. Elsa siedzi na przemian w opustoszałych i mrowiących się od ludzi halach, pije gorzką kawę, ścisną pasek od torebki w spoconych dłoniach, zerka na zegarek, który przesunął wskazówki dopiero o jedną, irytująco długą minutę, o dwie minuty, wreszcie o godzinę, dwie godziny, trzy.

Cały czas tkwiła tu, w tej głupiej poczekalni. Siedziała tutaj przez całe lata. Samolot unosi się wreszcie w powietrze, Elsa ścisną oparcie fotela i zawiera umowę z Bogiem, choć nie jest wierząca. Jeżeli z dziewczynką wszystko jest w porządku, już nigdy więcej nie będzie podróżować. Jeżeli dziewczynka oddycha, biega i marzy jak inne dzieci, obiecuje porzucić to wszystko i zadowolić się wykładami na kursach podstawowych w zatęchłych salach. Niebo jest ciche, nikt nie słyszy jej modlitwy. Elsa odwraca się do stewardesy i pyta: „Jak długo jeszcze?”. „Czterdzieści minut” - odpowiada stewardesa. Zbyt długo, myśli Elsa.

Na miejscu w panice łapie taksówkę.

Myśl o dziewczynce ją paraliżuje, nie umie powiedzieć kierowcy o tym, co ją dręczy. Przez chwilę myśli, że właśnie to może utrzymać dziewczynkę przy życiu. Uchroni jej życie, zachowując milczenie.

Płaci taksówkarzowi w biegu, monety rozsypują się dookoła, jakby to był pośpieszny odpust. Nie ma czasu ich teraz pozierać.

Widzi swoje odbicie w przeszklonych drzwiach, gdy pociąga za klamkę. Biegnie przez korytarz, wpada na pielęgniarkę. Pyta o Ellę i pielęgniarka prowadzi ją do sali.

Kiedy otwiera drzwi, zdąży jeszcze pomyśleć, że widzi przed sobą obcą rodzinę. Myśli, że weszła do złej sali, bo obraz jest pełny, a ona do niego nie należy. Kobieta siedzi na łóżku córeczki.

Ojciec dziewczynki - mąż kobiety, zdąży jeszcze pomyśleć Elsa - kładzie ręce na jej ramionach. Kobieta wyciąga się trochę, całuje mężczyznę. On ją obejmuje. Pocałunek nie jest szczególnie długi, ale bez wątplenia jest to taki pocałunek, jaki wymieniają między sobą tylko ci, którzy całkowicie do siebie należą.

To wszystko przemyka przez umysł Elsy przez krótką chwilę, pół sekundy. Potem dziewczynka patrzy na Elsę i woła: „Mama!”

Elsa uświadamia sobie, że nie otworzyła złych drzwi. Uświadamia sobie to, co wiedziała już wcześniej.

Elsa przechodzi nieproszona przez próg, wpycha się, nie zważając na mnie, do mieszkania, wchodzi do kuchni, nie zdejmując butów ani płaszcza, siada przy stole.

- Co z dziewczynką? - pytam od razu. - Co z Ellą?

- Ma się dobrze - odpowiada Elsa. - I tak będzie, jeśli tylko zechcesz trzymać się od niej z daleka.

Powietrze ucieka mi z płuc. Dziewczynka ma się dobrze.

Wzrok Elsy przewierca mnie na wylot. Mówi, że nie mam żadnego powodu, by odczuć jakąkolwiek ulgę.

- A teraz wyjaśnijmy całą sprawę - mówi Elsa.

- Jak to? - pytam, choć wiem, jak dziecinnie to brzmi.

- Obie dobrze wiemy, o co chodzi. Wiem teraz wszystko. Wiem, co się tu działo przez te wszystkie lata.

Zadaję głupie pytanie, czy chce kawy, i Elsa odpowiada, że nie przyszła tu na pogaduszki, więc kawę możemy sobie darować.

Żeby się czymś zająć, podchodzę do szafki i udaję, że szukam czegoś do jedzenia. Nie wiem, jak mogłabym ukryć swoją nagość w obliczu Elsy. Patrzy na mnie - jest piękna,

nienaruszona, bez jednej choćby skazy. Zawsze myślałam, że będzie miała w sobie jakieś pęknięcia. Że jeśli dojdzie do tego spotkania, którego tak się bałam i wyobrażałam je sobie przez te wszystkie lata, myślałam, że wtedy znajdę w niej choć jedno pęknięcie, którego mogłabym się uchwycić, w którym mogłabym znaleźć pocieszenie.

Ale pęknięć nie ma, jest tylko nieugięty, bezlitosny wzrok.

Nie widzę, jak trzęsą jej się ręce. Niepewnych myśli, które ukryły się pod tymi najbardziej bezwzględnyymi. Źle się czuje, mogłaby nawet zwymiotować. Spędziła całe przedpołudnie, to siedząc, to leżąc. Niepewność ogarnia ją jak choroba.

Dziwi się swojemu stanowi: jest taki sam jak wtedy, choć rzadko, gdy choruje. Coś trzeba zrobić, pomyślała rano, gdy poczuła znowu wzbierający w brzuchu lęk.

Skryła niepewność pod zdecydowaniem i zbierając w sobie gniew, ruszyła przez miasto.

A teraz jest tutaj, pewna siebie, nieprzenikniona.

Patrzy na moje nagie łydki i koszulkę nocną, przez którą prześwitują piersi.

Jakie ma chude nogi i jakie mizerne cycki, myśli.

Zaczyna pierwsza, mówi do mnie wprost:

- Jeżeli myślisz, że to, co było między tobą a moim mężem idzieckim, to miłość, jesteś w błędzie.

Wydaje krótkie prychnięcie. Jej napięty głos wyrażający pogardę, jej oddech - już samo to wystarcza, żebym stała się nic nieznającym pyłkiem.

Wygląda na gotową na wszystko. Nic nie wiem o jej niepewności. Widzę tylko, że wygląda na bardziej zdeterminowaną niż kiedykolwiek przedtem. Nie jest już skora do zabawy, jak trzy lata temu, gdy pierwszy raz ją spotkałam, stała się dużo bardziej pewna siebie. Jest jak drzewo, które zapuściło korzenie głęboko w ziemię.

- Nic o nas nie wiesz - mówi Elsa. - Nic nie wiesz o naszej rodzinie, nie należysz do niej.

Nagle nie jestem w stanie powiedzieć ani słowa.

- Czy chociaż raz przez te wszystkie lata pomyślałaś naprawdę, jak to wszystko może wpłynąć na dziecko? - Elsa pyta i po raz pierwszy łamie jej się głos. - Pomyślałaś o tym?

- Tak.

- Co mam jej teraz powiedzieć, gdy zacznie zadawać pytania?

Powiedz mi, co mam jej powiedzieć w te wieczory, gdy będzie o ciebie pytać, zanim zaśnie, kiedy będzie chciała, żebyś przyszła i przykryła ją kołderką?

- Nie wiem.

- To nie wystarczy.

Teraz zacznym ustępować, mówię to, co uważam za właściwe.

- Powinnaś jej powiedzieć, że już więcej nie przyjdę.

- A kiedy już jej to powiem i zacznie płakać? Jak, twoim zdaniem, powinnam ją wtedy pocieszyć?

- Utulić ją w ramionach i ukołysać, aż jej płacz ucichnie.

- Dobrze - potakuje Elsa. - Tak właśnie zrobię. I mam nadzieję, że zrozumiesz, że masz się trzymać od nas z daleka. Jeżeli nie zrobisz tego ze względu na mnie, bo czemu byś miała, to przynajmniej zrób to ze względu na dziecko.

Powiedziawszy to, Elsa wstaje. Przechodzi pewnym krokiem przez próg, drzwi otwierają się i zatrząskują, i już jej nie ma.

20.

- Wiesz co? - pyta Anna.

- Uhm?

Głos Matiasa brzmi sennie. Prześcieradło pod jego plecami jest wygniezione.

- Spotkałam kobietę - zaczyna Anna.

Matias robi się czujny, senność zaczyna go opuszczać. Może włączyć się do gry, jeśli zechce. Do tej pory się w nią nie bawili, chociaż Anna czasami opowiadała mu historie przechodniów, jakby to były bajki na dobranoc.

- W tramwaju? - pyta Matias.

Serce Anny zaczyna bić mocniej. Jest tak, jakby zaczynała podróż w stronę Matiasa, w głąb, przez skórę.

Przez, przez, przez.

Wystarczy tylko kontynuować. Musi mu dać więcej wskazówek.

- Nie - odpowiada.

- To gdzie w takim razie?

- Tu, w tych stronach.

- Czemu twoje serce tak wali? - pyta Matias.

- Nie wiem, nie przerywaj.

Jej rozdrażnione zdanie przecina półmrok, wznosi się do sufitu i pod nim dryfuje.

- Mów dalej - zachęca Matias. - Jaka ona była, młoda czy stara?

- Młoda. Niosła ze sobą cały świat, także zgryzoty.

Matias się śmieje. Jego śmiech jest serdeczny, ale wystarcza, by obrócić wszystko w pył.

- No tak, zgryzoty! I nagle przyszły mi do głowy ciągoty! Ciekawe, czy miała też jakieś ciągoty...

Anna zrywa się z łóżka.

- Co się stało? - pyta zaskoczony Matias.

- Nic.

- Co?

- Nic! Daj mi spokój!

Anna idzie do kuchni, nalewa wody do szklanki. Pije szybkimi łykami, słyszy samą

siebie, jak przelyka. Myśli: tonący słyszy ostatni łyk wody na chwilę przed tym, na chwilę przed tym, nim... Matias podchodzi do drzwi, patrzy na nią, jest blisko.

- Przepraszam.

Mówi to czule, bardzo czule.

- Żartowałem. Tylko żartowałem. Opowiedz, proszę, tę historię.

- Może innym razem - odpowiada Anna.

Pozwala mu się objąć, stoją długo razem w półmroku kuchni.

Potem Matias zwalnia uścisk i idzie sennym krokiem z powrotem do sypialni.

Anna zostaje w kuchni, minuty się przeciągają. Próg połyskuje w ciemności.

Jeden krok. Tak łatwo jest przekroczyć próg. Tak łatwo jest zostawić za sobą całe życie, cały świat. Przekroczyć próg i zamknąć za sobą drzwi. To takie proste.

1967

Mężczyzna przychodzi po dwóch tygodniach, na początku września. Dziewczynka zdrowieje, po wszystkim zostanie jej tylko jeden ślad, który będzie blaknął z roku na rok. Mężczyzna nie wyzdrowieje. Wszystko legło w gruzach. Nie wie nawet, czy jeszcze oddycha. Podzielił się na pół.

Właściwie nie przynosi swoich rzeczy, tylko jedną walizkę.

Przez pierwszy tydzień leżymy w łóżku i rysujemy na sobie znane nam już mapy. Tęsknię za dziewczynką, pytam o nią. Mężczyzna odwraca głowę, żalność tak go przygniata, że nie potrafi ubrać jej w słowa. Rankami chodzę do pracy: zaczęłam zastępstwo z francuskiego w szkole na południowym skraju miasta. Niechętnie przechodzę przez próg, bo wiem, że w tym czasie, gdy mnie nie ma, mężczyzna rysuje sobie w myślach tę drugą.

I staje się - za dnia ciemność zagnieżdża się w jego oczach.

Popała w oknie. Gdy wchodzę, nie chce na mnie spojrzeć. Wreszcie podchodzi, zakreśla palcem linię wzdłuż moich bioder. Kładzie ręce na moich pośladkach. Opieramy się o siebie. Jestem bardziej kanciasta niż w czasach, z których mnie pamięta. Mam w sobie zapach, którego nie lubi, może przenika do mnie w trakcie dnia, a może zawsze we mnie tkwił.

- Zrobimy obiad, ziemniaki, ryż? - pytam.

- Niech będzie - mówi z wgłębienia między moimi obojczykami.

Nie może znieść ani jednego ziemniaka, ani ziaren ryżu, które rozsypują się na podłodze, ani czerwonej poszwy na poduszkę, ani bębnienia deszczu za szybą. Chce być tylko we mnie, bez ustanku. Tylko to sprawia, że potrafi zapomnieć. Cała Eeva, od koniuszków palców po czubek głowy, Eeva, która zdejmuje ubranie i znika pod prysznicem, a potem

wychodzi. „Chodź do mnie - mówi. - Tak jak w Paryżu”. Biorę go głęboko w siebie. Nie pamięta o smutku, kiedy go kołyszę.

Już po wszystkim odwraca się na plecy, zapala papierosa, choć zabroniłam mu palić w łóżku.

- Czuję, jakby wbijano mi szpile przez cały dzień, jakby mnie przepiłowywano na pół ostrzem zamoczonym w kwasie.

Mówi tak, jakbym to ja była winna. Podnoszę się z łóżka.

- No to idź, czemu sobie nie pójdziesz? - mówię, nie patrząc na niego. Zapinam stanik, potem spodnie.

- Chcę być z tobą.

- To przyprowadź tu dziewczynkę.

- Myślisz, że Elsa by pozwoliła?

- Chociażby w odwiedziny. Czemu nie?

Następnego dnia dziewczynka stoi w przedpokoju z niepewnym wzrokiem i lalką pod pachą. Koniuszki jej butów świecą jak znaki zapytania.

Długo ją obejmuję. Rany nie widać, zaczęła się goić. Dziewczynka trochę płacze.

- Molla ocalała - mówi dziewczynka. - Nie ma nawet żadnej rany, tata ją uratował.

Szeptę jej do ucha te same słowa, które kiedyś szeptała mi mama. I tak razem stoimy, przedpokój nie wie, co to pożar, dzień nie wie, co znaczy nieszczęśliwy wypadek.

- Mogę dostać mleka? - pyta dziewczynka.

- Możesz, co tylko zechcesz - odpowiadam.

Mężczyzna nalewa w kuchni dziewczynce mleko do szklanki, dziewczynka rozgląda się dookoła.

- Tu nie ma pokoju dla dzieci, więc gdzie dzieci śpią?

- Dzieci śpią na kanapie albo z dorosłymi w tym samym łóżku - mówi mężczyzna.

- Przecież się nie zmieszczą - mówi dziewczynka i wypija mleko. - Tato, mógłbyś mnie teraz wziąć do parku.

- Dobrze - mówi mężczyzna. - Pójdziemy do parku.

Dwadzieścia pięć dni i tyle samo nocy. Mamy noce, które są jak kołyski, i dni, niekiedy szczęśliwe. Czasem przychodzi też dziewczynka, często jesteśmy tylko we dwoje. Wspólne spacerunki, posiłki i rozmowy. Mężczyzna trochę rysuje, to go uspokaja.

Nie wiem o tym, że w trakcie tego miesiąca pięć razy idzie spotkać się z Elsą. Parę razy w trakcie tych spotkań się kochają i wydaje mu się to zaskakująco znane, a zarazem jakieś nowe.

Tymczasem my się oddaliśmy. Wypełniamy tęsknotę w kątach mieszkania, przygotowując posiłki z takim nabożeństwem, jakby to była ostatnia wieczerza. Wymiatamy bezradność ze swoich oczu, pieszcząc się nawzajem. Tkamy zaufanie, dzień po dniu, noc po nocy. Ale to nie wystarcza.

Pewnej nocy mężczyzna wstaje z łóżka, ubiera się, jakby to była przeszkoda, którą postanowiłam postawić mu na drodze.

Mówi, że wychodzi. Nie chcę go wypuścić.

- Nie pozwalasz, żebym cię kochała!

Krzyczę, rzucam mu to zdanie prosto w twarz jak garnek z gorącym olejem.

Mężczyzna się kurczy.

Pcha mnie pod ścianę. Na jego szyi pod skórą napinają się żyły. Pomyślałabym pewnie, że są takie piękne, jak ozdoba, ta krew, która tak je uwydatnia, gdybym nie zobaczyła, że pulsują siłą nienawiści.

- Czego żądasz? - pyta mężczyzna.

- Wypuść mnie, zostaw!

- Twoja miłość mnie dławi i dusi. Nie pochodzi od ciebie, ale z daleka, z jakiegoś innego świata. Kim ty w ogóle jesteś?

- Jestem Eeva - mówię.

Moje imię to tylko bezgłośnie sylaby, które wymawiają moje usta. Gdyby spojrzeć z oddali, można by pomyśleć, że usta kobiety błagają o ratunek albo odmawiają modlitwę.

- Eeva to nie jest ktoś - mówi mężczyzna. - To nic innego jak tylko wyobrażenie.

Uwalnia mnie z uścisku, łapię oddech. Stoi w drzwiach. Drzwi trzaskają. I już go nie ma.

Mężczyzna wraca po dwóch dniach. Czekałam w oknie jeden wieczór i drugi, widziałam, jak zmienia się światło. Mężczyzna wygląda, jakby przemierzył morze, żeby się ze mną spotkać. Ma swoje gesty. Zamieszkałam w nich w ostatnich dniach tak, że aż zatraciłam własne granice. Jakbym stopniowo chciała w niego wnikać albo jakbym już w niego wnikała, a po drodze niepostrzeżenie spływała do ścieków.

Nic nie mówiąc, siada na skraju łóżka. Ja siadam mu na kolanach. Pozwoli się objąć, ale nie pocałować. Wiem o tym.

- Czy mnie nienawidzisz, czy zaczniesz mnie nienawidzić? - pyta.

- Dlaczego bym miała?

- Bo wszystko właśnie tak się skończy.

Mówi to lekko. Jego słowa zrzucają mnie jak przedmiot z półki. Przez chwilę żadne z

nas nic nie mówi. Słyszę jego serce, bije tutaj, chociaż jest już gdzieś indziej.

- Dziewczynka mogłaby z nami zamieszkać. To się uda.

Mężczyzna milczy. Kontynuuję:

- W soboty chodzilibyśmy na rynek. Czasami jeździlibyśmy aż na skraj lądu, nad sam brzeg morza. Patrzylibyśmy na fale, darlibyśmy się wniebogłosey, gdy uderzają o falochron. W zwykłe dni byłyby u nas tańce. Półki z książkami i goście. Otwieralibyśmy słoiki z dżemem, każdy mógłby sobie wybudować domek tam, gdzie chce. Nikt by się nie gniewał, gdyby farba wylała się czasem na prog. Na kanapie poniewierałby się morski piasek, ale nie byłoby to nic poważnego. Naleśniki, domki i słoiki z dżemem. Noce, podczas których nie można odróżnić od siebie konturów ciał. Takie życie.

- Piękne - mówi mężczyzna. - Piękna opowieść.

- Tylko opowieść?

- Tak, tylko. Jak sen.

Przez chwilę jestem zupełnie cicho, nie oddycham.

- Czy mogę zobaczyć jeszcze raz dziewczynkę? Chociaż raz?

Jeden, jedyny raz?

Mężczyzna nie odpowiada natychmiast.

- Będę musiał spytać o to Elbę - mówi w końcu. - Elsa podejmie decyzję.

Wstaje, a ja za nim. Idzie przemyć twarz, bo nagle zdaje mu się, że nie widzi dobrze. Ale owszem, widzi. Widzi Elbę, i Elsa ma w jego umyśle bardziej wyraźne kontury niż kiedykolwiek przedtem.

Chowam jego buty do pieca, gdy jest w łazience. Chcę, żeby jego stopy przykleiły się do podłogi, oblewam mu nogawki syropem, który znajduję w szafce kuchennej. Wrywa mi słoik z ręki, rzuca go w kąt przedpokoju. Słoik uderza o ścianę i maluje na niej absurdalny rysunek. Chwytam za torebkę z mlekiem i wylewam ją, torebkę również wyrzuca. Chwytam za butelkę z czerwonym winem i oblewam mu nogi, butelka rozbija się, trafiając w ścianę. Za dużo purpury, żeby mogło wyglądać na krew. Rozbryzgi są radosne, jak wykrzykniki świętujące życie. Mężczyzna myśli zdumiony: co za sztuka, przypadkowa i bez sensu.

Stoimy naprzeciwko siebie minutę, pięć, całą godzinę. Słońce zachodzi, noc wtacza się przez okna. Budynki wokół nas się kruszą. Gryzę mężczyznę w obojczyk, zostaje mu na skórze przerywany ślad. Potrząsa mną. Cały świat zapada się jak kulisy, choć w rzeczywistości to nie jest prawda: drzewa na podwórzu są nadal tam, gdzie trzeba, niebo też. Przyciąga mnie zupełnie blisko. Nie zamierzam go puścić, to on musi się ode mnie uwolnić. Upadam na podłogę i chwytam go za nogi. Wlecze mnie przez przedpokój. Podróż do drzwi

trwa trzy lata i cztery miesiące, tak długo, jak to wszystko trwało. Trwa czterdzieści lat, bo tak długo wszystko trwa, jeszcze wtedy, gdy wszystko jest już skończone. Po wielu, wielu latach mężczyzna dziwi się, jak to możliwe, że nadal wędruje przez ten sam przedpokój.

Tarasuję drzwi. Mężczyzna je otwiera, przechodzi przeze mnie. Zamyka drzwi. To takie proste: zwyczajnie zamyka drzwi za sobą.

Leżę na podłodze, nie mogąc wstać. Słucham ciszy, która spływa wzdłuż ścian. Spływam w szpary między deskami w podłodze.

21.

Dziewczyna szła dziarskim krokiem przez park w jego stronę.

Martti zobaczył już z daleka, że była wściekła. Powiedziała przez telefon, że chce się z nim spotkać, najlepiej na zewnątrz. Od razu odgadł, o co mogło chodzić, a mimo to był zdenerwowany, widząc ją teraz. Pogoda nie podzielała złości dziewczyny, chmury nie wytoczyły się jak znaki ostrzegawcze ponad dachami: było nadzwyczaj spokojnie i tak jasno, jakby słońce chciało utrwalić każdy szczegół jej rozgniewanej twarzy.

Zdążył spytać, czy chciałaby pójść do kawiarni, może na ciastko albo czemu by nie na lody, chociaż przecież jedli lody każdego dnia i może już jej się znudziły. Spostrzegł, że nie przestawał mówić, i wreszcie zamilkł, bo twarz dziewczyny była jak ściana.

Jej złość zrodziła się nagle, przed chwilą. Nosząc ją w sobie, dziewczyna nie była już wcale dziewczyną. Złość była prastara, ukrywana przez stulecia. Czasami wybuchała zamaskowana na scenach teatrów i podczas manifestacji. A teraz jakby znajdowała ujście w gestach dziewczyny. To nie była niewinna przekora, jaką znał z jej dzieciństwa, kiedy jako mała dziewczynka żądała, by ubrać ją w kurteczkę, i tupała nóżką w przedpokoju. To było coś innego.

- Zgadnij, o czym zaczęłam myśleć?

Przez chwilę wmawiał sobie, że Anna chce mu opowiedzieć coś o ptakach na drzewach albo zrobi jakieś spostrzeżenie na temat światła, chociaż wiedział, co miało nadejść.

- Zaczęłam sobie myśleć, że Eeva umarła przez ciebie. Zrobiłeś coś, albo nie zrobiłeś, i umarła. Gdyby cię nie było, nadal by żyła.

Anna zrobiła przerwę, nim zaczęła mówić dalej. Gdzie ona się tego nauczyła, tego racjonalnego, chłodnego sposobu przedstawiania swoich myśli, wplatając w nie zarzuty? Najgorsze dopiero miało nadejść, widział to w jej wzroku.

- Jeżeli rzeczywiście tak jest - Anna kontynuowała, cedząc słowa przez filtr chłodnej złości - jeżeli bez ciebie nadal by żyła, możemy równie dobrze powiedzieć to wprost: ty ją zabiłeś.

Patrzyła mu twardo w oczy.

Słowa, które padły,omal nie przewróciły Marttiego na ławkę w parku, ale stał nadal na swoim miejscu i nie odwrócił wzroku.

To mogło być inne spotkanie, takie jak jedno z wielu: dla niej coca-cola, dla niego

kawa. Wyobrażanie sobie losów innych ludzi, rozmowy o tym, co było. Lekko i bezpiecznie. Ale złość rozkruszyła w pył wszystkie te scenariusze.

- Nie próbuj zaprzeczać. Nie ujdzie ci to tak gładko - powtórzyła Anna. - Miłość Eevy była piękna, na całe życie, a ty ją oszukałeś, wykorzystałeś, złamałeś, jednym słowem, zabiłeś, prawda? Przyznaj!

Martti chciałby porozmawiać o innych sprawach. Gdzie są te mijające, dopiero co rozkwitające miłości, Rebekka i Aleksy, i inni, których sobie wyobrażali? To wszystko rozwiało się w powietrzu, jakby było całkiem bez znaczenia. Postanowił, że nie ugnie się przed oskarżeniem Anny. Teraz nie można już było zmienić tematu, chociaż dopiero co rozpoczynające się lato podsuwało im swoją zadziwiającą świetlistość, jakby chciało uczynić ją przedmiotem rozmowy. Ale trzeba było zapomnieć o niebieskich przestworzach i wytoczyć zamiast tego najcięższe działa.

- Kochałem ją, a to nikogo nie zabija, miłość to nie zabijanie.

Anna nadal miała kamienną twarz.

- Czasami oznacza dokładnie to samo. Dla mężczyzn.

Wyglądała na bezwzględna i uparta. Martti szkicował sobie w myślach jej wyraz twarzy, zaznaczył, jakie piętno wywierały skryty żal i uraza, jak zmieniały się pod podniebieniem w oskarżenia wycelowane w innych ludzi. Gorycz wyciska dziwne piętno na twarzy, pomyślał Martti. Gdyby tę gorycz namalować, trzeba by było poszerzyć oczy do góry, wcale ich nie zwięzać.

Zwężone spojrzenie wyrażające nienawiść to czysty truizm.

Prawdziwa nienawiść jest zdziwieniem. Nienawiść sprawia, że policzki tego, kto ją czuje, zapalają się chłodną czerwienią. Gdyby próbowało się to namalować, trzeba by było przełamać czerwień czymś w rodzaju nieprzezroczystej mlecznej bieli.

Anna nadal zbierała oskarżenia.

- Twoja miłość była taka, że Eeva zaczęła zanikać. Czy kiedykolwiek jeszcze o tym myślisz, czy czujesz się za to jakoś odpowiedzialny?

- Nikt nie może brać odpowiedzialności za to, że ktoś się załamał.

Anna ani przez chwilę nie wahała się nad odpowiedzią.

- Miłość to podjęcie ogromnej odpowiedzialności za drugiego.

Więc nie próbuj zaprzeczać: zabiłeś ją.

Bezsensowna kłótnia. Był przez to roztrzęsiony. Widział całą scenkę oczami przechodnia: stary mężczyzna i młoda kobieta sprzeczekający się o zbyt trudne, na miarę całego życia tematy. To wszystko nie zostało jednak wcześniej powiedziane. Nigdy nie mówił tych

rzeczy wprost. Nikt nigdy nie wymagał od niego, żeby zajął stanowisko w tej sprawie, ani też on nigdy nie wyjaśnił samemu sobie tej sprawy tak całkiem do końca. Teraz był jednak pewien tego, co myślał. I niemal tak samo był pewien, że Anna potrzebowała tej wiedzy, może nawet bardziej niż Eeva kiedykolwiek.

- Była wolna. Mogła robić, co chciała. I zrobiła.

Anna nie chciała odpuścić, nadal się upierała przy swoim, jakby nie słyszała jego słów:

- Skuleś ją, zamknąłeś, uwięziłeś w swojej miłości i już nigdy się od tego nie uwolniła.

Usłyszał swój własny śmiech, choć zarazem zdał sobie sprawę, że dla Anny musiał brzmieć jak szyderstwo.

- Masz o mnie wygórowane wyobrażenia. O ile wiem, nigdy nie więziłem nikogo. Nie miałbym na to sił ani ochoty. Tworzę obrazy, mimo to nie jestem żadnym czarodziejem.

Chciał wytłumaczyć, pogodzić się, ale co mógł jej jeszcze powiedzieć? Anna zawłaszczyła poglądy i wierzenia Eevy, testowała teraz ich siłę. A mimo to chciał ją przekonać o tym, że można było myśleć też w inny sposób. Nagle wydało mu się, że przekonanie do tego Anny to było najważniejsze, co kiedykolwiek miał w życiu zrobić.

- Nie wierzę, żeby miłość mogła być dla kogokolwiek więzieniem. A ty tak uważasz?

Na kamiennej twarzy Anny zaczęły się pojawiać pęknięcia.

W głosie można było wyczuć wahanie.

- Tego nie wiem.

Przez chwilę Anna wyglądała tak, jakby zamierzała się poddać. Gdzieś znalazła jednak nowe zdanie:

- Ale ona w to wierzyła. Tylko to ma znaczenie.

Martti musiał jeszcze dodać:

- Nie wierzę też w taką wolność, którą inni ludzie mogliby odebrać.

Teraz Anna parsknęła.

- Przecież ludzie gniją w więzieniach przez cały czas, wszędzie.

Wycofał się, choć zdawał sobie sprawę, że oznaczało to odstąpienie od swoich racji. Zerknął na ulicę. Ktoś biegł na przystanek tramwajowy, przeskoczył zwinnym susem z jednego pasa jezdni na drugi, nie wiedząc nic o tym, że tu, pod dębami, toczyła się aż do przesady serio rozmowa.

- Kajdany to już poważniejsza sprawa, w tych więzieniach... - powiedział niezamierzenie wolno.

Anna odparła bez wahania:

- Możesz sobie pozwolić na takie myślenie, bo jesteś mężczyzną. Ty i tobie podobni mieli władzę przez setki lat nad tym, co się naprawdę działo. Ale teraz to musi się zmienić.

Martti mógł jej teraz odpowiedzieć pewnym głosem:

- Jeżeli uzasadniasz swój pogląd na temat wyzwolenia kobiet tym, że ich miłość do mężczyzn je niewoliła, to wyzwolenie od samego początku nie było zbyt gruntowne.

Nie powiedział od razu tego, co uważał za prawdę. W końcu musiał to jednak powiedzieć, nie mógł tego tak zostawić:

- Eeva była inna. Należała do innej epoki. Czasy się zmieniły.

Czy Anna chciała usłyszeć te słowa? Kim był, żeby jej radzić?

Tylko twórcą obrazów, który zadawał się z cieniami. Ale nie zamilkł, chciał, żeby Anna zrozumiała.

- Nie jesteś Eevą. Musisz o tym pamiętać.

Teraz Anna nie wyglądała już na zagniewaną. A może tylko tak to sobie wyobrażał, może chciał zobaczyć to, na co miał nadzieję.

Albo skąd miał wiedzieć: może jakieś inne uczucie odezwało się w Annie, takie, którego nigdy całkowicie nie mógł poznać. Nagle zdał sobie sprawę: nigdy nie będę w stanie wyobrazić sobie rzeczywistości mojej wnuczki, nigdy w życiu, choćbym nie wiem jak próbował! Ona jest dla mnie tak obca, że wszystko, co w niej jest, jest tylko jej!

Próbował dodać powagi swoim słowom, denerwował go własny zachrypnięty głos:

- Twoja miłość jest tylko twoja, tak powinnaś o tym myśleć. To nie jest więzienie ani przeszkoda dla twojej wolności. To, że Eeva tego nie dostrzegła, uczyniło z niej smutnego człowieka. Może od samego początku była dużo smutniejsza niż którekolwiek z nas. Ale nikt nie może ci odebrać miłości ani świata. One są twoje.

Nie był pewien, czy Anna to zrozumiała. Anna stała jeszcze przed nim, gotowa, by zaprzeczyć. Ale nic nie powiedziała.

Odwróciła się szybko na pięcie i odeszła pod konarami dębów, podtrzymujących nadal zielone światło wiosny.

Martti stał wciąż w tym samym miejscu. Mimo wybuchu złości Anny czuł, że jest zaskakująco spokojny. Podniósł wzrok na zieleniące się liście. Gałęzie lekko zaszumiały. Ten widok był mu bardzo drogi. Spokój powrócił do niego, gdy tylko ta myśl utwierdziła się w jego głowie.

Teraz wszystko zostało już powiedziane. Nie było nic, czego mógłby żałować. Ani z Eevą, ani z Anną.

Kerttu Palovaara alias Katariina Aavamaa jest zupełnie inna, niż Anna to sobie wyobrażała. Już przez telefon jej głos brzmiał zupełnie inaczej. Tak jakby przez cały czas powstrzymywała się, żeby nie powiedzieć „nie”, ale ukrywała to pod oschłą uprzejmością.

Jest wtorek, dochodzi dwunasta. Katariina otwiera drzwi, zaprasza Annę do środka. Anna już w drzwiach stwierdza, że jest zawiedziona. Ta Kerttu - która miała być zabawna i nieprzewidywalna - w rzeczywistości żyje w zgodzie z rytmem kalendarza.

Swoje radosne dni podzieliła na rubryki.

Katariina Aavamaa zaproponowała spotkanie w porze lunchu, sugerując, by Anna przyjęła propozycję, bo innych nie będzie.

Może Anna oczekiwała kogoś, kto miałby błysk w oku i usta skore do śmiechu, a drzwi zawsze otwarte dla gości. Długie włosy, spódnice ze wschodnich tkanin, kwiaty w oknie, wnuki pętające się pod nogami, roztargniony pies wałęsający się po pokojach.

Katariina Aavamaa to uszatkowana kobieta. Włosy ufarbowane na blond i przycięte równo do podbródka. Mieszkanie urządzone w kolorze beżowym.

- Domyślam się, że jesteś Anna - mówi.

Nie podaje jej gauloise'ow przez stół ani nie podgłasnia muzyki i nie odrzuca głowy do tyłu przy piosence Jefferson Airplane Somebody to love.

Katariina Aavamaa ma na przeszklonym stole grube magazyny o połyskliwym papierze na temat dekoracji wnętrz, które być może czasami czyta do herbaty. Ma też designerską lampę, krzesła obite kaszmiem.

- Mineralną czy zwykłą?

- Poproszę zwykłą.

Wygląda na to, że Katariina Aavamaa wcale nie chce, żeby Anna tu była. Komputer na bocznym stoliku rzuca na pokój elektryczną poświatę. Na kanapie leży otworzony segregator, domagając się uwagi.

A mimo to Katariina Aavamaa jest kobietą, która dopełnia swoich obowiązków i robi to, co obiecała - dlatego zaprasza Annę do stołu.

Siedzą sztywno, myślą, co powiedzieć. Katariina podaje na lunch gotowe sałatki, które kupiła w delikatesach w Stockmannie. Jedzą powoli, Anna nie potrafi zacząć. Nie ma śmiałości spytać o nic, co dotyczyłoby Eevy. Przez telefon jeszcze udało jej się wypowiedzieć przynajmniej imię. Teraz to imię uwięzło jej w gardle jak oś.

Katariina wstaje, wzdycha. Otwiera szafkę i ku zaskoczeniu Anny wyciąga butelkę whisky, patrzy na nią pytająco. Anna potakuje, wzruszając ramionami.

Katariina wyjmuje z szafki dwie szklanki do whisky, nalewa do obu połyskującego

smoliście napoju. Gdyby to był film, tę kobietę zagrałaby Jane Birkin. Jane Birkin westchnęłaby ciężko, zamknęła oczy i pozwoliła, by powietrze z jej płuc wydało na zewnątrz krótki zdławiony krzyk.

Katariina nie zamyka oczu, stoi przy stole i wychyla duszkiem szklankę do dna. Annie przebiega szybko przez głowę myśl: może ta Kerttu, którą sobie wyobraziła, to nie było wcale tylko jej urojenie. Ludzie zdejmują z siebie swoje byłe Ja” i znajdują inne sposoby na życie.

- Eeva umarła w sierpniu sześćdziesiątego ósmego.

Katariina rzuca zdanie przez kuchnię, to zdanie godzi w Annę jak sztylet.

- Wiem.

Anna czuje się jak dziennikarka z plotkarskiego magazynu.

- Właściwie to nie mam nic więcej do powiedzenia.

Zdanie zabrzmiałoby niegrzecznie, gdyby Anna nie zauważyła małego drgnięcia w lewym kąciku ust Katariiny. Katariina wzdycha. Znowu pojawia się Jane Birkin. A może Meryl Streep?

Lub Catherine Deneuve? Jest tyle kobiet, których nie da się tak naprędce scharakteryzować.

- Ciężki dzień w pracy, chyba jestem trochę zmęczona - mówi Katariina.

Anna odczuwa ulgę z powodu zmiany tematu na łagodniejszy, szybko go podchwytuje:

- Gdzie pracujesz?

Katariina lekko się uśmiecha.

- Jestem agentem teatralnym, coś w tym stylu. Nasze biuro jest jedyną tego typu agencją w kraju. Fajna praca, można podróżować, a nawet mieć wpływ na pewne sprawy, przynajmniej na poziomie zwykłych obywateli. Firma jest moja. Nigdy bym nie uwierzyła, że zostanę bizneswoman, ale zostałam, taka ze mnie bogaczka!

Katariina się śmieje. Potem spogląda przez okno i znów wzdycha. Przez chwilę Anna myśli, że wybuchnie płaczem. Katariina nie patrzy na Annę, mówiąc:

- Można by pomyśleć, że mam dużo do opowiadania. Może Liisa myślała, że wiem coś, czego jej nie powiedziałam. Ale koniec końców jakie ma znaczenie to wszystko, co się wydarzyło? Tylko to ma znaczenie, że nie wyszła z tego. To wszystko.

Katariina otwiera okno, wyciąga paczkę papierosów z małej miseczki na parapecie. Nie gauloise’y, ale marlboro light. Zapala jednego, wydmuchuje dym.

Przez chwilę Anna widzi w niej Kerttu, zdobywczynię świata.

Kerttu oswojona teraz przez puder Diora, ale pod tym pudrem kryją się te same piegi,

które pokrywały jej skórę już lata temu, w San Francisco.

- Patrz, wiewiórka! - mówi nagle Katariina. - A więc przyszła!

Zawsze na nią czekałam, nawet nadałam jej imię, Teppo. Chociaż z początku myślałam, żeby nazwać ją Jormaa. Zawarliśmy między sobą układ. Ja mówię jej o swoich smutkach, ona dostaje za to cynamonową bułeczkę.

Katariina wstaje i idzie poszukać w szafie kawałka bułki z cynamonem, podaje go przez okno wiewiórcie. Odwraca wzrok, poważnieje.

- Podróżowałyśmy, zanim Eeva umarła - mówi nagle. - Coś się w niej załamało w trakcie tej podróży. Różne rzeczy się dzieją.

Nadal karmi wiewiórkę.

- Właściwie to było całkiem głupie, takie tam wałęsanie się.

Jechaliśmy prosto przed siebie. Była szczęśliwa, szczęśliwsza niż przez cały ten rok.

Katariina zaciąga się i wydmuchuje dym. Pierwszy raz Anna czuje, że nie potrafi stworzyć żadnej historii. Nawet nie próbuje wyobrazić sobie tęsknoty tej kobiety ani jej mądrości. Myliła się, uważając Katariinę Aavamaa za sztywną i uporządkowaną.

Może myliła się też we wszystkim innym. Katariina Aavamaa należy do tych, którzy sami opowiadają swoje historie.

Nagle wzrok Katariiny wyostrza się, jakby przypomniwała sobie coś, o czym już zdążyła zapomnieć.

- A twoja mama, co u niej teraz słycać?

- Jest lekarzem.

W tej samej chwili Anna myśli, że równie dobrze mogłaby powiedzieć: „Jest szczęśliwa”.

- Spotykałam ją od czasu do czasu. Kiedy miała trzy i cztery, a może pięć lat. Takie urocze maleństwo! I tylko pomyśleć, jest teraz lekarzem!

Na zdjęciach widać najczęściej Katariinę. Na niektórych też Eevę.

- Tak, byłyśmy infantylne. Chodziło przede wszystkim o przyjemności, o ciągle imprezowanie. Nazywałyśmy to rewolucją, bo tak nam pasowało. Później pomyślałam sobie, że taka rewolucja może najlepiej urzeczywistnić się tam, gdzie świat nie ma dostępu. Na scenie, w filmach.

Katariina się śmieje.

- Ale trzeba być dla siebie łaskawym. Gdyby nie naiwność, wszystko byłoby zawsze takie samo. Nie ma zmian, jeśli ktoś onich wcześniej nie zamarzy. Mimo to teraz myślę, że prawdziwe rewolucje trwają przez całe ludzkie życie, dzieją się zawsze po cichu i wtedy, gdy

nikt nie patrzy.

Anna nie potrafi nic powiedzieć. Co ona wie o rewolucjach?

Nic ponad to, co przeczytała w książkach, widziała w telewizji.

W telewizji zawsze trwa jakaś rewolucja, zawsze w jakimś miejscu na świecie, jest to tak pewne jak powtórki Seksu w wielkim mieście.

Annie przychodzi nagle na myśl kobieta, obok której siedziała w samolocie zeszłej jesieni w czasie lotu do Paryża.

- Spotkałam raz w samolocie Amerykankę, która powiedziała, że rewolucja zaczyna się od małego rumuńskiego miasteczka, w którym wtedy mieszkała.

- Dlaczego mieszkała w Rumunii, ta Amerykanka?

- Owdowiała i postanowiła, że zacznie podróżować, bo za życia męża, by go zadowolić, siedziała przez cały czas w Alabamie.

- I po śmierci męża wyjechała?

- Pojechała do Bośni jako obserwator wyborów z ramienia ONZ i tak już zostało.

- Jak się nazywało to miejsce, to rumuńskie miasteczko?

- Zapomniałam.

Katariina się śmieje.

- Rewolucja cały czas wydarza się w miastach, których nazw nikt nie pamięta.

Przez chwilę Anna widzi tę kobietę, gdy przeczesywała rzęsy czarnym tuszem i mówiła: „No dobrze, chodźmy, świat czeka na zmiany!”.

Na następnych zdjęciach Eeva jest w Sztokholmie. Potem, sądząc po kanałach, w Amsterdamie. Eeva siedzi przy stoliku w kawiarni, obok niej mężczyzna, właściwie chłopiec.

- Kto to jest? - pyta Anna.

- Eeva poznała go gdzieś i przez chwilę uwierzyła, że będzie mogła go kochać. Wyjechał po nas do Sztokholmu.

Na następnych fotografiach Eeva siedzi przy stoliku w kawiarni na wsi, może gdzieś we Francji. Wygląda na chudą i wyczerpaną, ale mimo to się uśmiecha.

- Nie umiałam jej pomóc - mówi Katariina.

- Być może zrobiłaś wszystko, co tylko mogłaś.

Część zdjęć jest z lat późniejszych, siedemdziesiątych. Katariina śmieje się na Kurfurstendammie, pluska w morzu, patrzy w obiektyw, nie musi za nic przeproszać. W niebieskiej koszulce w tłumie na pierwszego maja w Helsinkach. Sądząc po fryzurze, Katariina kilka lat później, z niemowlęciem.

Na każdej fotografii Katariina wygląda inaczej.

Nie wydaje się osobą szczególnie skoncentrowaną na rodzinie, ale skąd to można wiedzieć. Czasami właśnie tacy ludzie mają najszczęśliwsze życie rodzinne.

Kiedy Anna jest już w przedpokoju, ośmiela się zapytać ją o męża.

- Ten sam przez trzydzieści pięć lat, możesz to sobie wyobrazić?

Katariina mówi to takim tonem, jakim ludzie od dawna będący w związku mówią o swoim małżeństwie. Jakby sama się dziwiła, że zrzędzeniem losu udało jej się kochać kogoś przez tyle lat.

- Jest dyrektorem banku. Śmiałabym się do utraty tchu, gdybym usłyszała w wieku dwudziestu lat, że wyjdę za mąż za własnego wroga! Albo puknęła się w głowę! A twoi dziadkowie? Czasem czytałam o nich w gazetach. Oboje zrobili znaczące kariery.

Jeżeli w ogóle to coś na tym świecie znaczy.

- Są szczęśliwi.

Anna nie chce mówić nic o babci. Z jakiegoś powodu to ważne, by nie powiedzieć ani słowa o jej chorobie.

- Wierzę w to - mówi Katariina.

Później wygląda, jakby nad czymś myślała.

- Timisoara.

- Co?

- To miasto w Rumunii. Twoja sąsiadka z samolotu z pewnością właśnie tam mieszkała.

- Rewolucja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku. No tak. To właśnie miała z pewnością na myśli. A ja przez cały czas myślałam, że chodziło jej o jakiś przełom we własnym życiu! Szkoda. To trochę psuje całą historię.

Katariina się uśmiecha.

- Niekoniecznie. Co o niej wiemy? Może chciała podtrzymać możliwość zmiany, mieszkając właśnie w takim miejscu. W tamtym czasie z lekkim przerażeniem oglądałam te zamieszki.

W pewnym sensie to telewizja zaczęła rewolucję, ludzie oglądali wiadomości z zagranicy i stworzyli sobie iluzję. Nie byłam przeciwna złamaniu tej władzy, to była tyrania. Ale przez chwilę uwierzyłam w ideę, która za tym stała. I kiedy wszystko zaczęło się walić, to, moim zdaniem, zakrawało wprost na ironię, że za tym wszystkim stała telewizja! Może powinnaś zostać przy swojej historii. Jest piękna. Mówi coś pięknego o tobie.

Historia. Anna chce zostać przy swojej historii. Dlatego nie pyta, co się stało z Eevą. Nie pyta, jak umarła.

Anna wychodzi na ulicę, lato rozpościera się przed nią jak falująca ściana. Nic nie wie o kobiecie, która należy już do przeszłości, przynosi tylko świeże pączki listków, niebo i powiew wiatru, jakby wczorajszego dnia nie było.

Anna idzie nad sam brzeg morza, przez chwilę balansuje na skraju deptaka. Nie zastanawiając się nad przyczyną nagłego kaprysu, kieruje się na stację benzynową i otwiera drzwi.

Kiedy była dzieckiem, kochała stacje benzynowe i wiążące się z nimi nadzieje, nastrój przyjazdów i powrotów. Błagała, że chce jechać z tatą, wkładała kalosze na chybcika, biegła do samochodu, żeby posłuchać radosnej muzyczki towarzyszącej grze z owocami, mogła sobie wybrać z kolorowej lodówki z lodami rożek.

To wszystko wciąż tu jest. Niektórzy jadą do swoich domków w lesie, wioząc mleko, pory i młode ziemniaki w bagażniku. Optymiści biorą ze sobą poduszeczki do pływania, a powściągliwi jedynie sprzęt do gry w krokieta. Rzeczywistość stacji benzynowych jest daleka od rzeczywistości szpitala. Nie ma dwóch takich światów, które byłyby równie odległe od siebie.

Tu ludzie wyglądają na szczęśliwych albo przynajmniej obojętnych, jak w dni powszednie. Nikt nie wygląda tak, jakby chciał uciekać. Przynajmniej nie dzisiaj.

Anna kupuje kawę. Rudowłosa sprzedawczyni wystukuje cenę na kasie tak uroczyście, jakby chciała wyczarować na fortepianie końcowy, podsumowujący wszystko akord.

Anna siada przy stoliku w kącie i przywołuje w myślach Eevę.

Eeva wierzyła, że wszystko może się zmienić. Kiedy mężczyzna przestąpił próg, Eeva musiała pożegnać się jeszcze z dzieckiem. Skłamała, że spotkają się następnego dnia. Powiedziała to, choć wiedziała, że następnego spotkania już nie będzie. Nie była w stanie powiedzieć jej prawdy. Kłamstwo wypełniło serce Eevy pustką na cały rok.

Ale mimo to Eeva chciała jeszcze zobaczyć świat i zobaczyła.

A potem stało się to - co? Coś, co pchnęło ją do zagłady.

Może to było nic nieznaczące małe wydarzenie, takie, jakie czasami zdarzają się podczas podróży.

Anna myśli o Elli. I o Lindzie też ośmiela się teraz pomyśleć.

„Do zobaczenia jutro”.

Potem Anna patrzy na telefon - robi to przez przypadek, odruchowo - i spostrzega, że na wyświetlaczu pokazały się numery nieodebranych telefonów.

Myśl jest jak przeczcucie.

22.

Wszystko zaczęło się od niewinnego telefonu.

Eleonoora zamknęła szafę z ubraniami, odwiesiła kitel na wieszak, zsunęła luźne spodnie i koszulkę z obszernym dekoltem. Pomyślała, że chciałaby przez chwilę tylko być, przespacerować się brzegiem morza, zobaczyć mewy unoszące się na niebie tak, jakby ktoś je na nim rozwiesił. I wtedy zadzwonił telefon.

Pierwsze, co przyszło jej do głowy, to: mama.

Numer był nieznany. Jej głos w słuchawce zabrzmiał ostrzej, niż zamierzała. Dzwonił Rautalampi ze sklepu z przyborami malarskimi, chodziło o obraz, który Anna dała do oprawy. Eleonoora pozwoliła, żeby niepokój się oddalił.

- Dzwonię w sprawie tego Ahlqvista, tego, który przyniósł tu ktoś z was - zaczął Rautalampi.

Z jakiegoś powodu Rautalampi, mówiąc o ojcu i jego pracach, używał nazwiska: Ahlqvist. Eleonoora nie zawsze wiedziała, czy mówi o ojcu, czy o jego obrazach. Może o to mu właśnie chodziło.

- To nie ja - odparła Eleonoora. - Moja córka, Anna, pamiętasz? Chciała go sobie oprawić, tak więc nie mam z tą sprawą nic wspólnego. Jest już gotowy?

- Nie, w istocie nie.

- A więc?

- Jest z nim pewna dziwna sprawa, jakkolwiek na to spojrzeć.

- Dzwoniłeś do Anny? Obraz ma wisieć u niej, więc sama pewnie będzie chciała zdecydować o ramie i tak dalej.

- Właśnie - powiedział Rautalampi. - Tak jak powiedziałaś.

Próbowałem się do niej dodzwonić, ale jej nie złapałem. Pomyślałem, żeby zadzwonić do twojego ojca.

- A co on ma do tego? Nie sądzę, żeby był szczególnie zainteresowany tym obrazem, powiedział, że wszystkie prace z Tammilehto można sobie zabrać.

- Sprawa jest trochę bardziej skomplikowana.

Teraz Eleonoora zaczęła już tracić cierpliwość. Kiedy się stresowała, swoje zdenerwowanie przenosiła na różnych otaczających ją ludzi - urzędników bankowych, sprzedawców, młodych chłopców pracujących na stacjach benzynowych, którzy nie mogli znaleźć odpowiednich wycieraczek do przedniej szyby. Łapała się na swojej uszczypliwości

zawsze za późno, gdy już na dobre zdążyła się rozzłościć. Przypomniała sobie, jak pewnego razu, gdy była małą dziewczynką, podniosła wrzawę, bo nie pozwolono jej zjeść batonu czekoladowego, który dostała przed obiadem od Rautalampiego.

Może Rautalampi znów uznał to wszystko za dziecinne fochy. Ta myśl jeszcze bardziej ją rozzłościła.

- No - powiedziała ostro. - Możesz powiedzieć wreszcie, o co chodzi? Śpieszy mi się.

Rautalampi nie należał do osób, na których czyjeś zarzuty lub wybuchy złości mogłyby zrobić jakiegokolwiek wrażenie. Odparł zdecydowanie:

- Najlepiej będzie, jak sama przyjdiesz zobaczyć.

Wyjechała z podjazdu prowadzącego do szpitala i skręciła w lewo na nadbrzeżny bulwar.

Jej gniew skierował się przeciwko ojcu, chociaż to przecież tylko jego obraz zakłócił ten dzień. Czasami w młodzieńczych latach złościła się na ojca właśnie z tego powodu. Myślisz, że kim ty jesteś? Nie widzisz, że wszystko tutaj kręci się tylko wokół ciebie? Wydaje ci się, że jesteś wielki, niby taki ważny, doceniany.

A tak naprawdę jesteś tylko jednym wielkim żartem. Używasz swojej sztuki tylko jako pretekstu, żeby się wycofać!

Ojciec przyjmował te wybuchy gniewu nadzwyczaj spokojnie. Mówił: „Dobrze, że przynajmniej nie idealizujesz swoich rodziców”.

Kiedy otworzyła drzwi do sklepu, Rautalampi zerknął na nią znad okularów.

- A więc tak...

- Uhm? - zareagowała ostro Eleonoora.

- Musiałem oderwać płótno od drewna - powiedział Rautalampi.

- Chyba go nie uszkodziłeś?

Rautalampi spojrzał na nią z wyrzutem, wyraz jego twarzy mówił: „Nie uszkadzam obrazów, myślisz, że jestem nieporadny jak dziecko?”.

- Chodź zobaczyć.

Pokój, w którym oprawiał obrazy, znajdował się na zapleczu.

Znajome zapachy, kleje i drewniane listwy wypełniały to miejsce tak samo jak kiedyś, zupełnie jakby czasu nie było.

Rautalampi przesunął sztalugę. Praca, którą zobaczyła teraz Eleonoora, to nie był obraz z pomarańczami.

Rautalampi, za wszelką cenę stroniący od dramatyzowania, kontynuował jak handlarz wszelakich przedmiotów, który właśnie prowadzi rozmowę o nadwyżce paczek kawy,

odebranej przed chwilą w przesyłce.

- Zauważyłem wybrzuszenie na obrazie. Czasami można je zobaczyć. Oderwałem wierzchnią warstwę płótna tak delikatnie, jak tylko potrafiłem, leży tu na stole. Można ją oczywiście podklinować i oprawić. Ale musicie zdecydować, co chcecie zrobić z tym drugim obrazem. Był pod wierzchnim płótnem przez całe lata, ale jest zaskakująco nienaruszony. Dlatego chciałem, żebyś sama przyszła zobaczyć. To, owszem, dość dziwna praca jak na Ahlqvista. Nie wiem, czy to dlatego chciał ją przykryć. Może to jakaś próba. Wyraźnie kogoś chciał namalować, widać to po charakterystycznych próbach odszukania stylu, wygląda niemal jak karykatura. To bez wątpienia imitacja, ale nie za bardzo wiem czego. Wygląda, jakby trudno mu było wybrać technikę, połączył ich wiele i mówiąc wprost, tym razem mu się nie powiodło. Teraz trzeba by zdecydować, co z tym zrobić. Mam zadzwonić do twojego ojca czy zostawimy pracę tutaj? Za dzieło sztuki nie można tego uznać, jest zbyt niedopracowana. Chociaż nie będę szacował jej wartości.

Kobieta z obrazu patrzy Eleonorze prosto w oczy.

Rautalampi zakasłał w tym samym czasie, gdy zadźwięczał dzwonek u drzwi sklepu. Ktoś wszedł do środka, Rautalampi powiedział, że zaraz wróci.

Eleenoora stała przez chwilę przed obrazem. Potem odwróciła się, zobaczyła w kącie krzesło i usiadła. Tak naprawdę modliła się, żeby ktoś przyszedł i zasłonił tę kobietę. Ale nikt nie przyszedł.

Eeva patrzyła na nią, i jakkolwiek Eleenoora by się starała, nie mogła nie patrzeć na Eevę.

Onic nie zabiegać, o nic nie dbać, to były jedyne sposoby wyrażania gniewu, jakie znała Eleenoora. Szła przed siebie bez celu. Morze było jak pozioma ściana, zadziwiająco połyskliwe.

Nienawiść nachodziła ją omdlewającymi falami, w jej głowie pojawiały się prześliski wspomnień.

Po dwóch godzinach stanęła, spojrzała na komórkę. Dziewięć nieodebranych rozmów. Część od ojca, inne z telefonu stacjonarnego na Sammonkatu, jeszcze inne to nieznane numery. W tym samym momencie rozświetlił się ekran telefonu. Anna. Być może to nie był przypadek: Anna próbowała dzwonić już wcześniej.

Telefon wypadł Eleonorze z ręki. Nie zamierzała go podnosić.

Potem zmieniła jednak zdanie - może przeczuła, co Anna miała powiedzieć - i podniosła go z ziemi.

Mówiła, nie pytając, dlaczego Anna zadzwoniła, nie tłumacząc jej dokładniej, o co

chodziło.

- Widziałam Eevę, Eeva była na obrazie.

Anna się nie odezwała. Wiedziała. Nie zaprzeczała, mówiąc, że nie wie.

- Babcia mi to wyznała - przyznała Anna. - I dziadek.

O Eevie.

Eleonoora miała Annie tylko jedno do powiedzenia:

- Nie chcę teraz z tobą rozmawiać, nie zniosę twojego widoku.

Anny nie obeszły jej słowa.

- Dziadek próbował się dodzwonić do ciebie wiele razy, w końcu zadzwonił do mnie.

Babcia umarła.

1967

Dziewczynka siedzi na huśtawce i macha nóżkami. Jest już październik.

Mama dziewczynki nie chciała się zgodzić, ale dziewczynka usilnie błagała, prosiła raz za razem, w końcu się rozplakała, kopnęła w drzwi i położyła się w poprzek przedpokoju. Mama dziewczynki poprosiła, żebym przyszła.

- Na pół godziny - powiedziała. - Na podwórku. Masz nie wchodzić do środka.

Wychodzę z bramy, mama dziewczynki spogląda na mnie, znika za drzwiami. Zostajemy we dwie. Dziewczynka nie patrzy na mnie, wygląda, jakby się mną nie interesowała. Urosła, choć upłynęło zaledwie parę tygodni. Ma czerwony płaszcz i buciki w sam raz na jesienną pogodę. Zdarzały się już chłodniejsze dni.

Muszę teraz przyjrzeć się jej bardzo dokładnie. Chcę zapamiętać każdy gest i wszystkie zarysy jej twarzy, która dopiero zaczyna nabierać wyrazu. Idę i siadam obok niej na huśtawce.

- Dlaczego jesteś w płaszczu? - pyta.

- Bo zaczyna robić się zimno, ty też masz płaszcz.

- Aha - mówi dziewczynka.

Trochę przyspiesza. Jej nóżki prostują się i zginają, i znowu prostują. Huśtawka lekko skrzypi.

- Mama mówi, że mogę już huśtać się mocniej, bo jestem większa.

- Tak - odpowiadam.

- Czy mogę do ciebie przyjść? - pyta nagle dziewczynka. - Na noc?

- Nie, dzisiaj nie. Dzisiaj musisz zostać w domu.

- A jutro? - pyta dziewczynka. - Czy mogę przyjść jutro?

- No, może - kłamię.

Dziewczynka huśta się jeszcze mocniej. Łańcuchy wydają z siebie oszalały, zdecydowany odgłos. Wzrok dziewczynki jest nieruchomy. Patrzy na drzwi. Do przodu, do tyłu, do przodu, do tyłu. Huśta się.

- Mogę przyjść do ciebie - mówi dziewczynka. - Poproszę o zgodę mamę i tatę. Przyjdę, będziemy mogli wybudować domek.

Przez chwilę sama wierzę, że byłoby to możliwe. Że mogłaby przyjść i spędziłybyśmy jeden z takich dni, jakie są nam znane.

Słyszę swoje własne kłamstwo, nie potrafię inaczej.

- Uzgodnimy, że przyjdiesz jutro, tak właśnie zrobimy.

- Czy mogę wtedy zostać u ciebie na noc? - pyta dziewczynka.

- Możesz, pewnie będziesz mogła zostać nawet na noc.

Ella zeskakuje z huśtawki. Próbuje się uśmiechnąć.

- Idź - mówię. - Mama i tata na pewno czekają na ciebie na górze.

- Jest jesień, na drzewach są jabłka - mówi nagle dziewczynka. - Poszliśmy wczoraj do parku i mama powiedziała, że można by zrobić z nich dżem. Będziemy robić dżem w przyszłym tygodniu. Dżem to najlepsze, co zna tata. Dokłada dużo cukru. Nałożymy dżem na bułeczki i cukier. Tata nałoży sobie tak dużo jak ja. Mama mówi, że już więcej nie będę mogła cię zobaczyć, ale nie wie, że przyjdę do ciebie jutro na noc.

- Tak.

Potakuję. Nie mogę się jeszcze teraz rozplakać.

- To w takim razie przyjdę jutro - upewnia się Linda.

- Tak, zobaczymy się jutro.

Wargi Lindy drżą. Widzę jej twarz zupełnie inną, zanim zacznie płakać. Po raz ostatni biorę ją w ramiona. Przez chwilę nic nie mówi, tylko cicho płacze.

- Wybudujemy domek - mówi.

- Może być domek - powtarzam.

- A gdyby mama i tata też przyszli? - pyta. - Czy oni też mogą przyjść?

- Pewnie tak - odpowiadam.

- I będziemy spali z tobą w domku - proponuje.

Patrzy na mnie. Myśli nad rozwiązaniem.

- Mama i tata pójdą do domu, ale ja zostanę u ciebie na noc i będziemy spały razem w domku - wymyśla wreszcie.

- Tak zrobimy.

- Czy będziesz spała ze mną przez całą noc?

- Mogę spać. Będę obok ciebie przez całą noc.

Dziewczynka jest teraz zadowolona. Mamy plan. Pociąga jeszcze nosem. Ja nie mogę pozwolić sobie na łzy.

- Pójdę teraz na górę - mówi.

- Idź.

Dziewczynka biegnie do drzwi. Ja siedzę na huśtawce i patrzę za nią. Ciągnie za klamkę, jest tak mała, że z trudem otwiera drzwi. Zanim wejdzie do środka, odwraca się jeszcze.

- Pa, pa, zobaczymy się jutro! - krzyczy.

Już nie płacze. Uśmiecha się.

Potem wchodzi do środka. Ja siedzę jeszcze przez chwilę na huśtawce, potem wstaję, idę przez podwórko, wychodzę przez bramę.

Na ulicy przyśpieszam, zaczynam biec i przez chwilę nie widzę przed sobą niczego.

23.

Elsa umarła nagle. Jej śmierć zaskoczyła Marttiego, choć wiedział, że nadejdzie. Jeszcze przed południem dobrze się czuła.

Zjedli na lunch młode ziemniaki i Elsa dziwiła się, że jest w stanie zjeść ich aż tyle. Po posiłku chciała tańczyć i Martti nastawił stary adapter.

Taniec był kołysaniem się, Elsa oparła się o niego, a on o Elbę.

Przypomniał sobie, co czuł, kiedy zobaczył Elbę pierwszego wieczoru. Na początku tańczył z nią Lauri, a on patrzył na jej plecy, na których zrobiło się piękne wgłębienie między łopatkami.

Patrzył na jej kark, na dwa ciemne, nieco wilgotne od gorącego powietrza kosmyki na czole.

Wyglądała na pełną krzepy wiejską dziewczynę, która potrafiła udźwignąć wielki baniak mleka i popędzić krowy na pastwisko niczym gospodarz. Był zaskoczony, kiedy mu powiedziała, że pochodzi z Eiry, z Helsinek. Jej tata wykładał na uniwersytecie, mama uczyła języków obcych.

Szeroka twarz, zabawne, grube brwi, ładnie układające się ciemne włosy. Pełne usta i mała szpara między przednimi zębami. Ciepły, spokojny uśmiech, taki, pod wpływem którego zaczynało się myśleć, że właściwie nie było czego się bać, nawet tych smutków, które miały nieuchronnie nadejść, jeżeli tylko starczyłoby życia.

Chciał już pozostać przy tym uśmiechu.

Elsa kołysała się jeszcze oparta na jego ramieniu. Płyta stanęła, na podwórzu można było usłyszeć odgłos kosiarki.

- Lato - szepnęła Elsa.

Taniec zastąpiło przytulenie.

- Chyba nie dam już rady pójść na poziomki.

- Nigdy nic nie wiadomo.

Kosiarka szumiała, wiatr wpadał przez okna. Podłoga nieco skrzypiała pod ich nogami. I wtedy zadzwonił telefon.

Martti odebrał. Elsa usiadła na kanapie i wyglądała tak, jakby słuchała. Dzwonił Rautalampi ze sklepu z przyborami malarskimi. Nie wiedząc, że występuje w roli posłańca wiadomości, powiedział, że była u niego Eleonoora. „Wyszła trochę zniecka - rzekł. - Po

prostu nagle wyszła. Tak więc - spytał Rautalampi - co mam zrobić z obrazem, z tym ukrytym pod spodem?"

Minęła chwila, zanim Martti zrozumiał, o czym Rautalampi mówi. Potem sobie przypomniał. Powiedział, że pomyśli, wróci do tej sprawy. Zauważył, że jest spokojny.

Odłożył telefon i spojrzął na Elbę. Kiedy przekazał jej, o co chodzi - w jakiś sposób sama już to odgadła, było to po niej widać - Elba powiedziała:

- Muszę zadzwonić do Eleonoory. Muszę zadzwonić do niej od razu.

Sześć dzwonek telefonu. Elba próbowała dzwonić ze stacjonarnego, potem z własnego, potem z jego. Bez odpowiedzi. Stała przez chwilę w miejscu. Potem zrobiła kilka kroków, rozejrzała się dookoła, jakby szukała drzwi w obcym pokoju, usiadła.

- Źle się czujesz?

- Trochę - odparła. - Trochę źle.

- Boli cię? - spytał. - Gdzie?

Elba położyła się, zamknęła oczy. Oddychała, nieco posapując, jakby się zadyszała.

- Ciężko mi oddychać - udało jej się powiedzieć. - Tak, trochę ciężko.

W karetce pogotowia, zanim nałożono jej maskę, chwyciła go za rękę i powiedziała:

- Nie wiem, za co powinnam prosić o wybaczenie, czego jeszcze nie powiedziałam, ale chciałabym to zrobić.

Ścisnął jej dłoń, przytaknął, bo nie był w stanie niczego powiedzieć. Elba dodała:

- Poproś ty, jeżeli ja nie zdążę.

W szpitalu Elbę wzięto na badania płuc i serca. Martti siedział przy niej. Poprosił pielęgniarkę, żeby zadzwoniła do Eleonoory jeszcze raz, jak tylko się zjawili. Elba wyciągnęła rękę, położyła mu ją na dłoni. Jej ręka była lekka i zimna. Z trudem dało się słyszeć oddech Elsy.

- Czy dzwonią do niej? - spytała. - Może niech spróbują jeszcze raz?

- Próbowali, nie odpowiada.

Przypomniał sobie inną sytuację, w której Elba złapała go za rękę. Elba była silna, nie dawała łatwo za wygraną, stawiała zakazy. Często myślał o tej chwili, gdy stanęła w progu i nie chciała pozwolić mu odejść. Pamiętał ją całą tego dnia, każdy szczegół.

Miała na sobie jasnozieloną bluzkę, związane włosy, szła wypisany czerwienią na policzku i twarde „nie” na ustach na długo przed tym, zanim sprzeciwiła się jego odejściu.

Złapała go za rękę, chciał tylko wyjść. Chciał zepchnąć Elbę ze swojej drogi, spotkał się z jej zdeterminowanym wzrokiem.

Musiał ją odepchnąć, żeby przejść przez drzwi.

Kilka dni po tym, jak wrócił, Elsa zachorowała. Gorączka szybko się podniosła. Okrył ją, położył Ellę spać, przeczytał jej bajkę, czekał, aż zaśnie. Kiedy wrócił do sypialni, żeby sprawdzić, czy wszystko jest dobrze, usłyszał senny rytm oddechu Elsy, zobaczył czerwień gorączki na jej policzku. Zagarnęła go nagłą falą miłości, odrzucając wszystko inne, mocniejsza niż kiedykolwiek.

Rozebrał się, uważając, by jej nie obudzić, odsunął kołdrę, położył się obok, przysunął blisko niej, czuł jej spoconą skórę pod nocną koszulką. Elsa podwinęła nogi pod siebie we śnie, owinął się wokół niej.

Elsa powiedziała cicho i niewyraźnie: „Nie odchodź, zostań”.

Może bredziła w gorączce. Ale to była prośba, nie rozkaz czy zakaz. Potrzebował prośby.

- Czy mógłbyś tu przyjść, położyć się obok mnie? - spytała Elsa i klepnęła lekko ręką szpitalne prześcieradło.

Zerknął w stronę drzwi, jakby pytał o pozwolenie. Usiadł na łóżku, przesunął nieco Elsę. Było to trudne, ale zrobił sobie miejsce i położył się obok.

Gdyby zamknąć oczy, można by było pomyśleć, że to zwykły poranek, jak jeden z wielu przed wstaniem z łóżka. Za oknem światło, na obrzeżach myśli niewyraźne jeszcze plany na dzień.

- Nie odchodź - powiedziała Elsa. - Nigdzie stąd nie odchodź.

- Nie odejdę, zostanę tutaj.

Oddech Elsy uspokoił się, zanim znów się załamał. Martti był już niemal przyzwyczajony do tego gorączkowego rytmu. Teraz cisza stawała się nieznośna. Bał się, że zaśnie.

I może zasnął na chwilę. Elsa się nie ruszała.

Właściwa śmierć, jej dokonanie się, nie było wcale spokojne.

Lekarz powiedział potem, że organizm Elsy jakby przeżył szok, narządy jeden po drugim przestawały funkcjonować w szybkim tempie.

Ale Marttiemu wydawało się, że Elsa odeszła już wcześniej, chwilę przed fizyczną śmiercią. I to odejście było spokojne.

Otworzyła oczy, zamknęła je.

Widział tysiące razy, jak Elsa to robiła. Trzymał swoją dłoń na jej dłoni i patrzył. Ciało Elsy zastygło, jakby przybrało swój ostatni kształt, odnalazło swoje miejsce. Jakby Elsa zbierała w sobie cały ciężar, wszystkie chwile i lata, i jego, tuż obok.

Spytała bardzo zmęczonym głosem:

- Czy zostaniesz tutaj, jeżeli zasnę na chwilę.

- Zostanę. Zostanę tutaj.

1968

Wiosna. Stopniowo znowu zaczynam oddychać.

Zima była mroźna i wilgotna, czasami szeroka i pełna przeciągów, jakby miasto było wielką salą w porzuconym pałacu. Przez cały początek roku zdawało mi się, że moje ciało jest z ubiegłego stulecia, że moja głowa leży w muzeum, wśród kruchych i delikatnych przedmiotów, w szafce za szkłem.

Zgryzota trawiła całe moje ciało. Przemierzałam ulice, szukając wzrokiem dziewczynki i mężczyzny. Ale ani razu nie zobaczyłam ich przypadkiem.

Spotkaliśmy się z mężczyzną w lutym. Poszliśmy na spacer.

Miałam przerwę na posiłek i tylko pół godziny, więc poszliśmy do parku Kaivopuisto. Potem on poszedł w swoją stronę, a ja ruszyłam przez przejrzysty dzień z powrotem do szkoły, sprawdzając w rozrzedzonym powietrzu wszystkie części swego ciała, które wydawały się takie obce, jakby należały do kogoś innego.

Ale nagle znów jest wiosna i wszystko zaczyna szumieć. Telewizja rzuca na ściany pokoju nauczycielskiego obrazy narastających niepokoi, gazety zaczynają pisać o rozruchach. Uczę zdań niecierpliwą młodzież w południowej części miasta, piszę na tablicy słowa, które mogłabym właśnie teraz wypowiedzieć ludziom na ulicy. Dlaczego nie wyjadę, dlaczego jeszcze mnie tam nie ma? Na co czekam?

Aujourd'hui. Aujourd'hui.

Napisane zgrzytającą kredą na tablicy wyglądają jak modlitwa.

Szesnastego kwietnia dostaję znowu list od Marca. Pisywał do mnie od czasu od czasu. Ma dużo pomysłów, dotyczą przede wszystkim badania bytu za pomocą miłości. W liście z kwietnia proponuje, żebym przyjechała latem do niego do Paryża.

Katariina chciałaby już jechać. Każda podróż byłaby dla niej dobra. „Oczywiście w końcu i tak się tam znajdziemy - mówi. - Wszyscy zawsze kończą na Paryżu!” Mówi o tym mieście tak, jakby to był cel sam w sobie, niczym małżeństwo dla naszych matek.

Postanawiamy popłynąć statkiem, bo Katariinę nie stać na lot samolotem. Marc z uporem wysyła telegramy, pisze, że po nas wyjedzie. Choćby do Sztokholmu, choćby nawet do samej Finlandii. Bez różnicy! Ma czas, ma pieniądze. Odpowiadam telegraficznie: „Do zobaczenia w Sztokholmie”.

Czy mogłabym go pokochać? Może mogłabym. Byłabym kobietą na miarę dzisiejszych czasów bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Czasem człowiek tak mocno

pragnie zmiany, że całkowicie przestaje się bać.

Przyjaciółka Katariiny, Laylah, może nas przenocować w Sztokholmie przez kilka nocy. A jej brat Piet może nas gościć w swoim mieszkaniu w Amsterdamie tak długo, jak tylko zechcemy. Mamy więc plan: Laylah, Sztokholm, Piet, Amsterdam, Paryż.

Myślę o Kuhmo, o pokoju na poddaszu, o jasnej nocy wśród chłodnych prześcieradeł. Kukałaby kukułka, pochyliłabym głowę.

Kuhmo to tylko myśl, którą od razu porzucam.

- No, to jedźmy - mówię.

Na początku czerwca wypłacam z rachunku wszystkie pieniądze. Pensję z marca, kwietnia i maja. Nazbierało mi się oszczędności z lat spędzonych na Sammonkatu, jeden tysiąc i drugi. Je też wyciągam. Jeżeli z tych lat nie pozostało mi nic innego, jeżeli wypełniły mnie pustką i tęsknotą, to mam przynajmniej ten rachunek, który mogę teraz ogołocić do zera. Płacę za wynajem mieszkania na Pengerkatu i resztę pieniędzy wymieniam na dolary. Kupuję franki za tysiąc marek.

W domu patrzę na plik pieniędzy. Tysiące w banknotach.

Pakuję spodnie i Tshirty w wyrazistych kolorach. Spódnice zostawiam w domu, także tę uszytą przez mamę, niezgrabną, z grubego materiału. Nie należy do świata, w którym słowik śpiewa w innym języku. Jej miejsce jest w szafie na ubrania, może tam pokryć się kurzem.

Po chwili namysłu zabieram ze sobą rysunek, ten, który mężczyzna zrobił mi w muzeum, zanim wszystko się zaczęło. Wkładam go do pamiętnika.

Pamiętnik wsuwam między ubrania. Przez cały rok przelewałam smutki atramentem na papier, zapisałam w rzędkach śmiech dziewczynki i to, w jaki sposób mężczyzna zgina palec stopy. Nie zostawię tego tutaj, zabiorę naszą historię na zakurzone rogi ulic, do kawiarni, wyleję na jej strony lemoniadę lub herbatę, albo armaniak, i nie będzie to żadną szkodą. Zabiorę naszą historię do dużego miasta, żeby tam zmieniła się w samą tylko plamę atramentu na stronach pamiętnika. Z tyłu napiszę inne zdania, które stopniowo będą stawać się prawdą. Aujourd'hui, elle va être heureuse.

Wsiadamy na statek we wtorek. Dzień jest gorący. Katariina przewiązała głowę chustką, wszystko w niej jest obietnicą nowego. Idziemy na pokład i zerkamy na miasto, które wygląda skromnie i życzliwie. Odkładam to miasto do przechowalni, jak kapelusz albo biżuterię. Wrócę do niego tylko wtedy, jeśli będę tego chciała.

Mówię aujourd'hui. Katariina się śmieje. Powtarzam ten wyraz na różne sposoby, i za każdym razem coraz bardziej brzmi jak moje słowo.

Za morzem czeka na nas Laylah. Macha już z daleka, biegnie w naszą stronę. Jest ciemniejsza niż jakikolwiek człowiek, którego widziałam. Kiedy się śmieje, świecą jej się zęby. Mieszka w zabałaganionym mieszkaniu na Söder, razem z nią Agneta i MajLis.

W odwiedziny przyjechał gdzieś z Afryki Mmkemba. Jeszcze ciemniejszy niż Laylah, aż nie mogę oderwać od niego wzroku.

Czekamy na Marca, ma przyjść do parku o szóstej. Przychodzi po piątej razem z gitarą. Zapomniałam już jego oczy - nie ma w nich za grosz powagi!

Ma rekwizyty marzyciela, poza gitarą - kolorową koszulkę i kamizelkę, która wygląda tak, jakby dopiero co była owieczką chodzącą po łąkach.

Uśmiecha się. Jego uśmiech też zapomniałam. Moje wątpliwości, jeśli je miałam, spływają i roztapiają się pod stopami.

- Eva - mówi.

Tak, myślę. Tak, dam temu nadejść, skoro ma przyjść.

Wieczorem Laylah robi z kukurydzy i małych ziarenek coś na kształt risotto, dodaje cynamonu, pieprzu i przypraw, które parzą mnie w język. Jemy na podłodze. Upijam się winem, poduszki unoszą się w powietrzu, oczy Mmkemby wyglądają jak dwie białe perły. Potem ktoś zaczyna śpiewać.

Nie znam słów, ale również śpiewam i już nie tęsknię.

Kiedy Laylah zmienia płytę na afrykańskie rytmy, Katariina zaczyna penetrować wargami kark Mmkemby. Wstają i znikają w drugim pokoju. Marc siada koło mnie i się uśmiecha.

Mówi mi o poszerzaniu świadomości. Słucham, choć nagle czuję, że jestem na skraju łąki, łąki mojego dzieciństwa, na której razem z Liisą zbierałyśmy siedem kwiatków pod poduszkę w noc świętojańską.

Okrągła kropla wody spływa po źdźbłę, słońce przebija się przez świerki. Tam jestem. Właściwie nie jestem nigdzie indziej, jak tylko na tym skraju łąki. Jest noc świętojańska, próbujemy odgadnąć z Liisą imiona chłopców, nim zasznujemy usta, bo zgodnie z wierzeniami przy zbieraniu kwiatów należy być cicho, jeżeli chce się zobaczyć we śnie przyszłego małżonka. Mamy łąkę. Kroplę wody. Niebo, przez które biegniemy. Trzymamy się za ręce.

Marc zachęca mnie, żebym rozpięła guziki spodni i ściągnęła koszulkę przez głowę. Tak, pamiętam, jak nam było razem. Jego płaskie sutki niby oczy fiołków! Pragnę znów poddać się tej chwili, ale on jechał przez północ Europy, nie myjąc się ani razu, i teraz chcę ściągnąć z niego najpierw kamizelkę z baraniej skóry.

- Chciałabym cię umyć.

- Co takiego? - pyta. - Ostatnio myłem się przecież w Berlinie.

Nie pytam, kiedy tam był, ale zabieram go do łazienki. Laylah, Agneta i MajLis siedzą ze skrzyżowanymi nogami na podłodze w dużym pokoju, palą i rozmawiają niskim głosem. Katariny i Mmkemby nigdzie nie widać. Przemykam z Markiem przez pokój.

Nalewam do wanny olejku sosnowego.

- Gotowe.

Marc wchodzi do kąpieli gorliwie, jakby żałował za grzechy.

Pokazuje mi dwie blizny, które zostały mu po ugryzieniach psa w majowych zamieszkach.

Szoruję mu plecy gąbką.

- Mogłabyś mieć dzieci. Świetnie byś się do nich nadawała.

Troszczysz się o mnie, jakbyś była moją matką.

- Nieprawda.

Po umyciu Marc staje się chłopcem. Wycieram go. Wygląda, jakby właśnie się narodził, kiedy pozwalam, by się do mnie zbliżył.

Patrzę znowu na jego sutki, fiołkowe oczy na jego piersi, kiedy wpływam i wypływam z niego.

Być może miłość zaczyna się od tego słodkiego uczucia.

Gdzieś w macicy, rozchodzi się stamtąd aż po koniuszki palców, na wargi, które uśmiechają się na jego słowa.

- Je tfaiime - mówi.

- Przecież nie widzieliśmy się od roku.

- Ale ty jesteś taka piękna.

Wsiadamy do pociągu po dwóch dniach. Jeszcze nie zaczęłam zanikać.

Zmieniają się krajobrazy, rozciągają szerokie przestrzenie, pola.

Czasami wygląda to jak w Ostrobotni, potem zaczyna przypominać Europę. Myślę o Anicie, z którą siedziałam w szkolnej ławce. Słyszałam od mamy, że wyjechała do Szwecji, mieszka w gęstym zagajniku bloków razem z mężem Szwedem, chodzi do pracy w fabryce i wychowuje dwóch synków. Anita miała najgrubszy warkocz w całej klasie i egzemę na łokciach, a zimą pachniała wilgotną wełną. To tutaj teraz mieszka. Jej chłopcy mają takie same włosy jak ona. Używa słów, których nigdy nie słyszałam, je sfermentowanego śledzia, ale jej stopy pamiętają jeszcze dotyk igieł na leśnej ścieżce.

W Goteborgu przesiadamy się na statek. W porcie dołączają do nas Thomas i Paul.

Proponują małą wycieczkę. Thomas patrzy na piersi Katariiny, a Katariina na Thomasa, jakby chciała go dźgnąć nożem.

- Finlandia? - pyta Thomas.

- W łonie Związku Radzieckiego - podpowiada Paul.

- A może pod pachą? - uściśla Thomas.

- Nic z tych rzeczy - mówi Katariina. - Układ partnerski - dodaje. - Tu chodzi o przyjaźń, a to jest różnica.

- Niech będzie - mówi jeden z nich, wzruszając ramionami. - A to wszystko, całe zamieszanie, które teraz panuje, czy to też już do was dotarło? Czy wasi studenci już się buntują?

- Oczywiście - odpowiada Katariina.

- A w sklepach? Czy do Finlandii też trzeba jechać z własnym długopisem? - pyta Paul.

- Mamy długopisów pod dostatkiem - mówi Katariina. - Nie brakuje nam telewizorów, płyt czy pomarańczy. Wszystko jest rewelacyjnie.

- Ale mimo to wyjechałyście - zauważa Thomas. - Mimo to szukacie czegoś.

Thomas puka się w czoło, jakby wszystko wiedział. Katariina prychnie. Pochyliła się w moją stronę, gdy zamawiają drinki.

- Co za idioci - mówi. - O niczym nic nie wiedzą.

Kopenhaga. Czekamy, aż coś się zacznie. Po mieście krążą plotki i ludzie. Nie wszyscy dbają o plotki, niektórzy idą na rynek kupić warzywa, wyprowadzają psy, pchają wózki i noszą krzesła, które kupili do stołu w kuchni. Jestem szczęśliwa, taka szczęśliwa! Wymieniamy dolary na korony duńskie, kupujemy wino, kanapki i piwo. Śpiewamy piosenki i tańczymy.

Pod wpływem chwilowego kaprysu wchodzimy do baru, w którym przyjazna gruba kobieta podaje nam do stołu mięso i pieczywo. Smaruję słodki żytni chleb masłem. Nic jeszcze nie smakowało mi nigdy tak bardzo. Marc miał rację wtedy, gdy spotkałam go pierwszy raz. Po co się bać, skoro można zaufać nieznanemu?

Płacę ja, bo Marc nie ma akurat pieniędzy. Patrzy, kiedy otwieram portfel i szukam koron dla kelnerki.

- Stałaś się taka niezależna, aż cię nie poznaję, jakbyś posiadała cały świat.

- Wcale go nie posiadam, dopiero zaczęłam mu się przyglądać.

Przez dwa dni włóczymy się po kawiarniach i parkach. Czekamy na przyjaciela Marca, który ma przybyć gdzieś z Europy.

Katariina się niecierpliwi. Chciałaby już jechać przez Niemcy, najchętniej być wreszcie w Amsterdamie, jeszcze lepiej na miejscu w Paryżu. A mnie tu jest dobrze, park, lato. Zdejmuję buty i chodzę po trawniku.

Spędzamy jeszcze jeden ciepły, senny dzień. Śpiewa słowik.

Przyjeżdża przyjaciel Marca i przez chwilę nikt z nas nie tęskni za podróżą. Tańczę na trawniku. „Wyglądasz jak księżniczka - mówi Katariina. - Ale jesteś jeszcze piękniejsza”.

Lato jest już w pełni, kiedy przyjeżdżamy do Amsterdamu. Przesiadujemy nad kanałami, przy kuchennych stolikach i w kawiarniach. Brat Laylah, Piet, mieszka w zabałaganionym mieszkaniu, bardzo przypominającym kołchoz Laylah w Söder. Różnokolorowe ściany i płyty gdzie popadnie, brudne naczynia i materace na podłogach. Nie zostawię swoich rzeczy w tym grajdole, nie wiadomo, kto może przejść przez próg i wejść. Postanawiam nosić ze sobą wszystko: ubrania, pamiętnik, w którym zapisałam dziesięć razy aujourd'hui i zaznaczam każdy dzień, rysunek mężczyzny między kartkami. Część pieniędzy również chowam do pamiętnika.

Tylko małą część, kilka setek dolarów, wkładam pod materac.

Jeżeli mają przepaść - niech przepadną.

Nocami udaję się w podróże do Marca. Otwiera mnie kawałek po kawałku i zaczynam wierzyć, że istnieje świat dla tych, którzy mówią oui.

Mówię to wiele razy w objęciach Marca, w mrocznym pokoju, z którego ściany patrzy na nas Catherine Deneuve. Widziałam ją w zeszłym roku w filmie, grała znudzoną gospodynię domową zatrudniającą się w burdelu. Czy nauczyła się rozkoszy z obcymi mężczyznami w cieniu aksamitnych zasłonek, tego nie wiem ani nie dbam o to, bo właśnie teraz znam tylko słowo „tak” i wibrujące uniesienie.

Katariina usłyszała, że ludzie zamierzają się zgromadzić na placu Spui. Trzeciego dnia znika gdzieś na cały dzień.

Nie chce nam się, Marcowi i mnie, interesować placem Spui przed wieczorem. Marc mówi, że prawdziwa rewolucja to cieszyć się z tego, co jest, niezależnie od panujących warunków. Dlatego tylko spacerujemy, gubimy się w dzielnicy czerwonych latarni.

Poznaję wzrokiem dziewczynę, która prezentuje w oknie swoje piersi. Jest z Jugosławii. Jej matka szarpała ją za włosy, gdy jako dziecko zapomniała powiedzieć Ave Maria. A czasami szarpała ją tak po prostu, dla samej zasady. Dziewczyna nienawidzi spojrzeń ludzi i zarazem je kocha. Pewnego dnia zaczniesz czuć, że istnieje tylko wtedy, gdy ktoś będzie na nią patrzył. Uśmiecha się do mnie, ma na imię Danka, ale nie wiem o tym. Wiem tylko, że jej lewa pierś jest nieco mniejsza niż prawa i że na jej udach pojawiły się małe

czerwone plamki. To dlatego, że goliła się brzytwą swojego chłopaka, ale tego akurat też nie wiem.

Marc opowiada mi, że gdy był dzieckiem, jego mama miała w zwyczaju kupować co sobotę kwiaty i chleb na rynku. Mieszkali w osiemnastej dzielnicy Paryża, każdej soboty rankiem mijali Moulin Rouge, idąc na rynek skrótem przez małą uliczkę. Mama trzymała Marca za rękę, gdy przechodzili koło prostytutek. Róże były czerwone. „Ta sama czerwień - na różach i na ustach dziewczyn” - mówi Marc. Przez długi czas myślał, że tak właśnie ma być, że między tymi dwiema czerwieniami jest jakiś związek, którym mu nie powiedziano.

„I był - mówi teraz. - To był kolor piękna i rozkoszy. A właściwie to był kolor miłości”.

Kluczemy razem z Markiem między kanałami, przez chwilę siedzimy w jednej kawiarni, potem zmieniamy ją na drugą. Jemy pieczeń, chleb wiejski i sałatkę. Kupujemy wino, nie pytając o cenę.

Marc uśmiecha się, całuje mnie i mówi je tfaime. Zaczęłam mu już wierzyć, odpowiadam. Gra na gitarze i układa o mnie piosenkę.

- Możesz ją skomponować, gdy ja pójde do toalety - mówię.

- Może tymczasem zacznę ją śpiewać, a nawet znajdę grupkę fanek - odpowiada.

Kiedy wracam, Marca nie ma. Nie ma gitary. Na stole walają się tylko brudne naczynia. Nie ma również mojej torebki. Nie tylko pieniędzy, ale całej torebki. Pamiętnik, mój rysunek - tego wszystkiego nie ma.

Pytam kelnera, czy widział, jak Marc wychodził. Czy wyszedł na zewnątrz, czy mówił, że wróci? Kelner kręci głową.

Na rogu stołu znajduję karteczkę.

Nie myśl o mnie źle, potrzebowałem gotówki. To było piękne tak długo, jak tylko trwało.

Miłość i pokój! M.

Wybiegam na ulicę. Nic. Biegnę za róg. Znajduję torebkę, została przetrząśnięta. Pieniądze - dolary, franki - były w pamiętniku. Marc widział, jak je stamtąd wyciągałam w Kopenhadze i w Kolonii, widział, jak je wymieniałam na korony i marki.

Pamiętnika nie ma w torebce. Wziął go. Nie tylko pieniądze, ale cały pamiętnik razem z rysunkiem, ze wszystkim, co zapisałam. Odebrał mi każde moje zdanie.

Muszę usiąść. Powietrze ucieka ze mnie, świat spływa do studzienki wraz z wodą deszczową.

Przez cały dzień chodzę w górę i w dół po mostach, proszę przechodniów o pieniądze

na kawę i bułkę. Przemierzam całe kilometry aż do kołchozu Pieta i myślę, jak to powiedzieć Katariinie. Potem w pokoju patrzę na twarz Catherine Deneuve, pytam ją o radę. Co mogłaby mi powiedzieć? W filmie, który widziałam, zatraciła się w rozkoszy! Liczę pieniądze, wystarczą na jakiś czas, nie muszę nic mówić Katariinie, dopóki nie wyjedziemy do Paryża.

Katariina wraca późno w nocy. Mówię jej, że Marc już nie przyjdzie. Nic więcej.

- Dlaczego, na Boga? Przecież wydawaliście się zakochani!

- To nie była miłość, to było coś innego.

Katariina na chwilę odwraca głowę. Widzę kąciki jej oczu, ale nie potrafię odczytać wyrazu twarzy.

Myślę o pamiętniku. O rysunku. Czemu zabrałam je ze sobą?

Mogłam zostawić je na Pengerkatu. Teraz nie ma tam nic poza starą spódnicą uszytą z grubego materiału, która wisi beczynn timer w szafie.

Wsiadamy do pociągu. Mam pieniądze na bilet, może jeszcze na bułkę, herbatę lub sok. Kalkuluję, że muszę o wszystkim powiedzieć Katariinie, zanim pociąg dojedzie do Paryża.

Po Brukseli się zaczyna.

Mdli mnie, złe samopoczucie nadchodzi falami. Ściany się zbliżają, okna pochylają w moją stronę. Po chwili leżę już na podłodze, potem skręcam się dwa razy w ciasnej toalecie nad sedesem. I znów leżę pod ścianą. Nie wiem, ile czasu upływa. Katariina podaje mi do picia wodę tak, jak ja w domu podawałam wodę cielakowi.

Moje usta zmieniają się w papier ścierny, wargi się wykrzywiają, jakbym wędrowała przez pustynię.

Przekraczamy granicę Francji. Głowa wydaje mi się ciężka, wszystkie członki mi ciążyą. Język puchnie. Słowa stają się lepkie. W gardle mam trociny. Marznę pod kocem, choć jest gorąco.

Zasypiam na chwilę i zaraz się budzę. Mamrocę przez sen.

Katariina kupuje dla mnie w wagonie restauracyjnym herbatę, ale herbata pali mi gardło. Próbuję otwierać oczy, ale są opuchnięte. Patrzę na swoje odbicie w lustrze za ladą i widzę czerwone plamki na całej twarzy. Co mi jest?

Katariina patrzy na mnie zmartwiona, rozważa różne możliwości. Jest trochę zła. Nie chce wysiadać z pociągu, ale nie chciałaby też zostawić mnie samej.

- A jeżeli ja zostanę - pytam i każde słowo sprawia mi ból w gardle. Trzeba mówić powoli, dokładnie dobierając słowa. - A ty pojedziesz dalej? Zostanę i spróbuję to gdzieś wyleczyć, pójdę do hotelu albo do schroniska, dokądkolwiek.

Katariina myśli przez chwilę.

- Nie - mówi i potrząsa głową. - Zostaniemy razem.

Potakuję.

- Dzięki.

Wysiadamy na stacji, której nazwę trudno wymówić. Wszyscy się na nas gapią. Mężczyźni grają przy wyniesionych na ulicę stołach w domino i odprowadzają nas krzykami.

Tu nie ma czasu. Jest chleb wiejski, w kuchni dusi się wieprzowina i piecze szarlotka, kogut kroczy dumnie po podwórku, ptak szczebiocze na drzewie, znudzony z braku innych wydarzeń.

To miejsce to nora. Karaluchy przebiegają między szparami w podłodze, na korytarzu awanturuje się pijany facet. Jego żona odeszła z cygańskim grajkiem. Jesteśmy na granicy dwóch światów.

Słyszeli tutaj coś o Paryżu, ale stąd do rewolucji jest ponad sto lat.

Nadchodzi noc, zmienia się w dzień. Przykładam głowę do poduszki pachnącej papierosami, cebulą i nadzieją, która przepadła w szparach w podłodze. Spadam, spływam z brzegu łóżka na dół i rozpryskuję się na kawałki. Katariina przynosi mi jogurt, którym wymiotuję, ziemniaki, których nie mogę ścierpieć, kapuśniak, rybę mającą białe mięso, wreszcie chleb, który moczy w soku i podaje mi po trochu, żebym mogła przełknąć.

Piję wodę małymi łykami.

Widzę mężczyznę stojącego w drzwiach. Próbuję się podnieść, ale nie mogę. Nagle mężczyzna to ojciec. Mówi, że zostawiłam młodszą siostrę w kołysce, żeby tam umarła. Tę, która odeszła na zawsze, gdy miała trzy miesiące, a ja miałam pięć lat. Tę, którą zawsze nosiłam ze sobą jak cichego sobowtóra lub bolesną ranę.

Widzę w rogu pokoju młodszą siostrzyczkę. Nagle to Ella.

Ella idzie przez pokój z Mollą i wyciąga do mnie ręce, ale nie mogę jej dosięgnąć. Wkrótce znów jest młodszą siostrą, która pozostała niemowlęciem. I znów umiera w kołysce, znika, jakby przez cały czas była zrobiona z cukru.

Niebo pochyla się za oknem, próbuję otworzyć oczy, ale sen nie chce się skończyć. Jestem daleko. Dziewczynka do mnie podchodzi.

- Gdzie Molla? - pytam.

- Zgubiłam ją - odpowiada.

- Znajdę ją dla ciebie.

Do dziewczynki mogę zwracać się cichym głosem, mówienie do niej mnie nie boli.

- Do kogo mówisz? - pyta Katariina.

- Nie wiem.

Czwartego ranka, od kiedy zachorowałam, moje gardło jest całkowicie spuchnięte. Próbuję coś powiedzieć, ale nie mogę.

Katariina patrzy na mnie ze zmarszczonym czołem.

- Teraz trzeba już wezwać lekarza.

Płaci lekarzowi tyle franków, ile kosztuje bilet na pociąg do Paryża. Siedzę zziębnięta na środku podłogi, moje płuca z trudem chwytają powietrze. Lekarz przystawia mi stetoskop do pleców jak pieczętkę. „Wdech” - mówi i wciągam ze świstem powietrze. „A teraz wydech”. Znowu świszczę. „Powiedz aaa” - mówi, i próbuję. Jednak nie daję rady wydać z siebie żadnego głosu.

Nie potrafię wyprostować kolan, zmniejszyłam się o dziesięć centymetrów.

- Co to jest? - pyta Katariina.

Lekarz wzrusza ramionami.

- To może być błonica. A nawet choroba HeinegoMedina.

Czasami objawia się gorączką. Nigdy nic nie wiadomo.

- Jak to nie wiadomo! - naciska Katariina. - Jak to?! Przecież jest pan fachowcem!

Lekarz się denerwuje, nie chce, żeby jakaś młoda panienka go pouczała. Wychodzi, nie mówiąc ani słowa, ale wraca po półgodzinie. Przygotował dla mnie roztwór. Mam brać jedną dawkę co trzy godziny.

Piątego dnia rano budzę się. Katariina przynosi mi herbatę i małe ciasteczka. Wyprosiła je od surowej gospodyni zajazdu, która nie chce mieć do czynienia z żadnymi brudnymi sprawkami, choć wygląda na to, że za swoimi ścianami toleruje różnego rodzaju obrzydliwości. Jem jedno ciasteczko, siorbię picie.

- Czujesz się już lepiej?

Próbuję powiedzieć, że tak. Nie udaje mi się, ale potakuję.

Katariina siedzi na brzegu mojego łóżka.

Rozkładam ręce, próbuję sprawić, by Katarina przyniosła mi długopis. W końcu zaczyna rozumieć. Szuka kawałka papieru, znajduje chusteczkę.

Piszę na niej bez wahania: „Możesz już jechać, jeśli chcesz, czuję się lepiej”.

- Nie. Nie zamierzam jechać - Katariina odpowiada pewnym głosem.

Piszę: „Powinnaś”.

- A dasz sobie radę? - pyta.

Widzę, że zarazem chciałaby jechać i zostać. Ciągnie ją w dwie strony. Piszę jeszcze raz: „Jedź”. W końcu potakuje.

- Dzięki - odpowiada.

Ulżyło jej, choć o tym nie mówi. Chciałaby już być w centrum wydarzeń, jest niespokojna, że świat zdaje się być gdzieś indziej.

Zaczynam czuć się lepiej. Mogę już zjeść cały chleb i idę na mały spacer po dworze. Jak jasno. Niebo szumi. Myślę o pamiętniku i rysunku. Gdzie są?

Poniewierają się na śmietniku w jakimś mieście, którego nazwy nikt nie zna. Marc pewnie targał ze sobą pamiętnik przez jakiś czas, póki się nie znudził zdaniami brzmiącymi dla niego jak bełkot i go nie wyrzucił. To tam są moje słowa, na śmietniku. Ktoś przyjdzie i otworzy pamiętnik, spróbuje przeczytać. Obcy język, pomyśli. Język, którego nikt nie zna. Potem on, nieznajomy, spojrzy na rysunek: jaka szczęśliwa, ta kobieta na obrazku!

Katariina już spakowała swoje rzeczy. Jej uśmiech powoduje, że powietrze aż dzwoni. Zamawiamy cytrynową lemoniadę na podwórku małej restauracji, jedynej we wsi. Katariina mówi o wszystkim, co zamierza zrobić, nawet o tym, z czego nie może zdać sobie jeszcze sprawy. Odpowiadam potakiwaniem głowy.

Piszę na serwetce kilka razy „tak” i jeden raz „nie”, gdy pyta, czy jeszcze źle się czuję.

Potem wyjeżdża. Obejmujemy się i Katariina całuje mnie w obydwie policzki tak, jak to tutaj jest w zwyczaju.

Ściskam ją.

- Skurczyłaś się o połowę - mówi i zmarszczka pojawia się na jej czole. - Powinnaś pojechać do Kuhmo, zaraz jak wrócisz do Finlandii. Pojedziesz, będziesz jadła naleśniki z mleka od cielnej krowy. Śledzie w śmietanie i ziemniaki. Mama robi dla ciebie pieczeń karelską i tartę z truskawkami, pamiętaj nałożyć na nią bitą śmietanę. Kakao i bułeczki z cynamonem. W ten sposób się wzmocnisz. Kiedy przyjadę jesienią, znów będziesz sobą, pójdziemy do Kosmosu i zamówimy sobie bliny albo forszmak, przesiedzimy tam cały wieczór i wszystko będzie jak dawniej.

Powiedziałabym „tak”, gdybym tylko mogła.

Ale mój głos nie wrócił jeszcze i już nigdy nie zdoła wrócić.

Uśmiecham się.

To jest chwila, w której tworzy się rzeczywistość, chwila, w której burzy się stary i buduje nowy świat. Katariina jedzie, ja zawracam.

Katariina wsiada do pociągu, w końcu dociera do Paryża, ale rewolucja jest już gdzieś indziej, w innym mieście, tak jak to zawsze jest z rewolucjami. Nudzi jej się, przez kilka dni wędruje po Montmartre i chodzi po Sorbonie, gotowa się buntować, jeśliby tylko miał nadejść jakiś bunt. Ale nie nadchodzi. Przyjeżdżają turyści, tacy sami jak ona. I gospodynie domowe,

profesorowie, gołębie, pijaki, wszyscy ci, którzy zawłaszczają ulice miast, gdy nikt nie robi na nich hałasu. Katariina je croissanty na śniadanie, dołącza na jeden dzień do towarzystwa chłopaka o imieniu Fabien, który kradnie jej pieniądze, gdy ona jest w toalecie.

Katariina jest z tego powodu lekko wściekła, ale potem myśli, że takie rzeczy się zdarzają. Bez pieniędzy włóczy się po parku za Notre Dame, zjada suchą bagietkę, zapisuje w notatniku kilka zdań odruchowo. Od Laylah nie ma żadnej wiadomości, chociaż miały się spotkać. Katariina wysyła do niej dwa telegramy.

W końcu, trzymając nad głową gazetę dla ochrony przed deszczem, spotyka na stacji metra Liesa i jedzie razem z nim do Berlina Zachodniego.

Lies pozwala jej spać na swojej sofie i Katariina zostaje u niego na całe lato. Mają drzwi zawsze otwarte dla gości i goście przyjeżdżają. Przyjeżdżają Hans i Anne, i jeszcze kilkoro innych. Pod murem Katariina słyszy o nowych ideach, śpiewa nowe piosenki, uczy się zdań warunkowych, których wcześniej nie знаła. Przyjmuje je bez wahania, bo właśnie czegoś takiego szukała. Może pewności, takich zdań, które wykluczają alternatywy? Zapał, odczuwany podczas wypowiedzania tych zdań, podobny jest do uniesienia, które czuła w czasach licealnych, grając w piwnicy w teatrzyku. Kiedy światła gasły i zaczynał się spektakl, ogarniała ją dziwna radość. Czuła, że teraz mogło wydarzyć się wszystko, izarazem, że jest bezpieczna, całkowicie bezpieczna.

I oto w Berlinie, pod murem, wymawiając te zdania i unosząc w górę pięści, Katariina czuje ten sam spokój i radość.

Wysyła mi sześć kartek, z których zdążę otrzymać tylko dwie.

Nie mam już siły odpowiadać. Pozostałe cztery pocztówki leżą na podłodze w kawalerce na Pengerkatu w ciemnościach. Przemykają po nich rybiki, kurz gromadzi się na ich rogach, które zobaczyły sporo świata, póki mama, tata i Liisa nie zbiorą sił, żeby przyjechać i opróżnić mieszkanie.

Właśnie wtedy, po odnalezieniu kartek - na ostatniej widnieje pytanie: „Czemu nie odpowiadasz?!!!” - Liisa w końcu wysyła telegram do Katariiny.

Katariina siedzi na ławce w parku po otrzymaniu wiadomości.

Czuje się jakoś dziwnie lekko. Są też inne wieści: krzyczą o okupacji i czołgach jadących z Berlina na południe, ale Katariina nie jest w stanie teraz o tym myśleć - w jej głowie kołocze się tylko jedna myśl. Smutek jeszcze nie nadszedł. Katariina może wstać, jakby to był jeden z wielu innych dni. Może przejść przez ulicę, usiąść w kawiarni, wypalić papierosa, jeżeli będzie mieć na to ochotę.

Zapala papierosa. Właściwie, myśli, wiedziała o tym już na stacji, gdy mówiła o

bułeczkach z cynamonem i naleśnikach. Może właśnie dlatego było to takie bez troskie. Chciała odsunąć swoje przeczucia.

Zakończenia nie są puste i ciche, ale zwyczajne i głośne - chłopiec przebiega przez ulicę, a do kawiarni przywożą butelki piwa na wieczór.

Katariina wie, że wieczorem na podłodze w pokoju dziennym Liesa zwinie się na kształt pięści. Zaczyna przeczuwać smutek dokładnie w tym momencie, gdy zdaje sobie sprawę, że etykiety na butelkach piwa są mocno zielone. Niesamowicie zielone, jakby specjalnie dla nich skoszono hektary trawników zaraz po deszczu.

Ale w tym momencie, gdy tworzy się rzeczywistość, burzy się stary i buduje nowy świat, gdy ja zawracam, a ona wyjeżdża, Katariina nic jeszcze nie wie, ani ja. Jest jeszcze mała wioska, której nazwy nie można wymówić. I stacja w tej bezimiennej wiosce.

Katariina wsiada do pociągu, a ja macham. Potem odwracam się i idę z powrotem do mojego małego pokoju. Wieczorem odjeżdża mój pociąg, jadę do Hamburga, stamtąd do portu i płynę statkiem do domu. Płacę ostatnimi pieniędzmi za bilet, piszę cel podróży na kawałek papieru. Do domu, dodaję, gdy już napisałam nazwę miasta.

Na statku znów się zaczyna. Unoszę się. Morze wychodzi mi naprzeciw. Nie wiem, czy jeszcze istnieję.

Znikam, rozmywam się. Kiedy docieram do Helsinek, jestem już tylko przeszłością, historią, którą ktoś kiedyś opowie.

Smród śledzi na klatce, odgłosy dochodzące z mieszkań, to wszystko obraca mnie w nicość. Otwieram drzwi, korespondencji jest aż po kostki. Stawiam walizki na podłodze. Zaciągam zasłony.

Zdejmuję ubranie. Jestem tak stara, że mogłabym teraz odsunąć deski w podłodze i położyć się pod nimi. Ulec zapomnieniu.

Zwieszam głowę.

Siódmego dnia jadę tramwajem do szpitala. Muszę oprzeć głowę o okno. Drzewa chylą się ku mnie, miasto jest jak kulisy. Czy to już sierpień?

Tramwaj jedzie znaną trasą. Wydaje mi się, że widzę dziewczynkę. A może to nie ona, tylko ktoś do niej podobny. Myślę, jak też dziewczynka może teraz wyglądać: urosła, zaczęła nabierać cech matki. Ma dołeczki w policzkach, gdy się uśmiecha, i brwi jak małe zuczki. Przez chwilę myślę, że pójdę i ją zabiorę. Wezmę ją do domu, dam jej bułeczkę z cynamonem i mleko. A potem stąd wyjedziemy, popłyniemy statkiem lub polecimy samolotem.

Będzie płakać przez dwa tygodnie, pytać o mamę i tatę, trzeciego tygodnia przestanie.

Badają mnie, kłują, naciskają. Zamykają w izolatce, gdy lekarze słyszą, że wracam z podróży. Myślą, że zaraziłam się nieznanym wirusem. Wkładają mi do ust drewnianą szpatułkę, oświetlają wnętrze gardła małą lampką.

- Nic, co by odbiegało od normy - mówi lekarz. - Po prostu zapalenie. Możliwe, że zdążyło dojść do przełyku.

Wołają jeszcze drugiego lekarza do konsultacji. Ten lekarz też ma brodę, jak ten pierwszy, nazywa się Nylander.

- Jest w więzadłach głosowych - mówi. Jego broda wygląda sympatyczniej niż tego pierwszego. - Już nie w krtani, ale w więzadłach.

Pierwszy lekarz potakuje.

Robią więcej badań. Nakłuwają mi rękę, jakby wyszywali na niej krzyżyki. Ważą mnie i stwierdzają, że jestem mniejsza niż tydzień temu. Mierzą mnie i zapisują dane. Mam niskie ciśnienie, serce mi bije jak u kobiety cienia. Kobiety ze świata snów.

Lekarz nie zna kobiet z takiego świata.

- Tu słychać jakiś szmer - mówi. - To może być przyczyną objawów.

Zabierają mnie do białego pokoju. Mama i tata dostali już wiadomość. Przyjeżdżają, Liisa też. Mam wrażenie, jakby chodziło o przesłuchanie, w głowie miesza mi się od leków i z tęsknoty.

Odpowiadam na zarzuty, mrugając dwa razy oczami na potwierdzenie. Zawsze dobrze jest powiedzieć „tak”. Na wszelki wypadek lepiej przytakiwać wszystkiemu.

„Tak - mówię oczami. - Tak. Tak”.

Dobrze jest zmienić się w potakiwanie, gdy wszystkie inne sposoby już zawiodły.

Mama mówi:

- Musi być jakiś sposób. Przecież była wcześniej dziarską dziewczyną. Silną, całe ranki i wieczory pracowała w oborze.

- To bez znaczenia - stwierdza lekarz. - Dużo zależy od tego, jak żyła w ostatnich latach.

Mama patrzy na mnie. Nie wie nic o tym, jak żyłam. Jednak nie rezygnuje.

- Weźmiemy ją do domu, jak tylko trochę lepiej się poczuje.

Świeże powietrze ją uzdrowi. Woda w jeziorze, para od pieca w saunie przy brzegu, mleko od krowy, która się ociełiła.

- Dobrze - mówi lekarz. - Jak chcecie.

Dni czasem się wloką, a czasem pędzą jak szalone za oknem.

Lipa rzuca cień na ścianę, widzę po świetle, że lato jest w pełni.

Daję radę przejść do pokoju dziennego. Spostrzegam w kącie czarnobiały obraz czołgów. W oknie trzykrotka, na zasłonkach motywy kwiatowe, a w telewizji właśnie trwa okupacja. Na ziemi leży człowiek, inni po nim przebiegają. Wygląda, jakby zatrzymał się tylko na chwilę, żeby popatrzeć na niebo, zasnął, a potem zmienił się w tłumoczek wskutek niezbadanego zrzędzenia losu.

Jakby z powodu chwilowej zachcianki miał się stać czymś innym niż stertą skóry, mięśni, trombocytów, zamierzeń i lęków. Jakby chciał być spokojny i cichy wśród wszystkich tych zamieszek.

Wtedy po raz pierwszy przychodzi mi to na myśl.

- To obłąd - mówi stary mężczyzna. Zamiast zębów ma czarne dziury. Uśmiecha się, jakby mówił o gołębiach. - Cały ten świat oszalał - dodaje.

Potakuję. Powiedziałabym „zgadza się”, gdyby starczyło mi głosu. Powiedziałabym: „A może to my jesteśmy szaleni, my, którzy go nie rozumiemy”.

Zgryzota przychodzi nocą. Nie mogę zasnąć, chociaż za sprawą białych krążków powinnam zapaść w twardy sen. Atrament wylewa się z kątów pokoju w moją stronę. Wyobrażam sobie łąkę, siebie na jej skraju i Liisę. Wyobrażam sobie kroplę wody na źdźble trawy, niebo, wyciągającą się ku mnie rękę Liisy. Liisa nie wypuszcza mojej dłoni. Zmienia się w dziewczynkę. Ella wyciąga ku mnie rączkę i nie zamierzam jej wypuścić ze swojej ręki, nie zamierzam.

Moje ramiona pochylają się z dnia na dzień. Włosy wypadają, jakbym strząsała z głowy suche liście. Zgryzota gęstnieje, w miarę jak staję się coraz chudsza. Lekarze nie wiedzą, co mi jest.

Szepczą między sobą na końcu korytarza, wymieniają swoje wątpliwości co do diagnozy. Po tygodniu postanawiają wysłać mnie do domu.

Siedzę w chłodnym pokoju i słyszę ostateczny wyrok.

- Nie znamy tej choroby. Nie wiemy, co ci dolega. Najlepiej będzie, jak pojedziesz do domu, bo tutaj ci się już bardziej nie poprawi. Przebywaj dużo na dworze, jedz, dodawaj do każdego posiłku śmietanę. Pij mleko. Kontynuuj pracę i postaraj się znowu wyjść do świata.

Przed oczami miga mi epikryza. Jest w niej słowo, które usłyszałam kiedyś od skorej do plotek gospodyni z sąsiedztwa, gdy obgadywała chodzącą nago przez wieś służącą od Rahikainenów.

Jej córeczka zmarła przy porodzie i służąca nosiła przy sobie zawinięte w pieluszki ziemniaki. Nazywano ją słowem, które brzmiało jak rzadka roślina i skłaniało do milczenia.

Cicho sza.

I jestem cicho, zupełnie bez głosu, nie wypowiadam ani jednego słowa.

24.

Martti siedział długo przy Elsie. Smutek jeszcze nie wgniótł go w szpary w podłodze.

Elsa wciąż miała na palcu obrączkę. Przez chwilę myślał, żeby ją zostawić, ale potem przyszło mu do głowy, że chciałby jednak ją mieć przy sobie wieczorem, gdy pójdzie spać.

Wyciągnął rękę, powoli zsunął obrączkę. Na serdecznym palcu Elsy pozostała cienka obwódka.

Na korytarzu zobaczył Eleonooreę. Wyglądała tak, jakby płakała. Wiedziała już. Nie odważył się zrobić ani jednego ruchu, by się do niej zbliżyć.

Zrozumiał, że wiedziała już także o tym, o czym nigdy nie rozmawiali. Nienawiść, złość, rozczarowanie? Próbował wychwycić w jej spojrzeniu ślady uczuć.

Co sam odczuwał? Żal? Nie. Pamiętał, co powiedziała mu kobieta o wyglądzie mądrego kłowna w stołówce szpitala: nigdy nie należy żałować swojego życia. Niczego.

Nie zrobił kroku w stronę Eleonoory ani nie wyciągnął do niej ręki, ścisnął tylko obrączkę w prawej dłoni.

Ale Eleonoora podeszła. Nie objęła go.

- Nie zdążyłam.

Powiedziała to jak dziecko, bąkając.

- Ona po prostu umarła, załamała się i umarła.

- Pójdę ją zobaczyć - dodała Eleonoora.

Uzgodnili, że Eleonoora przyjdzie rano ubrać Elsę do trumny.

Spytał, czy chce, żeby też był przy tym. Eleonoora pokręciła głową. Zgodził się.

Eleonoora się trzęsła. Między nimi było wszystko - rozczarowanie, nienawiść, miłość, pretensje. Każde wspomnienie wybrzuszyło się tak, że choć stali naprzeciw siebie, dzieliły ich całe dziesięciolecia.

- Zadzwoń do zakładu pogrzebowego - powiedziała Eleonoora.

- Dobrze - odparł.

Odwrócił się jeszcze, by zobaczyć ją w drzwiach. Wyglądała na małą i przestraszoną. Przypomniawszy sobie, że gdy Eleonoora w dzieciństwie czegoś się bała albo była z jakiegoś powodu smutna, w jej sylwetce dawało się dostrzec coś podobnego. Ella w wieku sześciu lat, plecy trochę zgarbione, głowa przechylona na bok, oczy spuszczone w dół. Jakby nagle zrozumiała istotę smutku, pojęła, że trzeba go dźwigać samemu. Że nie ma nikogo, kto by

przyszedł i powiedział, jak długo jeszcze i kiedy to się skończy.

Czy powinien błagać ją o wybaczenie?

Chciał poprosić ją o przebaczenie za ból, którego jej przysporzył, ale czy to czasami nie oznaczałoby, że żałuje wszystkiego, co się wydarzyło?

Przypomniał sobie nagle kłótnię, do której doszło kiedyś między Eleonoorą i Elszą. Nie pamiętał już przyczyny. Eleonoora miała piętnaście lat, była nieposłuszna, krnąbrna, nieznośna.

Być może Elsa źle się wobec niej zachowała, uderzyła ją, by przywołać do porządku, i zaraz potem przeprosiła za nagły wybuch złości. Eleonoora okazała się bezwzględna: „Nie można prosić o wybaczenie, jeśli tym samym nie uznaje się, że popełniło się błąd. Jeśli chcesz mnie prosić o wybaczenie, przyznaj, że to ja mam rację i mogę sobie żyć, jak tylko mi się podoba”.

Elsa spojrzała spokojnie na Eleonoorę i powiedziała to, co uznawała za prawdziwe: „Nie. Prośba o wybaczenie to prośba, by zobaczyć drugiego człowieka takim, jaki jest, niezależnie od tego, co zrobił. Odpowiedź na nią to najgłębsza miłość, do jakiej zdolny może być człowiek”.

- Przepraszam - powiedział.

Eleonoora odwróciła się, by na niego spojrzeć. Prośba dźwięczała w pustym korytarzu.

- Przepraszam cię za wszystko - powtórzył.

Eleonoora spojrzała na niego, przeszła go wzrokiem na wylot, otworzyła drzwi, by wejść do środka, po czym zniknęła.

Spacerował pod lipami, słyszał mewy, samochody, odgłosy zmieniających się szybko świateł ulicznych. Drzwi otworzyły się tak samo jak zawsze. Wieczór na początku lata. To ten czas w roku, gdy magia jeszcze nie rozprysnęła się na kawałki, gdy światło było przejrzyste i wydawało się, jakby czas się unosił.

Nadal trzymał w ręce obrączkę Elsy.

Trudno mu było patrzeć na przedmioty, poszedł prosto do sypialni, nie rozglądając się na boki. Nie chciał widzieć komody w salonie, zlewu ani talerza, z którego wczoraj jadła Elsa.

Powietrze w sypialni było nieco stęchłe. Próbował nie patrzeć na szklankę z wodą stojącą na stole. Elsa piła z niej rano.

Otworzył okno, usiadł na łóżku. Spojrzał na swoją obrączkę.

Czy powinien ją zdjąć? Nie chciał. Nie zamierzał jej zdejmować.

Teraz pozwolił sobie pomyśleć o Elsie po raz pierwszy od dłuższego czasu tak naprawdę. Elsa tego wieczoru, gdy się spotkali.

Stresował się tak bardzo, że aż mu było niedobrze.

Chciał jeszcze trochę z nią pobycć. Nie był jeszcze pewien niczego. Obracał w palcach czapkę, szedł obok Elsy, pokazał jej na drzewie ptaka, którego nazwy nauczył się jako mały chłopiec od ojca, powiedział jej: „Tego nauczyłem się od taty, zanim umarł”.

Szedł pół metra od niej, nie odważył się podejść bliżej. Nie wolno mu było popełnić żadnego błędu. Należało zrobić wszystko dobrze, nie mógł sobie pozwolić na to, by stracić tę dziewczynę, bo miłość już się zaczęła i nagle to do niego dotarło. Czuł, że jest zarazem nadzwyczajnie spokojny i przerażony, bardziej niezgrabny niż kiedykolwiek przedtem. Całe jego ciało drżało, jakby dopiero co się narodził.

Spojrzał na szklankę na stole. Otwarte okno lekko się poruszyło, w parku śpiewał ptak. Martti nie odważył się nawet drgnąć.

Wciąż widział twarz Elsy. Gdyby zrobił chociaż jeden nieuważny ruch, Elsa by zniknęła.

Szklanka z wodą, ściana, okno, paczki z lekarstwami na stole, pompa przeciwbólowa, ptak na drzewie.

Chciał być dżentelmenem, odprowadził Elsę do domu. Jasna chwila końca wiosny, miasto naokoło nich zastygło w ciszy, ale mimo to wcale nie spało, raczej śniło na jawie, jakby było w jakiejś dziwnej, ostrej narkozie.

Chcę ożenić się z tą dziewczyną, pomyślał. Ku jego zaskoczeniu Elsa pod swoim domem zaprosiła go do środka.

Zaprosiła go do pokoju i pokazała zbiór wierszy, o którym rozmawiali. I nagle, bez skrępowania, rozebrała się przed oknem, w narkotycznym świetle wiosny, zsunęła sukienkę na podłogę i spojrzała na niego. Mechaty wzgórek na dole jej brzucha, piersi, których ciemne sutki przebijały przez biel bawełnianego stanika, piersi cięższe od tych, których dotykał, wśliznąwszy ręce pod sztuczne sukienki na zakończenie niektórych wieczorów, kiedy wszyscy popalali papierosy. Podeszedł bliżej, Elsa wzięła jego dłonie, położyła je sobie najpierw na piersiach, następnie wsunęła je między nogi. Szorstko, wilgotno, ciasno. Pozwolił, by jego palec wskazujący tam pobyl, bał się odsunąć rękę, bał się też nią poruszyć. Dopiero potem się pocałowali.

- Dotknąłeś mnie tutaj i musisz się teraz ze mną ożenić - powiedziała Elsa z uśmiechem.

- Ożenię się - odparł, ogłupiały, w pełnej gotowości, niemal odchodząc od zmysłów,

zanim zrozumiał, że Elsa tylko żartowała.

- No, może nie tak od razu, może najpierw trochę się poznamy - uśmiechnęła się.

Wyszedł od niej nad ranem, spacerował po brzegu, patrzył na morze, myślał, że to właśnie jest szczęście, że szczęście to nie może być nic więcej, jak to wszechogarniające uczucie, gdy trudno utrzymać się we własnych granicach.

W żaden sposób nie mógł być pewien tego, co miało nadejść, co miało go spotkać, czy miał dostać tę dziewczynę i wszystko inne, czego pragnął, ale wiedział, że coś miało nadejść, i właśnie ta niepewność, ten pozostający w głębokim ukryciu sens, spowodował wszechogarniającą niecierpliwość i niezachwianą wiarę w to, że wszystkie jego zamierzenia miały się udać, jakiegokolwiek by były.

To nie jedyna forma szczęścia, a tylko jedna z nich. Później przyszły inne.

Pomyślał o szopie w Tammilehto, o pracach, które tam były.

Oobrazie, który wisiał niedbale, ukończony tylko w połowie, niezgrabny, na zawsze już niepełny i nieudany, na zapleczu u Rautalampiego.

Obraz Elsy, który malował w ostatnich tygodniach: czy ma zostawić go nieukończony, czy namalować go do końca? Te wszystkie prace. Teraz były cicho. Rzeczywistość, którą przekazywały, była w tym momencie bez znaczenia.

Miał tutaj wszystko. Eleonoora jako dziecko, w wieku sześciu lat albo młodsza. Eeva śmiejąca się, z mokrymi włosami, po saunie w Tammilehto któregoś z tych lat. I wcześniejsze wspomnienia, zabawki, twarz mamy, ciepła dłoń taty, którą łapał. Kawałek świeżej bułki z cynamonem otrzymany od sprzedawcy na rynku, gdy był dzieckiem. Jego chłopięca rączka właśnie teraz wyciąga się po tę ciepłą bułkę, a tata mówi: „Ostrożnie, żebyś nie upuścił”.

Elsa cała i w pełni.

Znów spojrzął na szklanę. Został na niej delikatny ślad warg, była wypełniona wodą do połowy. Gdyby się teraz poruszył, wszystko przechyliłoby się na szalę przeszłości, wpadłoby do imperfectum.

Siedzi na swoim miejscu jeszcze przez chwilę i wszystko zbiera. Twarz Elsy, Eleonoora, Eeva, ten dzień. Jeszcze nie wstaje.

1968

Kuhmo, sierpień. Wszystko jest takie stare, dojrzałe i ciężkie jak niegdyś. Nie jestem w stanie pomóc mamie i tacie przy dojeniu, ale mama przywiązuje Assi na podwórku i prosi, żebym ją poczesala. Drzwi do obory są otwarte, mama woła na cielaka, wylewa wiadro wody na korytarz i zaczyna myć podłogę. Znajomy odgłos szorowania na mokro. Przez cały czas był tutaj. Tyle że o nim zapomniałam. A może nigdy nie byłam w innym miejscu, może tylko

tak mi się wydawało. To, co się stało w wysokich pokojach domu, na którego podwórzu rosły kasztanowce, to życie kogoś innego. Sen.

Assi mówi „dziękuję” tak, jak to robią krowy: machając ogonem w jedną i drugą stronę.

Mama wychodzi na podwórze. Nie mówi, że moje pociągnięcia szczotką są zbyt słabe, choć tak myśli. Mówi o tym i tamtym, chociaż wie, że nie mogę nic odpowiedzieć.

Wzdycha, masuje się po plecach. Widzę, że jest już stara. Ale upłynie jeszcze kilkadziesiąt lat, zanim umrze. Umrze wśród białych prześcieradeł, a jej skóra będzie już bardzo cienka, tyle że ja o tym nic nie wiem.

Opiera się o szczotkę. Jej spojrzenie omiata wypukłe grzbiety krów z niejaką uległością, ale mimo to serdecznie. Jakby bydło było zbieraną z zapalem, ale tanią kolekcją znaczków pocztowych, z której marność nie zdawała sobie dotąd sprawy. Wzdycha, klepie Assi po zadzie.

- Takie one są. No, to chodźmy teraz, zrobimy sobie kawy.

Twój tata na pewno już wrócił z roboty.

Idę przez podwórko za mamą. Mokra trawa ugina się pod stopami, Riepu miota się na łańcuchu i ujada. Tak było zawsze, ale wówczas, gdy mnie nie było i wmówiłam sobie, że istnieje jeszcze coś innego, to wszystko stało się muzeum, po którym wędrują mama i tata, niczym zmęczeni i pokorni wartownicy. To był zupełnie inny świat, ten, w którym kropla wody skupiała się na źdźble trawy, a my wbiegałyśmy na dźwięk dzwonka do klasy. Nasze warkocze rytmicznie uderzały po plecach i zachęcały, żeby bliżej poznać się z tym światem, o którym można było posłuchać w radiu i który znajdował się gdzieś daleko stąd.

Tata siedzi przed telewizorem, zupełnie blisko ekranu.

- Teraz przemawia Ahti Karjalainen.

- Aha, i co tam nowego? - pyta mama, ale tata nie słyszy.

Tata wygląda na zmartwionego. Telewizor jest nadal włączony, gdy robimy kawę pod wieczór i kroimy grube kawałki cynamonowego ciasta. Mama smaruje swój masłem i moczy w kawie.

Świat to pobłyskujący w kącie kwadracik.

Ktoś obwiązał sobie głowę wstążką i wygłasza hasła jak oczekiwaną z niecierpliwością kwestię na przedstawieniu w szkole.

Ale my tego nie słyszymy, zdanie nie dociera tu, do zasłonek w kwiaty, pelargonii i ceraty, bo Riepu szczeka na podwórzu, aż tata otwiera okno i krzyczy:

- Zamknijże się wreszcie!

Mama mówi do mnie:

- Poszłabyś jeszcze wygrzać się do sauny, dodałabyś dziegiu igałek brzoźowych do wody, bagna do balii. Tak wypędzimy tę twoją chorobę, niechby tylko ten głos ci wrócił.

Potakuję głową.

- Pójdiesz sama?

Znów potakuję.

- Nie idź jeszcze pływać, żeby ci się nie pogorszyło - mówi mama.

Potrząsam głową: nie.

Wieczór. Niebo jest różowe, jakby pochylone. Chlustom najpierw chochlą wodę na piec. Para otula moje nogi i jestem szczęśliwa, jak wtedy, gdy byłam dzieckiem.

Schodzę po stopniach, otwieram drzwi. Idę wąską ścieżką na brzeg.

Myślę o tłumoczku, który widziałam w telewizji w samym centrum zamieszek. Jaki był spokojny. Myślę o Assi i jej cielaczku.

Myślę o mężczyźnie, który właśnie w tej chwili podnosi wzrok znad gazety i mówi do Elsy: „Tak, to zmienia wszystko. Myślę, że zdławią ten przewrót, miażdżąc go czołgami, ale wszystko już się zaczęło”. Elsa całuje mężczyznę. „Wierzę, skoro ty tak mówisz” - odpowiada i w jej głosie nie ma żadnej ironii, tylko sama czułość.

Myślę o dziewczynce, która już o mnie zapomniała, tak jak to dzieci zapominają o swoich starych skaleczeniach. Myślę o Katariinie. Właśnie w tym momencie śmieje się w Berlinie razem z Liesem. Smażą jajka na obiad, bo nie mają nic innego pod ręką, i zastanawiają się, co będą robić wieczorem. Ale ja tego nie wiem.

Myślę o mamie, tacie i o Liisie. I znów o dziewczynce, mężczyźnie i Elsie.

Wchodzę do wody.

Jest piękny dzień, mój ukochany, w snach, w słowach iw śmierci.

Wkrótce woda sięga mi do kolan, potem do ud. Pod jej powierzchnią jest cicho, to świat ryb, w którym głosu nie ma.

Są tylko te słowa, które pobrzmiwają w uszach dziewczynki jeszcze przez wiele lat. W podwodnych komnatach i w pokojach daleko stąd, kiedy nie jestem już sobą, ale staję się jedną z ryb.

25.

Mama wyglądała na małą.

To, co w niej było, technienie albo dusza, musiało zajmować dużo miejsca, bo teraz mama wyglądała niczym lalka. Eleonoora jeszcze raz chciałyby ją wziąć w objęcia. Podeszła blisko, pogłaskała jej rękę.

Patrzyła na wszystkie znane miejsca - znamię na szyi, bliznę na przedramieniu, która zrobiła się mamie dawno temu, gdy mama ściągała z górnej półki w szafce wazon, który spadł i się rozbił. Eleonoora przypomniała sobie, jak poszła do kuchni, usłyszawszy brzęk i odgłos tłukącego się szkła. W kuchni stała mama, była zaskoczona. Z początku się śmiała, póki nie ujrzała ściekającej krwi. Na ranie zrobiono dziesięć szwów.

Blizna była wciąż na swoim miejscu. Wyblakła kreska od nadgarstka aż po zgięcie w łokciu.

Eleonoora często wodziła po tej bliznie palcami, przytulała się do ramienia matki, gładząc je, i myślała, jaka silna była matka, a mimo to krucha. Nagle zdała sobie sprawę, że mama miała tak samo ciekłą skórę jak ona, że równie łatwo mogła ulec jakiemuś obrażeniu. Dlatego zawsze rysowała mamę do pełna, głaszcząc.

Teraz też to zrobiła, przesuwała palcami po bliznie. Mama była taka sama, ale jakby trochę inna.

Wodziła palcami od nadgarstka mamy po łokieć, powoli, ledwie dotykając. To już ostatni raz, pomyślała.

Zrobiła na drutach rozpinany sweter dla mamy.

Następnie spojrzała na Annę i Marię stojące obok i skinęła głową: mogły już zacząć. Eleonoora chciała umyć mamę, wytrzeć jej nogi, wyczyścić paznokcie i natrzeć olejkami lawendowym zagłębienia łokci. Mama myła ją tyle setek razy, wycierała na koniec szorstkim ręcznikiem.

Po wytarciu owijała ją w koc, mówiła, że to otulanka. To było ich wspólne słowo, najbezpieczniejsze, jakie znała.

Niosła ją przez podwórze, ich skóra była wilgotna od ciepła w saunie, Eleonoora wtulała policzek w szyję mamy. Mama przystanęła, żeby posłuchać słowika. Eleonoora prawie już spała, wąchała zapach lawendy na jej szyi.

A może to była Eeva. Może raczej Eeva.

Anna sięgnęła po białą suknię i podeszła niepewnie krok bliżej. Ubrały w suknię mamę. Mama wyglądała przez chwilę jak dziecko przystępujące do pierwszej komunii.

Potem włożyły mamie rajstopy. Eleonoora wzięła też rozpinany sweter. Błękitny, z delikatnej angory, z jedwabnymi wstążkami do zawiązywania. Podniosła ostrożnie głowę mamy, nadal była ciężka. Wsunęła jej ręce w rękawy. Myślała jeszcze przez chwilę obliźnie, o tym, że już nigdy więcej tej blizny nie zobaczy.

Trzeba było jeszcze włożyć mamie wełniane skarpety. Eleonoora zrobiła je na drutach, z tej samej wełny co sweter. Były cienkie, ale mama da sobie w nich radę. Anna włożyła jedną, Maria drugą.

- Babcia ma małe nogi - powiedziała Anna.

- To prawda - odparła Eleonoora. - Ma i zawsze takie miała.

Poczuły się dobrze, że powiedziały to właśnie w czasie teraźniejszym: „ma”. Kiedy stąd wyjdą, pójdą do domu i zaczną myśleć, jakie wybrać wieńce i ciasto na stypę, użyją już czasu przeszłego: „miała”. Powiedzą, że mama lubiła bezy cytrynowe, lubiła lilie, ale może jednak najbardziej róże.

We trzy przykryły Elbę całunem i splotły jej ręce na piersiach.

Obrączki nie było. Czy to tata ją zabrał?

Na serdecznym palcu widniał ślad. Tata też go musiał zobaczyć. Ściągnął obrączkę i zobaczył odcisniętą przez nią wokół palca obwódkę.

- Chcesz zostać sama? - spytała Maria.

- Nie - odpowiedziała Eleonoora. - Możemy być razem.

Stały w ciszy i pozwalały, by czas upływał. Maria podeszła bliżej i złapała Eleonoorę za rękę. Anna złapała za drugą.

- Cześć, babciu - powiedziała w końcu Anna. Maria powtórzyła to samo.

- Cześć, mam - powiedziała Eleonoora.

Stały jeszcze przez chwilę.

- Czy teraz opuścimy wieko? - spytała Anna.

- Tak.

Położyły wieko na swoim miejscu. Nie wydawało się to już takie straszne. Anna i Maria patrzyły na Eleonoorę. Eleonoora stała przez chwilę cicho.

- Możemy już iść - powiedziała w końcu. - Wszystko jest gotowe.

Trochę wiało, gdy wyszły na zewnątrz. Lato już nadeszło.

Anna i Maria nie ośmielały się niczego powiedzieć, Eleonoora nie musiała. Maria znów złapała ją za rękę.

Anna spytała:

- Co teraz?

- Teraz pójdę porozmawiać z tatą - odparła Eleonoora.

26.

Wsiadam do tramwaju, jadę przez miasto. Patrzyłam na babcię w trumnie, zanim zostało zamknięte wieko, widziałam, jak leżała spokojnie i cicho na białych prześcieradłach. Trochę płakałam.

Wczoraj mama nie spojrzała mi w oczy. Ani wtedy, gdy przyjechał po nas tata samochodem, ani wtedy, gdy już po wszystkim piłyśmy herbatę w ogrodzie.

Powoli się ściemniało. Niebo było różowawe, w kolorze malwy i brzoskwini.

Tata objął mamę. Patrzyłam na nich i zazdrościłam im tej prostoty, łatwości, z jaką byli do siebie zawsze przypisani. Maria też ją objęła, otoczyła ramionami. Mama z roztargnieniem głaskała jej plecy.

Ja nawet nie próbowałam mamy obejmować. Przez cały wieczór nawet na mnie nie spojrzała, wydawało mi się, jakbym wszystko zepsuła. Zepsułam, bo wiedziałam, bo wyobrażałam sobie, przynosiłam wiadomości.

Zostałam na noc w domu, posłałam swoje stare łóżko wykrochmalonymi przez mamę na sztywno prześcieradłami.

Dopiero w nocy, gdy już położyłam się spać, ale nie mogłam usnąć, gdy zesłam cicho po schodach i zobaczyłam mamę w kącie przy sofie, gdy spytałam, czy płacze, dopiero wtedy mama na mnie spojrzała. Zostałam w drzwiach. Nie odważyłam się podejść bliżej.

- Opłakujesz babcię?

Mama z wolna odwróciła głowę i zobaczyłam, że jej smutek był poza wszelkim zasięgiem.

- Tak - odpowiedziała.

Wtedy podeszłam do niej i ją objęłam. Nie odepchnęła mnie.

Pocieszałam ją tak, jak pociesza się dziecko. Teraz umiałam znaleźć właściwe słowa i siłę, umiałam objąć ją ramionami.

Mama zamierzała porozmawiać z dziadkiem. Nie słyszę ich słów ani nie dbam o to, żeby je usłyszeć. To, co się dzieje między rodzicami i ich dziećmi - wypowiedane zarzuty i być może niepewne prośby o wybaczenie - tego nie może zrozumieć nikt inny.

Moim zadaniem jest być tutaj, jechać tramwajem przez miasto. Tym razem nie wymyślę niczyjej historii, mam co innego do opowiedzenia.

Eeva weszła do wody, chciała popływać, i pływała tak, jakby zawsze była jedną z ryb.

Babcię ubrano do trumny. Mama rozmawia z dziadkiem.

A ja jadę przez miasto i wysiadam z tramwaju.

Matias jest w domu. Właśnie wychodził, żeby pograć w tenisa, rakietka stoi niecierpliwie oparta o drzwi, torba jest zapakowana.

Jadł chleb i czytał w tym samym czasie gazetę. Widzę okruszki na otwartych stronach gazety na stole w kuchni.

- Tak? - pyta Matias.

Podchodzi i mnie obejmuje. Dopuszczam go blisko siebie.

W ten sposób mnie otwiera, kawałek po kawałku. Otwiera mnie wciąż na nowo, choć myślałam już, że zamknęłam się na zawsze.

To piękny dzień, mój ukochany, to piękny dzień w życiu.

Teraz mogę opowiedzieć o tym, co przez cały ten czas trzymałam w sobie.

Wszystko zaczyna się od tego momentu, gdy mężczyzna wyszedł przez drzwi. Wszystko zaczyna się od tego, gdy dziecko spytało, czy jeszcze kiedyś się zobaczymy, a ja powiedziałam, że zobaczymy się jutro, chociaż wiedziałam, że to kłamstwo. Wszystko zaczyna się od tego, gdy leżałam na podłodze w przedpokoju przez jedenaście dni.

Zaczynam szeptem. Kiedy już to zrobiłam, słowa same przyszły.

Nie mówiłam mu tego, ale teraz powiem.

Co się stało? Co zadziało?

Co boli? Co zabolęło?

Czy to od kamienia? Pnia?

A może od korzenia w lesie?

Pszczółeczko, nasza ptaszyno

Przynieś miodek, przynieś miodek.

Przynieś go w sześciu kubeczkach, Przynieś go zza siedmiu mórz.

Już ci lepiej?